

Witold Gombrowicz

Opętani

POŻYTEK Z NIEPOWODZENIA

„Opętani” wydają się chować sekret podobny do tego, o jakim pisze Henry James w opowiadaniu „Obraz w dywanie”. Ów sekret zasadza się na tym: w jaki sposób nieudana, „zła książka” może stać się modelem, podług którego ukształtuje się w przyszłości wielkie dzieło.

Choć Witold Gombrowicz przyznał się do autorstwa „Opętanych” (powieści drukowanej przed samą wojną w odcinkach pod pseudonimem Z. Niewieski) dopiero w 1969 roku — pisząc swą notę biograficzną dla poświęconego mu specjalnego zeszytu *L’Herne* — kilku wtajemniczonych wiedziało o tym od dawna. Pytałem go o to kiedyś, lata całe przed jego wyznaniem i nie przeczytawszy zresztą powieści, o której sędzono iż jest zaginiona, ale umknął przed tym pytaniem, z czego wywnioskowałem, że nie przywiązuje żadnej wagi do tego młodzieńczego dzieła, że napisał je najwidoczniej tylko dla wysokich honorariów, jakie zapewniał swoim autorom (popularnym i dobrze sprzedającym się powieściopisarzom pozbawionym całkowicie ambicji literackich) wielki dziennik wieczorny Warszawy *Kurier Czerwony*. W swym obrazowym i aroganckim języku, warszawianie nazywali tę popularną gazetę *Czerwoniakiem* (co można by przetłumaczyć jako czerwony urwis), bo była to gazeta bazująca na sensacji, krwią ociekających morderstwach, skandalach w wyższych sferach. W swych „Wspomnieniach polskich”, małej książeczce napisanej w Argentynie, którą dopiero co opublikowała *Kultura* paryska w języku oryginału, autor „Opętanych” mówi o niektórych przedwojennych pisarzach polskich, że ich powieści „były zwyczajną tandetą, pisaną pod gust *Czerwoniaka*”.

Sprawa jest jednak nieco bardziej skomplikowana, bo Gombrowicz sam kiedyś marzył o napisaniu „złej powieści”. Dwukrotnie próbował tego w młodości i zniszczył obydwie rękopisy — nie dość były dobre? czy raczej nie dość złe? Opisał te nieudane próby we „Wspomnieniach polskich”, w taki sposób definiując swój zamiar: „(...) Dzisiaj skłonny jestem przypuszczać, że ten pomysł »złej powieści« był szczytowym momentem całej mojej kariery literackiej — nigdy nie nawiedziła mnie, ani przedtem ani potem, idea bardziej twórcza. Cóż bowiem oznaczał ów program, którego ja wówczas nie byłem w stanie sformułować dokładnie? Pisarz, choćby najbardziej oderwany od świata, zawsze pisze dla kogoś, dla urojonego choćby czytelnika. Oczywiście, inaczej się pisze dla kulturalnego odbiorcy, czy nawet dla krytyka, a inaczej dla pospolitego pozeracza zadrukowanego papieru. Ale, jak dotąd, nawet tworząc dla maluczkich pisało się »z wysoka« — pisarz wprawdzie zniżał się na poziom masy, ale o tyle tylko, o ile mu na to pozwalała jego kultura, jego literackie dobre wychowanie. Mój projekt był w tym sensie niesłychanie radykalny: oddać się masie, stać się gorszym, niższym — nie tylko opisywać tę niedojrzałość, lecz nią właśnie pisać — była to, słowem, idea, którą w późniejszym wieku określiłem jako postulat, że w kulturze nie tylko niższy powinien być stwarzany przez wyższego, ale i na odwrót — wyższy przez niższość”.

Zamiar był piękny, lecz trudny do realizacji. Dzisiaj do oczywistości należy twierdzenie, że „dobra zła książka” jest lepsza niż „zła dobra książka” i każdy rozsądny czytelnik woli dobrze zrobioną powieść z „Serie noire” od przeciętnej nagrody Goncourtów. Ale rozważania Gombrowicza dotyczyły czasów dawno minionych, gdy wierzono jeszcze w jakąś hierarchię „gatunków” literackich i podejrzewam teraz, że niechęć Gombrowicza do „Opętanych” brała się po części z jego poczucia niepowodzenia: w gruncie rzeczy, ta powieść napisana, zdawałoby się, pod tandetny gust *Czerwoniaka*, z dawien dawna przeznaczona była do publikacji w odcinkach w *Le Monde*.

Wydaje mi się, że napisana dla „masy”, przebrana w kostium horroru i upodobniona w ten sposób do niezliczonych książek anonimowych autorów o mrozących krew w tyłach tytułach, jakie sprzedawano na straganach Warszawy, powieść „Opętani” stanowi pierwszy przejaw podejścia, jakie odtąd będzie Gombrowicz stosował we wszystkich swoich powieściach. Gdy „Ferdydurke” (jedyna powieść poprzedzająca „Opętanych”) jawi się z miejsca jako dzieło „awangardowe”, wydaje się, że Gombrowicz z poronionego zamiaru napisania „złej powieści” wyprowadził wniosek, który tak kapitalnie sformułował w przedmowie do francuskiego wydania „Pornografii”: „Coraz częściej się skłaniam do przedstawiania tematów, które wydają mi się najbardziej skomplikowane, w postaci prostej, wręcz naiwnej. »Pornografia« napisana jest jak gdyby w sposobie polskiej »powieści prowincjonalnej«: to tak jakbym wiózł na drabiniastym wozie jady »ostatniego krzyku« (ból, oczywiście, nie mody)”. Równie proste modele posłużyły mu do „Trans-Atlantyku” (epopea wiejska Mickiewicza znana każdemu polskiemu uczniowi) czy do „Kosmosu” (powieść detektywistyczna).

Można by powiedzieć, że przygoda Gombrowicza podobna jest w jakimś sensie do przygody Krzysztofa Kolumba, który szukając Indii odkrył Amerykę. Nic lepiej nie mogło wówczas służyć formule „złej powieści” niż powieść gotycka (dopiero niedawno odzyskała ona prestiż literacki) ze swym *decorum* zamków, w których straszy, i podziemnych przejść, i obsadą różnych „*femmes fatales*”, zdegenerowanych arystokratów, pałających zemstą bękartów i dobroczynnych czarodziejów. Otóż ta powieść odcinkowa pisana z dnia na dzień, jak gdyby wstydliwie, wysnuwa na przekór autorowi zupełnie inną osnowę polegającą na tajemniczych pokrewieństwach i znakach, intuicjach z pogranicza fizyczności i psychiki. Znajdujemy tu już parę młodych, których urok rozbiera monstrualność (urok i zbrodnia są ze sobą powiązane), parę, którą odtąd odnajdywać będziemy w dziele Gombrowicza. Niewątpliwie znajdują się tu już wszystkie składniki jego dzieła, jeszcze nieporządnie rozrzucone. Wystarczy mu wprawić je w ruch przy pomocy zmyślnych mechanizmów, by móc konstruować owe „machiny piekielne”, które Sartre odkrywał w jego późniejszych powieściach.

„Zapomnienie” Gombrowicza stało się w ten sposób zrozumiałe, bo nie udało mu się w tej książce „nie tylko opisywać niedojrzałość, lecz nią właśnie pisać”, a z drugiej strony nie mógł wtedy jeszcze uznać starodawnego „wozu drabiniastego” za idealny wehikuł do przewożenia swej przewrotnej kontrabandy. Jak żałuję, że nie dane mu było przeczytać jeszcze raz „Opętanych”!

Konstanty A. Jeleński
Przełożył Jerzy Lisowski

La Quinzaine Littéraire, 1 — 15 kwietnia 1978

ROZDZIAŁ I

— Czy pan nie widzi, że tu jest tabliczka z napisem „Nie wychylać się”? Czy dla pana zakaz władz jest niczym?

Taką uwagę zwrócił młodzieńcowi, który wychylał się przez okno, starszy, wyblakły pan w binoklach. Działo się to w pociągu, gdzieś za Lublinem. Młody człowiek wycofał głowę z okna i odwrócił się.

— Nie wie pan, jaka teraz będzie stacja? — zapytał.

— Jeżeli ja pana zapytuję, czy znany panu jest zakaz wychylania się z okna pociągu będącego w ruchu, to należałoby chyba naprzód odpowiedzieć na pytanie, a dopiero potem samemu zadawać pytania — rzekł ostrzej formalistyczny jegomość o rybiej twarzy i szczecinowatych włosach, ze złotą dewizką w okolicy żołądka. Młodzieniec odpowiedział natychmiast łatwo i lekkomyślnie:

— A przepraszam.

Ta łatwość i lekkomyślność jeszcze bardziej zirytowały rybiego pana. Radca Szymczyk niezmiernie lubił pouczać i musztrować ludzi, ale nie znosił jeśli uwagi jego przyjmowane były nie dość poważnie. Obrzucił niechętnym wzrokiem swoją ofiarę.

Był to ciemny blondyn, lat może dwudziestu, o budowie wyjątkowo zręcznej. Aczkolwiek lato miało się ku końcowi i wieczory bywały chłodne miał na sobie tylko niebieską siatkową koszulkę bez rękawów, szare spodnie i pantofle tenisowe na gołych nogach.

— Kto by to mógł być? — myślał radca. — Wiezie ze sobą aż dwie rakiety, więc może syn jakiego obywatela z tych stron? Ba, ale ręce ma zgrubiałe, o źle utrzymanych paznokciach, jak od fizycznej pracy. Zresztą włosy niezbyt wypielęgnowane i głos raczej gminny. Więc proletariat? Nie, proletariat nie miałby ta kich uszu i oczu. Ale znowu usta i podbródek nieomal ludowe... i w ogóle jest w nim coś podejrzanego... jakaś mieszanina.

Inni pasażerowie musieli być tego samego zdania, gdyż również przyglądali się spod oka młodzieńcowi, który stał plecami oparty o ścianę. Radca Szymczyk wreszcie tak się zaciekawił, że postanowił zrezygnować na razie z dalszej polemiki w przedmiocie nie dość poważnego przyjmowania wskazówek i nauk, udzielanych przez ludzi kompetentnych. Przystąpił do ustalania personaliów nieznanego, co zresztą przyszło mu tym łatwiej, że nawet na urlopie czuł się zawsze urzędnikiem, przyzwyczajonym do wypełniania rubryk w formularzach.

— Pan czym się trudni? — zapytał.

— Trener tenisowy.

— Wiek?

— Dwadzieścia.

— Dwadzieścia? — Co — dwadzieścia? Dwadzieścia lat? Proszę odpowiadać wyraźnie! — zniecierpliwiał się i zirytował.

— Dwadzieścia lat.

— A dokąd pan jedzie? — zapytał podejrzliwie radca. Coraz mniej podobał mu się ten osobnik. Czuł zawsze pewną podejrzliwość w stosunku do osób, które zbyt pośpiesznie i ulegle odpowiadają na pytania, długoletnia praktyka biurowa nauczyła go, iż zazwyczaj takie indywidualia albo mają już coś na sumieniu, albo zamierzają mieć... Chłopak odparł:

— Jadę tu niedaleko, do jednego majątku, gdzie jestem zgodzony Jako trener.

— A — zawołał radca — to może pan jedzie do Połyki Ochołowskich? Co? Oczywiście! Domyśliłem się od razu, gdyż panna Ochołowska to podobno zawołana, panie, tenisistka. Pan

tam na długo?

— Niecee... A zresztą nie wiem jak wypadnie. Mam wyreperować rakietę, odświeżyć kort i ćwiczyć z tą panną, bo podobno nie ma z kim grać.

— Ja też tam jadę — uznał za stosowne wyjawić radca i wyciągnawszy dłoń rzekł abstrakcyjnie:

— Szymczyk.

Na co trener odpowiedział z ukłonem:

— Walczak.

W tej chwili zbliżył się do nich czerstwy staruszek, który od początku z uwagą przysłuchiwał się rozmowie. — Co, panowie do Połyki? — zawołał. — A to świetnie się składa, bo ja też tam jadę. Pozwoli pan się przedstawić — zwrócił się do radcy. — Skoliński jestem, Czesław, profesor, a właściwie historyk sztuki. Skoliński! Pan pewnie do pensjonatu, co? Upewniam pana, że doskonale pan trafił, dwór w Połyce to raj, panie, nie pensjonat, czasem doprawdy cieszę się, że ziemiaństwo bankrutuje i musi zakładać po dworach pensjonaty, bo nigdzie człowiek tak nie wypoczywa, jak na wsi. Siedzę tam już ze dwa tygodnie, a teraz tylko na chwilę wpadłem do Warszawy i znowu wracam. Świetna miejscowość, panie! A propos! Panna Maja Ochołowska, pańska przyszła partnerka — wykrzyknął w stronę młodego trenera — też jedzie tym pociągiem. Pozwoli pan, Skoliński jestem, profesor, a właściwie historyk. Przedstawiłbym jej panów, ale nie chcę być niedyskretny, bo jedzie z narzeczonym... to jest właściwie narzeczony jej jedzie z księciem Holszańskim — wie pan, ten książę z Mysłoczy, to też obok Połyki — otóż jej narzeczony, pan Cholawicki, jedzie w jednym przedziale z księciem, którego jest sekretarzem, ona zaś, biedaczka, jedzie w drugim przedziale obok. Książę jest trochę... tego... — dotknął palcem czoła — i sekretarz nie może go odstępować. Ale w każdym razie lepiej nie przeszkadzajmy młodej parze.

Pociąg pędził z jednostajnym kołysaniem poprzez krainę smutną, o zachodzącym słońcu — ciemnozieloną i płaską. Coraz częściej lasy wypełzały z obu stron — coraz częściej pociąg przerzynał w pędzie drobne, sosnowe zagajniki. Obaj panowie zagłębili się w rozmowę, a Marian Walczak, trener klubu „Zespół” w Lublinie, pogwizdywał, spoglądając na mijające krajobrazy. Nudziło mu się.

W ogóle często się nudził. Czasem napadała go taka nuda, że wprost nie mógł wytrzymać. Ruszył na spacer po pociągu.

Wagon pierwszej klasy, przez który teraz przechodził, był prawie pusty, ale jeden z przedziałów wzbudził jego zainteresowanie.

— To pewnie ten książę jedzie — pomyślał i niby przeczesując się w ściennym lusterku, zajrzał do środka.

Widok był rzeczywiście szczególny. Olbrzymie walizy wielce starożytnego wyglądu zalegały półki; otwarty neseser pamiętający chyba jeszcze czasy Napoleona, spoczywał dostojnie na tanim, ordynarnym pledzie, fabrycznego wyrobu. Laska z inkrustacjami z kości słoniowej obok parasola, mocno podniszczonego, a wszędzie naokoło — masa paczek, torebek z wiktuałami, pudełeczek, co wszystko razem przypominało nieomal epokę dylizansów.

Pośród tych luksusowych i tandetnych przedmiotów rozrzuconych w nieładzie, mały, drobny, chuderlawy staruszek drzemał, głowę wsparłszy na haftowanej poduszce, w ubraniu nieprawdopodobnie starym, z wielką łąką na prawym kolanie; ale twarz jego przy całym, wzbudzającym politowanie, zdziecinnieniu miała w rysach coś tak władczonego i wykwintnego, że każdy na pierwszy rzut oka musiał zrozumieć, iż naprzeciwko siedzący elegancki pan w doskonale skrojonym garniturze mógł być co najwyżej sekretarzem i podwładnym tej majestatycznej osobistości. Sekretarz ten trzymał w ręku otwartą książkę, ale nie czytał — tylko

patrzył przez okno w zamyśleniu.

Nagle dostoyny starzec kichnął i otworzył oczy — a otworzywszy ujrzał młodzieńca zagapionego w siebie — i naraz wybałuszył i wytrzeszczył te małe swoje, niebieskawe oczka, jakby na widok ducha. Twarz mu poczerwieniała. Spróbował coś powiedzieć, poruszył wargami i naraz cienko wykrzyknął:

— Franio! Franio!

Wyciągnął ręce przed siebie. Ale towarzysz jego odwrócił się od okna i jednym pociągnięciem zapuścił stopy na drzwiach.

Walczak nie bardzo rozumiejąc, co się stało, uznał jednak za właściwsze oddalić się i zajrzał do następnego przedziału. Tutaj odkrył widok nie mniej interesujący, a nawet pod pewnym względem podobny do tego, który przed chwilą mu zniknął, ale znowu pod innymi względami biegunowo odmienny. Mianowicie w przedziale siedziała młoda dziewczyna — i spała.

— Aha — pomyślał — to pewnie ta panna Ochołowska.

Nie mógł dojrzeć jej twarzy, gdyż zakrywała się ramieniem, ale zdziwił go sposób w jaki spała — to elegancko ubrane, smukłe i delikatne ciało rzucone było w kąt, nogi założone na przeciwległą ławkę, wysoko zgięte w kolanach, tułów przechylony na bok, głowa, prawie poniżej nóg — gdyby ktoś chciał wybrać możliwie najniwygodniejszą pozycję do snu, nie mógłby się ułożyć w sposób bardziej ekscentryczny, a nawet bardziej brutalny. Chciało się po prostu potrząsnąć ją za ramię i krzyknąć: — Jak pani śpi!

— Ale też śpi bez żadnej dbałości o siebie — mruknął. Jakby siebie nie szanowała. Jakby jej było wszystko jedno, czy głowę ma niżej od nóg, czy nogi niżej... A przecież elegancka...

Pociąg sunął z monotonnym hukiem, wszystko się trzęsło i podskakiwało i trzęsła się też śpiąca panna. Przyglądał się jej z taką ciekawością, iż zapomniał w ogóle gdzie jest i dokąd jedzie.

Właściwie niezbyt mu się podobała, wołał kobiety starsze, bardziej rozłożyste, ale coś w niej było takiego, że nie mógł oczu oderwać. Aż wreszcie zrozumiał.

— Przecie ona śpi tak samo, jak ja! — zdumiał się.

Rzeczywiście, ilekroć zdarzyło się, że zbudził się w nocy, to właśnie w podobnej pozycji — jego sen był zupełnie taki sam i nieraz nawet wysmiewali go z tego powodu koledzy. No, dobrze, że on tak spał, to rozumiałe — ale że ta elegancka panna spała w ten sposób bez szacunku... — Śpi, jak w komisariacie, na ławce — uprzytomnił sobie. — Ciekawym, czy to ta Ochołowska?

Jej płaszczyk wisiał na wieszaku tuż koło drzwi. Z kieszeni palta wyzierała biała koperta. Zawahał się, ale ciekawość przemogła skrupuły — wyciągnął list i zerkając na śpiącą, zaczął czytać. Tak, to była ona. List adresowany do Maji Ochołowskiej brzmiał, jak następuje:

Kochana moja Majeczko!

Jeżelibyś chciała posiedzieć jeszcze parę dni w Warszawie, to możesz śmiało, gdyż ja tutaj doskonale dają sobie radę, a gości — niestety — bardzo mało. To straszne, że musimy przyjmować obcych ludzi w naszym poczciwym starym domu. Cóż robić! Oby przynajmniej to się nam opłaciło! Ale o czym innym chcę do Ciebie napisać. O zaręczynach Twoich z panem Henrykiem.

Moje dziecko najdroższe, wiesz o tym, jak bardzo pragnę Twojego szczęścia. Zostawiam ci zupełną swobodą decyzji, gdyż wiem, że i tak byś mnie nie posłuchała, ale twoja skrytość męczy mnie okropnie. To śmieszna rzecz, że Ci to piszę w liście gdy przecież za parę dni będziemy razem, ale wyznaję szczerze, że nie umiem z Tobą rozmawiać.

Czyż to nie jest przykre dla matki — nie móc porozumieć się z córką w najważniejszych i najbardziej poufnych sprawach. A jednak tak się ułożyły stosunki między nami, że prędzej z kimś

zupełnie obcym mogłabym omówić niektóre rzeczy, nit z Tobą.

Moja córeczko kochana, nie gniewaj się, że Ci to piszą. Wiem, że mnie kochasz, i ty wiesz, że ja za ciebie życie bym oddała, ale brak nam wspólnego języka. Wyzyskują więc fizyczną odległość między nami i spróbują listownie powiedzieć Ci coś, co mi leży na sercu. Przyjmij to do wiadomości i nie będziemy o tym mówić, dobrze?

Od pewnego czasu boją się o Ciebie tak bardzo, że mi to zatruwa każdą swobodniejszą chwilą.

Boją się Twojej urody, Twojej młodości, wolałabym żebyś była mniej pewna siebie... Jak to powiedzieć? Wyczuwam w Tobie zawziętość, ambicję, nienasycone pragnienie szczęścia. Wydaje mi się, że jesteś tak głodna świata, że tak dolecenie wystarczy Ci nasza nieco monotonna egzystencja wiejska, iż gotowa byłabyś na wszystko, aby uzyskać dostęp do życia bogatego i wielkomięjskiego.

Czy myślisz, że Henryk zapewni Ci to wszystko? Czy naprawdę jesteś do niego przywiązana, czy też idzie Ci tylko o to, żeby się wyrwać stąd przy jego pomocy? Może nawet już obliczyłaś sobie, że rzucisz go po paru latach?...

A zresztą jeżeli nawet odczuwasz do niego jakąś skłonność, to czy nie jest ona oparta na pokrewieństwie waszych natur w tej właśnie nienasyconej żądzy użycia? Czasem mam takie wrażenie, że ani on Ciebie nie szanuje, ani ty jego — te to jest po prostu wyrachowanie i spółka życiowa dwojga zupełnie dzikich zwierząt. Bo — te, co ja piszą! Ale niech już tak zostanie. Jeżeli się myślą, jeżeli to jest tylko brak zrozumienia dla was młodych takiej starej kobiety, jak ja, wychowanej w innych czasach i innymi ideałami tyjącej, to nie miej mi tego za złe.

Pojmujesz jednak, jak muszą męczyć takie przypuszczenia. Świat dzisiaj z każdym dniem robi się bardziej straszny i bardziej zagadkowy dla mnie. Nie macie godności i nie szanujecie ani siebie ani drugich — to jest najgorsze.

Pieniądze które podjęłaś w Warszawie możesz w całości wydać, gdyż otrzymałam nieoczekiwanie 1.300 zł z tytułu rozrachunków z Lipkowskim. Tak odwykłam od większych pieniędzy, że doprawdy boją się przechowywać w domu taką sumą! Umieściłam je tymczasem w lewej szufladzie, w Twojej szafie. Proszę Cię, nie licz się zupełnie z wydatkami, spraw sobie z garderoby wszystko, co potrzebujesz, bo na to zawsze się znajdzie, musi się znaleźć! To okropność, że ja sama pracuję nad tym, żeby rozwijać w Tobie i podtrzymywać potrzebą luksusu, ale zanedo mi się podobasz! To jest moja słabość najgorsza! Mam nadzieję, że podciągnęłaś się w grze przez tych kilka dni w Warszawie. Nie gniewaj się na mnie, dziecinko, pomyśl o tym, co napisałam i udawaj przede mną, że wcale nie otrzymałaś tego listu. Czy kochasz mnie?

Matka.

Walczak wsunął list z powrotem w kieszeń jej palta.

Tak, to była panna Ochołowska, utalentowana tenisistka, którą miał „podciągnąć” od jutra — jego przyszła partnerka. Aha, to ona chciała bogato wyjść za mąż — pewnie, kto by nie chciał — każda taka chce bogato wyjść za mąż i używać życia. — Zupełnie tak jak ja! — pomyślał i roześmiał się.

Pociąg zaczął zwalniać. Wrócił do swojego wagonu, gdzie radca Szymczyk i profesor Skoliński już zdejmowali walizki i nakładali palta. Wagony zakołysały się i stanęły.

— Wysiądać! — zawołał profesor. — Tylko dwie minuty postoju!

ROZDZIAŁ II

— Czy są konie z Połyki?

Takie pytanie rzucił radca Szymczyk wprost przed siebie, wyszedłszy na ganek przed stację. Za nim tragarz dźwigał dwie walizy i worek na pościel.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, radca ponownie zapytał mocniejszym głosem, ale garstka gapiących się chłopaków przyjęła to z kamienną obojętnością.

Gdyby Szymczyk skierował się do któregoś z nich bezpośrednio, natychmiast otrzymałby informację — ponieważ jednak rzucał pytanie wprost przed siebie, więc tylko patrzyli na niego, jak na widowisko.

— A to ci wykrzykuje! — zawołał nawet najmłodszy, dłubiąc w nosie.

To zirytowało radcę i poczerwieniał. Ale natychmiast stał się zimny i spokojny, gdyż ktoś go potrącił z tyłu.

— Przepraszam — rzekł radca oglądając się za siebie. — Pan będzie łaskaw uważać! Pan mnie trąca torbą.

— Co? Ja? Pana? Torbą? A przepraszam stokrotnie — zawołał profesor, on to bowiem wjechał przypadkowo torbą na plecy Szymczyka. — O, co ja widzą! Panna Maja! Pozwólcie panowie, że dokonam prezentacji. Pan... no jakże... Szymon...

Radca skarbowy Szymczyk — przedstawił się radca Szymczyk i dodał: — Depeszowałem o przyjeździe.

Stokrotnie przepraszam. Szymczyk. A to pan Myńczyk... Od tenisa...

— Doskonale! — rzekła panna Ochołowska podając im rękę. — Zmieścimy się wszyscy, bo jest jeszcze bryczka na rzeczy.

Powóz podjechał i usiadła z profesorem na tylnym siedzeniu, a radca z Walczakiem umieścili się na ławeczce. Jechali błotnistą drogą pośród rzadkiego lasu; tu i ówdzie otwierały się perspektywy na okolicę płaską, smutną i szeroką.

Słońce już zaszło, a cisza świdrowała w uszach. Zamilkli. Lasy ani na chwilę nie ustępowały z horyzontu, ale droga wiodła teraz przez łąki, pokryte z rzadka karłowatymi drzewami.

Co za kraj! — odezwał się wreszcie radca.

Tak, tu jest dzicz, ubóstwo i smutek — roześmiała się panna i Walczakowi wydało się, że ten śmiech jest mu znany.

Spojrzał na nią uważnie. Mówiła bardzo cicho, nie wiadomo, czy przez kokieterię, czy też z innych powodów, ale to nadawało jej odcień tajemniczości. Skąd jednak znał ten śmiech? Kto śmiał się tak z jego znajomych? Nagle i bez żadnej zrozumiałej przyczyny serce zaczęło mu bić bardzo mocno.

— Co jest, do licha? — pomyślał.

Mrok zapadał i welon nadchodzącej nocy jał przesłaniać konary drzew... Wielki księżyc wstawał nad łąkami. Psy szczekały w dalekiej wiosce. Walczak nie mógł się oprzeć uczuciu dziwnego niepokoju, usiłował wzrokiem przebić narastające cienie i naraz wydało mu się, że śni... Wielka starożytna karoca, typu nie używanego już od stu lat co najmniej, zaprzężona w czwórkę koni, przemknęła z hukiem, zgrzytem i dźwiękiem żelastwa tuż koło nich w niezmiernym pędzie i zniknęła w oparach kurzu.

— Co to było?! — zawołał radca.

Profesor wychylił się i z ciekawością patrzył za ginącą w oddali landarą.

— To książę z Mysłoczy — rzekł.

— Tak — powiedziała Maja. — On także, biedak, wraca z Warszawy. Nie zna pan największej atrakcji tutejszych stron? — zwróciła się do radcy. Mysłocz jest o kilka kilometrów od Połyki. Jedziemy teraz przez dobra myśłockie.

— Ale dlaczegoż on używa takiego środka lokomocji? Jak za czasów królowej Bony! — zdziwił się Szymczyk. — Przecież to niewygodne i hałaśliwe.

— Dlaczego? Bomakukunamuniu! — zawołał profesor — dlatego radcuniu! Staruszek księżę od niepamiętnych czasów jest, łagodnie wyrażając się, dziwak. Zdumiewa mnie, że był w Warszawie, przecież on nigdy nie wychyla nosa ze swego zamczyska. Pan Henryk musiał mieć z nim nie lada kłopot — zwrócił się do panny Ochołowskiej.

— Naturalnie — odparła. — Henryk ledwie zdołał namówić go do tej wyprawy, ale interesy tego wymagały. W Warszawie nie pozwolił Henrykowi odstąpić sobie na krok.

— Patrz pan, patrz pan! — zawołał profesor do radcy. — Stąd można zobaczyć zamek, tylko nie wiem, czy nie za ciemno.

Ale księżyc promieniował już na bezkresne płaszczyzny, tu i ówdzie przetykane fantastycznymi sylwetkami drzew. W bladej poświacie ukazała się biel wody — to Muchawiec powoli i leniwo toczył swe nurty przez równinę, tworząc olbrzymie rozlewiska, nie mogąc prawie ruszyć z miejsca...

Rozległą taflę wód, która ukazała się oczom radcy, można by nazwać jeziorem, gdyby trzciny, szuwały i wikliny nie wyrastały z niej w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Wyglądało to raczej na powódź, niż na jezioro, albo na większą ilość pojedynczych stawów. Gdziekolwiek ziemia i woda tak były pomieszane ze sobą, że trudno było określić jaki żywioł króluje.

Niespodzianką w tym beznadziejnym, równinnym krajobrazie było wyniosłe wzgórze nad wodami, nie wiadomo skąd i jak wyrosłe na płaszczyźnie. A jeszcze bardziej zdumiewał ogrom budowli na wzgórzu.

Szymczyk, będąc zresztą krótkowidzem, nie rozróżniał szczegółów, ale wyczuwał wielką masę kamienną — z tej masy wystrzelała wieża ogromna, może sześciopiętrowa, wystrzępiona i zrujnowana u szczytu. Królowała ona nad krajobrazem, samotna, dostojna, feudalna... Mgła stopniowo zasnuwała podnóże zamku.

Ależ to olbrzymi gmach! — zawołał radca.

Ba! — odparł profesor. — Sto siedemdziesiąt zrujnowanych pokojów, sal, sieni i czego tylko pan chcesz! Ale dla historyka sztuki nie przedstawia to żadnego znaczenia. Brak stylu, uważasz pan! Ruina, zaniedbanie, ot, typowa pańska rezydencja w stanie zupełnego upadku. Polska, jak panu wiadomo — ciągnął dydaktycznie — nie obfituje w zabytki architektoniczne. Dawnymi czasy były wspaniałe zamki, ale prawie wszystkie wyginęły w dobie wojen szwedzkich, a resztę zjadło niedbalstwo i brak kultury właścicieli. Ileż to zabytków rozebrano po prostu na kamień... Teraz mówi się, że Łańcut jest najpiękniejszą rezydencją w Polsce. Ale Łańcut to dziecko, to smarkacz bez przeszłości! Prawda, że przepych, oranżerie, stajnie marmurowe i Bóg wie co, ale nie ma patyny! Mysłocz przynajmniej liczy sobie z sześćset lat!

Sześćset? — zdziwił się radca. — W tych stronach?

A tak — odparł profesor. — To był jeszcze starożytny gród dawnych książąt Holszańskich — Dubrowickich. Od najdawniejszych czasów było tu grodziszcze... Zamek ten — dodał nie bez melancholii — miał swoje świetne karty w przeszłości, ale teraz... ot... kupa kamieni odarta ze wszystkiego i tyle! Melancholijna siedziba wariata i grób dogasającego rodu... Od stu lat mieszkają tu sami wariaci.

Znowu wjechali w las. Uczyniło się ciemniej, gdyż księżyc z rzadka tylko przezieierał poprzez gałęzie i bezbrzeżny smutek ścisnął serce Walczaka. A jednocześnie porwał go taki niepokój, iż musiał się powstrzymać, by nie wyskoczyć z powozu i nie uciec w gąszcz.

Melancholia tych miejsc ponurych udzieliła się także profesorowi, gdyż zamilkł, tylko radca jął rozwodzić się nad typowo polskimi wadami, jako to — nieład, nieochędnostwo i niechlujstwo oraz brak starannej pieczy i brak organizacji w konserwacji. Nikt go nie słuchał, gdyż wszyscy zasłuchani byli w las, w przeszłość i być może we własne, skryte niepokoje.

Wtem panna Ochołowska zwróciła się do Mariana.

— Będziemy grali! — rzekła.

— Pewnie! — odparł i roześmiał się.

Czy mu się zdawało, czy też spojrziała na niego z uwagą, tak, przyłapał jej wzrok badawczy, z ukosa zerkający na jego twarz. Przyszło mu na myśl, iż może zauważyła jego manipulacje z listem — ale nie, to było niemożliwe, przecież spała.

Więc czemuż ona mu się tak przygląda?

Otrząsnął się z zamyślenia, a jednocześnie profesor objawił:

— Oho, dojeżdżamy.

Jakoż wjechali na obszerną polanę i psy obskoczyły ich za bramą.

Dwór połycki był starym obszernym domostwem, z charakterystycznym wysokim dachem i z małym ganeczkiem. Marian stanął na boku, czekając aż ukończone zostaną wstępne grzeczności i powitania.

— Aha — rzekła wreszcie pani Ochołowska, której Maja szepnęła kilka słów. — Doskonale, że pan przyjechał. Moja córka już od dłuższego czasu marzy o panu. Marysiu zaprowadź pana na górę i zaniesiesz kolację do pokoju.

Życzliwie podała mu rękę i zniknęła z pozostałymi gośćmi. Walczak poprzedzany przez dziewczynę ze świecą w ręku szedł po wąskich skrzypiących schodach. Pokoik był małą ciupką na poddaszu. Pokojówka była nadzwyczaj schludna i rozsądna, chociaż młoda. Powiedziała:

— Tu jest miednica i woda, a ręcznik zaraz przyniosę. Jakby pan czego potrzebował, to proszę dzwonić, ale chyba jest wszystko.

— Dużo tu u was gości? — zapytał, siadając na łóżku.

— I... nie. Oprócz tych, co dziś przyjechali, jeszcze jest jedna doktorowa ze Lwowa i jeszcze jedna pani. Dopiero początek sezonu.

Powiedziała mu dobranoc i wyszła. Podszedł do okna i spróbował otworzyć je, ale nie mógł — więc tylko otworzył lufcik. S tarę drzewa parku szeleściły z lekka, a tuż za nimi stał las milczący i głuchy. Ponownie doznał uczucia niepokoję. Zdawało mu się, że niepotrzebnie tu przyjechał i że lepiej by było dla niego, gdyby jeszcze teraz i choćby na piechotę uciekł z powrotem. Ale dokąd miał wracać? Życie jego dotychczas było zupełnie przypadkowe.

Przypadkowo, mając lat dziesięć został chłopcem do podawania piłek w klubie w Lublinie. Ojciec, ślusarz z zawodu, chętnie widział tę „posadę” syna, tym bardziej, iż syn nieraz więcej przynosił do domu napiwków, niż on zarobił przez cały dzień ciężką pracą. Chłopcy w klubie mieli wprawdzie stale groszowe wynagrodzenie od godziny, ale często ten i ów z bogatszych graczy dał malcowi extra z 50 groszy, albo i złotówkę. Co prawda Marian nauczył się wreszcie chować dla siebie te uboczne wpływy.

Ojciec spostrzegłszy zmniejszenie dochodów, a nie mając żadnej możliwości kontroli zaczął go bić, co jeszcze bardziej utwierdziło chłopca w chowaniu pieniędzy. Ojca znienawidził i nie byłby mu oddał ani grosza nawet pod grozą zatłuczenia na śmierć. Z każdym rokiem stosunki między nimi stawały się gorsze, gdyż syn dorastał. Nauczył się nie przychodzić do domu na noc, spał z kolegami, zjawiał się dopiero po paru dniach, a wtedy z reguły następowało bicie.

A tymczasem w klubie — gładkie, czerwona gliną wysypane place, słońce, biało ubrani panowie i panie, żarty, okrzyki, wesołość. Ach! Marian zadomowił się tutaj, nauczył się łobuzerskim dowcipem i bezczelnością wyłudzać pieniądze, a jednocześnie w przerwach między

jednym i drugim setem pożyczal od graczy rakiety i próbował klasycznych uderzeń. Starzejący się trener i zarządca klubu w jednej osobie, Mieczkowski, zauważył wybitne zdolności chłopca i postanowił wyrobić go na trenera. Pożyczył mu na stałe jakąś zdezelowaną raketę.

Mając lat szesnaście, Walczak umiał już prawidłowo podawać piłki początkującym adeptom białego sportu i godzinami ćwiczył uczniów i pensjonarki. Nauczył się też naciągać rakiety oraz — w wyższym jeszcze stopniu — naciągać gości, którym wmawiał niezwykły talent.

W tym czasie zaszedł jeszcze jeden szczęśliwy wypadek: ojciec jego wyjechał na prowincję za zarobkiem i chłopiec na dobre osiedlił się u Mieczkowskiego. Poza tym dorabiał jeszcze w restauracji klubowej, a właściwie — jadłodajni, którą Mieczkowski stopniowo i nieznacznie przekształcał na „restaurację” obliczoną także na gości z ulicy.

Ale Walczak rozwałkonił się i na korcie i w restauracji. Nudziło go trenowanie partaczy, chciał grać — zaczynał bardziej dbać o własną grę niż o grę partnera, „kończył” piłki zabójczymi *drajfmami*, zamiast delikatnie podawać partnerowi na raketę, a poza tym stał się trudny, krnąbrny, nieposłuszny, ponury, niezadowolony, zbuntowany. Nudził się. Nie umiałby powiedzieć, dlaczego. Chodził do kina, czytywał tanie, sensacyjne powieści i wzdychał do innego życia. Zdawało mu się, że marnuje każdą godzinę, spędzoną tutaj, że zamiast siedzieć u Mieczkowskiego mógłby coś zrobić — gdzieś pojechać — zacząć coś — wykombinować coś takiego, żeby wreszcie dorwać się do czegoś lepszego...

Wieczorami napadała go czasem taka rozpacz, że chciał skończyć z sobą raz na zawsze. Marnował się. Miał to uczucie, że marnuje się i przepada ze szczętem. Czytywał *Przegląd Sportowy*, znał na pamięć nazwiska wszystkich wybitniejszych graczy i wyobrażał sobie ich podróże za granicę, mecze, sukcesy, owacje... Dlaczego, do diabła, on musi siedzieć w prowincjonalnym miasteczku, w marnym klubie, zamiast podróżować i wygrywać, jak tamci. Ba, oni mieli talent — to byli prawdziwi gracze... On zaś bił wprawdzie, jak chciał, wszystkich tutejszych patalchów, ale dobrej gry w ogóle na oczy jeszcze nie widział.

Tak był znudzony tym wszystkim, że kiedy znajomy inżynier zapytał go, czy nie mógłby pojechać na parę tygodni do Połyki, zgodził się od razu i błagał Mieczkowskiego, żeby go puścił. O pannie Ochołowskiej czytywał w *Przeglądzie Sportowym jako o jednej z najlepiej zapowiadających się tenisistek młodego pokolenia*.

— Pojadę! — błagał Mieczkowskiego. — Ona musi siedzieć na wsi, a tam blisko nie ma żadnych graczy — nie ma z kim grać! Będę z nią ćwiczył i wyrestauruję rakiety, a za to dostanę utrzymanie. Pan Mieczkowski da sobie radę beze mnie przez te głupie dwa tygodnie! Wyrwę, się na momencik!

I wyrwał się... A teraz spoglądając przez okno na wiejskie, nieruchome lipy zaczynał żalować, że się wyrwał. Może ten dwór stary, może smutek wiejący z tych stron zapadłych był przyczyną jego zaniepokojenia i dziwnej jakiejś żalości. Przypomniał sobie wszystko, co go spotkało w czasie drogi — zagadkowy wykrzyknic księcia, Ust, który przeczytał, sen panny Ochołowskiej, jej śmiech, jej spojrzenie, pieniądze, które tu były gdzieś schowane w szafie — i sam nie wiedział, co z tego mogło go tak podniecić.

Przeciągnął się z rozkoszą, aż kości trzasnęły w stawach. Aaaach! — i roześmiał się cicho, lekkomyślnie, na myśl o tylu nieoczekiwanych zdarzeniach Jakiego go jeszcze czekały w życiu.

A w tej samej chwili w swoim pokoju panna Ochołowska, na pół rozebrana, przeciągała się identycznie tak samo, z tym samym uśmiechem na ustach — myśląc o pewnych swoich planach i projektach na niedaleką przyszłość. Zerwał się lekki wietrzyk i zaszumiały lipy za oknami.

Nazajutrz rano Walczak i panna Maja w białych strojach szli wolno przez trawnik w kierunku placu tenisowego, skąd dochodziły już głosy zwołanej do piłek dzieciarni. Dzień był wspaniały, bezwietrzny, tylko białe pierzaste obłoczki mknęły po bładoniebieskim niebie.

I on, i ona mieli pod pachą po dwie rakiety.

Walczak, który doskonale orientował się w kulisach białego sportu wiedział, że pannie Ochołowskiej (choć nie brała jeszcze udziału w większych meczach) zdarzało się odnosić nieoficjalne zwycięstwa nad czołowymi raketami i to wśród mężczyzn. Znaczący nieraz podkreślali wyjątkowo wszechstronny styl gry, rokujący najlepsze nadzieje i predestynujący ją do wielkich zagranicznych sukcesów. Co do Walczaka, to wprawdzie nie było nikogo w klubie, kto by mógł marzyć o wygraniu z nim seta, ale też nie było tam nikogo, kto by reprezentował wyższą klasę. Toteż postanowił ograniczyć się wyłącznie do podawania piłek i trenowania poszczególnych uderzeń. Zresztą panna Ochołowska nie spodziewała się chyba żadnych szczególnych emocji. Szła w milczeniu i zdawało się, że myśli o czymś innym — chmurna i nieuważna, z oczami wbitymi w ziemię. Gdy stanęła na placu — doskonałym, jak to od razu ocenił Walczak — nie odezwała się ani słowem tylko prędko wycofała się poza ostatnią linię kortu.

— *Vorhand!* — zawołała.

Uderzył piłkę i poszła w siatkę. Druga poszła na *out*. Trzecia wreszcie udała mu się, ale panna Maja musiała podbiec, aby ją złapać na raketę. Następne upadały nieporządnie za blisko lub za daleko. Krzyknęła wreszcie:

— Ależ pan nie ma pojęcia!

Odparł bez namysłu:

— Każdy tak robi, jak umie.

Zatrzymała się. — Szkoda, że pan nie umie lepiej — rzekła wzruszając ramionami. Posłał jej nową serię piłek które odsyłała pięknym wystudiowanym ruchem.

Przysiągł sobie, że nie odbije ani jednej piłki, lekceważenie jakie mu okazywała w gruncie rzeczy zadrasnęło mocno jego ambicję.

Panna Ochołowska zaczęła teraz ćwiczyć *backhand*, zwłaszcza wysokie piłki, które odbijała z głębokim skrętem tułowia obiema rękami odciągając raketę niemal za plecy. Uderzenia jej, bite w ostatnią linię były tak świetne, że Walczak jednak nie wytrzymał i gdy jedna z piłek nawinęła mu się na raketę, uderzył. Piłka przeszła o cal nad siatką. Partnerka zgięła się w kolanach, cofnęła raketę daleko w tył i odbiła błyskawicznym *crosssem*, na ukos kortu.

Rzucił się do piłki prawie jeszcze zanim została odbita i temu tylko zawdzięczał, że w ogóle ją dopadł.

Odbił.

— Co?! — zawołała już w biegu, pochylona.

Nastąpiła między nimi seria bardzo ostrych *crossów* z *backhandu* — rakiety zaczęły dźwięczeć rytmicznie i szybko. Panna Maja sama nie wiedziała, kiedy została wyrzucona z kortu długimi, morderczymi uderzeniami partnera. Jednocześnie Walczak podbiegł do siatki i kiedy chciała wyminąć go wysokim *lobem* nastąpił morderczy *smecz*, wobec którego była zupełnie bezradna.

— Gramy seta! — krzyknęła.

Walczak sam był zaskoczony swoim sukcesem. Zdawał sobie sprawę, że rozegrał tę piłkę wyjątkowo dobrze, ale chyba — o dziwo! — nie było między nimi większej różnicy w grze? Skupił się i przyjął prawidłowo ostry i plasowany jej serwis. Znowu zadźwięczały rakiety. Pierwsze piętnaście punktów były jego!

— Albo ona gra gorzej niż myślałem — przemknęło mu przez głowę — albo ja gram lepiej...

I nagle poczuł gdzieś w najgłębszej swojej istocie to jakieś mistyczne niemal porozumienie z naturą, tę pewność i nieomyślność, jaka czasem nawiedza gracza w sporcie lub przy kartach. Zrozumiał, że naprawdę jest w doskonałej formie. Zmrużył oczy i „zabił” jej serwis nieomyślnym

drajferem bitym w sam róg, rozstrzygając dla siebie pierwszego gema.

W następnym gemie panna Maja zaczęła grać ostrożniej — piłki krążyły długo nad siatką ze zmiennym szczęściem. Tymczasem na ławkach z boku kortu pojawili się goście pensjonatowi, zwabieni odgłosem gry.

Obecność widzów jeszcze bardziej ich podnieciła i partia niepostrzeżenie przeobraziła się w jedno z tych wyjątkowych, żywiołowych spotkań, upajających w równej mierze graczy i galerię. Po stronie Walczaka zapamiętaniu, zatraceniu się w grze towarzyszyła szalona radość odkrycia, ujawnienia talentu — już teraz nie miał wątpliwości, każde uderzenie potwierdzało tę prawdę, że jest lepszy od tej mistrzyni, że jest „klasa”, że jest na drodze do mistrzostwa! A do tego dołączało się jakieś zadowolenie, że to ją właśnie bije, jak chce”.

Nie wiadomo czemu poczuł okropną zawziętość przeciw partnerce — z zaciśniętymi zębami uderzał w piłkę, jakby w nią uderzał, natężonym wzrokiem chwycił, wszystkie jej ruchy, przewidywał jej poruszenia z czujnością zwierzęcą.

Ale i w panie Maji pojawiła się obok zdumienia taka zawziętość (granicząca ze złością), że sama była tym zaskoczona.

Walczyli w zupełnym milczeniu, a siedzące na ławce osoby, , acz niezdolne zrozumieć technicznych szczegółów gry, były jednak na tyle przejęte jej furią, że zaprzestały klaskać.

W ciszy decydującej rozgrywki słychać było wyraźne półgłosną uwagę jednej z przyglądających się pań.

— Jacy oni do siebie podobni!

— A rzeczywiście — odparła druga. — A toż to zdumiewające!

W tej chwili panna Ochołowska nie podbiegła do piłki. Zatrzymała się i zesza z placu.

— Dziękuję — powiedziała. — Dosyć.

— Jak to? — spytał zdumiony. — Nie kończymy seta?

Oboje dyszeli ciężko. Spojrzała na niego.

— Nie.

Była błada. Walczak także pobladł i musiał się opanować, żeby nie zakląć. Co jej się stało? Nic nie odpowiedział. Towarzystwo przyjęło ich okrzykami:

— Dlaczego państwo przerwali, przecież to było niesłychanie emocjonujące! — Pan świetnie gra! — zawołała pani Ochołowska. — Znam się trochę... Gdzie pan się uchowal? Kto pana uczył? Popelnia pan elementarne błędy, ale talent fenomenalny! Pan nie jest trenerem, ale graczem — panu samemu przydałby się trener!

— Fenomenalnie podbija pan! — zawołała jedna z pań, otyła blondyna z wylupiastymi oczyma. — Zwłaszcza te rzuty ukośne... Wyjątkowe!

— Niezrównane! — rzekła druga z pań, cienka, koścista. — Chociaż jak na mój gust trochę za mocno. Moja córeczka z koleżanką potrafią przetrzucać jedną piłkę o wiele dłużej. Naturalnie, to nie jest argument — pan gra wyśmienicie, a córeczka — zwróciła się do pani Ochołowskiej — anielsko, anielsko gra!

— Diabolicznie chyba! — odparła tłusta. — Co za temperament.

— No, no — rzekł radca Szymczyk — nie przesadzajmy. Nie należy przesadzać w pochwałach. Gdybyśmy wiedzieli, jak dalece pochwały przewracają w głowach, bylibyśmy bardziej oględni w udzielaniu ich. Atmosfera zdrowego krytycyzmu jest o wiele lepsza — dodał, przecierając binokle. — I nie trzeba przeceniać roli sportów!

— Prześlicznie grali! — rzekła z ekstatycznym westchnieniem zażywna dok torowa. — I w ogóle śliczna para! A jacy podobni do siebie — zdawałoby się, brat i siostra.

— Nie widzę żadnego podobieństwa — odpowiedziała chłodno pani Ochołowska.

— Zapewne, zapewne, droga pani, gdzieżby! Oczywiście! A jednak jest coś wspólnego, ten

sam temperament, ta sama zawziętość, zażartość — naturalnie to tylko powierzchowne wrażenie... ale niechże kochana pani nie bierze tego do słownie.

Pani Ochołowska westchnęła nieznacznie. Nadmierny krytycyzm i dydaktyzm radcy Szymczyka był niczym wobec trudności Jakie miała z tymi paniami. Chuda była kwaśna i chłodna, a gruba słodka i gorąca w swoich serdecznościach, obie jednak nie pomijały żadnej sposobności aby jej dokuczyć i powiedzieć jakąś impertynencję.

Obie były przeświadczone, że pani Ochołowska, obywatelka ziemska zmuszona koniecznościami materialnymi do prowadzenia pensjonatu, odczuwa to jako poníženie i z niechęcią odnosi się do swoich gości. Wobec tego (choć pani Ochołowska ani razu nie okazywała jakiegokolwiek niechęci, a nawet w głębi duszy była im szczerze wdzięczna za pobyt) na wszelki wypadek postanowiły przyjąć postawę obronną i dać do zrozumienia dziedziczce, że nie tak łatwo im zaimponować!

Dziedziczka na ogół przyjmowała ich sarkazmy z zupełnym spokojem, ale tym razem uwaga grubej doktorowej dotknęła ją do żywego. Było w tym coś z prawdy! Maja rzeczywiście była w jakiś sposób podobna do tego trenera i to podobieństwo zaniepokoiło matkę, gdyż nie polegało na podobieństwie rysów, ale na czymś innym, czymś nieuchwytnym... Matka, która tak drżała o córkę, wyczuwała coś niedobrego w tym podobieństwie, choć nie umiała zdać sobie sprawy skąd się bierze ta więź łącząca Maję z tym... no, z tym panem Walczakiem.

O, nie było w jej uczuciu żadnej dumy, matka Maji nie miała żadnych szlacheckich narowów, zbyt dobrze orientowała się w istocie wielkich przewrotów socjalnych, które równały powoli lecz nieubłaganie wszystkie klasy i kasty. Jeżeli więc tak ją to zaniepokoiło i nawet dotknęło, to nie ze względów niewczesnego snobizmu, ale z przyczyn natury moralnej.

Wydawało jej się, że to co ich łączy, to była jakaś wspólna cecha charakteru, pokrewieństwo natur... Coś nieuchwytnego, ale na pewno złego, nawet złowrogiego. Pani Ochołowska przesunęła ręką po czole — a może złudzenie?

— Chodźmy na obiad — rzekła.

— Ach, obiad, kochana pani! — wykrzyknęła wylewnie przelewając się tłu sta i wylupiasta doktorowa. — Wyobrażam sobie co za delikcje! Już to na wsi umie ją jeść — doprawdy je się od rana do wieczora!

Ileż to ludzi kona z głodu, gdy my zjadamy więcej niż możemy — rzekła kwaśno chuda, powstając z ławki.

— Reorganizacja jedzenia — rzekł radca. — Reorganizacja i normalizacja zarówno substancji wchłanianych Jak też substancji wydzielanych Jest z punktu widzenia gospodarczego koniecznością państwową, która zrealizowana być winna na drodze specjalnych norm. Każdy obywatel winien wchłaniać tylko tyle, ile potrzebuje aby wypełniać należycie obowiązki wobec państwa.

Powoli odeszli w stronę domu.

Walczak, który zaraz po ukończeniu gry przeszedł na drugą stronę placu, żeby się uspokoić, nie słyszał o czym mówili, czuł jednak ich wzrok na sobie. Ale teraz poczuł, że jeszcze ktoś mu się przygląda. Nie była to Maja.

Rozmawiała na boku z wysokim, barczystym i bardzo starannie ubranym mężczyzną w którym rozpoznał od razu pana towarzyszącego w przedziale księciu Holszańskiemu.

Widocznie przyjechał konno w odwiedzin, gdyż był w stroju do konnej jazdy i szpicrutą trzepał po cholewach. Ten to właśnie wygolony, rosły, wypielęgowany sekretarz księcia Holszańskiego i narzeczony Maji patrzył na niego. Rozmawiając z Mają nie spuszczał z niego oka, z nonszalancją osoby bardzo pewnej siebie i nie troszczącej się o innych. Walczak znał tę nonszalancję właściwą złotej młodzieży, która czasem nawiedzała klub i restaurację

Mieczkowskiego.

— Cóż on się we mnie tak wgapia? — pomyślał ze złością.

Wszystko w nim trzęsło się ze złości. Ta gra z Mają bardziej jeszcze rozzłościła go, niż oszołomiła. Najbardziej rozzłościło go to, że dziewczyna ani słowem nie' odezwała się do niego po zejściu z placu. Rozmawiała z narzeczonym obojętnie jak gdyby przed kwadransiem nie dobywała z siebie ostatka sił w walce.

Ale przy obiedzie (tym razem jadł ze wszystkimi w jadalnym na dole) obojętność panny Ochołowskiej przestała go drażnić. Przeciwnie, zaczęła go śmieszyć.

Musiała być wściekła o to, że ją pobił i wyraźnie górował nad nią w grze. Nie była to obojętność, lecz właśnie na odwrót — złość i upokorzenie, że on, zwykły trener, okazał się od niej lepszy.

— Przejmuję się! — pomyślał i to upoiło go do reszty, a zarazem spoufalilo go z nią.

Siedząc na szarym końcu stołu poczuł się naraz bliższy tej dziewczynie niż wszyscy inni — nawet od narzeczonego i nie wiadomo czemu ogarnęła go pewność, że choć na pozór nie zwraca na niego uwagi, w gruncie rzeczy cała jest nastawiona na to, co on robi.

Aby się przekonać spojrzął na nią przez stół — choć nie patrzyła w jego stronę momentalnie zrobiła się czerwona, jak piwonია.

Pochyliła głowę, ale w tej chwili narzeczony, pan Cholawicki, zaczął opowiadać jakąś anegdotę i wszyscy się roześmieli.

Lecz to wszystko było niejasne. Dlaczego się zaczerwieniła? Czy tylko z powodu przegranej?

A dlaczego patrzyła na niego w powozie?

A dlaczego przyglądał mu się Cholawicki?

A dlaczego wzrok pozostałych osób ukradkiem przenosił się z niej na niego i z niego na nią, jakby te osoby nie mogły się powstrzymać od tego? Coraz ktoś niby przypadkiem spojrzął na niego, a potem na nią, lub odwrotnie — i nawet pani Ochołowska...

Marian zaraz po obiedzie wyruszył do lasu i szedł prędko przed siebie zarośniętą ścieżką, pośród zagajników, oganiając się od ciężkich, dużych much, które przysiadły mu na gołych ramionach.

Szalona radość rozsadzała go. Nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o partii z Mają, przeżywał jeszcze raz wszystkie jej momenty, a w głowie dźwięczały mu struny rakiet.

Czy to było możliwe, że miał talent? Dlaczego nikt mu tego aż dotąd nie mówił? Co prawda w klubie grał niedbale i nigdy nie mógł pokazać, co umie — ani sobie, ani innym. A przecież miał zawsze przecucie, że jest kimś lepszym od nich i dlatego był niezadowolony? Dlatego czuł, że się marnuje! Dlatego chciał się wyrwać w świat. Ach, trzeba za wszelką cenę jechać do Warszawy, niech go obejrzą, ocenią jego możliwości .podciągną — a potem będzie jeździł po świecie, jak Tłoczyński! Zrobiło mu się gorąco i aż przystanął z nagłego szczęścia.

I znowu rozgorączkowana wyobraźnia nasunęła mu kilka wspaniałych piłek, które odbił z beznadziejnych prawie pozycji. Nie, stanowczo gra lepiej od niej! O klasę lepiej! Co ona znaczy wobec niego! Postanowił wieczorem rozmówić się z nią i prosić, aby mu dopomogła w nawiązaniu stosunków z graczami w Warszawie. Chyba nie będzie długo zazdrosna o jego grę, przecież jest kobietą, nie może być między nimi konkurencji.

I nagle znalazł się nad rzeką, która sennie toczyła wody przez las. Rozebrał się i zanurzył w ciepłym, leniwym nurcie. Popłynął kawałek — i wylądował na małej ławicy piaskowej, gdzie słońce przygrzewało silnie. Napadło go ogromne osłabienie. Zasnął...

Kiedy się obudził, słońce już miało się ku zachodowi. Woda rzeki stała się zielonawa, fiołkowa ze srebrnymi blaskami, las pachniał — Walczak przepłynął na brzeg i wdział ubranie. Zawrócił w stronę dworu, ale myśl o karierze, o wyjazdach, podróżach, triumfach nie

odstępowała go na krok, szła z nim razem przez ten las rzadki, wysokopienny.

Porwał go szalony głód użycia. Wreszcie zaczął biec, żeby się wyładować, pędził przed siebie, jakby uciekając przed sobą...

Biegł tak ze dwa kilometry póki z wyczerpania nie ustał u stóp dużego dębu.

Wtulił twarz w wilgotne mchy. Wtem usłyszał głos z góry.

— Czy jest tam kto?

Chłopak, w zdumieniu, zadarł głowę. Na dębie, gdzieś bardzo wysoko, między gałęziami, widać było kształt ludzki. Głos ozwał się ponownie.

— Ratunku!

— Co tam?! — zawołał.

— Proszę mi pomóc zejść. Nie mogę zejść, dostałem zawrotu głowy. Walczak z łatwością wspiął się na drzewo i dotarłszy do połowy, odkrył... profesora, który siedząc okrakiem nieomal u szczytu, trzymał się kurczowo pnia.

Widok był tak groteskowy, że parsknął śmiechem.

— Już idę! — krzyknął.

— Prędeż, bo spadnę! Proszę mnie ratować!

Ale nie było to łatwe. Gałęzie były u szczytu tak cienkie, że pod ciężarem dwóch ludzi mogły się załamać. Wątki pień chwiał się niepokojąco — a do tego profesor uczeplił się Walczaka obiema rękami, wpił mu paznokcie — ciało jego drżało. Chłopiec zaczął spuszczać go na dół, z gałęzi na gałąź, nie troszcząc się o ślady tej operacji na ubraniu delikwenta, który jęczał tylko:

— Aaa!

Upadłszy na mchy, przez parę minut nie mógł przyjść do siebie, aż wreszcie zawołał:

— Gdzie moja lorneta?

— Tu jest — odparł, zachodząc w głowę co mógł robić staruszek na drzewie z lornetą?

— Młodzieńcze — rzekł uroczyście profesor. — Gdyby nie pan, byłbym spadł, bo nie mogę znieść wysokości.

— To po cóż pan wyłaził? — zapytał z głupia frant Walczak. — Zamek pan chciał obejrzeć? — domyślił się nagle.

Idąc za wzrokiem profesora, ujrzał poczynające się za lasem bagna, a dalej w odległości paru kilometrów spiętrzoną masę murów i dwie narożne wieże, nad którymi górował główny korpus zamkowy o spadzistym dachu. Mniej więcej ze środka zabudowań wystrzelała ta największa wieża, czworoboczna, którą już poprzednio widział, gdy jechali ze stacji. Tu i ówdzie rysowały się czarne otwory wąskich okien, wyszczerbione, surowe mury tchnęły wyniosłą, martwą samotnością. Zamek z bliska wyglądał potężniej jeszcze i jakoś' bardziej fantastycznie... — Hm... między innymi... — powiedział profesor ostrożnie. — Miedzy innymi chciałem obejrzeć zamek. A pan skąd się wziął tutaj?

— Ja byłem w lesie i zabłądziłem. Profesor przyglądał mu się badawczo.

— Pan tu jest obcy — rzekł, jakby zastanawiając się nad czymś. Walczaka śmieszyła jego zmarszczona czerstwa twarzyczka, w wiecznym ruchu.

— Młodzieńcze — rzekł wreszcie uczoney — przede wszystkim wiedz, że znam się na ludziach i dość mi spojrzeć na ciebie, żeby wiedzieć, z kim mam do czynienia. Charakter człowieka jest wypisany na jego konstytucji cielesnej — oczy wiście, jeśli ktoś' umie czytać. Jesteś typem o wiele bardziej niebezpiecznym, niż się na pozór wydaje, a wiesz skąd wyprowadzam takie wnioski? O, tutaj — dotknął palcami jego twarzy — połączenie tych kości policzkowych z wykrojem ust, kombinacja nosa i oczu. Uważaj, bo jeśli nie zdołasz opanować swoich namiętności, dostaniesz się na manowce, z których, hm... Nie o to idzie. Zdaje mi się, że masz naturę gwałtowną, ale prawą. No, więc jestem gotów przypuścić cię do pewnej tajemnicy,

pod warunkiem oczywiście, że nie piśniesz nikomu ani słówka. Chciałbym dostać się do zamku i jeśli mi to ułatwisz, wynagrodzę cię.

— A to do zamku nie można wejść?

— Właśnie, że nie! O to idzie, że nie! — krzyknął z pasją. — Stary książę jest wariat, jego ojciec też był wariat, a jego dziadek też był wariat. Od stu lat nikt nie może dostać się do tego zamku, tym bardziej, że... że sekretarze niechętnie odnoszą się do ludzi, którzy... Chciałem tam wejść normalnie przez bramę, ale zamknięta na cztery spusty, a przez otwór wyjrzał do mnie stary sługus zupełny sklerotyk i wybełkotał, że książę zakazał wpuszczać. W całym tym gmachu mieszka tylko trzech ludzi — książę, sekretarz i ten sługus, nikogo więcej. Reszta służby nie ma wstępu do środka i gnieździ się w tych szpetnych chałupinach, tam na lewo. Nikogo nie wpuszczają, a ja muszę się dostać — muszę, choćby mnie mieli zaszczyć psami.

— Po co to panu? — Walczak z zainteresowaniem przypatrywał się furii staruszka. Ten skrzywił się i spojrzał na niego z pogardą.

— Co tu dużo gadać! Pan byś tego nie zrozumiał, choćbym tłumaczył sto lat! Młodzieńcze, jeśli mnie nie mylą moje przeczucia, moje podejrzenia, wnioski i poszlaki, na jakie wpadłem przy pewnych badaniach, to ten zamek w środku jest bezcennym skarbem, jedynym na całą Polskę, kopalnią, uważasz, kopalnią cudów! To jest wyjątek! Unikat! Rewelacja!...

Zasapał się...

— Uważasz pan, na zewnątrz te mury mają charakter czysto obronny. Ten zamek nie był stawiany od parady, więc od zewnątrz to jest starożytna twierdza, surowa, wojenna... I ja sam myślałem całe życie, że zamek w Mysłoczy nie wyróżnia się niczym specjalnym, prócz starości — bo trzeba wiedzieć, że to skrzydło północne ma blisko sześćset lat. Tymczasem pewnego razu w jednej bibliotece rzymskiej wpadłem na korespondencje z Polski nuncjusza Almariego z XVII wieku. Okazało się, że nuncjusz zwiedzał Polskę i między innymi bawił w gości nie u księcia Holszańskiego z Mysłoczy. Otóż Almari pisząc o zamku, nadmienia o wspaniałych malaturach, jakie tam widział. To mnie zastanowiło, ale byłbym przegapił całą sprawę, bo pomyślałem, że Włoch, panie święty, pochlebia się ma gnatowi — gdy w aktach rodziny Radziwiłłów, blisko spokrewnionych z Holszańskimi, znalazłem również przypadkiem dokument, datowany z Mysłoczy, z wieku XVII, zatytułowany „Rejestr sum wypłaconych” i czytam .panie święty, takie pozycje. Malarzowi za odświeżenie dwóch plafonów starożytnych przez Dolabellę malowanych... Poprawienie i ozdobienie dwóch obrazów Jordaensa... z których jeden wyobraża Adoracje, a drugi Ceres. Kiedym to przeczytał, mówię ci, aż mnie zatknęło... No, nie będę ci tłumaczył, bo i tak nie zrozumiesz! Jeszcze ci powiem tylko, że krzesła Gabrieli d’Estrelles, słynne krzesła, które dostała od kochanka swego, króla francuskiego Henryka IV, także figurowały w tym inwentarzu. A poza tym szafy Hugues Sambin’a! Uważasz! A tam było wymienione tylko to, co zostało poddane remontowi. Więc ileż jeszcze innych antyków kryją te mury! Co tam jest w środku! Jakie cuda! Jakie arcytwory pędzla i dłuta.

Profesor, który przed chwilą Walczakowi wyrzucał namiętność, teraz sam stał się pastwą namiętności. Był bliski płaczu. Namiętność starcza i namiętność młodzieńcza zajrzały sobie w oczy, niezdolne się zrozumieć, każda żyjąca sobą, roztargnione...

— O! — zawołał profesor. — Muszę to zobaczyć, muszę tego dotknąć, muszę się przekonać, co tam może być w środku. Przecież to wszystko się marnuje, psuje z każdą minutą... Trzeba ratować!

— Ile też może być wart taki obraz? — zapytał Walczak.

— Śmieszne pytanie! — huknął. — Takich rzeczy nie ocenia się na pieniądze. Ale ci powiem. Jeden taki obrazek może być wart nawet milion!

— I to nikt nie wie, że tam się znajduje tyle kosztowności?

— Otóż to mnie zdumiewa! Jakim sposobem w Polsce zachowała się taka oaza, rezerwat przez nikogo nie odkryty. Ale zrozumiałem, kiedy się dowiedział, że od stu pięćdziesięciu lat żadna istota cywilizowana nie była wpuszczana za bramę zamku; bo ostatnie trzy pokolenia tej rodziny to byli pijacy, karciarze, kobieciarze, ludzie nie mający pojęcia o tym, co posiadają, niezdolni odróżnić renesansu od gotyku. A dawniej któryż z tych panów miał najlżejsze chociażby wyobrażenie o sztuce? Arcydzieła przechodziły z ojca na syna, i tak się do nich przyzwyczaili, że w końcu przestali zwracać na nie uwagę. A zawsze znajdują się sekretarze — którzy nie bez powodu ludziom kompetentnym odmówią prawa wstępu pod pozorem, że... księżę stanowczo zabronił!

Ściszył głos i zaczął mrugać na Walczaka, a po chwili wykrzyknął:

— Gdzie moja lorneta?

— To zdaje się ten pan Cholawicki jest sekretarzem księcia — rzekł Walczak, ślizgając się wzrokiem po majestatycznej rezydencji.

Już zaczynały wstawać u podnóża zamku białawe opary, wskutek czego mury wydały się wyższe. W dali niebo barwiło się ostatnimi promieniami słońca, a dołem zbliżała się gęsta ciemność.

Chłopak westchnął i nie wiadomo czemu znowu przywalało go uczucie smutku.

— Pan Cholawicki, sekretarz, kuzyn, administrator, pełnomocnik, powiernik, domownik i zarządca dóbr! — wyrecytował z przekąsem profesor. — Typowy okaz wykwintnego ordynusa! Ordynus w skórze eleganta! Brutalny gładysz! Ha, a może tam nic nie ma, może wszystkie moje przypuszczenia są fałszywe — prze raził się i wytrzeszczył oczy na zamek, który oddalał się, urastał i roztopiał na po witanie nadchodzącej nocy.

Psy odezwały się z zabudowań, położonych na stoku wzgórza zamkowego. A powietrze nad rozlewiskami stawało się coraz gęstsze, cięższe, przesycone mgłą, lada moment gotowe zbić się w białawy tuman.

Przeraźliwa pustka okolicy, malaryczny, niezdrowy klimat, smutek i opuszczenie zarosłych trzcinami błot, gdzieniegdzie przerzniętych groblą — potęgowały jeszcze nastrój tragizmu i mistycznej tajemniczości starożytnego gniazda, siedziby kończącego się rodu dziwaków, wraz z zamkiem powoli staczającego się w ruinę i śmierć.

Walczak bał się coraz bardziej, nie wiadomo duchów, czy ciemności, czy jeszcze czegoś innego, co zniemacka mogło podleżeć mu pod nogi, lub wyskoczyć z mroku i z gąszczu. Miał on tę właściwość, że z radości nagle przechodził w żal, a wtedy smutek i lęk brały go w posiadanie niepodzielnie. A profesor tymczasem nie odrywał wzroku od ciemniejącej budowli, jakby usiłując przebić opancerzenie murów.

Nagle światło błysnęło w jednym z podługowatych okienek narożnej baszty. Rzecz dziwna, to jedno jedyne wątle, samotne światło przy całym ogromie budowli pogłębiło jeszcze wrażenie pustki — chłopca przebiegł dreszcz na myśl, że na sto kilkadziesiąt pokojów wypada tylko trzech ludzi, księżę, sekretarz i kamerdyner, trzech ludzi snujących się po pustych, ciemnych, wilgotnych komnatach, pośród bogactw rozsypujących się w proch...

— W tym oknie zawsze się świeci — rzekł profesor. — To musi być pokój księcia. No, chodźmy, i tak spóźnimy się na kolację. Stąd do dworu jest blisko cztery kilometry. Teraz rozumiesz pan — gestykulował, potykając się o kamienie — do czego potrzebna mi pańska pomoc. Na pewno jest jakieś inne wejście, nie tylko przez bramę; mam takie wrażenie, że od strony zachodniej mury są mocno nadwątlone a miejscami w ruinie. Ale cała trudność w tym, że nie można podejść zbyt blisko, bo zobaczono by z okien. Nie chcę wzbudzać podejrzeń. Dlatego, młodzieńcze musisz mi pomóc, za co zresztą zostaniesz wynagrodzony. Trzeba, abyś podszedł do zamku nocą pod osłoną tych mgieł i spenetrował dobrze, któredy można się dostać. Następnej

nocy pójdziemy razem i Jeżeli się uda, dokonam dyskretnej inspekcji tej rupieciarni. Przynajmniej będę wiedział, czy warto czynić dalsze zabiegi.

— A jeżeli nas złapią?

— Tfy! — rzekł staruszek. — Tchórz cię oblatuje?

Chłopak z ukosa przyjrzał się profesorowi, który dzielnie dreptał obok niego.

Ale nie brał jego propozycji zbyt poważnie. Nie miało sensu dla niego wdawać się w podobną kombinację — przecież gdyby go złapali, skompromitowałby się na amen i przepadłyby jego plany tenisowe.

Jeżeli nie odmówił od razu to tylko dlatego, że czuł do profesora jakąś sympatię, a poza tym jego awanturniczą wyobraźnię podnieciły te opowiadania. Ba! gdyby nie tenis...

— Muszę jeszcze dziś wieczór pomówić z tą Mają — pomyślał. — Niech się dowiem, co ona myśli o mojej grze.

— Jeszcze pogadamy — powiedział do profesora, gdy kończyli zostawioną dla nich kolację.

Część towarzystwa grała w bridża w małym saloniku. Dochodził stamtąd głos chudej urzędniczki, która przeplatała licytację, kwaśnymi uwagami na temat niewłaściwości podobnych zabaw, gdy może akurat w tej chwili ktoś nieuleczalnie chory kona w okropnych męczarniach Ud.

— To po cóż pani gra? — zapytał w końcu zdenerwowany radca Szymczyk.

— O, przepraszam! Czy ja jedna mam być pozbawiona wszelkich przyjemności? — rzekła i zaliczyła cierpko szlemika.

Maja stała przy oknie z narzeczonym, który coś jej tłumaczył szeptem — wyglądało, jakby się kłócili.

Na jej widok niecierpliwość Walczaka wzrosła, chciał z nią mówić zaraz, natychmiast, choć może lepiej byłoby poczekać do jutra — a nuż nie przeszły jej jeszcze te humory, które mu okazywała rano?

Twarz dziewczyny nie wróżyła nic dobrego, miała wyraz wzdargy i lekceważenia.

Ale musiał z nią mówić! Musiał zaraz, koniecznie, wiedzieć jakie są jego szanse, co należy zrobić?

Nagle panna Ochołowska odeszła od Cholawickiego, przerywając w pół zdania jego wywody i pożegnawszy się z towarzystwem, opuściła salon. Szła prędko.

Walczak dogonił ją na górze, w małej sionce, gdy otwierała drzwi do swojego pokoju.

— Proszę pani! — zawołał.

— A co? — spytała swoim cichym głosem. — Czym można panu służyć? Ton jej był złośliwy, nieprzyjemny. Naraz stracił całą pewność siebie.

— Proszę pani — wyjąkał — ja bym prosił o jedną rzecz... Chciałbym pomówić... Mam prośbę...

— Czy to koniecznie teraz? — zapytała, spoglądając na zegarek.

— Dobrze zresztą — otworzyła drzwi. — No, niech pan mówi — rzuciła niecierpliwie. — Już późno.

— Ja bym chciał pojechać do Warszawy i pokazać moją grę! Może by się kto zainteresował. Pani tam zna wszystkich w zarządzie, może by pani mnie dała list polecający, albo co... Pani dziedziczka mówiła mi, że ja mam talent.

Czuł, że okropnie głupio mówi.

Panna Maja z ręką na klamce nie spuszczała z niego oka.

— A jakby pan miał talent, to co?

— Jak to co?

Zająknął się.

— Wtenczas byłoby zupełnie inaczej.

— Pewnie — rzekła. — Zupełnie inaczej.

— Pewnie...

— Teraz pan jest marnym trenerem, a mógłby pan zostać sławnym graczem! Wszystko by się przed panem otworzyło. Świat... Sława... Pieniądze... Kobiety... Podróże... Przyjemności...

Powiedziała to tak łapczywie, z takim zrozumieniem i tak jakoś poufale, że Walczakowi stała się nagle zupełnie bliska. Spojrzeli sobie w oczy.

Roześmiała się cicho, nerwowo. On także roześmiał się, strapiiony, ale i podniecony.

— Jak ona знаła jego pragnienia!

I naraz zbladła, złość pojawiła się na jej twarzy.

— Dlaczego pan się śmieje?! Osłupiał.

— Pani też się śmieje! — wyjąkał nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Mnie wolno, a panu... a panu... Pan sobie za dużo wyobraża. Też! Talent! Pan gra zaledwie troszkę lepiej niż przeciętnie i niech pan to sobie wybije z głowy! Mnie się nie chciało dziś grać!

Nie oglądając się zbiegła na dół.

Został na miejscu jak spiorunowany. Nie wierzył ani jednemu jej słowu.

Ale jak ona do niego mówiła!

Gdyby mógł pobiłby ją, za tę jej złośliwość i pogardę! Traktowała go, jak... chama! Co by jej zrobić, co by jej zrobić takiego, żeby pamiętała... Nic jej nie mógł zrobić!

Wtem przez uchylone drzwi dojrzał w pokoju szafę i przypomniało mu się, co czytał w liście — że tam były pieniądze, tysiąc kilkaset złotych.

Dobrze!

Jeżeli ona kpi ze mnie, to ja jej świsnę tę forszę. Grać nie umiem, ale okraść potrafię!

. Rozejrzał się naokoło. Z sionki wiodły do pokoiów gościnnych oszklone drzwi — nigdzie nie było światła, zatem nikogo nie ma. Wszyscy są na dole.

Wszedł do pokoju panny Ochołowskiej.

Sprawiło mu przyjemność, że bez pozwolenia wchodzi do jej pokoju, to go równało z nią... Przede wszystkim sprawdził, czy jest stąd inne wyjście. Drugie drzwi prowadziły do jednego z pokoiów gościnnych.

Gdyby ktoś nadszedł, mógł przez tamten pokój znaleźć się z powrotem w sionce.

Zawahał się.

Nigdy dotąd nie wziął nikomu ani grosza.

Ale jej weźmie! Ją okradnie!

To jedno mógł jej zrobić!

To jej zrobi!

Zbliżył się na palcach do masywnego mebla pod ścianą i otworzył: w głębi były na wieszakach suknie Maji, wypełniające mniej więcej połowę szafy.

Pieniądze musiały znajdować się w jednej z dwu szuflad u dołu — ale w której? Obie były zamknięte.

Wtem posłyszał głosy na schodach. Pobiegł do przyległego pokoju, ażeby przedostać się do sionki, ale tu spotkała go katastrofa: drzwi do sionki były zamknięte na klucz z tamtej strony!

Błyskawicznie rzucił się z powrotem do pokoju Maji i znalazł akurat tyle czasu, żeby schować się do szafy. Zaszył się między suknie i zamknął szczelnie drzwi.

Maja i Cholawicki weszli do pokoju. Walczak słyszał każde ich słowo, a nawet mógł widzieć ich przez szparę.

Kłócili się...

— Może zostawisz mnie samą — mówiła dziewczyna, cicho, jak zawsze, ale głosem do głębi rozdrażnionym. Jestem zmęczona. Skończmy już z tym.

— Nie odejdę, póki mi tego nie wyjaśnisz!

— Nie mam nic do wyjaśnienia! Jesteś śmieszny.

— Wiem, że jestem śmieszny — syknął. — To nonsens, żebym ja musiał robić ci scenę o tego chłopaka! Pomyśleć tylko: ja, ty i trener, pan Walczak! Co za tercet! Ale to się rzuca w oczy! Myślisz, że nie widziałem, jak się zaczerwieniłaś przy stole? Na korcie zachowałaś się, jak wariatka. Dlaczego przerwałaś grę? Czy myślisz, że nie widzę, jak go obserwujesz? A teraz rozmawiałaś z nim na górze i wróciłaś roztrzęsiona! Co to znaczy?

— Zastanów się, co mówisz. Ublizaszaś mi! W ogóle to świństwo, że nie masz do mnie zaufania. A już zazdrość o...

Urwała. — Powinieneś mieć więcej szacunku.

— Ja? Dla ciebie? Szacunek? Tobie się zdaje, że ja nie wiem, dlaczego zaręczyłaś się ze mną? Ty sobie wykalkulowałaś, że warto przez parę lat być żoną Cholawickiego, bo Cholawicki lada dzień może zrobić majątek — a ty nie wyobrażasz sobie życia w biedzie. A przy tym jestem dość elegancki i dosyć przystojny, z dobrym nazwiskiem — w sam raz na męża dla pięknej kobietki, która... ma swoje apetyty... i chce błyszczeć. I ja cię mam szanować, jeśli wiem, że wychodzisz za" mnie z wyrachowania dla majątku...

— A ty myślisz może, że ja nie wiem Jakimi drogami chcesz dojść do majątku? Na chwilę zamilkł.

— Więc wiesz, a mimo to zaręczyłaś się ze mną?!

W głosie jego pojawiła się wściekłość.

— A ty wiesz, że ja wiem i mimo to zaręczyłeś się ze mną?

Znowu zamilkli.

— Już ja wiem, jaka jesteś!

— Jaka? Jaka ja jestem?! Jeżeli mnie nie szanujesz, to po co się żenisz?

— Powiedzieć ci, jaka jesteś? Ty jesteś!... ty jesteś niby to wykwinna, a w gruncie rzeczy ordynarna, jak osoba z półświatka! Ordynarna! Obrażasz się, że jestem zazdrosny o tego chłopaka... Z tobą można być zazdrosnym o każdego. Ty sama wiesz, dlaczego ja jestem zazdrosny! Ty wiesz, że gdybyś nie była do niego tak podobna, to mnie by przez myśl nie przeszło...

— Ja? Podobna? Do niego?

— Nie kłam, bo sama zdajesz sobie sprawę! Dlatego mu się tak przyglądasz! Przecież wy jesteście jak z jednej gliny ulepieni — wszyscy to zauważyli. Przecież on ma twój uśmiech, twoje spojrzenie, twoje ruchy, to jest aż skandaliczne! Ten... ten Walczak! Każdy to widzi! Ty sama o tym najlepiej wiesz i jesteś wściekła!

— Wyjdź!

— Dobrze, wyjdę!

Panna Maja została sama. Oparła się plecami o ścianę, patrzyła przed siebie... Jej śliczna twarzyczka zastygła w jakimś trudnym do odcyfrowania wyrazie. Oddychała.

A więc tak było naprawdę!

A więc on także odkrył jej dzikie, nieprawdopodobne, idiotyczne podobieństwo do Walczaka.

To było niesłychane! Już w powozie kiedy jechali ze stacji zauważyła w nim coś tak pokrewnego sobie, że to ją aż przestraszyło... A potem na placu, kiedy walczyli ze sobą oboje z tą samą zawziętością...

I przeraziło ją, że dla innych ludzi również to było jawne. Ona, Maja Ochołowska, podobna w sposób rzucający się w oczy do trenera!

Znała doskonale najdrobniejsze szczegóły swej powierzchowności. Wiedziała, że to podobieństwo nie wynikało ze wspólności rysów. Inne mieli usta, oczy, włosy, inny koloryt.

Była to wspólność głębsza, w typie fizycznym, w samym wyrazie twarzy, w spojrzeniu, w śmiechu i jeszcze w czymś głębszymi bardziej nieuchwytnym.

Nie wiadomo na czym to polegało, a przecież zdawała sobie sprawę, że wszyscy ich łączą, że wzrok gości pensjonatowych nieustannie przenosi się z niej na niego i z niego na nią, szukając przyczyn tego podobieństwa...

Ach, to było nie do zniesienia. Maja nie miała przesądów, zniosłaby łatwo fakt przypadkowej zbieżności w wyglądzie... Ale taka wspólność z chłopakiem, który nic ją nie obchodził, który był dla niej niczym, wspólność z trenerem — to było śmieszne!

To ośmieszało ją! To narażało ją na głupie sceny, zmuszało do idiotycznych rumieńców, uzależniało ją od niego wbrew jej woli!

To nonsens! — żeby takie złudzenie optyczne mogło do tego stopnia narzucić się ludziom i jej samej!

Stała przed lustrem. Znowu krew uderzyła jej na policzki. Najbardziej męczyło ją to, że się tak wstydzi! Ona, która nie czerwieniła się nigdy, teraz ciągle zdradzała się rumieńcem.

— Czyż gdybym nie była podobna, śmiałyby mi powiedzieć, że jestem ordynarna! — wyszeptwała.

Cholawicki ugodził w jej słabą stronę. Wiedział, że jej typ urody jest bardzo wykwinntny, miała drobne ręce i nogi, była zakochana w swojej elegancji i to było może główną przyczyną, dla której musiała wyjść za Cholawickiego — on jeden mógł ją ubrać odpowiednio.

Nigdy nie umiała dość się nacieszyć zręcznością i wytwornością swoich ruchów! A tu tymczasem wszystko to było podobne — i do kogo?!

Ten Walczak ją ośmieszał! Kompromitował ją! Urodę jej czynił śmieszną i trywialną! Z przerażeniem patrzyła w lustro.

Wtem ściągnęła brwi. Doszedł ją odgłos kroków narzeczonego na schodach! Wracał!

Podbiegła do drzwi, żeby się zamknąć na klucz. Za żadną cenę nie chciała z nim się widzieć, był jej wstrętny!

Ale przypomniawszy sobie, że klucza od dawna nie ma w zamku, cofnęła się gwałtownie.

I wtedy stało się z nią dosłownie to samo, co przed pół godziną stało się z Walczakiem. Rozejrzała się panicznie, szukając schronienia, uczyniła parę kroków w kierunku sąsiedniego pokoju, cofnęła się w ostatniej chwili, gwałtownie otworzyła szafę i zanim Walczak zdołał począć cokolwiek, Maja znalazła się w szafie tuż przy nim i zatrzasnęła drzwiczki.

Jednocześnie Cholawicki po bezskutecznym parokrotnym stukaniu wszedł do pokoju.

— Maja! — zawołał. Odpowiedziało milczenie.

Przekonany, że wyszła na chwilę i zaraz wróci, usiadł na krześle i niecierpliwie zaczął bębnić palcami po stole. Musiał koniecznie z nią się rozmówić jeszcze przed swoim powrotem do zamku, dojść do ładu z tą dziewczyną, która tym bardziej mu się podobała, im większych przyczyniała kłopotów.

Postanowił czekać.

Maja dopiero po jakiejś minucie zdołała przyjąć do wiadomości to niesłychane, nieprawdopodobne wrażenie, że nie jest sama w szafie. Było tu zupełnie ciemno.

Stała tak blisko Walczaka, że dotykała wierzchem dłoni jego ręki. Odruchowo sięgnęła i dotknęła czyichś palców.

Kto to był?!

Odchyliła się w drugą stronę, skurczyła się cała. Nie była pewna, czy nie oszalała. Oboje zamarli w bezruchu, zatrzymali oddech.

Walczak był przekonany, że zaraz zacznie krzyczeć, a wtedy Cholawicki dopadnie szafy i zrobi się skandal na cały dom.

Ale panna Ochołowska tak bardzo bała się śmieszności, że to ją otrzeźwiło. Teraz ona lękała się przede wszystkim, żeby ów tajemniczy gość nie zaczął krzyczeć i nie wyskoczył z szafy — ze strachu przed nią. Kto to mógł być?

Złodziej?

A może nikogo nie było. Może jej się zdawało?

Bała się dotknąć go powtórnie. Ale czuła ciepło i nieomal usłyszała gwałtowne bicie serca, tuż obok. Zresztą jej własne serce biło tak mocno, iż zdawało się że rozsadzi szafę. I znowu zaczęła gorączkowo myśleć — kto by to mógł być. Ciemność panowała absolutna.

Przypomniała sobie o pieniądzach w szufladzie. Ach tak! Więc złodziej!

Cholawicki wziął jakąś gazetę ze stolika i przeglądał. Potem, widząc, że nieobecność Maji się przedłużyła i parokrotnie spojrzawszy na zegarek postanowił napisać do niej list. Wyciągnął z kieszeni wieczne pióro i pisał nerwowo, zaciągając się mocno papierosem.

Droga Majo!

Nie biorą pod uwagę Twych ostatnich słów. Kładą je na karb rozdrażnienia, wywołanego moimi uwagami. Przyznają zresztą, że i ja się uniosłem. Być może nawet moje podejrzenia były niesłuszne i krzywdzące. Jeżeli tak, to przepraszam. Jestem ostatnio bardzo zdenerwowany.

Widzę, że zupełnie nie doceniasz trudności obecnej mojej sytuacji — pisał dalej. Gdyby śmiała więcej zrozumienia dla mnie, nie wyczerpywałabyś mojej odporności podobnie niedorzecznymi scenami. (Co prawda to ja jej zrobiłem scenę — przyszło mu na myśl — ale wszystko jedno.) Powinnabyś we własnym interesie zrozumieć, że teraz, gdy sytuacja — wiesz jaka — dojrzeła już do rozwiązania i będzie wymagała całego mojego wysiłku, nie mogą być pochłonięte nieporozumieniem z Tobą, bo to się może odbić na interesach! Zapewne jest błędem z mojej strony, że przywiązuję nadmierne znaczenie do Twoich wybryków, ale skoro już mam tę słabość, powinnaś ją uszanować! Zapewniam, że ja pracuję takie dla Twojej przyszłości.

Oczywiście ani na chwilę nie wierzą, byś mogła mnie porzucić. Zanadto Ci zalety na mnie i zanadto nadajemy się do siebie. Stosunek Twój do mnie jest całkowicie egoistyczny ale potrzebujesz mnie i ja potrzebuję Ciebie — i nawet wolą, że nasz stosunek oparty jest na wzajemnym zapotrzebowaniu a nie na sentymentach. To jest solidna baza. Ale nie o to idzie. Pomimo iż wiem, że żałujesz swego postępkę, obawiam się, abym nie był zmuszony za dużo myśleć o nim jutro i dni następnych,

Wiesz o tym, że nie mogą teraz wydalać się z zamku. Książka robi się coraz trudniejszy w miarę ubytku sił, a ta jazda do Warszawy do reszty go wykończyła. Muszą być ciągle przy nim. Nie będę mógł przyjechać do Połyki w najbliższym czasie. Otóż nie chcą — i mam prawo do tego! — nie chcą się denerwować tym nieporozumieniem między nami. Mam inne kłopoty na głowie. Proszę Cię więc koniecznie (to było podkreślone) przyjdź do mnie jutro na zamek. Rzecz jasna nie przez główną bramę, ale podziemnym przejściem. Będę czekał punkt o 9-tej. To jest trochę nieprzyjemne...

Zatrzymał się, rozmyślając, iż lepiej byłoby nie narażać dziewczyny na wędrówkę przez ten ciemny korytarz. Trudno! Znowu nachylił się nad papierem.

A tymczasem Maja, która zastygła nieruchomo w szafie zyskiwała po ciemku coraz większą pewność, że to Walczak.

Staliprzy sobie tak blisko, iż musiała całym wysiłkiem mięśni kurczyć się i kulić, aby nie dopuścić do zetknięcia się z obcym, nieznanym ciałem.

A jednocześnie myśl pracowała bez przerwy, gorączkowo — czy to on, czy nie, Leszczuk*¹, czy nie Leszczuk... Jeżeli on... to co? To co? Przecież to okropne, co robić?...

Tymczasem Cholawicki pisał:

To jest trochę nieprzyjemne, ale przynajmniej nikt Cię nie zobaczy ani z tej strony, ani z tamtej i nie będzie plotek.

Proszę Cię przyjdź koniecznie, bo jeśli zaryzykowałem do Ciebie list, a Ty nie przyjdiesz, będę myślał, że naprawdę obraziłaś się i zerwałaś ze mną i gotów byłbym jeszcze bardziej się zirytować. Jeżeli byś śmiała nie przyjść napisz do mnie — ale to też jest niedobrze, gdyż księżkę zaraz będzie się dowiadywał i niepokoił. Widzisz jakie mam piekło z tym człowiekiem, więc niech Cię nie dziwi, że czasem nerwy moje nie wytrzymują. Oczekuję!...

H.

Powstał i sięgnął po kopertę. A jednocześnie Maja przytuliła się do Leszczuka, chociaż nie była pewna, czy to on, przytuliła się lekko, ale w zupełnym zapamiętaniu i zatraceniu.

Tak mało potrzebowała, aby się przytulić — wystarczyło odrobinę pofolgować mięśniom. I jakież było jej szczęście, gdy szorstka dłoń objęła w ciemnościach jej rękę.

Odwzajemniła mu uścisk z szaloną, skrytą radością.

Cholawicki zapieczętował list, zaadresował i znowu usiadł, bębniąc palcami o stół. Gdzież ona może być? Czy jeszcze czekać? Przesiedział z pięć minut, po czym wyszedł.

Gdy kroki jego ucichły, Maja wyskoczyła z szafy i nie oglądając się wybiegła z pokoju, a Leszczuk także uciekł, jak mógł najprędzej i zamknął się u siebie, na poddaszu

¹* Wobec tego, że jak się okazało, istnieje w rzeczywistości trener tenisowy p. Walczak, zmienimy za zgodą autora nazwisko to na Leszczuk. Zaiste, dziwny zbieg okoliczności!

ROZDZIAŁ III

Schodząc nazajutrz rano na śniadanie, nie wiedział co go spotka. Czy każą mu natychmiast zabierać się do domu? Czy jeszcze gorzej? Był przygotowany na wszystko.

Atoli nie spełniły się te przewidywania. Pani Ochołowska powitała go przyjaznym skinieniem, a po śniadaniu ukazała się Maja z raketami.

— Gramy! — rzekła.

— Ale córeczka zapalczywa! — entuzjastycznie zawołała tłusta doktorowa do pani Ochołowskiej. — Nie ma to jak młodość, kochana moja!

— Nie każdy może być młody — odparła sucho chuda urzędniczka.

Towarzystwo zasiadło na ławce, przyglądając się grze. Po kilkunastu wstępnych uderzeniach Maja zaproponowała seta — ale nawet radca Szymczyk zorientował się wkrótce, że nie ma na co patrzeć, a rozlewna doktorowa wykrzyknęła:

— A toż oni grają dziś! Fatalnie, pani droga! I córeczka coś źle wygląda, może chora!

— Oboje źle wyglądają — rzekła nieoczekiwanie urzędniczka.

Pani Ochołowska wstała i wszyscy oddalili się wolno aleją parku. Leszczuk i Maja grali dalej.

Odbijał piłki coraz gorzej i coraz niecierpliwiej. Myśl jego pracowała. Czy Cholawickiego nie ma? Nie ma, widocznie wyjechał do zamku. A dlaczego ja chciałem ukraść? Dlaczego chciałem ukraść? Co się ze mną stało takiego? Dlaczego ja chciałem ukraść? Co mnie napadło? Przecież i tak od razu by wiedzieli, że to ja!

Ale nad wszystkim górowała jedna wspianiała oczywistość — nikomu nic nie powiedziała! Zachowała wszystko dla siebie! Co więcej, sama zaproponowała mu partię, jakby nic się nie stało!

Dostrzegł jej zmęczenie, bladość nieprzespanej nocy, roztargnienie w grze i marzył o chwili, kiedy znajdzie się z nią sam na sam. Niecierpliwłość jego rosła z każdą minutą i przegapił parę najprostszych pitek.

Maja sześć razy zaserwowała na *out* lub w siatkę i wreszcie zeszła z placu.

Dopał ją w momencie, kiedy drzewa zasłaniały ich zarówno od chłopców zbierających piłki i od domu.

— Chwileczkę! — zawołał. Odwróciła się.

— Czy... czy będziemy grali po południu?

— Nie.

— Czy pani nie ma czasu?—spytał najgłupiej w świecie. Nie wiedział jak mówić z nią, jak nawiązać do tamtego w szafie. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Nie.

Jej obojętność była tak doskonała, że bliski był zwątpienia, czy wczoraj mu się nie śniło. Złapał ją za rękę. Ale wtedy ona krzyknęła.

— Co pan — zwariował?!

I z całej siły raketą uderzyła go. Na szczęście zdążył się cofnąć i otrzymał cios w lewe ramię. Panna Ochołowska odeszła.

Co to było? Więc ona uważa, że między nimi nic... Ach! więc to tak ona to przyjęła. Potarł uderzone ramię i zagłębił się w park.

Nigdy w życiu nie był bardziej nieszczęśliwy. Wszystkie zmieszane uczucia, jakie przeżywał do niej w ciągu nocy, streściły się w nienawiść i wściekłość. Podszedł do drzewa i zaczął łamać gałązki, jedną po drugiej...

Tymczasem Maja u siebie w pokoju, położywszy rakiety na łóżku, siadła i bezmyślnie patrzyła w ścianę.

— Bezczelność — wyszeptała. — Co on sobie wyobraża, ten... złodziej? Złodziej!

Nie miała żadnych wątpliwości, że chciał ukraść pieniądze z szafy. Popęłnić ordynarną kradzież i uciec z pieniędzmi. Tak, to był ordynarny złodziejaszek!

Mają zdumiewało, iż nagle odkrycie właściwej natury Leszczuka, iż chamstwo, trywialność, prostactwo tego postępu tak bardzo mogło nią wstrząsnąć. Stał się jej tak obrzydliwy, że musiała przemóc się, aby z nim grać.

Wszystko w niej wzdrygało się na myśl o nim. Być może właśnie to podobieństwo między nimi sprawiało, iż jego marna, prostacka nieuczciwość dotykała ją bezpośrednio — że czuła ją niejako na własnej skórze!

Z początku, kiedy się poznali, nie wydał się jej ani nieuczciwy, ani trywialny i wyrachowany. Myślała, że jest to chłopak prosty, ale przyzwoity. A teraz...

— Co on sobie wyobraża? Że co? Że ja...

Że coś podobnego nastąpi, że ta chwila słabości, której nie wiedzieć jak i kiedy uległa wczoraj, zawróci mu w głowie, rozwydrzy, rozzuchwali i spoufali, o tym była przekonana.

Wiedziała o tym, gdyż... no, gdyż ona sama na jego miejscu też by się rozwydrzyła. Ale nie przypuszczała, że ośmieli się tak bezczelnie...

— Dostał za swoje — pomyślała z przyjemnością. — Teraz będzie wiedział. Najgorsze było to, że dziś oboje byli bladzi, niewyspani — znów oboje upodobniali się coraz bardziej, tym razem wskutek tożsamości przeżyć.

Czy te kobiety zauważyły ich wspólną bladłość? Czy skojarzyły ich zmęczenie?

— Muszę powiedzieć, żeby wyjechał — myślała. Muszę dać do zrozumienia mamie, że zachował się wobec mnie niewłaściwie, a mama już znajdzie sposób, żeby jeszcze dzisiaj taktownie i dyskretnie zlikwidować go. Tak, jedno moje słowo, a dziś już go nie będzie. To jest konieczne! Mama nie będzie mnie wypytywać.

Ale wiedziała, że właśnie tego słowa nie wymówi. Nie! Dla Maji było to niepojęte w jaki sposób mogła się tak zapomnieć wczoraj.

Na wspomnienie tego momentu porywała ją taka złość na siebie, iż gryzła usta do krwi, zaciskała pięści... I to gdzie?! W szafie! W szafie z tym Leszczukiem! Nie, to był szczyt śmieszności!

A w dodatku jeszcze to trwało długo... może z dziesięć minut! — zanim Cholawicki wyszedł... Ach, dziesięć minut! To było nawet gorsze, niż gdyby całowała się z nim... bo pocałunek byłby kaprysem, wybrykiem mniej lub więcej skandalicznym... ale oni stali ręką w rękę w upojeniu, w zapamiętaniu... To było poważne... to było zupełnie, jak miłość...

Miłość z Leszczukiem!

I jeszcze na domiar wszystkiego on słyszał scenę, jaką jej zrobił narzeczony! Dowiedział się o podobieństwie — jeżeli poprzednio tego sam nie zauważył.

Więc musi zostać jeszcze kilka dni! Musi zostać, żeby ona mogła odrobić z nim to wszystko co zrobiła! Wykazać jemu i wszystkim i sobie, że nic ją to nie obchodzi!

— Odpokutuje za to!

Umyła twarz w zimnej wodzie i zeszła na dół, już obojętna i zacięta. Gdy zatrzymała się przy oknie w stołowym, ktoś delikatnie ujął ją za ramię. Odwróciła się i napotkała zatroskane, niepewne spojrzenie matki.

— Majo — rzekła pani Ochołowska spuszcżając oczy — zdaje się, że niewiele masz pożytku z tego trenera, a chciałabym ulokować w jego pokoju Marysię;

Odparła:

— Wolałabym jeszcze zatrzymać go na parę dni.

Pani Ochołowska westchnęła. Jakże bała się ciągle, bez przerwy o córkę, tak urodziwą i tak trudną... Czasami pragnęła nawet jej małżeństwa z Cholawickim, do tego stopnia przerażała ją samodzielność, skrytość i upór dziewczyny.

Ale nie ośmieliła się o nic wypytywać i powróciła do zajęć gospodarskich, które pochłaniały jej czas niemal całkowicie. Z daleka widziała, że Maja powoli i z namysłem czyta jakiś papier — ach, skąd się wzięła ta przepaść między nimi, że nie można ani pomówić, ani pomóc, ani poradzić.

A Maja po raz trzeci odczytywała list Cholawickiego. Iść czy nie iść? W normalnych warunkach wrzuciłaby tylko ramionami... Ale tym razem coś jej kazało liczyć się z narzeczonym.

Chciała pogodzić się z nim, ustalić na powrót stosunek, zyskać w nim oparcie. Cholawicki był jednak elegancki, z jej świata — Maja odczuła gwałtowną potrzebę pogodzenia się z tym poprawnie wyglądającym mężczyzną, tego samego, co ona, środowiska.

A przy tym rozpierało ją pragnienie działania. Musiała coś robić, taką już miała naturę, że kiedy była poruszona i wstrząśnięta musiała natychmiast wyładowywać się w działaniu. Więc zdecydowała się pójść i kiedy zmrok nadszedł, po kolacji wymknęła się z domu w gabardinowym płaszczu, z latarką elektryczną w kieszeni.

Zresztą psów nie potrzebowała się obawiać — znały ją — i mogła wrócić nawet bardzo późno w nocy nie ściągając niczyjej uwagi, gdyż umówiła się ze służącą Marysią, z którą była w przyjaźni, aby, gdy zastuka, wpuściła ją przez okno.

Maja zapuściła się w las, między chojary, zupełnie czarne po nocy. Pogwizdując prędko i nerwowo posuwała się naprzód pośród nocnych tajemnic lasu i wpadła w świetny humor.

Noc i las podniecały ją, sprawiały przyjemność, a zarazem uspokajały, tępiły męczarnie ambicji i podrażnionej dumy.

Ale gdy wynurzyła się z lasu na skraj wielkich moczarów podzamcza, zdjął ją leciutki, dreszczyk. Przejmująca była beznadziejność tej okolicy.

Białawe tumany mgieł snuły się nad rozlewiskiem wód, nad bagnami, porośniętymi trzciną, nad kępami krzaków. Nie było końca temu pomieszaniu żywiołów ziemi, wody i mgły, w którym wzrok tonął i gubił się, nie mogąc znaleźć oparcia.

Mgły dochodziły prawie do podnóża murów, samotnych i wyniosłych Jak zawsze. Szczekanie psów w oddali brzmiało przeraźliwie, jak głos cierpienia.

Maja nie bała się niczego, co mogło ją spotkać w życiu, ale bała się śmierci. A zamek pusty i nie zamieszkały pośród wód, mgieł i błot był dla niej śmiercią — był istnieniem kończącym się, skazanym na zagładę, oszalałym od własnej wielkości, upadającym pod brzemieniem wieków, była to dogorywająca starość.

I nie bez trwogi dojrzała samotne światełko w oknie narożnej baszty. Mimo to ruszyła naprzód.

Szła teraz groblą i zaraz owionęła ją charakterystyczna wilgoć mgły. Tutaj należało uważać. Nietrudno było zmylić drogę i znaleźć śmierć na zdradnym gruncie, podmokłym i miejscami przechodzącym nieznacznie w bagno.

Dopiero po trzech kwadransach uciążliwego pochodu dotarła do stoku góry zamkowej. Właściwie góra ta tylko na tle absolutnej równiny, z której wyrastała, mogła być zwana górą. W rzeczywistości — wzgórze, nie przekraczające 50 metrów. Ale to przynajmniej było dobre, że ustało drobne błotko, czepiające się nóg.

Z bliska zamek majaczył się poprzez mgłę bardziej jeszcze niesamowicie — coś nieprawdopodobnego zawierało się w fantastycznym, średniowiecznym gmachu z jego

wykuszami, blankami, strzelnicami i gontem krytymi basztami. Tu i ówdzie w murze widniało zwykle okienko z szybami jak w domu mieszkalnym, a także niestylowe, brzydkie szczegóły uwydatniały wyraźniej starość pleśniejącego gmachu.

Maja zaczęła poruszać się z większą ostrożnością. Im bardziej wznosił się grunt, tym mgły stawały się rzadsze, a przy świetle księżycy nietrudno było dostrzec jej sylwetkę.

Na szczęście tuż przed nią ukazała się kępa krzaków — tutaj było wejście do podziemnego korytarza, który drugim końcem łączył się z jedną z piwnic zamkowych.

Kiedyś Cholawicki przeprowadził ją tym przejściem, więcej dla żartu, niż w Poważniejszych zamiarach. Właściwy wylot korytarza przypadał o wiele dalej stąd, w lesie — ale tamta część była nie do przebycia od niepamiętnych czasów. Któryś z późniejszych właścicieli zamku połączył korytarz ze światem w tym miejscu, doskonale zamaskowanym krzakami i prawie niedostępnym. — Po co? — myślała Maja. — Może tędy przychodziła do niego kobieta? Przedzierała się przez gąszcz, póki nie natrafiła na wąskie schodki. Zapaliła latarkę — znalazła się w ciemnym lochu pokapującym wilgocią — płosząc szczury, podążała jak tylko mogła najprędzej. Znów schodki, tym razem wiodące w górę i oto sklepiona piwnica. Cholawicki podbiegł do niej.

— Dziękuję — wyszeptał.

Musiała odetchnąć. To przejście było pomimo wszystko emocjonujące. Poprowadził ją krętymi schodami na górę.

Minęli parę komnat parterowych doszczętnie zrujnowanych i nagich, po czym znów wstąpili na schody, tak wąskie, że zaledwie jeden człowiek mógł się prze— cisnąć.

Jeszcze jakaś sień olbrzymia, pusta i zimna—i weszli do niewielkiego pokoju, j oświetlonego lampą naftową. Na kominku dogasał ogień. Dwie szafy, stolik, parę krzeseł, łóżko w kącie—takie było jego spartańskie umeblowanie. Ale w każdym razie był to pokój zamieszkały — i Maja stanęła pośrodku z uczuciem ulgi.

— Pijesz? — powiedziała, widząc na stole kilka butelek. Podeszedł do drzwi i uchylił je nieco.

— Musimy się zachowywać cicho — rzekł półgłosem. — Czy zdajesz sobie j sprawę gdzie jesteś? Ten pokój wypada mniej więcej w połowie południowego skrzydła. Sześć dużych sal przedziela go od pokoju księcia, który mieści się w tzw.; „Dorotce”, to jest w południowo—zachodniej baszcie. Umyślnie zostawiam drzwi j uchylone, gdyż nigdy nie wiadomo, czy nie wyjdzie ze swego pokoju. W takim razie musiałabyś zejść na dół. Grzegorz, kamerdyner, mieszka zupełnie w innej stronie.

— Podziwiam twoje nerwy! — rzekła dziewczyna zasłuchana w straszliwą ciszę.

— Dziwisz się, że piję! — wybuchnął. — Gdybym nie pił, oszalałbym jak ten staruszek! Ty nie masz pojęcia, co to jest przebywać dniem i nocą w tym przeklętym miejscu i być zdanym na wszelkie kaprysy szaleńca. Ale to już niedługo potrwa!

Ostatnie słowa wypowiedział z taką radością, że Maja odwróciła twarz od ognia.

— Czyżby było już tak źle? — zapytała.

— Tak! — odparł. Stan jego nerwów pogarsza się widocznie, a to dowodził osłabienia organizmu. Wczoraj w nocy, kiedy wróciłem z Połyki, zrobił mi okropną awanturę, płakał, jęczał, że go opuszczam... nie będę mógł wydaleć się teraz: zamku nawet na godzinę, muszę tu siedzieć — ale to już niedługo — i potem wypłyniemy na czyste wody!

Przyciągnął ją do siebie.

— Wiedziałem, że przyjdiesz! Ani na chwilę nie przypuszczałem, żebyś mogła na serio ze mną się pokłócić! Jesteś do mnie przywiązana! Musisz być przywiązana do mnie, gdyż rozumiemy się — oboje jesteśmy trzeźwi, sprytni i odważni. Z nas jest para! Kiedy my zabierzemy się do czegoś, to musi się udać! Ja jestem tym .którego ty potrzebujesz! Nie

zawracajmy sobie głowy drobiazgami.'

Wysunęła się lekko z jego objęć.

— Czy aby nie spotka cię rozczarowanie?—rzekła.—Mówię o księciu. Przecież to człowiek niespełna rozumu.

— Testament zrobiony. Żadnych spadkobierców ani krewnych. A o tym, żeby coś zmienił, nie ma mowy.

W tej chwili Cholawicki nadstawił uszu.

— Zdawało mi się, że woła. Nie możesz sobie wyobrazić jaki się zrobił męczący od tej podróży do Warszawy. To go niesłychanie nadszarpnęło—postarzał się o dziesięć lat. Tak, testament już zrobiony i nikt nie ma formalnych podstaw do obalenia go. A zresztą komuż by się chciało narażać się na proces — dobra są obdłużone — ja jeden tylko wiem, że z majątku można jeszcze coś wyciągnąć. Wszyscy myślą, że zupełnie bankructwo. No co — gniewasz się?

Ujął ją za rękę, ale cofnęła się gwałtownie.

— A to co? — rzekł, marszcząc brwi.

— Nic.

— Nie kochasz mnie?

— Nie.

— To dlaczego jesteś tutaj?

— Ze względu na interesy!

Roześmiał się. To mu się podobało. Lubił ten ton jej, ostry, bezwzględny — tym go brała. Ani na chwilę nie wątpił w jej miłość — zanadto był pewny swoich zalet. Ale podobało mu się, że nigdy się nie „rozkleja” i nie roztapia w sentymentalizmie.

A Maja znając jego absolutną pewność siebie z tym większą przyjemnością mówiła mu najgorsze rzeczy. Zresztą wołała stokrotnie ten chłód, trzeźwość i szczerłość z narzeczonym, niż tamto straszne, zawstydzające „rozklejenie się” w szafie!

Znów wziął ją za rękę i tym razem nie wyrwała się. Lecz nagle owładnęło nią z taką siłą wspomnienie Leszczuka, że zbladła i zamknęła oczy, a drugą ręką kurczowo uczepiła się stołu.

— Kochasz! — szepnął przyciągając ją. — Kochasz!

— Zostaw mnie! — wykrzyknęła.

W tej chwili doszło ich słabe wołanie: — Henryś! Henryś!

Ten głos starczy i drżący skądś, z amfilady pustych komnat, przeraził ją.

— To księżę! — syknął. — Muszę iść. Poczekaj!

Wyszedł spiesźnie. Maja została sama. Usiadła i jakiś czas wpatrywała się w dogasający ogień na kominku, którego blaski różowiły jej twarz.

Dopiero gdy odszedł zrozumiała, iż rzeczywiście dłuższy pobyt tutaj musiał wyczerpać najsilniejsze nerwy. Ani las w nocy, ani podziemny korytarz nie wywołały w niej takiego niepokoju —jak to olbrzymie nagromadzenie nie zamieszkanym komnat.

Zmysły jej podniecone do ostateczności łowiły każdy szelest, powstający w najdalszych zakamarkach gmachu, żyjącego osobnym życiem...Coś tam się kruszyło... coś skrzypiało niekiedy... a wielki szczur ukazał się w półotwartych drzwiach i znikł natychmiast.

Ach! — pomyślała. — Po co ja tu jestem?!

Zaczynała bać się nie tylko zamku, lecz i narzeczonego. Dotychczas nie zastanawiała się specjalnie nad jego pobytym tutaj. Wiedziała, że był sekretarzem księcia i jedynym człowiekiem, którego znosił stary dziwak, oprócz kamerdynera Grzegorza. Wiedziała, iż Cholawicki ma nadzieje na uzyskanie w spadku po nim kilkunastu folwarków, stanowiących resztę dóbr mysłockich, które to dobra były mniej zrujnowane, niż na ogół sądzono. To wszystko można było wytrzymać. Narzeczonego miała za człowieka twardego i bezwzględnego, ale — w zasadzie

przyzwoitego.

Mógł udawać przywiązanie do księcia w celu owdzielenia jego majątkiem, ale nie był chyba zdolny do niczego... do żadnych takich czynów Jakie podsuwała ponura i demoniczna atmosfera zamku.

Rzeczywiście — jeżeli ktoś tu dłużej pobyl, to same przez się musiały go nawiedzać myśli o zbrodniach i czynach złych, okrutnych i morderczych. I na to, żeby tu w ogóle wytrzymać, trzeba było niesłychanej odporności, a zarazem niesłychanej namiętności.

Mają uprzytomniła sobie, że dotąd nie doceniała siły Cholawickiego.

Przebiegł ją lekki dreszczyk. Przez uchylone drzwi zajrzała do następnej komnaty — panowała w niej ciemność, tylko z okien szedł słaby odbłask — w kątach szeleściły szczury i wiało pustką. Zasłuchała się w zamek, w rozległą gamę tajemnych szeptów i szelestów. Nietoperze krążyły za oknami.

— Te mury — pomyślała — muszą mieć z półtora metra grubości. Wtem z daleka błysnęło światło. Cofnęła się szybko.

To Cholawicki wracał od księcia i po chwili ukazał się z latarką w ręce.

— A co? — zapytała.

— Nic! On drzemie mniej więcej przez całą dobę. Co parę godzin się budzi, i wtedy woła mnie, żeby sprawdzić, czy go nie opuściłem.

— To musisz do niego chodzić i w nocy?

— A naturalnie! Ale już niedługo! — nalał sobie kieliszek. — Może ty chcesz?

— Daj — powiedziała.

Wziął butelkę, ale znieruchomiał z kieliszkiem w dłoni. Zbladł.

— Co ci jest...

— Tsss... Ktoś jest w zamku.

— Gdzie?

— Cicho. Już ja mam ucho. Na pewno ktoś jest — obcy.

Ręka zaczęła mu drżeć, aż płyn wylewał się z kieliszka. Wytężyła słuch, ale nie zdołała rozróżnić nic szczególnego.

— Zdaje ci się — szepnęła, ale on spojrzał na nią nieprzytomnie. Na pewno... na pewno ktoś jest...

Wtem drgnęli oboje. W ciszy usłyszeli z szaloną wyrazistością krzyk księcia — pięć czy sześć wykrzykników nabrzmiałych szaleństwem, przeszywających, piskliwych.

— Franio! Franio! Franio! Franio! Franio!

— Co to?! — wykrzyknął Cholawicki. Porwał browning i latarkę.

Mają pobiegła za nim, nie zostałyby tutaj sama za nic! Przebiegli pędem przez puste sale. Dopadł pokoju księcia i zniknął za drzwiami.

Usłyszała jego uspokajający głos oraz przeciągły, rżący, bezsilny płacz starzy który zaraz przeszedł w kaszel. Schroniła się we framugę okna, żeby nikt nie mógł zaskoczyć jej z tyłu. I znowu usłyszała jęk:

— Franio! Franio!

Cholawicki wrócił, ale dał jej tylko znak ręką, by zaczekała i pobiegł w głąb zamku. Dopiero po dłuższym czasie zjawił się z powrotem — twarz jego zdradzała poważne zaniepokojenie.

Ktoś tutaj był. On zobaczył kogoś! Dlatego krzyczał. Ten ktoś musiał wejść do sypialni, zbudził go, a kiedy staruszek zaczął krzyczeć, uciekł. To musiał być młody chłopiec. Książę ma taką manię — marzy mu się jakiś Franio! Nie znosi młodych chłopców, gdyż oni przypominają mu tego Frania. Zresztą tu jest dowód, że ktoś był. Patrz, znalazłem scyzoryk.

Położył na stole mały, składany scyzoryk z wieloma ostrzami.

Poznała go od razu. Tym samym scyzorykiem Leszczuk obierał wczoraj po obiedzie jabłko.

— Aha!

Momentalnie odwróciła wzrok i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że umyślnie to robi, aby nie powiedzieć Cholawickiemu, czyj to jest scyzoryk. Nie, tego już było za dużo!

— Ja wiem czyje to jest — powiedziała na przekór sobie samej, wściekła. — To scyzoryk Leszczuka.

Rzucił się.

— Co ty mówisz?! Na pewno to jego własność?

— Przynajmniej on ma identyczny.

— W takim razie, to jeszcze gorzej, niż myślałem.

Uśmiechnęła się:

— Czy nie przesadzasz? — zapytała drwiąco.

Była przygotowana na nową scenę zazdrości i nawet chciała ją sprowokować — ale Cholawicki ku jej wielkiemu zdziwieniu mruknął tylko:

— Nic nie rozumiesz. Chodź ze mną.

Powiodł ją przez te same sale, w których byli niedawno, ale nie dochodząc do pokoju księcia skręcił na prawo w boczną galerię. Była to galeria długa a przede wszystkim wysoka — dostrzegła na sklepieniu w wątlym świetle latarki ślady jakiejś spelzłej malatury. Potykając się o dziury w kamiennej podłodze, przeszli przez mały krużganek, a stamtąd skręcili na lewo i otworzył kluczem ciężkie dębowe drzwi.

Mają owionęła duszność, a Cholawicki nacisnął guzik latarki.

— Spójrz — rzekł.

Wielka sklepiona sala wsparta na jednej kolumnie pośrodku, robiła wrażenie Przepelnionej, do tego stopnia jej umeblowanie kontrastowało z opuszczeniem tego, co dotąd widziała. Wzdłuż sklepienia biegł szeroki fryz, miejscami zatarty, Przedstawiający sceny wojenne. Ściany pokryte były makatami, a dwa wielkie Perskie dywany, zszarzałe od kurzu zaścierały podłogę.

Pod ścianami stały ciężkie, renesansowe szafy i rzeźbione skrzynie, również pokryte kurzem, jak gdyby nie dotykane ręką ludzką od stu lat. Kilka niewielkich obrazów starej szkoły dopełniało całości, która zresztą nie wywierała wrażenia żadnego luksusu, raczej — przejmującej melancholii zbiorowiska rzeczy opuszczonych.

— Cóż z tego? — spytała, spoglądając na rzeźbione herby nad kominkiemj

— To z tego — odparł — że jeżeli morduję się tutaj już dwa lata, to tylko c tych przeklętych gratów! Nie mówiłem ci dotąd o tym, bo i po co. Dobra mysłockie rzeczywiście są zrujnowane. Sam diabeł z nich nic nie wydusi. Ale, albo się myślę grubo, albo w tych ruchomościach tkwią miliony — miliony, powiadam c,

— To miałyby być warte miliony? — wydeła wargi. — Czy aby na pewno?

— Otóż to, że nie jestem pewny! — wybuchnął. — Nic się na tym nie zna a trzeba być wytrawnym znawcą, ażeby ocenić choćby w przybliżeniu wartość takiego, na przykład, obrazka. To są na pewno autentyczne antyki, te meble stoją tg ze dwieście lat. Ale czy są warte kilkadziesiąt tysięcy, czy kilkanaście milionów, nie umiałbym powiedzieć.

— Kilkanaście milionów?!

— Tak! Przynajmniej tak można wnosić z pewnych poszlak. Taka legenda krąży po zamku. Kiedyś Grzegorz, ten kamerdyner, pamiętający jeszcze ojca dzisiejszego księcia, powiedział mi coś w tym rodzaju. Powiedział, że książe, zanim zwariował, chciał wywieźć za granicę kilka obrazów, aby oczyścić hipotekę z długowi Znalazłem też o tym wzmiankę w listach, pozostawionych przez księcia — wzmiankę dość mętną, ale zawsze wzmiankę.. I wreszcie mój staruszek także odnosi się do tych sprzętów dziwnie — powiedziałbym, filuternie, jakby taił

przede mną ich wartość. To jest taka złośliwość wariata. Mówię ci, że mam poważne podstawy do mniemania, że wszystkie folwarki mysłockie razem wzięte nie starczyłyby na kupno tej sali. A takich sal jest osiem.

— Dlaczego nie sprowadzisz jakiego znawcy? — spytała oszołomiona dziewczyna.

— Nie głupim! Sprowadzać handlarza po to, żeby wypaplał. Na drugi dzień cała prasa w Polsce głosiłaby, że na zamku mysłockim odkryto skarby. Rzuciliby się wierzyciele, dalsza rodzina, słowem wszyscy, którzy teraz dają mi spokój. Ba! Ja prowadzę za delikatną grę, aby sobie pozwolić na taką sensację. Nieraz już myślałem, żeby zawieźć jeden z tych obrazów do Warszawy i dać do oceny. Ale gdy bym przypadkiem trafił na obraz za dobry, na dzieło jakiego słynnego mistrza, znów byłaby sensacja i nie mógłbym być pewny niczyjej dyskrecji. A sam rozeznac się w tych obrazach zupełnie nie potrafię! Nie mogę zdawać się na łaskę i nie łaskę handlarzy i specjalistów, zbyt dobrze wiem, że oni nie liczą się z niczym. Jeśli uda się im zwęszyć towar i to jaki towar! Wolę być ostrożny! Wolę zabrać się do oszacowania tych rzeczy dopiero, gdy będę ich panem i właścicielem!

Głos mu drżał. Pojęła, jaki gwałt musiał sobie zadawać, obcując codziennie z tymi przedmiotami i przez tyle czasu powstrzymując się przez ostrożność od wyjaśnień tych wątpliwości. Dotknął końcami palców jednego z płócien.

— Nie, nie, to musi być cenne — szepnął — musi być! Ile? Jak myślisz? Może akurat ten obrazek — dwieście, trzysta tysięcy? A ten dywan?

Pomyślała, że gdyby dowiedział się nagle, iż to bezwartościowe kopie, zwariowałby niechybnie. Ze zgrozą dostrzegła jego bladość.

Coraz bardziej zaczynała bać się narzeczonego. Jakże inaczej wyglądał w Połyce i tu, na zamku. Przestraszyła się tego, co mówił. Cała ta sprawa również wyglądała zupełnie inaczej, niż dotąd myślała. Nie chodziło o folwarki, ale o meble

— Dlaczego mi o tym nic nie mówiłeś nigdy? — zapytała.

Nie chciałem cię wtajemniczać. Im mniej osób wie, tym lepiej! Jeżeli teraz ci mówię, to ponieważ na tobie jednej mogę polegać, a czuję, że sam nie dam rady! Czy zdajesz sobie sprawę, co oznacza dla mnie nocna wizyta tego chłopaka! — wybuchnął, — Zwłaszcza, gdy ten profesor siedzi u was!

— Profesor?!

Właśnie! Przecież to znawca, historyk sztuki. Czy przypuszczasz, że on przyjechał do was ot tak sobie — na willegiaturę? Nie, prawdopodobnie coś zwęszył. On już zgłaszał się do mnie, że chciałby obejrzeć zamek.

Zamknął starannie drzwi. Spojrzała przez okno i przystanąła: dziedziniec zamkowy, okolony pajęczyną krużganków w połowie zrujnowanych, w świetle księżycy wydawał się snem. Zaczynała wierzyć w skarby.

Ale Cholawicki szarpnął ją gwałtownie.

— Chodźmy! — syknął. Wrócili do jego pokoju.

— Musisz mi pomóc! Pamiętaj, że to nie tylko moja sprawa! To jest sprawa naszej przyszłości!

— O co ci chodzi?

— Musisz się dowiedzieć, czy Skoliński domyśla się czegoś? Czy to na pewno był Leszczuk? Jeżeli on, to w jakich zamiarach przyszedł, a przede wszystkim czy nie działał z inspiracji Skolińskiego. To najważniejsze! Rób jak chcesz, bylebyś się dowiedziała! Ten chłopak ci powie!

— Dlaczego miałby mi powiedzieć?

— Tobie łatwiej będzie porozumieć się z nim, niż mnie — mruknął, a spojrzenie które na nią rzucił dopowiadało istotny sens jego słów. Ach tak, przecież była podobna!

Zapytała drwiąco:

— Nie jesteś już zazdrosny?

— To są głupstwa! — wybuchnął. — Przestań się droczyć! Nie jestem do tego usposobiony. Nikt inny prócz ciebie, tego nie zrobi. Musisz wyciągnąć z niego wszystko, co się da...

— Nie chcę!

— Co? Co? Nie chcesz? Dlaczego? Nawet tego drobiazgu nie chcesz mi załatwić?! Ja mam wszystko sam robić. Dlaczego nie chcesz?!

— Nie chcę!

Odwróciła się, żeby nie mógł widzieć jej twarzy. Myśl o tym, że ona byłaby zmuszona zbliżyć się do Leszczuka i naciągać go na zwierzenia, była jej w najwyższym stopniu wstrętna. Wdawać się z nim w jakieś konszachty?

— Nie wymagaj tego ode mnie! — powiedziała cicho.

— Dlaczego?

— Chyba rozumiesz, że po tym coś mi powiedział wczoraj nie chce rozmawiać z nim, zwłaszcza w tych sprawach i w taki sposób!

— Czyś oszalała! Ty liczysz się z takim Leszczukiem! Dla ciebie to powinno być zero, powietrze! Gdyby on naprawdę był dla ciebie niczym, to byś się nie wstydziła, choćby cały świat ci mówił, że jesteś do niego podobna! Co cię to obchodzi!

— Dobrze. Pomówię.

— Tylko sprytnie!

— Postaram się — sprytnie.

— I ostrożnie, żeby mu niczego nie podsunąć.

— Postaram się ostrożnie...

— Przyjdź tutaj jutro o tej samej porze. Jak będziemy wiedzieli coś konkretnego, zastanowimy się, co dalej robić.

— Nie wiem, czy do jutra dowiem się czego.

— W każdym razie przyjdź! To okropna rzecz, że ja jestem tutaj jak w więzieniu.

ROZDZIAŁ IV

Leszczuk doszedł do przekonania, że najlepiej będzie, jeśli nie powie profesorowi o swojej wczorajszej bytności na zamku. Jeszcze teraz ciarki go przechodziły na wspomnienie szaleńczych okrzyków starego księcia i panicznej ucieczki przez labirynt schodów i komnat.

Całe szczęście, że nagle zbudzony z drzemki księżę najwidoczniej wziął go za kogo innego, skoro krzyczał „Franio”. Chłopak miał nadzieję, że uda mu się wybrnąć cało z awantury, pod warunkiem, że nikomu nie piśnie ani słówka.

Właściwie nie miał wcale zamiaru tam chodzić. Ale kiedy wczoraj po kłótni z Mają poszedł w las i nie wiadomo kiedy znalazł się w pobliżu zamku, przypomniało mu się co mówił profesor, że od strony zachodniej mury są nadwątlone.

— Pójdę! — pomyślał. Musiał coś zrobić, czymś się zająć — był jak pijany, wszystko mu było jedno — żeby tylko odwrócić myśli od tamtego z Mają.

Dwa razy był zmuszony rozbierać się i przepływać przez ohydną, zamuloną wodę. Rzeczywiście — z bliska gładka ściana muru zamkowego okazała się pełna rysowi pęknięć, tu i ówdzie powypadały nawet kamienie, tworząc wielkie dziury mniej więcej na wysokości pierwszego piętra. Po kilku nieudanych wysiłkach zdołał wspiąć się do jednej z nich, czepiając się dziur w wykruszonej cegle. Był w zamku. Rozejrzał się na wszystkie strony i powiedział sobie: — Jeżeli już tu jestem, to zobaczę... Ostrożnie zagłębił się w podwórze i w gmach, ziejący w ciemnościach otworami powybijanych szyb. Pustka. Nigdzie żadnych skarbów. Wielkie komnaty, wilgotne i nagie, odrapane. Nigdzie żywej duszy. Szczury.

Szedł coraz swobodniej aż wreszcie, gdy nacisnął klamkę jakichś drzwi, nastąpiło to: ujrzał przed sobą w blasku świecy staruszka na łóżku, który na jego widok zaczął krzyczeć. Zatrzasnął drzwi i popędził jak szalony z powrotem ku wyjściu. Na szczęście nie zmylił drogi. W parę minut był już za murami, a w dwie godziny — w Połyce.

Oto wszystko.

— Po co ja w to wlałem? — myślał, idąc aleją parku. Gryzł w zębach żdźbła trawy. — Cholerny zbieg okoliczności! Przedtem ta szafa, a teraz zamek! Odkąd tu jestem już dwa razy o mały figiel byłbym złapany... A przecie do tej pory nigdy nikomu nie wzięłem ani grosza! Co się dzieje! Najlepiej będzie, jak zabiorę się, wyjadę i koniec.

Czuł głuchą niechęć do Maji. Właściwie wołałby, żeby wtenczas w szafie narobiła krzyku, zachowała się normalnie. To byłoby przynajmniej jasne. A tak?

Sam nie wiedział — czy jest jeszcze uczciwy — czy już nie. I to go męczyło. A zarazem był głęboko zgorzony Mają. Nie, tak porządna panna nie powinna się zachowywać. Przez nią to wszystko!

Nie rozumiał tego dobrze, ale wiedział — że przez nią to wszystko.

Obejrzał się.

Tuż obok niego stała Maja z figlarnym uśmiechem na ustach.

— Chciałam panu coś oddać — rzekła.

Pokazała mu scyzoryk.

— Gdzie pani go znalazła? — zapytał zdziwiony.

— W zamku.

Zesztywniał.

— To w takim razie nie moje!

Uśmiechnęła się.

— Niech pan nie udaje — powiedziała swoim ściszym głosem. — Ja wiem, że pan był... Widziałam pana. Ja też tam byłam wczoraj! Niech pan się nie obawia, nie powiem nikomu.

— Nie powie pani?

— Nieee...

Błysnęła ku niemu oczami i nagle uczuł, że na pewno nikomu nie powie. Jak gdyby od lat byli ze sobą w porozumieniu. Przysunęła się do niego.

— Po co pan tam chodził? — zapytała z bliska, jedną ręką opierając się o drzewo. Znowu uśmiechnęła się lekko — zadarła głowę i spojrzała na wierzchołek drzewa — potem znowu na niego. Wszystko to było takie poufale, jakby trąciła go łokciem.

Kiedy się ociągał z odpowiedzią, powtórzyła cichutko, ledwo poruszając wargami, ale natarczywie.

— Nie powiem nikomu. Czy po to... po co i do mojej szafy?

Czy powiedzieć, że chciał zabrać pieniądze tylko ze złości — żeby się zemścić na niej? Nie — i tak by nie uwierzyła. Zresztą coś takiego było w jej głosie — coś łapczywego, nienasyconego — że uczuł, iż nie potrzebuje się uniewinniać. Zamiast wyraźnie odpowiedzieć roześmiał się tylko, a ona natychmiast odwzajemniła się tym samym drażniącym śmieszkiem, który już raz słyszał — wtedy w sionce, gdy pytała, czy chciałby zrobić karierę?

— Pani to jest... — rzekł nie wiedząc dobrze, co chce wyrazić.

Mimo woli, śmiejąc się, przyglądali się sobie z ciekawością — czy naprawdę są tacy podobni? I to podobieństwo sprawiało obojgu wielką radość, zbliżało, łączyło, spoufalało.

— A skąd pan wiedział, że w szafie są pieniądze? — spytała panna Ochołowska, zupełnie jak gdyby nie była właścicielką szafy i pieniędzy, ale współniczką w kradzieży.

— Jak pani spała w wagonie, wyciągnąłem z palta list i przeczytałem.

— Ach, przeczytał pan list mojej matki. Racja, pisała o pieniądzach! A dlaczego pan wyciągnął list?

— Z ciekawości!

Znów się roześmieli. Tak świetnie się rozumieli. Lecz ona zapytała od niechcienia:

— A skąd panu przyszło do głowy, że w zamku jest coś do zabrania? Kto panu powiedział? Profesor Skoliński?

— Skąd pani wie?!

Zmrużyła oczy.

— Ja się interesuję tą sprawą. Przecież mój narzeczony mieszka na zamku i jest sekretarzem księcia. Ja jestem w tym za-in-te-re-so-wa-na. Ale... Czy pan chce pomówić ze mną zupełnie szczerze?

— Dobrze.

— Ręka?

— Ręka.

Podali sobie ręce.

To pana Skoliński wysłał do zamku?

— Właściwie tak. Po wiedział m i, że tam mogą być wielkie skarby, że on to wyczytał gdzieś, w jakichś starych papierach. Wysłał mnie, żebym zobaczył, czy naprawdę tam co jest. A ja myślę sobie — pójdę i zobaczę na wszelki wypadek. Ale obiecała pani nikomu nie mówić.

Opowiedział jej pokrótce swoją wyprawę.

— No i co?

— Ii... Widziałem tylko kilka pokoi, ale były puste. Gołe ściany. Może w innych co jest. A co, są skarby na zamku czy nie ma? — zapytał z ciekawością, ale nie odpowiedziała mu.

— Rozmawiał pan ze Skolińskim po powrocie?

— Jeszcze nie. Dopiero mam zamiar.

— Niech pan mu nic nie mówi... na razie — rzekła. Niech pan się wstrzyma do jutra. Jeszcze się zastanowię nad tym. Nie będzie pan mówił?

— Mogę nie mówić.

— No to chodźmy grać! Już sucho!

Pobiegła co sił w nogach. Ścigali się, ale niedaleko domu Maja zwolniła tempo. — Spokojnie — szepnęła. Zabrali rakiety i piłki.

Od razu pierwsze uderzenia przekonały ich, że tym razem gra będzie świetna! Oboje grali z największą rozkoszą, zapominając o całym świecie, z radością. Maję zdumiewało, że odbija jakimś cudem piłki, o których dotąd nawet marzyć nie mogła, on zaś za każdym uderzeniem odkrywał w sobie nowe światy. Nikt się nie przyglądał. A podobieństwo stylów gry, pokrewieństwo temperamentów sprawiało, iż jedno wydobywało z drugiego maksimum umiejętności, zręczności, wysiłku.

Maja przegrywała. Przegrywała coraz bardziej w miarę, jak on się ośmielał, rozwijał, rozbudzał swoje możliwości — ale broniła się zęb za zęb, nieustępliwie.

W pewnej chwili zapytał ją przekornie gdy zmieniali place:

— No co?!

Ona zaś odpowiedziała zdyszczanym szeptem, ledwie dosłyszalnie:

— Świetnie.

Ale pod koniec seta nagle cisnęła rakieta i uciekła do domu. Pozostał na placu niezdolny zrozumieć, jak to się wszystko odbyło między nimi. Jak to się stało, że on jej wszystko od razu opowiedział. Że nagle zaczęli mówić z sobą, jakby się znali z dziesięć lat? Ze gra im tak wychodziła? I dlaczego uciekła, co ją znowu ugryzło? Nic nie wiedział. Był zupełnie głupi, a jednocześnie serce zalewała mu radość zmieszana z lękiem.

Kiedy profesor zaczął go po obiedzie, zapytując o zamek, odpowiedział mu byle co, że owszem już wczoraj próbował znaleźć przejście, ale nie mógł dojść do zamku, bo wszędzie woda, albo błoto.

— Dziś na wieczór znowu spróbuję, ale do środka nie będę wchodził. Jeśli pan chce zwiedzać, to sam! Ja nie chcę się mieszać.

— No, no — rzekł profesor. — Obejdę się bez twojej pomocy.

Ale Leszczuk już myślał o czym innym! Próbował odnaleźć Maję, ale nie pokazywała się, a przy obiedzie ani razu nie spojrzała na niego.

Wieczorem wymknęła się do narzeczonego. W płaszczu, z rękami w kieszeniach, z głową pochyloną posuwała się szybko groblą między zarośniętymi, śpiącymi wodami. Księżyc wschodził.

— Henryk powinien być zadowolony — myślała idąc nerwowo śliską ścieżką. — Dowiedziałam się wszystkiego nawet prędzej i łatwiej, niż przypuszczałam. Zyskałam jego zaufanie i on teraz nic nie zrobi beze mnie! Tak, Henryk będzie zadowolony — powtarzała, a woda chlupotała jej pod stopami — będzie zadowolony!

Ona sama jednak nie była zadowolona. Daleka była od zadowolenia! Gdy przypomniała sobie tę ich rozmowę, swoje uśmiechy, łatwość z jaką od razu doszli do porozumienia i potem ten wyścig po rakiety, krew uderzyła jej na policzki, przyspieszyła kroku jak ktoś, kto stara się uciec, zaciskała zęby i pięści jakby na wspomnienie bolesnej gaffy i daremnie wmawiała w siebie, że wszystko to było jedynie umyślną igraszką, znizaniem się do poziomu chłopaka. Jakże wydała się sobie śmieszna! I podobna! Coraz podobniejsza!

Nie — to można zwariować!

Cholawicki czekał na nią w piwnicy i przeprowadził do swego pokoju. Opowiedziała mu

po krótko wszystko, co usłyszała od Leszczuka.

— Nie omyliłem się — szepnął przerażony. — A zatem profesor coś wie! Od początku podejrzewałem coś w tym rodzaju! Co robić?

— Jeżeli nie będę chciała, Leszczuk nie powie mu ani słowa o tym, że był tu taj. Obiecał mi!

— A to, widzę, porozumieliście się.

Odpowiedziała:

— Porozumieliśmy się.

— Nie, to głupstwo! — chodził po pokoju, zacierając ręce. — Kto mi zaręczy, że nie powie! A zresztą czy sądzisz, że ten wścibski esteta przestanie węszyć? Nie znasz ich! Trzeba go uspokoić raz na zawsze!

— Co chcesz zrobić? — spytała. Roześmiał się.

— Zamierzam po prostu wyperswadować mu, że nic tu nie ma do roboty, że skarbów żadnych nie ma i koniec. Przecież on nie ma absolutnej pewności! Aha! Już mam! Uważaj, jak zrobimy.

Napił się kieliszek wódki i chwilę posłuchał. Co pewien czas przestawał mówić, nasłuchując odgłosów zamku — czy księżę się nie obudził — czy nie rozpoczął swojego spaceru po salach? Ale wszystko było w porządku.

— Trzeba będzie pochować wszystkie przedmioty, które można podejrzewać o większą wartość. Przede wszystkim obrazy i makaty. Ostatecznie szafa, czy inny mebel, może być lepsza lub gorsza, ale nie jest dziełem sztuki na wielką skalę.

— Na to on się nie złakomi. Gdy się przekona, że nie ma nic poza tym, da nam spokój. Trzeba postarać się, żeby tu przyszedł i zobaczył.

— Jak?

— To nie jest takie trudne. Tsss...

Ktoś chodził, słychać było człapanie pantofli, a po chwili rozległ się u końca amfilady sal suchy, starczy kaszel. Po czym Maja usłyszała półgłosne, bezsilne wołanie:

— Henryś, Henryś...

Cholawicki zaklął i poszedł.

Została sama. O, jak nie znosiła tych samotności na zamku — póki narzeczony był z nią i póki trwała rzeczowa rozmowa, można było jeszcze wytrzymać, wszystko wydawało się mniej więcej trzeźwe i normalne, choć ryzykowne. Maji nie przerażało konkretne ryzyko ani trudności do przezwyciężenia.

Ale kiedy zostawała sama, kiedy cisza, melancholia i opuszczenie zamku narastały ze wszystkich stron, napastowały ze wszystkich szczelin i otworów, wówczas cały ten splot zdarzeń, w który się dostała, wydawał się ohydny i złowrogi, grzeszny i straszny, a dziewczynę przenikało dojmujące przecucie, iż stąpa po pochyłej drodze, która doprowadzi ją stopniowo i nieznacznie do rzeczy okropnych.

Bała się zamku — bała się narzeczonego — ale najbardziej bała się siebie samej, tych niebezpieczeństw, jakie czyhały na nią w głębi jej natury, zbyt śmiałej, zbyt niespokojnej i zanadto spragnionej szczęścia. Starożytne, ponure mury, zapamiętałe w przeszłości, zdawały się szeptać, iż biada temu, kto zbyt lekkomyślnie goni za efemerydą szczęścia.

A ona chciała być szczęśliwa! Musiała być szczęśliwa! Wszystko co robiła, robiła po to, aby być szczęśliwą i w pełni wyzyskać rozkosz swej urody i młodości.

— Jak mnie to wszystko wciąga! — pomyślała z przestrawieniem, stojąc na środku pokoju, nieruchoma.

Wolała się nie ruszać, zdawało jej się, że każdy ruch zostanie dostrzeżony i zapamiętany przez te milczące, widzące ściany. — Jak mnie to wciąga! Już jestem współniczką Henryka! A tamten — Leszczuk? Jak to się wszystko skończy? Może pomówić z mamą? — zaświtała jej myśl, ale

odrzucała ją natychmiast. Miałyby szukać pomocy u matki — nie, sama da sobie radę.

Tymczasem Cholawicki zastukał do pokoju księcia i nie czekając na odpowiedź wszedł dosyć bezceremonialnie z rękami w kieszeniach, z miną chmurną i niezadowoloną.

Był to szczególny pokój. Dość niewielki, z niską, sklepioną powałą, okrągły — gdyż stanowił wnętrze baszty — z trzema oknami w tak grubym murze, iż wnęki okienne mierzyły ze dwa metry głębokości. Do połowy wysokości ściany wyłożone były zniszczoną boazerią dębową z ledwie widocznym deseniem.

Olbrzymie łoże z baldachimem stało na samym środku, poza tym dwa fotele, umywalnia — i mnóstwo drobiazgów, nieskończona ilość flaszeczek, pudełek, części garderoby, przyborów, słoików po konfiturach, talerzyków, bibelotów oraz innych najdziwniejszych przedmiotów zaścierało cały pokój.

Książę od lat nie pozwalał nic wynosić, gdyż nie miał siły osobiście dokonać porządków, a lękał się nerwowo, aby nie wyniesiono czegoś, co może się przydać. Ponieważ stary kamerdyner Grzegorz był także dosyć niedołączny, fantastyczny brud panował wszędzie. Pościel na łóżku była nieomal szara, gdyż książę wahał się od paru miesięcy, czy ją oddać do prania. Nienawidził wszelkiej zmiany.

Mały chudy staruszek o ptasiej, arystokratycznej twarzy siedział na łóżku i z trwogą spojrzał na Cholawickiego.

— Książę mnie wołał? — zapytał twardo sekretarz.

— Ale skąd, ale skąd, Henrysiu — przesłyszało ci się. Gdzieżbym ja wołał, przecie wiem, że Henryś tego nie lubi!

— O co chodzi?

— Kiedy nic, naprawdę nic.

— Pytam się, o co chodzi. Niech książę powie, bo wiem, że jak wyjdę stąd, książę znowu będzie wołał. Lepiej od razu powiedzieć.

— Kiedy z Henrysiem... No, dobrze, już dobrze, powiem! — wykrzyknął piskliwie, gdy Cholawicki zwrócił się w stronę drzwi. — Widzi Henryś, chcę zrobić porządek, tu strasznie dużo śmieci. Właśnie zacząłem od tej flaszeczki — ale nie wiem, może się przydać?

— To niech książę nie wyrzuca.

— Ale może lepiej wyrzucić? Do czego mogłaby się przydać?

— To niech książę wyrzuci.

Rozplakał się.

— O, co ja mam z Henrysiem! W niczym, znikąd, nigdzie, nic — żadnej po mocy, zrozumienia, pocieszenia, ukojenia, zapomnienia!

— Jeżeli książę będzie mnie nudził, to ja wyprowadzę się z zamku! — Cholawicki z nieukrywaną nienawiścią patrzył na starca, który zamieniał mu życie w piekło. Nie nadawał się na pielęgniarza! Nie znosił tych rozmów z idiotą, męczyły go strasznie.

— Niech Henryś mnie nie opuszcza! — wykrzyknął z dzikim strachem. — Ja sam tu nie zostanę za żadne skarby! Na zamku? Sam? Nigdy w życiu! To jest niedobry zamek — dodał ciszej i jakby z namysłem.

— Dlaczego? — spytał Cholawicki.

Ciągle miał nadzieję, że książę wygada się o skarbach, podejrzewał czasem, że stary magnat lepiej się orientuje, niżby się na pozór zdawało, a tylko umyślnie dla jakichś starych urojeń lub może przez złośliwość udaje Greka. — Dlaczego ten zamek jest niedobry?

— W całości jest dobry. Owszem. Ale jest w nim jedno niedobre miejsce.

— Które?

— Jest jedno... Jedna komnata.

Na tym punkcie książę był nieubłagalny. Nie chciał nigdy wyjawić, która to komnata jest niedobra i dlaczego? Cholawicki podejrzewał w tym jakąś tajemnicę, a nawet śledził staruszka w czasie jego wędrówek po zamku, ale nigdy nie zdołał nic wymiarkować.

Miejsce to musiało rzeczywiście łączyć się dla księcia z jakimś strasznym wspomnieniem, gdyż zawsze mówiąc o nim przymykał oczy, co było dowodem najwyższego strachu. I tym razem także starzec przymknął oczy i dłuższy czas łapał oddech bladymi wargami.

Wreszcie rzekł od niechcienia:

— Tu w ogóle straszy.

Cholawicki wzdrygnął się. To był drugi ulubiony konik maniaka. Ciągłe napomykał, że straszy, a mówił to złośliwie, z pewną filuterią i przekorą.

Cholawickiemu zdawało się nieraz, że stary bawi się jego nerwowym lękiem, którego nie umiał ukryć — rzeczywiście nerwy miał roztrzęsione i żył w nieustannej obawie czegoś... nie wiadomo czego... co, czaiło się w pustce komnat. Więc może była to ze strony księcia chytrość i przekora, złośliwość wariata, dziecinne straszenie zamkiem. Lecz było widoczne, że boi się naprawdę — nie wiadomo co sobie wymarzył i jakie miewał halucynacje, ale wyglądał jak człowiek raz na zawsze doszczętnie przerażony, ścigany bez przerwy lękiem.

Nawet śmiech jego był nadmiernie piskliwy — i ciągle rozglądał się, oczy jego pracowały nieustannie, zanurzając się w mroczne kąty.

Co prawda Cholawicki wiedział, że on sam wywiera podobne wrażenie. To nieuchwytna, a przejmująca atmosfera zamku musiała tak wpływać na nich obu.

Inna rzecz że zawsze nasuwało mu się, gdy patrzył na księcia, na jego wieczne zalęknienie, przerażoną chytrość i grozę, czającą się w oczach, iż nad przeszłością starego dziwaka musiało zaciążyć coś strasznego. Szaleństwo jego miało prawdopodobnie jakąś specjalną przyczynę, nie było wyłącznie spowodowane degeneracją organizmu.

Cóż takiego mogło mu się zdarzyć? Dlaczego krzyczał „Franio”? Co to był za Franio? O przeszłości księcia wiedział tylko tyle, iż w młodości bawił się hucznie i wesoło we wszystkich stolicach Europy. Potem ożenił się, ale żona umarła podczas porodu.

Wówczas osiedlił się na zamku i pędził egzystencję zupełnie samotną. Odezwała się w nim natura Holszańskich. Gdy go Cholawicki po raz pierwszy parę lat temu ujrzał, wyglądał już zupełnie tak samo, jak teraz i tak samo podlegał atakom lęku.

Dlaczego w zachowaniu jego było tyle strachu? Grzegorz nie umiał wyjaśnić tych spraw Cholawickiemu, któremu zresztą przyćmienie umysłowe księcia było bardzo na rękę. Temu zawdzięczał, iż książę ujrawszy w nocy Leszczuka wziął go za „Franię” — widocznie każdy młody chłopiec wydawał mu się owym „Franiem”, o którym nigdy nie chciał mówić.

— Niech książę weźmie krople — rzekł. — Znowu gorzej z nerwami. Nalał mu podwójną porcję mocnego środka nasennego i wrócił do Maji. Miał pewność, iż po zażyciu kropel książę nie obudzi się przez całą noc, co umożliwi przeniesienie obrazów bez zwracania jego uwagi. Jeszcze dłuższy czas rozmawiał z Mają, po czym, gdy dziewczyna wyszła, skierował się na parter i zawołał półgłosem:

— Grzegorzu!

— A co tam? — odezwał się stary kamerdyner z głębi niewielkiej ciupki, ja ką zajmował w pobliżu głównych schodów.

— Niech Grzegorz pójdzie ze mną. Jest coś do roboty.

— Zara, tylko się odzieję. Tyż! Po nocy...

— Prędej!

— Zara, zara... Phi, jakie rozkazy!

Kamerdyner nie znosił Cholawickiego, ale przewidywał w nim przyszłego pana, wołał więc

nie zadzierać zanadto. Prowadził na ogół politykę ścisłej neutralności. Księcia nie wtajemniczał w swoje podejrzenia co do „kombinacji” sekretarza, a Cholawickiemu również nie udzielał żadnych informacji.

— Ja ta nie wiem — odpowiadał, gdy sekretarz pragnął go wybadać — pań stwa nie podglądam, to nic nie wiem!

Cholawicki najchętniej obyłby się bez jego pomocy, ale nie chciał, by Grzegorz nabrał przeświadczenia, iż coś tu się „spekuluje” w tajemnicy przed nim.

— Grzegorz mi pomoże — rzekł. — Trzeba będzie pozdejmować niektóre obrazy i przenieść gdzie indziej.

— A po co? Wisiały tyli czas, to niech wiszą.

— Niech Grzegorz się nie spiera ze mną! Powiedziałem i koniec! A księciu niech Grzegorz nic nie mówi. Muszę pokazać te obrazy jednemu panu. Bardzo zniszczone, trzeba je odświeżyć.

— Dużo to pomoże odświeżenie takim mazajkom!

Pomimo to zabrał się do zdejmowania obrazów wskazanych przez Cholawickiego. Zdjęli nie bez trudu prawie wszystkie płótna — oprócz kilku, tak brzydkich, iż nie można było mieć złudzeń co do ich wartości. Zwinęli niektóre makaty i dywany.

— Gdzie to się złoży? — zapytał Grzegorz głosem zachrypniętym od kurzu. Cholawicki zastanowił się. Chodziło o to, żeby nie dźwigać rzeczy daleko, ale schować je gdzieś w pobliżu, a pewnie. Przypomniała mu się narożna komnata, zwana „starą kuchnią”.

Była to izba na uboczu od głównych sal, nikt do niej nie zaglądał, a przy tym zalecała się ciężkimi dębowymi drzwiami, umocnionymi żelazem i zamykanymi na klucz.

— Chodźmy — rzekł. — Zaniesiemy to do starej kuchni.

— Do starej kuchni? A dlaczego do starej kuchni?!

— A dlaczego nie? Co Grzegorzowi się stało?!

— Tam... brudno.

— Wszędzie brudno. No, chodźmy. Ma Grzegorz klucz? Wziął lampkę i poszedł wąskim korytarzem, a stary za nim.

Kiedy jednak znaleźli się pod drzwiami, kamerdyner znowu odezwał się:

— Może lepiej byłoby w sali Ariańskiej?

Niech Grzegorz otwiera! — zawołał Cholawicki, który zaczął coś podejrzewać. Ale tamten wyciągnął ku niemu klucze.

— Niech pan sam otworzy.

— Cóż to takiego?!

— Nic...

Cholawicki przekreślił ogromnym kluczem w zamku.

— Panie, niech pan lepiej nie otwiera — szepnął Grzegorz gorączkowo.

— A dlaczego?

— Tam ... straszy.

— Aha — przemknęło przez myśl Cholawickiemu. — Czyżby to była ta „niedobra” komnata?

Otworzył drzwi. Oczom jego ukazała się dosyć duża bielona izba, która rzeczywiście musiała kiedyś służyć za kuchnię, gdyż zachował się w niej piec i komin z rusztem.

Powietrze było tu niezłe, gdyż brakowało paru małych szybek w oknie. Spozregł ze zdziwieniem, że pod ścianą stało zwykłe łóżko żelazne, przykryte pledem, a dalej umywalka, szafa... wyglądała jakby ktoś tu mieszkał względnie niedawno. Na podłodze wały się stare gazety.

Chciał wejść do środka, ale Grzegorz chwycił go za rękę.

— Panie — rzekł ostrzegawczo — niech pan nie zaczepia... niech pan da spokój. To jest

nieczyste miejsce.

— Cóż tu straszy? — zapytał z ciekawością. — Grzegorz widział?

— Niech mnie Bóg broni! Ale za mojej pamięci dwóch ludzi tu ze strachu marnie skończyło. Będzie piętnaście lat temu pan Rudziański, praktykant, też mówił, że się nie boi duchów i nocował tu umyślnie — to rankiem go znalazłem pod schodami, siedział i tylko się kiwał, a włosy mu sterczały do góry, jak szczotka. Już więcej nie przemówił ani słowa, zwariował ze szczętem. — Przenocuję, powiada, zobaczę. No, przenocował, zobaczył... a teraz siedzi w Czubkach i ciągle ręce przy twarzy trzyma, aż mu się podobnież na ty twarzy wrzody porobiły. A drugi, syn kucharza, Wicus. Także zgłupiał ze szczętem, aż umarł zaraz potem z ty głupoty!

— Co za głupstwa. Może im się co zwidziało?

— Zwidziało, nie zwidziało. Niech pan wyjdzie stąd. A zresztą są tu znaki dla każdego jawne. Każdy może poznać od razu, że tu jest nieczysta siła. Widać przecie.

— Cóż takiego?

— Ja ta nie będę mówił.

Cholawicki podniósł do góry lampę, ale nie dostrzegł nic szczególnego. Białe ściany wydawały się nawet dość przyjemne i pogodne w porównaniu z innymi salami. A jednak na pewno było coś anormalnego... przy bliższym wejrzeniu miało się uczucie, że w pokoju dzieje się coś niezgodnego z prawami przyrody, tylko nie wiadomo było, co.

Wreszcie Grzegorz trącił go i milcząc, nieznacznie wskazał palcem ręcznik, szary od kurzu, zawieszony na starym, żelaznym wieszaku. Drżał on z lekka, prawdopodobnie — wskutek prądu świeżego powietrza, idącego od okna.

Ale ruch ten był dziwny. Ten ręcznik nie poruszał się swobodnie na przeciągu, ale drżał i był naprężony. Wywierało to wrażenie jak gdyby niewidzialna dłoń przytrzymywała go od dołu. Ten ruch nie mógł powstać wskutek prądów powietrznych — był to ruch inny.

— Cóż to takiego? — mruknął przyglądając się zjawisku.

Widok drżącego, naprężonego ręcznika działał odstręczająco, był jakiś ohydny. Przewycięzył wstręt i chciał podejść bliżej, ale Grzegorz schwycił go za ramię.

— Niech pan zostawi!

— Głupstwo! To musi mieć swoją przyczynę.

— Pewnie, że przyczyna jest! — mruknął siwy kamerdyner, żegnając się nieznacznie.

— A jaka?

— Jest.

Zrozumiał, że niczego się nie dowie. Żadna siła nie wydusiłaby z Grzegorza bliższych informacji. Zresztą jemu także, choć nie wierzył w duchy, zrobiło się nieprzyjemnie. Roześmiał się.

— No, no, niech Grzegorz się uspokoi. Jeszcze nie było takiego zamku, który by nie miał swojego ducha. Ostatecznie możemy rzeczy złożyć gdzie indziej, chociaż tu byłoby najlepiej, bo szcurów nie ma.

— Pewnie, że szcurów nie ma. Tu żaden szcur się nie pokaże — odparł zabobonnie, zamykając drzwi. Mądrzejsze one od ludzi.

— A książkę tu zachodzi czasem?

— Nigdy a nigdy.

Przenieśli rzeczy do jednej z sąsiednich sieni. Ale Cholawicki długo jeszcze nie mógł się wyzbyć ohydneho uczucia — ni to zgrozy ni to wstrętu — które ciszę i pustkę zamkową czyniło jeszcze przykrzejszymi niż dotychczas.

ROZDZIAŁ V

Profesor Skolimski szedł ścieżką przez las, niby na spacer, a w gruncie rzeczy, by jeszcze raz popatrzeć na niedostępne a jakże pożądane mury.

Szedł wolno, rozmyślając nad sposobami przedostania się do środka i od czasu do czasu z abominacją spluwał na mchy leśne. Ze też jemu, profesorowi, intelektualście przypadła taka rola na stare lata! Tfy! Tfy! To wszystko może skończyć się kompromitacją! Czuł, iż nie nadaje się na włamywacza.

A jednak był przekonany że racja jest po jego stronie. Czyż można było dopuścić, ażeby niezmierzone bogactwa i wybitne dzieła ducha ludzkiego marnowały się żałośnie na łasce i niełasce zdziwaczałego arystokraty?

— U nas wszystko się marnuje! — myślał gorzko. — Przecież te skarby zwiększyłyby bogactwo narodowe! Czyż w krytycznych chwilach państwo nie zaciąga pożyczek pod zastaw dzieł sztuki? Czyż nie jest to rezerwa nie gorsza od rezerwy złota? A więc nie jest to obojętne dla ogółu, jaki los spotyka te przedmioty. Pomijając nawet ich wartość duchową. Ograniczając się do kwestii czysto finansowej.

Ale u nas wszystko się marnuje. Wprawdzie jest pod tym względem z każdym dniem lepiej, ale jeszcze... Ludzie marnują się nie mniej, od obrazów. Taki Leszczuk! Aż spręży się w nim od sił żywotnych, ale chłopak nieuporządkowany, niezorganizowany, można by rzec — niemoralny, amoralny. Równie łatwo może dokonać czegoś pożytecznego i czegoś złego... Jak wypadnie, jak się ułożą okoliczności.

A Maja? Zupełnie tak samo. Szalona żywotność, nie uregulowana rzeka, która występuje z brzegów i zalewa pola, zamiast poruszać młyny. Ot, Wisła...

A te dwie paniusie, jedna — chuda, a druga — tłusta. Jedna gorzka, a druga słodka, ale obie równie ciasne i ograniczone. A radca Szymczyk? Otóż to! Z jednej strony nieopanowany żywioł, a z drugiej biurokracja, schematyzmy, papierowe udoskonalenia, administracyjne szykany. A obrazy w zamku marnują się...

— Tfy, tfy. A, dzień dobry pani! Skąd pani tu się wzięła?

Ten ostatni wykrzyknik odnosił się do Maji, którą ujrzał wychodzącą z gąszczu naprzeciwko. Wydawała się niezdecydowana, a jednocześnie poważna.

— Doskonale, że pana spotykam, profesorze — rzekła. — Mam z panem do pomówienia.

— Ze mną?

— A tak. W związku z ... pewnym budynkiem, którym pan się interesuje. Profesor nie zamierzał się wypierać.

— Aha — rzekł, przypatrując się jej baczenie — pan Cholawicki mówił pani, że chciałem zwiedzić zamek?

— Wiem nie tylko od niego.

Opowiedziała mu w paru słowach o swojej wczorajszej bytności na zamku i o krzykach Holszańskiego.

— Henryk niczego się nie domyślił i złożył to na karb chwilowych halucynacji księcia, ale ja znalazłam scyzoryk Leszczuka i domyśliłam się, że to on był. Nie powiedziałam o tym Henrykowi, ale dziś rozmawiałam z Leszczukiem. Przyznał się i... to podobno pan profesor go namówił?

Profesor zagryzł wargi. A więc Leszczuk wygadał się. Tego można było się spodziewać.

— Proszę pani — rzekł z godnością — nie mam się czego wstydzić, ani też nie mam nic do

ukrywania. Rzeczywiście pragnę dostać się do zamku, ale powodują mną jedynie czyste intencje. Gdyby narzeczony pani nie robił mi wstrętów, nie potrzebowałbym uciekać się do takich forteli.

— Właśnie — rzekła — o tym chciałam z panem pomówić. Henryk nie chce nikomu pokazać tych rzeczy.

— Ach, i o tym pani wie? Ale to znaczy, że są jednak rzeczy.

— Są. Jest kilka salumeblowanych... Ale ja nie potrafię ocenić... I jeżeli pan chciał to zobaczyć w sekrecie przed Henrykiem, to ja bym pana zaprowadziła. Znam przejście. Żadnego ryzyka, nikt nie zobaczy.

Przyglądał się jej z wzruszającym zdziwieniem. Jak to? Ona sama chciała mu pokazać — i w sekrecie przed narzeczonym? Cóż to miało znaczyć?

Profesor czuł instynktowną nieufność do panien w rodzaju Maji, które przerażały go swoim niezależnym sposobem bycia, przedwczesną dojrzałością i nieznającą hamulców swobodą. Czyżby ona usiłowała go nabrać? Jeżeli Cholawicki chce ukryć rzeczy, to dlaczego ona chce pokazać?

Maja stała pod drzewem, obgryzając źdźbło trawy. Widzi pan — rzekła od niechcienia, nieomal dziecinnie. — Ja panu powiem. Henryk ma widoki na spadek po księciu, to jest powód, dla którego się z nim zaręczyłam. Ja potrzebuję pieniędzy! — ostatnie słowa wyrzuciła z siebie niecierpliwie. — Dużo! Jeżeli on nie będzie miał bardzo dużo, to ja nie wyjdę za niego, bo go nie znoszę!

Wytrzeszczył na nią oczy jeszcze bardziej. Co? Takie poufne rzeczy mówiła obcemu człowiekowi. Ale w jej głosie brzmiał akcent szczerości.

— Nie znoszę go! On mnie drażni. On mi jest zupełnie obojętny! Wyszłabym za niego, ale muszę mieć gwarancję, że jego majątek będzie naprawdę wielki. Słyszałam tę legendę, że na zamku są bogactwa, ale od niego nie mogę się dowiedzieć nic konkretnego. Obawiam się, że te rzeczy nie mają większej wartości i że on umyślnie nie mówi mi prawdy z obawy, abym go nie rzuciła. On kocha mnie — wtrąciła z pewną dumą, nawiasowo. — Otóż ja nie dam się nabrać! Zaprowadzą pana i niech pan zobaczy — pan się zna?

Naiwny cynizm tej dziewczyny wydał się profesorowi niezbyt wiarygodny. Coś w tym wszystkim było nieprawdopodobnego.

— Dziecko, co też ty mówisz! Nie kochasz go?

— Nie! I to jest typ podejrzany! W ogóle nie kocham nikogo — wyrwało się jej.

— Nikogo?

— Nie! Ani matki, ani jego, ani nikogo... Nieee, tylko siebie! Powiedziała to „nieee” w taki sposób, iż profesorowi natychmiast przypomniał się Leszczuk. Jego również od dłuższego czasu uderzało i niepokoiło szczególne i nieuchwytnie pokrewieństwo ich typów. Ale tym razem zaznaczyło się ono jeszcze wyraźniej... aż stary profesor poczuł ku swemu zdziwieniu, iż czerwieni się, jak piwonია.

Ona zaś momentalnie także stała się czerwona i powiedziała cicho przez zaciśnięte zęby.

— Nieee... Nie kocham nikogo, tylko jestem podobna! Podobna jestem do... do kogoś!

Widać było, że najwyższym wysiłkiem woli powstrzymuje płacz, ale łzy same zaczęły jej spływać po policzkach i usta się wykrzywiły. Stała wyprostowana, nie zakrywając twarzy, wydana na pastwę wstydu.

Ujął ją za rękę.

— Spokojnie, spokojnie, dziecinko...

— Pan także wie, do kogo jestem ... To złodziej! On chciał okraść moją szafę! Ale ja jestem taka sama! My jesteśmy identyczni! Pan się dziwi, że ja to mówię otwarcie? Dlaczegoż miałabym się wstydzić? Jeżeli jestem zupełnie, ale zupełnie taka sama...

Profesor słuchał z przerażeniem i szukał słów.

Już nie miał najmniejszych wątpliwości, że wszystko, co mówi ta dziewczyna, jest prawdą. Nienawidziła narzeczonego. Chciała pokazać rzeczy. Zwierzała się obcym. Wszystko musiało być prawdą, ponieważ — była podobna do Leszczuka. I gdyby dowiedział się od niej, że okradła kogoś, również uwierzyłby natychmiast, do tego stopnia ta historia z Leszczukiem czyniła skądinąd przyzwoitą i poprawną pannę — nieobliczalną i ekscentryczną.

Ale jak ona nim pogardzała!

— Nie trzeba pogardzać! — szepnął wreszcie i odszedł. Nie mógł dłużej słuchać tego — musiał się zastanowić. Jak tylko zniknął za drzewami, Maja roześmiała się prawie na cały głos. Nie mogła się powstrzymać. Jej własny płacz tak ją rozśmieszył.

— Udało się! — pomyślała. Teraz będzie można pokazać mu rzeczy! Henryk powinien być zadowolony. Uwierzył we wszystko.

On myśli, że ja się kocham w Leszczuku. Doskonale! Co mi to szkodzi! W ten sposób mogę im wmówić wszystko, co mi się spodoba. Tylko, że... ja naprawdę płakałam — pomyślała ze zdziwieniem ocierając ślady łez. No tak, to podobieństwo jednak denerwuje mnie. Ale tym lepiej. Póki byłam zwykłą, normalną panną Ochołowską, nie mogłam sobie na to pozwolić, na co może pozwolić sobie panna... podobna do Leszczuka!

— I tak już jestem ośmieszona! — szepnęła.

Wracając do domu spotkała tłustą doktorową w towarzystwie chudej urzędniczki. Obie panie zamilkły na jej widok, jak gdyby właśnie o niej rozmawiały.

Maja domyśliła się tego od razu z ich wzroku. Och Jak znała od paru dni te kontrolujące, ukradkowe spojrzenia. Zbliżyła się z uśmiechem.

— Czy nie widziały panie Leszczuka?

— Nie! — zawołała doktorowa. — A co, kochana moja? Chcecie sobie po grać?

— Nieee! Tylko tak chciałam z nim pogadać!

Powiedziała to lekko, ale beczelnie, bawiąc się efektem tych słów na obu paniach. Wiedziała, że „podobieństwo” zabarwia takie jej odezwanie szczególnym sensem — jakoż doktorowa i urzędniczka po jej odejściu wymieniły porozumiewawcze znaki.

Obie były przekonane (choć nie miały na to żadnych dowodów), że pomiędzy panną a trenerem muszą zawiązać się jakieś stosunki, a brak wszelkich konkretnych podstaw do tego twierdzenia tylko pogłębił ich intuicyjną pewność.

Tego samego zdania był zresztą i profesor. Tylko że on po rozmowie z Mają nie wahał się użyć tu słowa „miłość”. Rewelacyjne zachowanie się panny Ochołowskiej w czasie tej rozmowy wstrząsnęło nim do tego stopnia, że prawie zapomniał o zamku.

Nie miał żadnych wątpliwości, że albo już do szaleństwa zakochała się w trenerze, albo też jest na prostej drodze do tego.

— Zadziwiająca! — myślał. — Że też ja od razu na to nie wpadłem! Przecież oni są jak stworzeni dla siebie! Dość spojrzeć! To nie jest podobieństwo, to jest zgodność, jakaś wewnętrzna zgodność typów — coś, co ich pcha ku sobie wbrew wszystkim względom. Trafili na siebie! Dobrali się! Takie rzeczy zdarzają się rzadko, ale jeśli się zdarzą, są nie do zwalczenia. Ależ to Romeo i Julia! Ciekawym, czy on także już... Na pewno! Ależ to awantura! Biedna pani Ochołowską!

— W niej toczy się walka — pomyślał dalej o Maji — między ambicją a fatalną siłą doboru. Biedaczka jest przerażona „podobieństwem”, a może bardziej jeszcze tym, że poddaje się mimowolnie temu „podobieństwu”. Ona gardzi nim. Jak powiedziała — złodziej? Czyż on rzeczywiście chciał coś zwędzić? To ją upokarza, odbiera jej godność i takie nie uświadomione, a poniżające uczucie może pchnąć ją w okropne rzeczy — zwłaszcza przy jej usposobieniu!

Ba! Ale co ja mam robić?! Czy skorzystać z jej propozycji i pójść na zamek? Nie ma mowy! Nie mogę się angażować w taką historię. Tak, ale wówczas przypadnie jedyna okazja obejrzenia antyków zamkowych — które jednak są — jak powiedziała — są na zamku!

Profesor po namyśle zdecydował się pójść. Być może przesadzał wagę sytuacji. Potem będzie jeszcze czas na rozważenie, jak i o ile można by pomóc Maji.

Po kolacji mrugnęła na niego i po chwili spotkali się za bramą wjazdową, w lesie.

— Idziemy! — rzekła.

Księżyc świecił. Woda połyskiwała między trzciniami. Mgły zasnuwały podnóże zamku.

Kilkakrotnie próbował zacząć z nią rozmowę, ale odpowiadała monosylabami, milcząca i tajemnicza. Profesorowi coraz dziwniejsza wydawała się sytuacja — on, wiedziony przez tę ponurą panienkę, prowadzony przez nią do zamku, który rósł w miarę zbliżania się w pomroce nocnej. Ale im bliżej byli murów, tym bardziej namiętność badacza brała górę nad wszystkim innym.

Przeprowadziła go podziemnym korytarzem. Nareszcie! Byli w zamku — i profesor szedł po wąskich schodkach do sal na pierwszym piętrze. Maja prowadziła go trasą umówioną z Cholawickim, to znaczy wschodnim i północnym skrzydłem, akurat po przeciwnej stronie pokoiów, zajmowanych przez niego i przez księcia. Szli cicho.

Profesor przyzwyczał się szybko do ciemności, tym bardziej iż nieco światła księżycowego padało z okien. Ale te komnaty były puste, zniszczone, zrujnowane...

Tu i ówdzie ślady renesansowego fryzu nad drzwiami, rozwiązanie sklepienia, lub resztki rozwalonego kominka, wskazywały na dawną szlachetność tych wnętrz, brutalnie nagich i ogołoconych.

Zbliżył się do okna i parę minut przyglądał się attyce dziedzińca, oraz proporcjom krużganków. Maja patrzyła na niego z ciekawością. Pomimo iż miała inne kłopoty, udzieliła się jej pasja znawcy.

Twarz profesora jak gdyby zmądrzała, stała się czujna i natężona. Chwilami zapominał zupełnie o koniecznych ostrożnościach, to znowu, przerażony gwałtownie oglądał się za siebie. Niektóre szczegóły architektoniczne komnat, na pozór bez znaczenia, przyciągały jego uwagę, ale na ogół nie przejawiał większego zachwyty.

Dopiero gdy znaleźli się w komnatach najstarszej części zamku, małych, ciasnych, o przeraźliwie grubych, wysoko sklepionych murach, parokrotnie cmoknął z uznaniem.

Otworzyła zamknięte na klucz drzwi do amfilady ośmiu renesansowo — barokowych sal, w których przechowywane były meble i zapaliła lampę naftową, stojącą na niewielkim okrągłym stoliku.

— Tu są te rzeczy — rzekła.

Szczur zachrobotał w kącie.

Profesor westchnął głęboko — zabrakło mu oddechu ze wzruszenia. Obrzucił wzrokiem całą salę jakby od razu chciał jednym haustem wypić jej zawartość. Nie wywierała większego wrażenia. Musiała być niegdyś przerobiona z dwóch mniejszych pokoiów, gdyż mocno szerniały plafon dzielił się na dwie części podparte w środku kolumną dosyć nędznej roboty.

Podszedł do stoliczka, na którym stała lampa.

— To jest Boule — mruknął przyglądając się inkrustacjom.

— Co to znaczy Boule?

— To mistrz francuski z XVIII-go wieku. A ten fotel? To jest tak zwana sedia Savonarola, XV-ty wiek, jeden z najpierwszych foteli świata. Trzeba pani wiedzieć, że w owym czasie prawie nie znano nawet krzesel. Ludzie siadali na takich skrzyniach, jak ta — wspaniała, to Franciszek I, albo na ławach, wpuszczonych w ścianę, do których dostawiano stoły. Widzi pani,

tamta skrzynia, to jeszcze gotyk. Jakim sposobem te rzeczy zabłądziły aż tutaj?

Dotknął palcami rzeźby i syknął, jakby się sparzył. Skrzynia była przeżarta od spodu przez szczury.

Przeszedł wolno wzdłuż starożytnych sekretarzyków flamandzkich i włoskich oraz szaf gdańskich pod ścianą. Rzucił okiem na plafon.

— To nic nie jest! — zdecydował z pogardą. — Nędzne malowidło barokowe. Gdzie są obrazy?

— W następnych salach.

Maja wzięła lampę, on zaś pomagał sobie elektryczną latarką. Przeszli do następnej sali, ogromnej z sześcioma oknami.

— Czy nie widać światła w oknach?

— Nie, tych okien w ogóle nie widać z zamieszkaney części zamku. A zresztą zakryłam lampę papierem od strony okien.

Podszedł do płócien, pozostawionych przez Cholawickiego, jako zupełnie bezwartościowe. Rzeczywiście były to ohydne kicze, namalowane tak nieudolnie, iż Maję zdziwiła staranność, z jaką badał każdy obraz. Coraz większe rozczarowanie pojawiała się na jego twarzy.

— No, tu nianie ma. Chodźmy dalej.

Rozejrzał się po ścianach. Maja obawiała się, iż dostrzeże nieznaczące ślady Jakie pozostały po zdjętych obrazach, ale profesor nie był na tyle spostrzegawczy. Wtem podszedł do starego, prawie zupełnie szerniałego płótna sporych rozmiarów — jakiejś sceny biblijnej, gdzie widać było jedynie twarze — i nagle wpatrzył się weń jak urzeczony. Przystawił lampę z boku — z obrazu wyjrzały pokraczne rysy, naiwnie namalowane ręce i sztywne fałdy strojów.

Uśmiechnęła się:

— Ależ to karykatura!

Profesor oglądał teraz spód obrazu i delikatnie wodził palcami po jego powierzchni. Wyjął lupę i przyglądał się chropawym farbom.

— No, no — mruknął...

— A co? — spytała.

— Pierwszorzędna sztuka. Albo się grubo mylę, albo... Hm, zaraz...

— Jak to?! — spytała zdumiona. — To jest dobry obraz?

— Jak pani to powiedzieć? W całej Polsce nie ma ani jednego obrazu, który by w połowie był tak dobry, jak ten.

— Ależ to niemożliwe!

Była zdumiona. Fatalnie się stało, że Henryk pozostawił ten obraz! Ale kto by mógł przypuścić — takie paskudztwo!

Lecz profesor zaczął gorączkowo przeglądać małe portreciki, które poprzednio pominął i wydobył z nich jeden mały obrazek, w zwykłych, złoconych ramach.

— A to mi zalatuje Tycjanem!

— Co?!

— Tu rzeczywiście są skarby!

— Niech pan poczeka. Zaraz wrócę.

Maja pobiegła do Cholawickiego.

— Wszystko na nic! — zawołała od progu.

— Co się stało?

— Okazuje się, że te najgorsze obrazy, które zostawiłeś, to właśnie wspaniałe dzieła! On tam odkrył Tycjana i jeszcze coś!

— Niemożliwe!

Cholawicki był wstrząśnięty do głębi. Z jednej strony wszystkie nadzieje jego zostały potwierdzone! Na zamku były skarby! Ale z drugiej odkrycie profesora mogło grozić fatalnymi komplikacjami.

— Co teraz zrobimy?

— Tego człowieka trzeba koniecznie jakoś unieszkodliwić. Teraz stał się naprawdę niebezpieczny.

Namyślał się.

— A może... — mruknął i naraz rozejrzał się ostrożnie po pokoju.

— Co?! — dopytywała się zainteresowana Maja. Ale on roześmiał się, jakby ubawiony własną myślą.

— Nic. Trzeba po prostu wejść z nim w porozumienie. Nie ma sensu ukrywać przed nim prawdy. Musimy go zatrzymać na zamku. Jeżeli już wie o wszystkim, to niech przynajmniej skataloguje i oceni obrazy. A ja zyskam na czasie; jakoś sobie z nim poradzę.

Profesor zdziwił się niepomiernie, ujrawszy Maję razem z Cholawickim. Ale sekretarz od razu przystąpił do rzeczy.

— Profesor domyśla się, że zależy mi na utrzymaniu tajemnicy w tym przedmiocie?

— Domyślam się.

Cholawicki roześmiał się.

— Nie! Pan się myli! W moich intencjach nie ma nic tak zdrożnego — powiedział z ironią. — Po prostu księżę zapisał mi w spadku zarówno nieruchomości, jak ruchomości mysłockie, a ja chciałbym uniknąć niepotrzebnych trudności i procesów na wypadek, gdyby dalsza rodzina dowiedziała się, że spadek jest większy, niż się powszechnie przypuszcza. Jak pan widzi jestem zupełnie w porządku i działam w myśl życzeń księcia. Jest to zwykła ostrożność dla uniknięcia niepotrzebnych szykan. Otóż — profesor mógłby mi się nawet przydać, gdyż jak się okazuje, sam nie dałbym sobie rady z tymi antykami. Tu potrzeba znawcy, który by to skatalogował, oszacował i nawet cieszyć się, że Maja tu pana sprowadziła. Chcę panu coś zaproponować.

— A co takiego?

— Jeżeli pan mi obieca zachować w dyskrekcji całą sprawę, zaprosiłbym pana na zamek na kilka dni i rozejrzałby się pan w rzeczach. Ale stawiam dwa warunki. Primo — dyskrekcja. Secundo — musiałby pan zamieszkać tutaj. Widzi pan, księżę jest w fatalnym stanie nerwowym i nie znosi obcych osób w zamku. Gdyby pan przychodził tutaj, mógłby pana dojrzeć, a także mogłoby to zostać zauważone w pensjonacie. A tak powie się w Połyce, że pan wyjeżdża do Warszawy, tu zaś damy panu pokój gdzieś na boku — zamek jest obszerny i nietrudno będzie się zakonspirować, póki nie ukończy pan roboty. Mógłby pan się zjawić chociażby jutro wieczorem. Zresztą — dodał — pokażę panu jeszcze inne obrazy.

Profesor zawahał się. Ta propozycja była nieoczekiwana. A przy tym — spędzić kilka dni na zamku w tajemnicy przed księciem i na łasce tego pana. Wprawdzie wyjaśnienia Cholawickiego brzmiały nader uspokajająco i było raczej naturalne, że nie chciał narażać się na niepotrzebne trudności z rodziną, ale profesor nie miał jakoś do niego zaufania. I ta pustka, te rzędy sal, to milczenie zamkowe...

Zresztą profesor wiedział, że chciano go oszukać. Zarówno „Tycjan”, jak i drugi odkryty przez niego obraz były w rzeczywistości nieudolnymi płodami jakiegoś anonimowego kiczarza sprzed stu laty. Od razu zorientował się po śladach na ścianie, że część obrazów wyniesiono i wykorzystał ignorancję Maji i Cholawickiego, aby unicestwić podstęp. A teraz zapowiedź sekretarza, że pokaże mu jeszcze „inne obrazy”, nappełniła go najpiękniejszymi nadziejami.

To przeważyło.

— Zostaję — rzekł.

ROZDZIAŁ VI

— Coś tu się dzieje!

— Co się ma dziać?! Dzieje się coś z nerwami księcia i tyle!

— Coś tu się dzieje! Ja mówię Henrysiowi, że coś się dzieje!

— Gdzie?

— Tu. Na zamku. Nie wiem, gdzie, ale coś się dzieje. Równowaga jest naruszona. Coś — gdzieś — ktoś, bo ja wiem kto, ale na pewno — może na parterze — albo w starym zamku. Nie wiem, ale coś!

Cholawicki od godziny usiłował opanować nerwy starego księcia Holszańskiego, który miał się w łóżku w bezprzedmiotowym lęku. Uszy jego, przyzwyczajone od lat do jednakowej symfonii zamkowej, musiały rozróżnić jakąś nieuchwytną zmianę, gdyż nigdy dotąd nie zrobił sekretarzowi takiej sceny.

— No dobrze, ale czy słyszał księżę jakie podejrzone szmery? Na czym księżę opiera swoje przypuszczenia?

— Nic nie słyszałem, ale coś musi być — coś nowego jest na zamku — coś się dołączyło!

— Do czego?

— Ach, kiedy Henryś nic a nic nie rozumie! O Boże, Boże, Boże!... Zasłonił twarz rękami, ale Cholawicki zauważył, że jednym okiem patrzy nań przez palce. Niewątpliwie podejrzliwość jego wzrosła — zresztą sekretarz wiedział, że księżę w niepojęty sposób łączy absolutne doń zaufanie z absolutną podejrzliwością.

Namówił znękanego księcia do przyjęcia podwójnej ilości bromu i skierował się w stronę „muzeum” jak ironicznie nazywał sale z antykami.

Stwierdziwszy, że Grzegorz jest u siebie na dole, otworzył ciężkie drzwi starej kuchni i wszedł do środka. Dłuższy czas stał tuż przy drzwiach i patrzył uważnie na rącznik, który w świetle latarki drżał i wibrował ruchem monotonnym, a jednocześnie konwulsyjnym. Potem powiódł snopem światła po całym pokoju. Próbował przezwyciężyć szczególny wstręt, jakim napępiało go to miejsce, lecz nagle przestraszył się, że tak stoi i nasłuchuje nie wiadomo czego.

— Skończy się na tym, że i ja zwariuję — pomyślał. Przeszedł przez kilka sąsiednich sal do pokoju, który Grzegorz przygotował dla profesora. Stało tu łóżko, zasłane na noc, mały stoliczek, umywalnia, lampa, dzbanek z wodą.

Cholawicki zabrał lampę i przeniósł ją do starej kuchni. Postawił na stoliku. Znów na moment zatrzymał się, słuchał.

Potem wrócił i przeniósł pościel.

Musiał dobrze się opanować, by zdjąć z żelaznego łóżka, które tu stało, stary, spleśniały koc i przykryć materac pościelą. Naruszenie czegokolwiek w tym pokoju wydawało się aktem niebezpiecznym i lekkomyślnym.

Przygotował jednak łóżko i przeniósł resztę rzeczy. Zostawił przyćmioną lampę.

Znowu zagapił się na drżący rącznik i opuścił pokój. Operował tutaj niejako końcami palców. Zamknął delikatnie drzwi.

Wracając do siebie przystanął w jednym z okien wychodzących na podwórze i zamyślił się. Chwilami chciało mu się śmiać, jak sztubakowi, a chwilami napadało go głuche przerażenie, o wiele większe, niż gdyby przygotowywał na profesora zwyczajny zamach z rewolwerem. To co robił, wydawało mu się jednocześnie okropnie głupie — i okropnie straszne.

Właściwie dzieciństwem i głupotą było przypuszczać, że „strachy” w komnacie przyprawia

profesora o pomieszczenie zmysłów, lub też w inny sposób go zlikwidują. Ale Cholawicki nie miał odwagi samemu rozprawić się z intruzem.

W bezsilnej wściekłości, czując się zupełnie bezradny wobec profesora, wpadł na ten żakowski pomysł — postanowił przynajmniej ulokować go na noc w starej kuchni. A nuż naprawdę coś stanie się profesorowi; a przynajmniej (choćby nie zwariował jak tamci) przestraszy się i straci ochotę do mieszania się w sprawy zamkowe.

W każdym razie eksperyment ten nie mógł zaszkodzić. Ruch ręcznika był rzeczywiście niesamowity... Jeżeliby zaś profesorowi nic się nie stało, mógł zawsze, mając go na zamku, zastanowić się nad użyciem innych środków, pojednawczych lub przymusowych.

Zeszedł na dół i oczekiwał na profesora i Maję przy wejściu do korytarza. Przybyli z opóźnieniem, gdyż upozorowanie wyjazdu do Warszawy nie było wcale takie łatwe. Profesor musiał jechać końmi na stację, a stamtąd wynajętą dorożką wrócić w pobliże zamku — tu spotkał się z Mają, która pomogła mu dźwigać niewielką walizeczkę z rzeczami.

— Tylko cicho! — szeptał Cholawicki, prowadząc ich przez sale. — Księżciu znowu jest gorzej. O, tu jest pokój dla profesora.

— Dziękuję. Wcale przyjemny pokoik.

— Niestety, nie będę mógł dotrzymać profesorowi towarzystwa. Muszę pilnować księcia. Niech profesor zaraz zabierze się do oglądania rzeczy, tylko cicho i ostrożnie ze światłem. Przygotowałem coś do jedzenia. Zresztą musi profesor sam sobie radzić.

— Mógłbym tu rok spędzić o chlebie i wodzie — rzekł namiętnie Skoliński, otwierając drzwi do muzeum.

Sekretarz pożegnał się z Mają i poszedł do księcia. Książę spał. Odtąd aż do późnej nocy krążył między pokojem księcia, a salami, w których działał po cichu profesor.

Poganiał go, spragniony jak najdokładniejszych informacji o przypuszczalnych rozmiarach spadku, domagał się ścisłych cyfr, choć profesor tłumaczył, że dzieła sztuki mają wartość względną, zależnie od rynku i amatora. Przyniósł mu ukryte obrazy, które uczony poddał skrupulatnemu badaniu przy pomocy rozporządzalnych środków.

Skoliński na widok tych malowideł zatarł w duchu ręce z zadowolenia i w podziwie nad własnym sprytem.

To, co teraz widział przechodziło najśmielsze jego oczekiwania. Zidentyfikował już ponad wszelką wątpliwość dwa dzieła Jordaensa, zdumiewające siłą i świeżością kolorytu, oraz jeden pejzażyk Massaccia — jakimi drogami zabłądziły aż tutaj te dzieła? Czy któryś z Holszańskich–Dubrowickich był miłośnikiem sztuki, czy też był to wynik zadziwiającego przypadku? Jak dawno obrazy te były na zamku?

Ale po pewnym czasie opanowało go znużenie, zmęczył go nadmiar dzieł sztuki, którymi był otoczony. Profesor znał dobrze to uczucie przesytu, które nawiedzało go nieraz w muzeach, i wiedział, że nie należy mu się przeciwstawiać. Miał zmęczone oczy i głowa zaczynała go lekko pobolewać. Zdecydował, że trzeba się przespać. Zamknął salę na klucz i poszedł do przygotowanego dlań pokoju. Usiadł na łóżku i przeciągnął dłonią po czole i po oczach. Ziewnął.

Był tak zmęczony, że nawet przejmujące milczenie zamku nie dawało mu się we znaki.

Podszedł od stolika i rozjaśnił lampę, po czym znowu usiadł na łóżku i zaczął rozsznurowywać obuwie.

Nagle przerwał tę czynność. Coś się działo w pokoju. Nie wiedział co, ale był pewien, że coś się tutaj odbywa. Było to dziwne uczucie. Rozejrzał się.

Nic. Białe ściany, podłoga kamienna, piec kuchenny z wielkim okapem — a jednak coś... To coś nie zagrażało z zewnątrz, ale z wewnątrz, to coś było w pokoju. Profesora znieca ścisnęło za gardło nieokreślone, ale przejmujące doznanie takiej ohydy, jak gdyby jakieś obmierzłe

zwierzę czaiło się gdzieś w pobliżu.

Ale kuchnia była prawie zupełnie pusta, za wyjątkiem kupy szpargałów w kącie. Niemniej miał wyraźne wrażenie, że coś się odbywa, że to coś pracuje nieustannie.

Podniósł jedną z porzuconych na podłodze gazet. Był to stary numer *Kuriera Warszawskiego* aż z roku 1923-go. Dwie inne gazety były z tej samej daty.

Kłęczał na podłodze, rozpatrując gazety, gdy naraz opanował go strach, że coś może czaić się za nim. Natychmiast wrócił na łóżko, a strach wzrósł do tego stopnia, że już za nic nie ruszyłyby się z tej pozycji. Bał się każdego ruchu. Pot wystąpił mu na czoło.

Te objawy strachu przeraziły go jeszcze bardziej, gdyż nie miały żadnych racjonalnych podstaw. Najbardziej bał się tego, że się boi. — Dlaczego ja się boję? — myślał tępo.

Wzrok jego szperał po całym pokoju, badał każdy przedmiot. Zastanowiły go papiery w kącie, stos starych książek rachunkowych i jakichś świstków — było to jedyne miejsce w kuchni niezupełnie dostępne oczom i dlatego przyciągało go. Może pod tymi papierami ukrywa się to coś — nie śmiał podejść, ale tym bardziej z daleka przeszukiwał wzrokiem.

Dostrzegł wystający spod sztywnych, buchalteryjnych okładek róg kajetu — zwykłego, szkolnego zeszytu w kratkę, zapisanego ołówkiem. Profesor był dalekowiedzem, toteż bez trudności odczytał parę słów, a mianowicie: „... jak dotąd nic się nie sta...”

Reszta była zasłonięta książkami. Tylko w następnym wierszu odczytał jeszcze: „godz. 12.45. Ciągle nic...”

Momentalnie nabrał przekonania, że to jest w związku z jego sytuacją. W paru zdecydowanych krokach podszedł do kąta, wyciągnął zeszyt i natychmiast wrócił na łóżko.

U góry zeszytu napisane było wielkimi literami słowo:

„Protokół”.

A dalej:

„Protokół bytności mojej, Kazimierza Rudziańskiego, w starej kuchni zamku Mysłockiego w dn. 14-go grudnia 1923 roku.

Ja Kazimierz Rudziański, praktykant na folwarku Promcza dóbr Mysłocz, dowiedziawszy się, iż jakoby w starej kuchni »straszy«, czemu nie daję wiary, postanowiłem zbadać i wyjaśnić kwestię ewentualnych duchów.

Spisuję swoje wrażenia z dwóch przyczyn: naprzód na wieczną rzeczy pamiątkę, a po wtóre, żeby się czemś zająć, bo spać nie mogę, duchy się nie pokazują, a gazety już przeczytałem. Jest 12 min. 20, a zatem godzina duchów już przeszła, a jak dotąd nic się nie stało”.

„Protokół” Rudziańskiego ciągnął się nadal w tym tonie, z lekka żartobliwym, przez parę stronic. Profesor gorączkowo wczytywał się w tekst, spragniony wiadomości, czy ów człowiek przed piętnastu laty doznawał tego samego bezpodstawnego lęku? Jest! Po dłuższych wywodach, zawierających uzasadnienie teorii, iż „zjawisk nadprzyrodzonych w ogóle nie ma”, nadchodził passus następujący:

„Zresztą skłamałbym, twierdząc, iż nie poddaję się zupełnie nastrojowi. Owszem, wciąż czegoś oczekuję i choć usiłuję całkowicie skoncentrować się na pisaniu, ciągle jakimś kącikiem mózgu jestem nastawiony na ewentualne »strachy«. Oprócz lampy zapaliłem dwie świece, każdą w innym miejscu, nikt więc nie będzie mógł pozbawić mnie światła od razu.

Przy tym mam pod ręką rewolwer. Jeżeliby ktoś był na tyle głupi, żeby urządzać jakieś kawały, będę strzelał. Ale jakim sposobem mógłby ktoś urządzić kawał? Przecież drzwi zamknąłem i zastawiłem stołem a przez okno nikt się nie dostanie, bo za wąskie i za wysoko położone”.

Tutaj następował koniec. Reszta zeszytu była oddarta.

— Więc tu straszy? — mruknął profesor.

Rozejrzał się w szpargałach i po chwili wyciągnął garść papierków, zapisanych tym samym pismem. Ale były podarte tak drobno, iż zaledwie pojedyncze wyrazy można było przeczytać. Kto je podarł i po co? Na jednym z tych świstków Skoliński odczytał słowo, które natychmiast skoncentrowało jego uwagę.

Było to słowo „ręcznik”. „Ręcznik ru” — dalszego ciągu nie mógł odnaleźć.

W jakim związku pozostawał ten ręcznik z treścią protokołu? Rozejrzał się po izbie i natychmiast spostrzegł zawieszony na wieszaku w kącie, brudny, żółto — szary ręcznik z frędzlami. Chciał podejść, ale naraz wydało mu się, że — lepiej nie.

Czy jednak było to złudzenie, czy też ten ręcznik ruszał się? Położył papiery na kolanach i dość długo śledził miarowy jego kurcz, podobny do kurczu dżdżownicy. A więc tu odbywała się ta praca, którą od razu wyczuł, wszedłszy do komnaty. To coś — to był właśnie ręcznik. Wstrętne zjawisko. Wyglądało, jakby ten ręcznik chciał zwymiotować i nie mógł. A przy tym wszystkim ruch jego był prawie niedostrzegalny. Gdyby nie te świstki, byłby go chyba nie zauważył.

Profesora przebiegł dreszczyk. Gdyby nie istotna, nieklamana groza, byłby przypuścił, że pada ofiarą sugestii. Ale uczucia, których doznawał, kazały mu od razu potraktować jak najpoważniej sytuację.

Wyjść? Tak, trzeba, będzie wyjść. Ale zwlekał. Opanowała go niechęć do wszelkich wyraźniejszych poruszeń, siedział cicho, starał się zajmować jak najmniej miejsca — i myślał. Lampa rzuciła niezbyt jasne światło na pokój. Sprzęty trwały w niemym bezruchu. Jakiś bezwład ogarnął profesora. Czy mu się zdawało, czy też ten ręcznik poruszał się coraz gwałtowniej? Już teraz ruch jego nie mógł ulegać wątpliwości.

I był to ruch zły — ponad wszelką wątpliwość, zły.

Profesor był człowiekiem głęboko wierzącym, ale nieskorym do upatrywania we wszystkim manifestacji złego ducha. Niejednokrotnie brał udział w seansach spirytystycznych i widział zdumiewające objawy, nie przypisując im wcale sensu nadprzyrodzonego. Jednakże to, co się powoli i niepostrzeżenie stwarzało w tej komnacie, było w istocie swojej różne od seansów spirytystycznych.

Na seansach miało się wrażenie jakiejś siły niesamowitej, ale czysto mechanicznej. Zachodziły tam dziwaczne zdarzenia, ale ani złe, ani dobre... Tu zaś profesor wyczuwał konkretną i szaloną złość, czającą się gdzieś pod ścianami.

W powietrzu była złość i ohyda, była wyraźna i bezwzględna groźba. Czy rzeczywiście należało przypisać ją jakimś siłom di...

Skoliński spostrzegł ze zdumieniem, że... boi się pomyśleć to słowo. Było ono w tych warunkach tak wstrętne, że nie mógł... Ale to go przeraziło! Czyżby już lak dalece nie panował nad sobą, czy stał się naraz przesądny i zabobonny, jak chłop?

— Diabelskim — szepnął, aby się przewyciężyć. — Diabelskim.

I kilkakrotnie jeszcze powtórzył, jakby chcąc przełamać narastający strach. — Diabeł, diabeł, diabelskim, diabelskim.

Lecz wtedy zdjęło go stokrotnie większe przerażenie. Wyobraził sobie siebie samego, jak siedzi na łóżku i drżącymi ustami powtarza to słowo, które brzmiało jak prowokacja. Czy nie zostało mu ono podszeptane? Czy nie ku temu zmierzał cały porządek rzeczy w tej komnacie? A jednocześnie przeraził się jeszcze bardziej swojego strachu — że traci panowanie nad sobą i daje się ponieść niezrozumiałej panice.

— Spokojnie — szepnął — spokojnie.

Znów rozejrzał się ostrożnie i jakby z pewnym otępieniem po izbie.

Wszystko trwało w spokoju i ciszy — nic się nie zmieniło — tylko ręcznik pracował w kącie,

kurcząc się, drżąc, natężony. Obecnie ruch jego był już zupełnie jawny i absolutnie nie mógł być wytłumaczony żadną normalną przyczyną. Miało się wrażenie, jak gdyby zdemaskował się, przestał się wstydzić. Był w tym bezwstydnym. A zarazem ta wstrętne wzdymająca się płachta przypominała dziwnie ruch medium podczas seansu spirytystycznego a także — kobietę podczas porodu. Jak gdyby chciała wyrzucić coś z siebie, urodzić coś. Ale to nie było najgorsze.

Coś zaczynało się robić ze światłem.

Wprawdzie lampa paliła się normalnie, ale profesor zyskał naraz zupełną pewność, że ktoś dąży do tego, aby ona zgasła. Ktoś? Kto? Wyczuwał kogoś — czyjąś obecność. Musiała to być autosugestia, ale gotów był przysiąc, że ktoś oprócz niego przebywa w pokoju i nawet mógłby wskazać, gdzie w danej chwili ów ktoś się znajduje.

A może wyrzucić ten ręcznik? Wziąć w rękę i wyrzucić?

Nie, lepiej — nie.

Więc wyjść stąd? Wstać i wyjść.

Tak, ale lepiej — nie.

Siedział na łóżku, jak mysz pod miotłą. Coraz trudniej było mu się poruszać. Zdawało się, że każdy wyraźniejszy ruch ściągnie na niego uwagę. I tylko palcami gorączkowo przebierał drobne kawałeczki protokołu Rudziańskiego. Ach, co by dał za to, żeby wiedzieć, jak się skończyło z tamtym człowiekiem, który przed piętnastu laty tak samo siedział na łóżku — i czekał.

Ale z tych papierków niewiele można było odczytać. „Godz. 1 min. 40”...

„zwierzę”...

„sparaliżowan”...

„dmuchnął”...

„tądjesz”

„boję”

„czarne, czarnosine i prz

„ruszam się, wzd”

Wyobrażnia Skolińskiego pracowała, jak szalona. Usiłował z tych skrawków odtworzyć swoje losy. Co znaczyło to „ruszam się”? Zwierzę? Czarne zwierzę? A może te słowa wcale się nie łączyły? Wyjść! Uciec! Jezus Maria! I tu dopiero napadło go przerażenie, tak ostateczne, że zmartwiało. Poczul, że już zanadto się boi, aby uciekać.

Mógł już tylko siedzieć — i czekać. Był jak ptaszek zahipnotyzowany przez węża — nie mógł uciekać.

Dwie lub trzy minuty, które przeżył teraz, były chyba najcięższe w jego życiu. Okropna bezsilność, ściśnięcie gardła, zimno, skulenie pleców, natężenie nieomal paralityczne mięśni — a z tym wszystkim świadomość, że bez nadziei ratunku jest wydany na pastwę i musi nastąpić to, co ma nastąpić.

Ostatnim wysiłkiem porwał się z łóżka i wypadł z komnaty. Gdy wybiegał miał wrażenie, że coś wyłania się z kąta i usiłuje prędko dopaść go z boku, ukośnie — ale nie oglądał się. Zatrzasnął drzwi.

Jak tylko znalazł się za drzwiami ponurej izby, nerwy naprężone do ostateczności znowu go poniosły. Zaczął biec przez ciemną sień i jakieś pokoje — byle dalej — aż wreszcie przysiadł na podłodze pod ścianą, zupełnie wyczerpany.

Cały zamek wydawał mu się teraz objęty władaniem nieczystych mocy, a z ciemności wzywał strach. Upłynęło ze trzy kwadransy, zanim zdołał jako tako się opanować.

Był szalenie zmęczony. Z głową opartą na dłoni, wpół leżąc na zimnych kamieniach, zastanawiał się nad sposobami natychmiastowej ucieczki z zamku, gdy nagle posłyszał ciche stąpania w przyległej galerii. Zajrzał przez drzwi. Na końcu galerii, w miejscu gdzie małe kręte

schodki wiodły do sieni, ujrzał zgarbioną sylwetkę Cholawickiego. W spodniach i w koszuli, bosy, sekretarz przeszedł parę razy tam i z powrotem, po czym przystanął, opierając się łokciem o mur.

Wyglądało, jakby podsłuchiwał. Aha. Profesor zrozumiał teraz, czemu Cholawicki zatrzymał go na zamku i umieścił na noc akurat w tej komnacie.

Skolińskiemu zachciało się śmiać. Wykorzystał moment, kiedy sekretarz zniknął w głębi sionki i co prędzej oddalił się w przeciwną stronę. Było mu niesłychanie trudno zorientować się w labiryncie krętych przejść zamkowych. Marzył o tym, żeby znaleźć jakieś bezpieczne ustronie na resztę nocy i jakiś mebel, na którym by można było odpocząć. Dopiero z nastaniem świtu mógł wydostać się z zamku, nie budząc nikogo i nie wywołując sensacji.

Zapucił się w wąski korytarz bardzo ciemny. Minął jakąś wnękę — i naraz opanowało go przeświadczenie, że ktoś idzie za nim.

Natychmiast stanął. Nie, nie mógł to być Cholawicki. Więc kto? Profesor zatrzymał oddech i czekał...

Tamten także czekał.

Profesor ruszył naprzód — i on ruszył, Skoliński przyśpieszył kroku — i on Przyśpieszył kroku. Słysząc było wyraźnie jego oddech. Kiedy profesor gwałtownie skręcił w boczną salę, on także skręcił.

Ale w tym wszystkim było coś nedorzecznego, szalonego albo pijanego. Ruchy nieznajomej postaci były niepewne, nieskoordynowane, gwałtowne i zataczające się jednocześnie — jakby małego dziecka.

Czy to był człowiek? Profesor znowu uczuł obrzydzenie i zgrozę, sięgające mu do gardła, gdy naraz postać dopadła go i lepką, małą dłonią chwyciła za rękę.

A jednocześnie wstrząsnął nią atak starczego, suchego kaszlu.

Ten kaszel nie był obcy profesorowi. Słyszał go już w pociągu. Domyślił się, że to ksiązę.

A tymczasem ksiązę trzymając go kurczowo za rękę, usiłował gwałtownie stłumić kaszel i wtulał głowę w jego marynarkę. Na koniec odzyskał możliwość mówienia.

— Kto ty?! — dopytywał się natarczywie, trzymając profesora kurczowo. — Kto ty?!

Trząsał się. W słabej poświacie z okna widać było jego twarz i profesor spostrzegł, że ma przed sobą zupełnego szaleńca. Książę wpatrywał się w niego trwożnie, całą mocą i groźnie machał palcem przed jego nosem.

— Niech książę się nie lęka — rzekł łagodnie. — Proszę się uspokoić!

— Kto cię przysłał?

— Nikt mnie nie przysłał.

— Nie kłam. Przyznaj się, że jesteś przysłany... No, daj znak, daj znak! To on cię przysłał. Daj znak!

— Jaki znak?

— Zrobię wszystko! Wszystko wypełnię — szeptał żarliwie — tylko daj znak, żebym wiedział, że to od niego! Tyle lat czekałem!

— Ja nie znam żadnego znaku!

— Nieprawda! Poprzedniej nocy widziałem go. Ukazał mi się. Wiem, że już zlitował się nade mną. Daj znak i powiedz, że mi przebaczył, że już koniec, że zwalnia mnie, że nie będzie już męczył...

— Niech książę się uspokoi — rzekł profesor, usiłując mówić w sposób łagodny i przekonywający. — Trzeba się uspokoić. Jestem zupełnie zwykłym człowiekiem. Zaprosił mnie pan Cholawicki na wieczór. Zasiedziałem się, ale już wy chodzę. Zaraz wyjdę.

— Cholawicki cię zaprosił? Aha, sekretarz?! No, to godzisz na moje życie? Przyznaj się,

godzisz na moje życie? Zależy ci na moim życiu, co? Aha, to sekretarz cię zaprosił i ty mówisz, że nie godzisz na moje życie?

Odpychał go kurczowo, albo przyciągał do siebie, zaciśniętymi palcami wpijając się w przeguby rąk.

— Ależ niech książę się uspokoi, nie znam prawie pana Cholawickiego.

— To skończony drań — rzekł nagle wariat zupełnie innym tonem i niespodziewanie przyciągnął do siebie profesora nieomal ojcowskim ruchem.

— Jeżeli go nie znasz, to uważaj!

— Cóż jemu może zależeć na śmierci księcia? — rzucił od niechcienia pyta nie profesor.

— Co?! A to dobre sobie! Prosta rzecz! Dlatego, że ja nie chcę umierać. Jemu się nudzi tutaj i śpieszy mu się... śpieszy mu się do... no, wszystko jedno — książę mrugnął filuternie — a ja nie mogę jakoś umrzeć! Rzeczywiście, tu jest dość nudno, smutno, ponuro, ciemno, a nawet strasznie i nie można się dziwić, że człowiek młody, elegancki, przystojny, przyjemny... A ja nie mogę opuszczać zamku.

— Czemu?

— Nie mogę. Nie mogę przed czasem. Tu jest coś... Ja muszę być przy tym. Tu się odbywa pewna sprawa... pewna sprawa... tam, tam — wskazał w kierunku starej kuchni — i ja muszę być... aż do końca... aż do ostatniego tchu... póki nie zostaną zwolniony... Ale przyznaj się, że wiesz lepiej ode mnie. Czemu udajesz?! Przyznaj się, że on cię przysłał! Daj znak!

— Dlaczego mnie męczysz? — krzyknął z rozpaczą. — Czy on nie rozumie, że jeśli tu jeszcze każe mi czekać, Henryś zabije mnie, bo mu się nudzi?! Czyż on zupełnie nie ma litości nade mną? Powiedz mu to — powiedz mu to ode mnie!

Odepchnął go i z tym jękiem na ustach, zniknął w pomroce sal.

Blady świt wstawał i spędzał złoza ciemności, kryjące się jeszcze po kątach i wnękach. Profesor powrócił do starej kuchni, nie napotkawszy nigdzie Cholawickiego. Izba w świetle dziennym wyglądała przyjemnie i jasno. Nocne przeżycia wydały mu się nierealne. Zgasił lampę, ściągnął z łóżka materac, przeniósł go do jednej z dalej położonych komnat i w ubraniu, wyczerpany zupełnie, natychmiast prawie zasnął.

Był tak zmęczony, iż nie liczył się już z komplikacjami na wypadek, gdyby sekretarz odkrył jego przygodne legowisko. Na szczęście nie spał długo. Po paru godzinach zbudził się. Spojrzał na zegarek. Była ósma rano.

Pospiesznie wrócił do starej kuchni, przewyciężywszy wstręt, położył się na łóżku i czekał przybycia Cholawickiego. Chciał wpoić w sekretarza mniemanie, że wcale się stąd nie ruszał przez całą noc.

ROZDZIAŁ VII

Cholawicki spędził noc na nieustannych spacerach pod drzwiami starej kuchni i na wyczekiwaniu czegoś okropnego, co miało zdarzyć się za tymi drzwiami. Przerzucał się co chwila ze skrajnej niewiary w dziwną, nieuzasadnioną pewność, że jednak musi coś nastąpić.

Ale gdy przez pół nocy nic się nie zdarzyło w strasznej komnacie, zwątpił ostatecznie i wściekły, że dał się skusić podobnie dziecinnyim pomysłem, rozebrał się i zasnął, wypiwszy przed tym parę kieliszków wódki.

Okolo dziewiętej zbudził go stary Grzegorz.

A co tam Grzegorzu? — zapytał sekretarz. — Pan profesor już wstał?

Jeszcze sobie śpi, w starej kuchni. Kamerdyner spojrzał dziwnie na Cholawickiego.

— Głupstwo! Grzegorz wierzy w te bzdury?! Przeniosłem go na noc do tego pokoju, bo to jest izba dużo przyjemniejsza i — bez szcurów.

— No, ja się nie wtrącam.

Sekretarz ubrał się i poszedł do profesora. — Hm... co się tam stało? — mruknął stukając do drzwi z okropną ciekawością.

— Proszę — rozległ się głos profesora.

Profesor siedział na łóżku w zmiętym ubraniu z włosami rozrzuconymi, z twarzą zmęczoną do cna. Na widok Cholawickiego zamrugał i przesunął ręką po twarzy.

— Jak się spało? — zapytał konwencjonalnie sekretarz.

— Czy już rano?

— Jak to?! Przecież prawie wpół do dziesiątej.

— A, wpół do dziesiątej. A ja nie spałem. Wcale. Aha, to już rano.

— Czy pan niezdrów?

Cholawicki z zainteresowaniem przyglądał się zupełnie zmienionej twarzy Skolińskiego. Można by rzec, iż żywe, nieco jowialne oblicze starego znawcy zniknęło bez śladu, a zamiast niego pojawiła się znużona, apatyczna maska doszczętnie pozbawiona wyrazu.

— Zaraz panu podadzą śniadanie.

— A, śniadanie? Mogę nie jeść. Zresztą wszystko jedno. Wreszcie sekretarz nie wytrzymał.

— Czy panu się co... przytrafiło w nocy, profesorze? — zapytał. — Co panu jest?

— Nie... Nic mi się nie przytrafiło. To jest... Ale wszystko jedno.

— Cóż takiego?

— Nic — zbył go krótko.

— Czy pan będzie teraz oglądał obrazy?

— A, obrazy? Zapomniałem. Może i będę. Ale wszystko jedno... Może wieczorem.

To było zastanawiające. Profesor przestał interesować się obrazami. A zatem coś musiało się zdarzyć. Wprawdzie nie oszalał, ani nie umarł — ale robił wrażenie człowieka zrujnowanego, apatycznego, otępiałego jakimś okropnym przeżyciem.

Sekretarz spod oka spojrzał na ręcznik. Ruszał się nieznacznie, ale w ciągłym niepokoju. Podobny niepokój panował w duszy Cholawickiego.

— Musiał jednak coś zobaczyć — pomyślał.

Nie chciał go wypytywać zanadto. Co więcej, było jasne, że profesor — nie powie. Zachowa dla siebie tajemnicę.

Jeżeli profesorowi niedobrze się tutaj spało, to może damy panu inny pokój? — zapytał jeszcze aby go wybać. Ale Skoliński odpowiedział apatycznie.

— Nie... Zostanę tutaj.

Cholawicki na próżno biedził się nad rozwiązaniem zagadki. Jeżeli profesora rzeczywiście przestraszyło coś w nocy, to przecież powinien był skwapliwie przyjąć propozycję zmiany pokoju. Ale może chciał przez ciekawość sprawdzić jeszcze swoje wrażenia. Przecież tamci także przez ciekawość nocowali tutaj. A może tak był już otumaniony i rozbity, iż rzeczywiście było mu wszystko jedno.

W każdym razie jego pomysł nie okazał się taki głupi. Kto wie, czy po paru nocach profesora nie spotka los tamtych — którzy oszaleli.

Wrócił do siebie niesłuchanie poruszony. Nie miał już żadnych wątpliwości, że w starej kuchni „straszy”. Zaszedł do księcia, aby się przekonać, czy stary Holszański nie zauważył czego.

Zastał go w doskonałym humorze, pijącego poranną kawę.

— A, Henryś... Jak się Henryś miewa? Muszę przystąpić dzisiaj do porządków ! Dziś albo nigdy trzeba zaatakować tę górę śmieci! Tylko — jak Henryś myśli, od czego zacząć?

W głosie jego było tyle filuterii, że Cholawicki znowu nie mógł się oprzeć podejrzeniu, iż książę tylko udaje wariata. Zamieniwszy z nim kilka słów odszedł przekonany, że jednak obecność profesora na zamku jak dotąd uszła uwagi księcia.

Tymczasem profesor po wyjściu Cholawickiego zmienił całkowicie wygląd i porzuciwszy wyraz apatii i otępienia gwizdnał przez zęby z satysfakcją. Udało się. Symulacja odniosła pożądaną skuteczną. Cholawicki był zdezorientowany.

Profesor obawiał się, że Cholawicki, widząc go zdrowym i całym, usunie go z zamku. Dlatego usiłował utwierdzić sekretarza w mniemaniu, że trucizna strasznej komnaty działa — choć powolniej niżby należało się spodziewać — a złe moce spowodowały już pewien rozstrój psychiczny. Liczył na to, że uda mu się dzięki tej niewinnej bladzie pozostać jeszcze kilka dni na zamku. Nie tylko ze względu na antyki.

Skoliński podejrzewał — nie, miał pewność — że księciu rzeczywiście zagraża poważne niebezpieczeństwo ze strony Cholawickiego, że biedny stary szaleniec gwałtownie potrzebuje pomocy. I cóż to była za tajemnica, która go prześladowała? Co się działo w tej komnacie? Wszystko to wymagało wyjaśnienia i ewentualnej czynnej interwencji. A przecież Maja także była uzależniona od Cholawickiego — była jego narzeczoną, miała się związać z tym ciemnym typem na całe życie.

Sekretarz nie domyślał się nawet, jak zawziętego wroga zyskał w pocziwym historyku sztuki, który w normalnych warunkach musze nie wyrządziłby krzywdy. Wtem twarz profesora znowu przybrała wyraz otępienia, oczy zgasły, wargi skurczyły się w przykrym grymasie. Ktoś nadchodził. Jakoż we drzwiach komnaty ukazał się Grzegorz.

Kamerdynier zatrzymał się przezornie na progu.

— Śniadanie podane — zameldował ze wzrokiem skoncentrowanym uparcie na własnych stopach, ustrojonych w jakieś przedpotopowe pantofle.

— Gdzie? — szepnął blado profesor.

— A tam. Podąłem w tamtej sali.

Grzegorz, stanąwszy za krzesłem, patrzył na jedzącego profesora z podziwem, jak na kogoś, kto wrócił z innego świata. Do licha, przenocował i nic mu się nie stało! Ale! Nie tak zaraz! Widać po nim, że coś niedobrze — ruchy ociężałe, ledwie tknie jedzenia, dłonią pociera czoło — może coś zobaczył, już tam go diabeł przycisnął...

Przeżegnał się nieznacznie, ale ciekawość wzięła górę. — Jak tam się spało wielmożnemu panu? — grzecznie zapytał. Nie otrzymawszy odpowiedzi, chrząknął a po chwili zapytał jeszcze:

— To pan sekretarz mówił co wielmożnemu panu o tej komnacie?

Skoliński zauważył w jego głosie głęboko utajoną podejrzliwość i niechęć.

Czyżby stary sługa niechętnie odnosił się do sekretarza? W takim razie ten wiekowy kamerdyner i prawdopodobnie przyjaciel księcia nadawałby się na sprzymierzeńca.

Profesor spojrział na niego martwo i szepnął jakby do siebie:

— Nic, a nic nie mówił.

— A to ci dopiero! — wyjąkał Grzegorz i otarł twarz wielką fularową chustą. — A to niech pan tam nie mieszka! — wybuchnął. — Wielmożny panie, tam złe jest! A pan sekretarz nie ma dobrych zamiarów, oj, nie ma!

— Gdybyście wiedzieli, co ja tej nocy przeżyłem — rzekł profesor — to byście z miejsca osiwiali.

Ten zwrot retoryczny nie był bardzo szczęśliwy, Grzegorz bowiem był siwiuteńki, jak gołąb. Ale na kamerdynera podziałał bezdźwięczny głos Skolińskiego.

— A co? — szepnął. — Widział pan? Co pan zobaczył?

Ciekawość walczyła w nim ze strachem. Żegnał się raz za razem, a jednocześnie wytrzeszczał oczy z ciekawości.

— Co ja widziałem — rzekł uroczyście Skoliński — tego nie powiem nigdy nikomu, aż do grobowej deski.

— Dobrze, że na czym gorszym się nie skończyło — mruknął Grzegorz. — Ale coś powiem. To pan sekretarz tak zarządził. Ja przygotowałem inny pokój, a pan sekretarz sam późną nocą przeniósł posłanie do tej przekłętej kuchni. Panie, niech pan się ma na baczości, ja to nie chcę brać na swoje sumienie. Pan sekretarz już tam musi mieć swoje powody przeciw panu, jeżeli tak urządził. Tylko niech pan nie mówi ani księciu, ani jemu, że powiedziałem, bo bym z miejsca wyleciał.

Widoczne było, że Grzegorz miota się między dwiema obawami. Z jednej strony strach przed Cholawickim, z drugiej większy jeszcze strach przed duchami. Skoliński postanowił zagrać w otwarte karty.

— Grzegorz — rzekł — uważajcie dobrze, co wam powiem. Tego co widziałem w nocy, nie wyjawię, bo... bo to jest tajemnica. Ale wiem już, że pan sekretarz ma złe zamiary względem księcia. Musimy ratować księcia przed nim. Tego łotra trzeba stąd wyrzucić, usunąć go z zamku!

— Ja ta się nie wtrącam.

— A ja radzę, żeby Grzegorz się wtrącił, bo to może i dla Grzegorza skończyć się niedobrze. Grzegorz nie rozumie, że jeśli ktoś w pobliżu tego straszego miejsca złe rzeczy knuje, to tak jakby kto ogień rozniecił koło beczki z prochem.

— A co? To tam naprawdę złe jest?

Profesor spostrzegł, że noc przebyta w strasznej komnacie udzieliła mu prawie absolutnej władzy nad duszą kamerdynera.

— Niech Grzegorz nie będzie zbyt ciekawy. Tylko to powiem: teraz straszy w tej jednej komnacie, ale łatwo „złe” może roznieść się po całym zamku.

— W imię Ojca i Syna i Ducha...

Dotychczas stary kamerdyner nie obawiał się, że duchy zajrzą i do jego pokoiku na parterze. Skoliński stał się w jego oczach ambasadorem zaświatów, któremu powierzono doniosłą i trudną misję.

— Owszem, owszem — zapewniał żarliwie — ja ta nie jestem od tego, żeby pomóc. Pewnie! Pewnie! Złe trzeba tępić ogniem i żelazem! O, dodaj... spokój był z tymi duchami przez tyle lat, a teraz znowuż się zaczyna.

— Właśnie. To zły człowiek i on się zwąchał z tymi złymi siłami, on je podburza i podnieca. Jeżeli nie uda się przy Boskiej pomocy mu przeszkodzić w tym, to on jeszcze bardziej podburzy

złe duchy i Grzegorz zobaczy, co się tu będzie działo!

— Ja ta wszystko zrobię! Wszystko! Skoliński zastanowił się.

— Grzegorz dawno na zamku przebywa?

— Oj, będzie już z pięćdziesiąt lat. Tylim chłopcem mnie przyjął książę nieboszczyk.

— No to Grzegorz pewnie niejedno wie. Niech Grzegorz mi powie odkąd to w tej komnacie straszy i dlaczego. I dlaczego książę jest niezdrów na umyśle. Bo to pewnie jedno z drugim się łączy, co?

Blady jak płótno kamerdyner odparł ponuro:

— Powiem. Wszystko powiem, jak na świętej spowiedzi. Nigdy nikomu nie mówiłem, ale tera powiem i niech mnie ręka Boska ma w swojej opiece! Tylko nie zaraz, bo pan sekretarz mógłby nadejść. Wymiarkuję, kiedy będzie można przyjść i spokojniej pomówić. Tera muszę już iść — do roboty.

Zabrał tacę ze śniadaniem i zniknął za drzwiami. Skoliński doświadczył uczuć podobnych do tych, które tak niedawno miały Cholawickim. I on przerzucał się od zgrozy do śmieszności. Cała ta historia byłaby niezwykle śmieszna, gdyby nie realny, w każdej sekundzie sprawdzalny fakt anormalnego kurczenia się i drżenia ręcznika... gdyby nie przerażająca realność nadprzyrodzonych sił. I on również doznawał głębokiego niepokoju na myśl, iż lekkomyślnie igra z tymi siłami, strasząc nimi Grzegorza i usiłując odcyfrować ich tajemnicę. Ale świadomość, iż czyni to w dobrej intencji, pozwalała mu łatwiej znieść ich ciśnienie — gdy Cholawicki przeciwnie, nie miał żadnego pancerza i żadnej tarczy przeciwko złu, które poruszał.

Profesor, oczekując na Grzegorza, zajął się przeglądaniem antyków, gotów w każdej chwili przybrać wyraz apatii i osłupienia na wypadek, gdyby Cholawicki nadszedł.

Ale pasja znawcy minęła bez śladu i najciekawsze odkrycia nie były w stanie jej przywrócić. Wreszcie zdrzemnął się w wielkim holenderskim fotelu, a chrapanie jego wypełniło barokowo — renesansową salę, pełną kantorków, sekretarzyków, szaf, stołów o niezliczonej ilości nóg, dywanów, makat i obrazów.

ROZDZIAŁ VIII

Cholawicki kilkakrotnie zaglądał do sali, widząc jednak, że profesor śpi snem człowieka doszczętnie znużonego, wycofywał się dyskretnie. Niecierpliwie spoglądał na zegarek. Umówił się z Mają, że przyjdzie na zamek o godzinie piątej po południu, tymczasem dochodziła już szósta, a dziewczyny nie było. Co się jej mogło zdarzyć?

Sekretarz znów poczuł żądło zazdrości, które czas jakiś przestało mu dokuczać, stępione wartkim biegiem wypadków. To było nieznośne — być zmuszonym siedzieć tu, jak w więzieniu i wiedzieć, że ona buja sobie na swobodzie — może z Leszczukiem? Przymknął oczy i ujrzał ich razem — tak „podobnych” do siebie, tak zgranych w tym podobieństwie, że aż syknął. Jeżeli kiedy, to właśnie teraz nie powinien był wydalać się z zamku ze względu na profesora, na księcia, na komnatę... Gdyby jednak na godzinkę dopaść konno Połyki? Przez tak krótki przeciąg czasu nic nie mogło się zdarzyć. Książę także spał.

Kazał osiodłać konia i po dwudziestu minutach dobijał już do Połyki. Wyjechał z lasu na wielką polanę, za którą czernił się park połycki. Tu zwolnił i jechał stępą wzdłuż ściany leśnej, aby nie wywoływać sensacji zapienionym koniem.

Naraz dostrzegł Leszczuka, który wyszedł z parku i na ukos przez łąkę zmierzał do lasu. Cholawicki zatrzymał konia, po czym nagle wjechał w las. Zdjęła go potrzeba — przyjrzeć się jeszcze raz temu chłopcu. Sprawdzić, czy naprawdę jest to podobieństwo. Skontrolować swoje wrażenia. Ta potrzeba okazała się tak dojmująca, że narzeczony nie zważając na gałęzie, chłostające go po twarzy, popędzał konia i przeciął drogę Leszczukowi.

Zatrzymał się za kępą krzaków i stąd wypatrywał chłopca, który wkrótce się ukazał.

Był zamyślony. Z głową pochyloną, z rękami w kieszeniach, szedł pogwizdując, a Cholawicki widział, jak na dłoni, że „podobieństwo” jest, że każdy ruch, każde spojrzenie nie będąc ściśle podobne, przecież ma w sobie coś z Mają, jest w związku z Mają... O, to było nie do wytrzymania. Sekretarz wpił się wzrokiem w młodego rywala, póki ten nie zniknął za drzewami.

Wówczas chciał zawrócić w stronę Połyki, gdy w głębi lasu dojrzał Maję, przesuającą się między drzewami. Dziewczyna szła ostrożnie i szybko — za Leszczukiem.

Cholawicki zeskoczył z konia i przywiązał go do drzewa. Na piechotę zaczął przemykać się w gęstwinie za tą parą. Więc Maja dlatego nie przyszła na zamek? Miała jakieś sprawy z Leszczukiem!

Kukułki kukały w borze. Maja przyśpieszyła kroku i okrążyła Leszczuka w dużej odległości, po czym zawróciła. Sekretarz zrozumiał jej manewr. Chodziło jej po prostu o to, aby — niby przypadkiem — spotkać się z nim w lesie.

Jakoż był nie mym i z rozpaczonym świadkiem tego spotkania. Maja wynurzyła się z lasu naprzeciw Leszczuka. Przystanęli. Cholawicki nie mógł dosłyszeć, o czym mówili. Przez parę minut rozmawiali i dziewczyna rysowała końcem bucika na piasku jakieś figury. Potem zaczęli iść razem wolno w stronę domu.

Sekretarz szedł za nimi z rozpaczą w sercu.

Ostatnie jego wątpliwości przysły. W gruncie rzeczy nie mógł aż dotąd wierzyć, by Maja mogła naprawdę zainteresować się Leszczukiem — a zresztą liczył na ambicję dziewczyny, nawet na zwykłą trudność porozumienia się z chłopcem, z którym ostatecznie można było wymieniać piłki, ale nie — myśli i uczucia. Nie przypuszczał, aby była do tego zdolna. A jednak widział to na własne oczy.

Szli razem, jakby się znali od wieków. Nigdy ich tajemnicza wspólność nie była bardziej

oczywista — zadziwiająca zgodność ruchu, bolesna tożsamość w sposobie zwracania głowy — jak gdyby ten sam obyczaj rządzący obojgiem. Był przekonany, że jest szczęśliwa w tej zgodności — z furiacką zazdrością widział, że musi być stokroć bardziej szczęśliwa z tamtym, niż kiedykolwiek była z nim.

A jednocześnie ze zdumieniem obserwował, że tu ona jest stroną aktywną. Jakże to? Czyżby była na tyle nieposkromiona, aby go uwodzić? Namawiała go do czegoś. Coś mu tłumaczyła, idąc niedbale obok — i śmiejąc się podniecała go, rozgrzewała jego wyobraźnię.

Naręczony cierpiał! Jeżeli Maja brała go dotąd nowoczesnością swego wychowania, śmiałością swoich wybryków, „trzeźwym” ujmowaniem świata, to teraz miał za swoje!

Przecież on sam podważył w niej wszystkie zasady moralne, uczył ją szukania szczęścia na najkrótszej drodze. I doczekał się tego, że zmuszała go do rywalizowania z Leszczukiem! Cholawicki był niesłychanie wrażliwy na względy światowe. Przebaczyłby Maji flirt, ale nigdy trenera!

Gdyby jednak mógł słyszeć ich rozmowę, zdumiałby się nierównie więcej.

— Tam są na przykład drobiazgi, miniatury — mówiła oględnie, patrząc pod nogi. — Jest szafa pełna miniatur.

— Miniatury, to takie małe obrazki? — zapytał Leszczuk.

— Tak. A zresztą są także kubki srebrne i pozłacane. Poza tym srebro stołowe. Nożyki z perłową masą. Moc cennych drobiazgów. Zatrzymała się.

— Będę musiała powiedzieć memu naręczonemu, żeby na noc zgodził stróża. Zamek zupełnie nie jest pilnowany. Najlepszy dowód, że pan zaszedł aż do księcia i nikt panu nie przeszkodził. Ale księżę nie znosi żadnych stróżów. To jest właśnie położenie bez wyjścia.

Leszczuk nie odpowiedział. Co to znaczy? Czy ona namawia go, żeby jeszcze raz poszedł do zamku? Spojrzał na nią z ukosa. Uśmiechnęła się jakoś dziwnie...

Stosunki ich układały się tak burzliwie i niejasno, że trudno było cośkolwiek wyrozumieć. Zaczynał ją podejrzewać o jakieś nieokreślone zamiary.

Czasem zdawało mu się, że ona kpi z niego.

A czasem, że nie — nawet przeciwnie...

Pomimo całego „podobieństwa”, rozmowa z nią krępowała go okropnie. Kiedy grał z nią w tenisa, albo kiedy szli obok siebie w milczeniu, wtedy wszystko było idealnie i oboje zgadzali się świetnie; ale kiedy przychodziło do rozmowy, natychmiast powstawały trudności i niedomówienia.

— Ja sama nieraz przyłapuję się na takiej chętności... żeby co zabrać stamtąd — rzekła naraz półgłosem z szaloną niecierpliwością. — Miałabym pieniądze. Wzięłabym i koniec. Byłabym niezależna. Wystarczyłoby na całe życie!

— Ja bym chciał prowadzić uczciwe życie — rzekł nagle, jakby broniąc się. Przyjęła to uśmiechem.

Nie mógł jej wytłumaczyć, że między nimi wytworzyło się nieporozumienie, że ona niesłusznie ma go za złodzieja, że jeśli wtedy chciał zabrać pieniądze z szafy, to nie dla zysku, ale żeby zemścić się na niej — nie, nic jej nie mógł wytłumaczyć!

— Ja nie jestem taki, jak pani się zdaje — powiedział.

— Ja wiem, jaki pan jest!

— A skąd pani wie?

— Pan zapomina, że... jesteśmy do siebie bardzo podobni. Wszyscy to mówią. Ja wiem, jaki pan jest... bo wiem, jaka ja jestem.

Spojrzał na jej ciemną twarz i małe ucho. A może tak było? Może miała rację. Czyż ta elegancka panna z wyższej sfery mogła być zdolna do jakichś niewyraźnych kombinacji? A

gdyby tak? Przecież była podobna do niego. A przy tym zachowywała się dziwnie — nie, na pewno nie była to jedna z tych normalnych panien z wyższym wykształceniem. Dobrze, ale cóż z tego, że była podobna do niego — przecież on nie był kryminalistą. No tak, ale on znowu był podobny do niej. Więc jeśli ona jest podejrzana, to i on jest podejrzany. A jeśli on jest podejrzany, to i ona jest... Leszczuk tracił zupełnie głowę.

A przy tym ciągle podejrzewał, że ona albo kpi, albo też chce go naciągnąć i czasem myślał, że ona bardziej nienawidzi go, niż lubi. Były w niej takie błyski oczu — dumne, nienawistne — i ta sama zawziętość dzika przeciw niemu, której już zaznał podczas gry w tenis.

Tymczasem Maja, śledząc go spod oka, myślała:

— Tak, jego nietrudno byłoby namówić — do wszystkiego.

Chciała wreszcie dowiedzieć się Jaki on jest. Nie był z nią swobodny i szczery. Taił przed nią swoją prawdziwą naturę. Więc, aby go ośmielić i jednocześnie wypróbować, pierwsza zaczęła go namawiać.

Ale kusząc i namawiając jego, również kusila i namawiała siebie. Jej awanturniczą wyobraźnię pociągała myśl okradzenia zamku, choć oczywiście nigdy by tego nie zrobiła. Ale coś w tym było przyjemnego... Patrzyła z ukosa na jego twarz.

Wtem drgnęła.

Leszczuk wyglądał jakoś inaczej, niż zwykle.

Coś mu się zmieniło w twarzy. Na pierwszy rzut oka nie mogła zdać sobie sprawy, na czym ta zmiana polega. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że ma sine usta. Prawie czarne. Nie, nie było to złudzenie. I nie były to usta spieczone, jak w gorączce, ale obrzydliwie sine — nigdy dotąd czegoś podobnego nie widziała. Jak wymalowane.

— Czy pan chory? — rzekła.

— Dlaczego?

— Niech pan się przejrzy.

Wyjęła lusterko. Przyglądał się z zaciekawieniem i z odrazą. Maja także doznała uczucia przemożnego wstrętu. Było to dzikie. Brutalne. Jaskrawe.

— Już drugi raz mi się to robi — powiedział.

— Jak to drugi?

— Wczoraj rano także mi się to zdarzyło, jakem się golił. To musi być jakaś choroba.

— Źle się pan czuje?

— Nieee... Dobrze... Bo ja wiem z czego to może być. Lubię gryźć rozmaite rzeczy, jak idę. Może z tego.

Był zawstydzony... Opanował ich jakiś niepokój i przyśpieszyli kroku. Maja z ulgą spostrzegła, że sina barwa ustępuje i Leszczuk wraca do normalnego wyglądu. Co to było?

Dochodzili już do parku. Naraz w bramie ukazał się radca Szymczyk, a za nim obie damy, doktorowa i urzędniczka, oraz pani Ochołowska. Ta ostatnia z wielce nieszczęśliwą miną zmuszona wysłuchiwać nieustannie mniej lub więcej przejrzystych aluzji i uwag. „Dziedziczka” najchętniej nie brałaby udziału w tych spacerach, ale to na pewno byłoby poczytane za objaw pogardy i lekceważenia. Więc pani Ochołowska, pomimo licznych zajęć i równie licznych trosk, musiała co dzień odbywać popołudniowy spacer z pensjonatowym towarzystwem.

Towarzystwo nudziło się piekielnie. Wszystkie te osoby, oderwane od swojej codziennej pracy, skazane na beczynność, przygodnie skupione w jednym dworze, nie wiedziały co robić ze sobą. Nie umiały się bawić, a nie miały okazji do roboty. Stąd rodziły się kwasy, dąsy, zadrażnienia.

Doktorowa była zdania, że urzędniczka jest za chuda i dała jej to do zrozumienia ze zwykłą swoją wylewną szczerością.

— Ach, pani kochana, pani powinna więcej jadać, a toż pani chuda, chuda, jak ta szczapa.

Urzędniczka poczuła się dotknięta nie tyle stwierdzeniem jej chudości, ile porównaniem do szczapy. Uznała, że doktorowa jest niedelikatna i dała jej to do zrozumienia, mówiąc:

— Nie chciałabym zanadto utyc, gdyż osoby tłuste stają się czasem zbyt... ciężkie.

— A toż ja z dobrego serca! — wykrzyknęła oburzona doktorowa. — Ja do pani z całą szczerością, a pani do mnie jadawicie! Słusznie mówią, że chudość po woduje kwasy. Dziwię się pani!

— A ja się pani nie dziwię! — odparła urzędniczka, nie bez ironii spoglądając na zbyt daleko posunięte okrągłości doktorowej. — Wcale się pani nie dziwię. Trudno panować nad sobą, gdy człowiek rozlewa się na wszystkie strony. Nie prawdaż? — zwróciła się do pani Ochołowskiej.

Przepraszam, nie słyszałam, o czym panie mówiły — odpowiedziała zażenowana właścicielka, nie chcąc się mieszać do sporu.

Pani zawsze buja myślami daleko od swoich gości — rzekła urzędniczka, tym razem bardzo słodko.

Bójże się pani Boga! A toż pani Ochołowska potąd już chyba ma naszego towarzystwa — zawołała ze zwykłą szczerością i bezpośredniością doktorowa. — Czy to można wymagać?! Czy to myśmy krewni jacy, albo goście przyjemnościowi?!

— Panie nie umieją obcować ze sobą — wtrącił surowo radca Szymczyk. Pod wpływem tego przekonywającego orzeczenia towarzystwo zamilkło. Jednakże obie panie miały żal do pani Ochołowskiej, że nie stanęła w ich obronie. Poza tym doktorowa, rozżalona do głębi, snuła plany zemsty. Od dawna już zauważyła, że urzędniczka ma fatalne wyrzuty na plecach, które widać przez lekką, przejrzystą bluzeczkę i kilka razy chciała jej to powiedzieć „w jej własnym interesie” — ale dotąd wstrzymywała się. Obecnie postanowiła nie hamować dłużej swej spontanicznej szczerości.

A u pani kochanej widać kro... — zaczęła śpiewnie, gdy wtem ujrzeli na ścieżce Maję i Leszczuka. Obie spojrzały po sobie znacząco. To już zakrawało na skandal. Biedna Ochołowska! Czyż ona niczego nie widzi.

Państwo znowu byli na spacerze? — zaakcentowała wyraźnie urzędniczka, zerkając na panią Ochołowską.

Maja podchodziła zwolna, bawiąc się sczorykiem. Leszczuk przystanął w pewnej odległości.

— A pani znowu mówi, że my znowu byliśmy na spacerze? — powiedziała arogancko przez zaciśnięte zęby. W jej głosie było tyle wielkopańskiego lekceważenia, tak oczywista pewność, że ona, Maja, nie potrzebuje się liczyć ze zdaniem tej pani — że twarz urzędniczki uczyniła się biała w czerwone plamy.

— Każdy dobiera sobie towarzystwo wedle gustu i upodobania! — odrzekła.

Właśnie. I uważam, że byłoby zbyt okrutne robić trudności tym osobom, które dążą... do lepszego towarzystwa! — Maja przyjrzała się urzędniczce w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że ją ma na myśli, po czym zwróciła się do matki.

Czy ci nie chłodno, mamu?

— Majeczko — szepnęła pani Ochołowska — idź do domu i poczekaj na mnie na górze. Zaraz przyjdę.

Tyle powagi i bólu było w jej głosie, że dziewczyna stropiła się.

— Dobrze — odpowiedziała głucho.

Po jej odejściu urzędniczka zwróciła się do pani Ochołowskiej.

— Poproszę o rachunek dziś wieczór. Jutro wyjeżdżam.

— Dobrze. Rachunek otrzyma pani dziś po kolacji.

Pani Ochołowska pożegnała panie skinieniem głowy i skierowała się w stronę domu. Starła

się nie myśleć o tym, co mogły mówić teraz te dwie rozszalałe panusie, jakie morze żółci, brudnych podejrzeń, inwektyw wylewały na nią i na Maję. Zresztą wszystko to bladło wobec konieczności rozmówienia się z Mają — póki nie będzie za późno. Trener musi wyjechać jak najprędzej! Ale czy pomówić z nią otwarcie, czy też nie stawiać raczej kropek nad i? Może lepiej nie nasuwać jej młodej wyobraźni tych podejrzeń, które by dopiero mogły sprowadzić ją na bezdroża. A nuż ona nie widzi nic złego w swobodnym koleżeństwie z Leszczukiem na gruncie sportu.

— Dlaczegoś to zrobiła? — spytała córkę, gdy znalazły się same w jej pokoju. — Straciłam gościa. Panna Wyciskówna zażądała rachunku i wyjeżdża jutro.

— Bardzo mi przykro. Niech sobie nie pozwala za dużo ta chamka.

— Maja, taka wyniosłość w ogóle nie ma sensu, a już dziś w naszych warunkach jest po prostu śmieszna.

— Żeby płaciła góry złota, to bym jej nie trzymała. Mama słyszała jej głupie aluzje. Ja nie pozwolę na to, żeby byle kto robił mi jakieś uwagi.

— Ale chodzisz z byle kim do lasu.

— A to i mama podchodzi do tego z punktu widzenia panny Wyciskówny? Przede wszystkim Leszczuk nie jest byle kto, jest nawet lepszy ode mnie — po wiedziała dziecinnie.

— Jak to lepszy od ciebie?

— Lepszy, bo mnie bije w tenisie. A po wtóre przecież to jest prosty chłopak, na poziomie nieomal służącego. Czy mama może podejrzewa mnie o flirt z Leszczukiem?

Na dnie jej słów drgała obraza. Matka знаła niesłychaną ambicję córki — nie miała odwagi powiedzieć jej o „podobieństwie”.

— Majuś — rzekła ujmując ją ciepło za rękę — nie wiem... może masz rację... Ale ludzie widzą to inaczej. Masz najlepszy dowód: Wyciskówna... Jeżeli więc chcesz to zrobić dla mnie, niech on wyjedzie pod tym czy innym pozorem. Zrezygnuj z tej partii.

— O, nie — wycodziła Maja przez zęby.

Była bardzo blada i odwróciła głowę.

— To jest dla mnie obrażające! Ja nie będę nawet brała pod uwagę takich niesłychanych... To mnie obraża! Radzę niech mama nigdy ze mną w ten sposób, bo ja... Leszczuk zostanie i koniec!

Wybiegła z pokoju. Pani Ochołowska załamała ręce. Zupełnie nie umiała poradzić sobie z córką!

Ale gwałtowna i pogardliwa reakcja Maji uspokoiła ją przynajmniej pod tym względem, że nie może być mowy o żadnym romantycznym niebezpieczeństwie. Ambicja uchowają lepiej od najlepszych rad matczynych.

Skąd jednak w tej dziewczynie tyle wzgardy? Dlaczegoż ja — myślała — wychowana przecież w innych warunkach i w czasach mniej demokratycznych, nigdy nie miałam tak absolutnego poczucia wyższości.

Pani Ochołowska zabrała się do rachunku panny Wyciskówny, ale czynność ta okazała się niepotrzebna, gdyż urzędniczka zjawiła się u niej zaraz po odejściu Maji.

Tonem lodowatym oświadczyła, że niewłaściwe zachowanie się panny Maji Wadzie na karb jej młodego wieku i nie chce zawstydząć ją natychmiastowym wyjazdem. Zresztą życzliwość jaką czuje dla pani Ochołowskiej także nie pozwala jej na ten krok zbyt radykalny. Jest bowiem pewna, że — ze względu na wzburzenie reszty gości pensjonatowych — jej wyjazd spowodowałby także wyjazd innych osób. Dlatego postanawia zignorować na razie wybryk panny Maji pod warunkiem, oczywiście, że pani Ochołowska wpłynie na córkę. Co się tyczy spacerów i zabaw panny Maji, to ona nie zamierza wtrącać się w te sprawy, pozostawiając troskę o nie matce.

Pani Ochołowska podziękowała jej dość chłodno. Nie okazała ulgi, jakiej w głębi duszy doznała — wyjazd urzędniczki mógłby być rzeczywiście katastrofą dla świeżo założonego pensjonatu. Nie wiedziała jednak, iż szczęśliwe załatwienie incydentu zawdzięcza przede wszystkim doktorowej.

Gdyż doktorowa przeraziła się, że panna Wyciskówna wyjedzie, zanim ona zdąży ją powiadomić z całą życzliwością o kro..., które zaobserwowała pod bluzeczką. Wobec tego dołożyła wszelkich starań aby wyperswadować jej przedwczesny odjazd.

Zresztą niemiła historia uległa zapomnieniu także z innych względów. Mianowicie tuż przed kolacją dwie nowe osoby zjechały do pensjonatu — koleżanka i przyjaciółka Maji, Krysia Leniecka, ze swoim dalekim kuzynem, studentem prawa, panem Gustawem Żałowskim. Wywołało to pożądaną dywersję w ponurych nastrojach.

Obie panny nie mogły się sobą nacieszyć. Pani Ochołowska, jako zręczny polityk, wykorzystwała okazję i kazała podać do stołu butelkę dobrego wina, wskutek czego kolacja przybrała odświętny charakter. Nawet urzędniczka i doktorowa, niepomne świeżych jeszcze nieporozumień, przywdziały wizytowe stroje, przy czym doktorowa stwierdziła, że i przez tę suknię panny Wyciskówny zarysowują się wyraźnie kro... z czego ta nieszczęśliwa nie zdaje sobie wcale sprawy.

Ale podczas kolacji nastąpiła nowa komplikacja. Rozległ się tętent konia — i po chwili zjawił się Choławicki. Wizyta jego nie była nazbyt pożądana. Pani Ochołowska z przykrością ujrzała znaczące spojrzenia, jakie wymieniła doktorowa z urzędniczką, a które zdawały się mówić:

— Ha, ha, akurat w porę przyjechał!

Ale bardziej jeszcze niepokoiły ją niebezpieczne iskierki w oczach Maji i jej doskonały humor. Była rozbawiona! Wydawała się uradowana z powodu przyjazdu przyjaciółki. Śmiała się nieomal bez przerwy.

Po kolacji Choławicki odciągnął ją na bok.

— Chcę się rozmówić! — szepnął.

— Dlaczego nie siedzisz na zamku?

— Mam interes do ciebie!

— Dobrze, ale nie teraz! Potem! Chodźmy na spacer! — zawołała. — Taki piękny wieczór.

Pomysł ten został przyjęty z aplauzem przez młodzież i Choławickiemu nie pozostało nic innego, jak chwilowo zrezygnować z rozmowy. Maja skinęła na Leszczuka.

— Pan idzie z nami!

— Ja?...

Szedł już na górę i zatrzymał się w połowie schodów. Nie chciał iść z nimi i bał się Maji, ale nie wiedział, jak się wytłumaczyć.

— Spać mi się chce — powiedział.

— Potem się pan prześpi. Zresztą przyda się pan — chociażby do dźwigania okryć. Właściwie jest za ciepło, żeby nakładać palta, a wziąć trzeba, bo w lesie może być chłodniej. Krysiu i Guciu — oddajcie palta panu Leszczukowi, on poniesie.

— Ale skądże znowu — zaprotestował uprzejmie Żałowski, widząc, że Leszczuk wziął już płaszczyk Maji. — Ja w każdym razie poniosę swoje i Krysi.

— Pan Leszczuk może ponieść wszystko! — zawołała kapryśnie i tupnęła nogą.

Leszczuk poczerwieniał. Choławicki zbladł.

— Pozbawiasz nas zaszczytu i przyjemności dźwigania waszych fatalaszek — śmiał się Żałowski, usiłując zatrzeć nieprzyjemne wrażenie. Zanurzyli się w posrebrzaną światłem księżycy aleję. Psy zaczęły się łączyć do Maji.

Choławicki szedł pierwszy, usiłując zapanować nad sobą, odzyskał zimną krew! Za nim w

pewnej odległości szły obie panny i student, a na końcu Leszczuk. Ale Żałowski, który był dobrze wychowany, zwolnił kroku, żeby porozmawiać z Leszczukiem. Panna Leniecka zwróciła się do Maji:

— Co ty wyprawiasz, Maja, z tym trenerem? Jemu może być przykro.

— Ach, nic mu nie będzie! On nie jest delikatnoskórny, upewniam cię.

— Co? Co?

— No, jeśli się mówi gruboskórny, to można powiedzieć delikatnoskórny! A nie, prawda, mówi się — cienkoskórny!

— Maja, z tobą coś jest niedobrze — rzekła przyjaciółka. — Co się z tobą stało? Zmieniłaś się.

— Bo ja wiem!

Powietrze było upajające, las, park, polana oddychały pełną piersią. Drzewa ciemnymi plamami wrzynały się w jasne, gwiazdziste niebo. Ogromna słodycz wieczoru przenikała krajobraz.

Kochasz go? — zapytała Maja, wskazując z lekka głową za siebie. Leniecka przycisnęła się do niej.

— Nareszcie!

— Co — nareszcie!

— Nareszcie się zakochałam. Ach, Maja, Maja, Maja!

— A on?

— Także. Odetchnęła głęboko.

— Jak tylko ukończy studia, pobierzemy się. Jego rodzice są przyjaciółmi moich rodziców. To będzie jakby powiększona rodzina. Wiesz, co dzień mi się zdaje, że to nieprawda, bo to jest zbyt... zbyt... ale co tobie? Płaczesz? Ty płaczesz?

— Głupia jesteś!

— Twoja łza spadła mi na łokieć.

— To nie była łza, tylko rosa z drzewa.

Dlaczego ona nie mogła tak kochać — równo, spokojnie, szczęśliwie? Dlaczego zamiast mieć takiego miłego, porządnego chłopca, którego nie trzeba się wstydzić, z którym można być pewną swojego losu, miała tych dwóch mężczyzn, którzy ją prześladowali, gubili ją? Z którymi się gubiła?

— Nie trać na mnie czasu. Taki wieczór nie co dzień ci się zdarzy. Guciu —, zawołał — chodź no tu! Krysia jest na ciebie obrażona, że jej nie wzięłaś pod rękę.

Odsunęła się od nich i szła nieco z boku, sama — pomiędzy Cholawickim, który siedł przed nią, a Leszczukiem, który siedł za nią — zupełnie sama. Jak to się stało i czyja to wina, że przy swoich osiemnastu latach, przy swojej urodzie, nie mogła cieszyć się tą nocą, ale musiała szamotać się i męczyć, gdy tamta, mniej ładna, w pełni rozkwitała miłością? Czy zawinił tu przypadek? Wychowanie? Wrodzone, niebezpieczne skłonności natury? Zwolniła kroku. Pozwoliła się wyprzedzić szczęśliwej parze.

Student porzucił na moment pannę Leniecką, ażeby złapać świętojańskiego robaczka i trzymając go w zamkniętych dłoniach, nachylił nad nim głowę. Maja przyłapała wzrok wypełniony czułością, jakim zakochana obrzuciła zakochanego, zanim pośpieszyła ku niemu w cienie drzew.

— Czyż ja umiałabym tak patrzeć czule, słodko i wiernie? — pomyślała Maja z zazdrością. Ale na kogo miała tak patrzeć? Czy na Cholawickiego, który siedł przed nią, czy na Leszczuka, który siedł za nią? Co by to było, gdyby spróbowała spojrzeć tak na Leszczuka? Och, na próbę tylko, przecież nikt nie będzie widział, ciemno... tylko dla zabawy... żeby się przekonać, czy w

ogóle można, czy się uda spojrzeć tak na niego.

Jeszcze bardziej zwolniła kroku, a kiedy pozostała na samym końcu objęła spojrzeniem obcym jakby dla siebie, zbyt czułym, jak na nią, sylwetkę chłopca. I momentalnie zapamiętała się w tym spojrzeniu, zatraciła się w nim cała, zapadła i utonęła we własnym swoim wzroku. Gorąca fala przeniknęła jej serce, które zaczęło bić... aż musiała przycisnąć je ręką.

Przyśpieszyła kroku i nagle pojawiła się tuż obok Leszczuka. Noc przydawała jej lekkości. Tak nieznacznie i lekko, smukła w letniej sukience, znalazła się obok niego, że drgnął. Ona zaś nie odezwała się ani słowem, tylko parę kroków przeszła z nim razem i dojrzał jej wielkie czarne oczy zwrócone ku niemu, pełne żalu i czułości. Ale w tej samej sekundzie wstręt i obrzydzenie pojawiły się w jej oczach.

Usta Leszczuka były czarne, jak smoła! Nie — nie czarne. Tak się tylko zdawało po nocy. Były sine!

Ohyda! To była jakaś straszna, odrażająca choroba! Gdzie on mógł się zarazić?! To było — dzikie!

Odstąpiła od niego. Przyśpieszyła kroku. Uciekała — do narzeczonego.

Cholawicki dostrzegł jej obecność dopiero w chwili, gdy wsunęła mu rękę pod ramię. Nie umiał się oprzeć rozkoszy, jaką mu sprawiło samo jej przystąpienie do niego.

Dotychczasowa jego wściekłość prysła bez śladu, przemieniła się od razu w szczęście — cóż dopiero gdy poczuł, że przyciska się do jego ramienia, mocno, kurczowo, gorąco.

Podejrzliwość nasunęła mu od razu przypuszczenie, że jest to z jej strony umyślny manewr, aby uspić jego czujność wobec Leszczuka. Ale był zbyt szczęśliwy. Znadto cierpiał przez tych parę godzin — gdy śledził ich, a potem błąkał się w pobliżu dworu. Ujął ją za rękę, przytulił do siebie i nie chciał o niczym wiedzieć — ani o nic zapytywać. Maja z lekka oparła głowę o jego ramię i szła tak czas dłuższy.

Próbowała. Próbowała, czy w ogóle można tak iść z narzeczoną? Czy jej się to uda? Robiła, co mogła, aby rozgrzać do niego swoje serce, narzucić sobie treść uczucia za pomocą oznak zewnętrznych. On był z jej świata. Nie kradł. Nie był dziki, nieokrzesany. Nie miał ohydnych chorób. Ale serce jej pozostało zimne, a tam, w tyle za nimi pozostał ten, na którego przed chwilą patrzyła, ten kompromitujący...

Oddaliła się od narzeczonego równie nagle, jak przyszła: zanim Cholawicki zorientował się, już przy nim nie była. Znowu szła samotnie, trochę z boku ścieżki

— i przepuściwszy wszystkich, postępowała za nimi na szarym końcu, niepokieszona.

Noc ciepła i wonna, nabrzmiwała balsamem ziół i krzewów, zakrywała granatowym welonem zarówno szczęście i nieszczęście. Zarówno upojone twarze dwojga szczęśliwych narzeczonych, jak i bladą zgryzioną twarz Cholawickiego — jak zropanowaną dzieciną trochę twarzyczkę Maji — jak niepewną twarz Leszczuka.

Krysia Leniecka zbliżyła się do niej i delikatnie objęła ramieniem. Dłuższy czas szły razem bez słowa. Dawniej były ze sobą bardzo blisko — o ile to było możliwe przy skrytej, wyniosłej naturze Maji.

— Kto to jest ten Leszczuk? — zapytała po cichu panna Leniecka.

Maja zbladła. Skąd to pytanie? Czyż i ona już zauważyła ich podobieństwo?

— Trener.

— To ja wiem. Ale poza tym?

— Poza tym tyle wiem o nim, co i ty. Czy myślisz, że można coś wiedzieć o takim chłopaku? Gdzie się chował? Co robił? Z kim się zadawał? To jest prostak — natura dzika, nieokrzesana, o, widzisz, taka jak to!

Pokazała jej wielką kępę chwastów, rozrastającą się bujnie w pobliżu wody.

— Czyż możesz wiedzieć co w tym siedzi? Tam mogą być równie dobrze kwiaty i żaby!
Głos jej był zimny i twardy.

— Przesadzasz. — Leniecka spojrzała na nią bystro. — Maja, ty za bardzo na niego wygadujesz!

— Myślisz, że co... że co... Dlaczego miałabym przesadzać?

— Bo tak!

— Dlaczego?! Powiedz, co masz na myśli?

Wtem Żałowski zawołał:

— Wiewiórka!

Małe zwierzątko smyrnęło mu spod nóg i szybko wspięło się na sosnę. W połowie wysokości drzewa wiewiórka przystanęła i przytulona do pnia obejrzała się na ludzi znad swojej burej, ogromnej kity, po czym wdrapała się jeszcze wyżej. Widać ją było wyraźnie w świetle księżyca.

Otoczyli drzewo.

— Nie może uciec — rzekł Żałowski.

Rzeczywiście wiewiórka fatalnie wybrała drzewo. Stało ono tak daleko od innych, że skok był niemożliwy. Cholawicki wyjął browning i zarepetował.

— Niech pan nie strzela! — krzyknęła panna Leniecka.

Ale strzał już padł. Wiewiórka przeskoczyła z gałęzi na gałąź. Sekretarz wypalił po raz drugi. Co za rozkosz, że mógł wyładować się przynajmniej w tym!

— Po cóż pan ją morduje? — zapytał z niechęcią student.

Maja milczała.

— Muszę ją trafić! — irytował się Cholawicki. — Do trzech razy sztuka. Ale gdy nie trafił poraż trzeci, znowu podniósł broń do oka. Był zły, ręka mu się trzęsła, nie umiał pogodzić się z tym, że chybia. Opanowała go żądza mordy.

— Ja ją żywcem złapię — zawołał Leszczuk i zanim Cholawicki strzelił, już był na drzewie. Wspiął się z wielką szybkością.

Sekretarz chciał jeszcze raz wystrzelić, ale Maja złapała go za rękaw.

— Dostyc! — zawołała szybko.

— Nie obawiaj się — mruknął.

Tymczasem Leszczuk zbliżał się do celu. Nie mógł znieść prześladowania zwierząt i wlaź na drzewo tylko po to, aby uniemożliwić strzelanie. Teraz jednak musiał złapać wiewiórkę — skoro zapowiedział, że ją złapie. Uciekła ona na sam szczyt drzewa i przycupnęła między gałęziami.

Wspiął się dalej, a cienki pień zaczął kołysać się niepokojąco pod ciężarem.

— Niech pan lepiej zejdzie! — zawołała Leniecka.

Leszczuk posunął się jeszcze wyżej, a korona drzew zgięła się tak, że plecy jego wypadły prawie równoległe do ziemi. Nagle wiewiórka zaczęła miotać się jak oszalała. W panicznym przerażeniu skakała po najcieńszych gałązkach i wreszcie, widząc, iż nie ujdzie, rzuciła się z drzewa wprost na ziemię. Złapał ją w powietrzu — ale w tym samym momencie wierzchołek złamał się z traskiem, któremu towarzyszył krzyk przyglądających się osób, tam na dole.

Na szczęście łamał się dość wolno. Leszczuk nie puszczając wiewiórki, zdołał uchwycić ręką konar, o który zaczął się opadający wierzchołek i zsunął się po gałęziach, aż wreszcie zeskokczył na ziemię.

— Nic panu się nie stało? — zawołał Leniecka.

— O mało jej nie zadusiłem! — odparł.

Wiewiórka drżała w jego rękach.

— Jaka śliczna! — dotykali ostrożnie jej futerka.

— Puszczę ją!

— Nie, nie, niech pan nie puszcza, jeszcze momencik!

Leniecka, która dawno nie była na wsi, zajęta studiami, nie mogła się dość nacieszyć tą świeżą, pachnącą mieszkanką lasów. — Zaniesiemy ją do domu, a potem puścimy. Zobaczymy, co zrobi w pokoju.

— Ja bym ją puścił — rzekł Leszczuk, który czuł w rękach szalone bicie serca wiewiórki.

Leniecka spojrzała filuternie na Maję, a potem kiedy zaczęli iść dalej, aby zobaczyć zamek u skraju lasu, powiedziała:

— To musi być poczciwy chłopak z kościami!

Maja nie odpowiedziała.

— Patrz Jak on ją pieści. Człowiek, który tak lubi zwierzęta, nie może być zły.

— Tak ci się zdaje? Dobrych ludzi zwierzęta się tak nie boją!

— Zamek! — doszło ich wołanie studenta. Stali na skraju lasu, a przed nimi rysowały się subtelnie i majestatycznie kontury wieży murów. Powietrze było wyjątkowo czyste wskutek czego zamek wydawał się o wiele bliższy, niż był w rzeczywistości. Cholawicki zacisnął palce. Co się tam działo? Dlaczego marnuje tu taj czas?! Och, to szaleństwo nie móc oderwać się od tej dziewczyny! A Maja pod pozorem, że chce pogłodzić wiewiórkę, jeszcze raz zbliżyła się do Leszczuka.

Usta miał już mniej czarne — ale nie była to jeszcze właściwa barwa. Zresztą trudno było rozeznąć po nocy. Dotknęła wiewiórki. Zwierzątko stężało ze strachu w jego rękach, nieruchome. Maji zdawało się, że ona boi się za bardzo. Lecz gładząc jej puszyste futro wyczuła naraz coś dziwnego. Wiewiórka — falowała. Falowała? — nie, to nie było właściwe wyrażenie, raczej pulsowała. Jak gdyby ruszała się w sobie, czy też wzdymała. Jakby on rytmicznie gniótł ją rękami. Maja nie zwróciła na to specjalnej uwagi, chociaż znowu pozostało w niej wrażenie czegoś dzikiego i wstrętnego.

Czy on mógłby zabić tę wiewiórkę? — takie pytanie zrodziło się w Maji. Jeżeli miał takie usta...

Leszczuk najchętniej byłby odszedł — rzucił wiewiórkę i uciekł. Wszystko w nim wrywało się ku niej, ku jej prześlicznej twarzy w świetle księżyca, jej włosom aż czarnym po nocy, jej drobnym rękoma. A jednocześnie wszystko w nim uciekało przed nią. Czego ona znowu chce od niego?

— Nie zabiłby pan tej wiewiórki?

— Po co?

— A gdybym ja pana poprosiła?

— Po co?

— Tak sobie. Założyłam się z moją przyjaciółką, że jak poproszę, to pan zabije...

Spojrzała mu w oczy i posłyszał jej śmiech — drażniący, niecierpliwy, nienasycony, okrutny. Tylko przez sekundę się zaśmiała i błysnęła ku niemu zębami.

— No? — szepnęła, jakby to już było między nimi ustalone, jakby rozumiało się samo przez się. Zaśmiał się, jak ona, i bez namysłu z całej siły rzucił wiewiórkę o drzewo. Pisnęła i boleśnie zwinęła się w kłębek.

Przyskoczyli do niej. Maja stała nieruchomo, dysząc.

— Ależ to barbarzyństwo! — krzyknęła Leniecka. — Co ona panu zrobiła?!

— Ugryzła mnie — rzekł niepewnie Leszczuk.

Ślepki wiewiórki zamglily się. Zdychała.

Wszyscy patrzyli na nią. Tylko jedna Maja nie mogła wzroku oderwać od Leszczuka.

— Chamstwo! — rzekł krótko Cholawicki, trącając trupa.

Maja zaszlochała. I zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, pognąła w las. Naraz Leszczuk, który dotąd stał nieruchomo, z rękami opuszczonymi — skoczył za nią i zniknął w ciemnościach.

Cholawicki ruszył za nimi, ale potknął się o wystający korzeń i upadł. Porwał się zaraz i nie tracąc czasu pobiegł wielkimi susami.

— Stać! Stać! — krzyczał.

Leszczuk dopadł Maji po dłuższym pościgu i złapał za ramiona. Pchnął ją na drzewo, aż zaszyła się między gałęzie. Jeszcze raz ją złapał i cisnął o ziemię.

Uklękła na jedno kolano i rozszerzonymi oczami patrzyła mu w oczy, a on też patrzył na nią, jakby ją widział po raz pierwszy. Zadarł jej głowę.

— To pani... taka... taka...?

Była przekonana, że ją zabije, jak tamtą... wiewiórkę. Oczekiwała okrucieństwa. Wiedziała, że go doświadczy na sobie. Jego palce zaciskały się na jej szyi, oczy zwężyły się.

— To pan jest taki! — wyszeptwała, jakby nie wierząc własnym oczom. Uderzył ją mocno. Maja rzuciła się. Trzymał ją silnie. Ugryzła go. Wtedy on, nie panując już zupełnie nad sobą, pchnął ją i potoczyli się na ziemię. Zaczęli się bić, gdzie popadnie, tarzając się po mchach. Owładnęło nimi zdziczenie!

Zdawało się, iż oboje chcą się zniszczyć, zabić, zamordować, unicestwić i wyzwoliła się w nich ta straszliwa zażartość przeciwko sobie, która ich napadała podczas gry.

Przeraził się jej wściekłości! Ale ta wściekłość wzmogła tylko jego furię. A Maja choć nie miała już żadnej wątpliwości, że nadchodzi jej ostatnia godzina, nie myślała o tym — wiedziała tylko, że jej ręce ciągną go za włosy, drapią, biją, niszczą, jak mogą — póki jej nie zmasakruje straszną, ciemną i ślepią siłą mordercy.

Oboje byli mordercami! Oboje żyli tylko tym, żeby się zamordować. Nienawidzili się bezgranicznie!

On pierwszy przeraził się jej, czy też siebie — i uciekł.

Leżała bez tchu, bez sił — wargę miała rozciętą i krew ściekała jej na palce. Wszystkie kości bolały. W głowie pustka. I tylko ta jedna myśl: to tak? to tak?

Aha, to on jest taki — i ja jestem taka — i to tak?... to tak?...

Cholawicki wołał gdzieś w głębi lasu: — Maja! Maja!

Zerwała się i, przytrzymując rozdartą bluzkę, okólnymi drogami przedostała się do dworu. Na szczęście zdołała przejść niepostrzeżenie do swego pokoju. Nie płakała.

Była tylko zrozpaczona, upokorzona, przerażona do ostatecznych granic. Przejrzała się w lustrze. Usta zakrwawione czerwieniły się na bladej, posiniaczonej twarzy. Oko miała podbite. Ubranie w strzępach. Na kolanach skórę zdrapaną.

Przypomniała sobie, jak kiedyś wracając z teatru z matką ujrzały na ulicy zbiegowisko — policjant przytrzymał dwie ulicznice, które się pobily. Wyglądały tak samo i tak samo nie płakały wcale, tylko dyszały — nie mogły złapać oddechu — i patrzyły tępo, bezsilnie przed siebie.

Przemknęła się do łazienki i odkręciła kran. Była cała uwalana ziemią.

I czyż to było możliwe — ta wściekłość? Zażartość nieprawdopodobna? To zezwierżenie ostateczne? Przecież gryzli się, rwali sobie włosy, szarpali z taką furią nienawiści i z taką żądzą zniszczenia, iż psy się tak nie gryzą!

Aha, to ja jestem taka? To we mnie tak jest ...

I on jest taki...

Ktoś zastukał do drzwi.

— Maja?

To był Cholawicki. Prędko dopadła drzwi i przekręciła klucz. Zamknęła się. Czy on wiedział, co się stało?

— Chcę z tobą pomówić.

Milczenie.

— Maja, musimy się rozmówić. Muszę wracać na zamek. Chcę zamienić z tobą parę słów.

Głos jego brzmiał poważnie. Nie odpowiedziała. Usłyszała, że odchodzi. Powróciła do swego pokoju, zamknęła się na klucz, zgasiła światło, położyła się do łóżka i długo w noc leżała na wznak, z rękami pod głową, wpatrzona w ciemność, niezdolna do jednej skoordynowanej myśli. Same strzępki. I okropna żalność, przygniatający smutek, jakby za czymś bezpowrotnie utraconym, za jakąś delikatnością, która była w niej — i która została zamordowana i zniweczona w proch chamskim prostactwem, zwierzęcą furią, ohydłą brutalnością.

I jeszcze ta wiewiórka, wiewiórka, którą oni we dwoje roztrzaskali o drzewo — to małe zdychające zwierzątko u stóp drzewa!

Nie miała pretensji do Leszczuka. Nie buntowała się już przeciwko niemu. Dziwiła się tylko, że on jest taki i że ona jest taka — że oboje są tacy i że jest to ich prawdziwa natura.

Ktoś otwierał drzwi.

Maja nie mogła się zorientować — czy spała i została zbudzona szelestem, czy też tylko zamyśliła się i straciła poczucie czasu. Już świtało. Ktoś wsadził nóż w szparę drzwi i usiłował wyważyć zamek. Od razu była pewna, że to Leszczuk, ale nawet nie ruszyła się. Nie miała prawa bronić mu niczego, bo przecież była taka, jak on! Taka sama!

Jakby pogrążona w złym śnie, widziała bez zmrużenia oczu, spokojnie, jak drzwi ustąpiły i wsunął się do pokoju, cicho zamknął za sobą drzwi, nasłuchując, czy nikt się nie obudził w sąsiedztwie. Jego profil, skupiony i czujny, rysował się wyraźnie w półmroku.

Podszedł do szafy. Wyjął klucz z górnego zamka i otworzył szufladę z pieniędzmi.

Na Maje nie zwracał wcale uwagi. Nie spojrzał nawet w tę stronę. Widocznie i on także wiedział, że z tej strony nie może być żadnego oporu, bo... są do siebie podobni, są tacy sami.

Wyjął banknoty i wyszedł, a Maja, jak współniczka, wstała i zamknęła z powrotem szufladę a nawet podniosła jeden banknot stużłotowy, który mu upadł na podłogę.

ROZDZIAŁ IX

Cóż jednak działo się przez ten czas na zamku, który o narastającym zmroku trwał pośród rozlewisk, potężny, tysiącletni masyw, groźne i dumne spiętrzenie murów, zastygłych w wiecznej zadumie — ruina przebrzmiałej świetności, wspomnienie dawnej glorii, dziś — smutne, tragiczne miejsce, gdzie żądze, strachy i szaleństwa wiodły fatalny taniec?

Grzegorz, wykorzystując nieobecność sekretarza, wtajemniczał Skolińskiego w przeszłość. Profesor ze skupioną uwagą wsłuchiwał się w opowiadanie starego sługi, który nieustannie oglądał się za siebie i wyrzucał skąpe wyrazy z najwyższą niechęcią. Skoliński musiał go bez przerwy poganiać i naciskać pytaniami.

— Dużo to ja ta nie wiem — mówił ostrożnie kamerdyner — ale co wiem, to powiem, jak na świętej spowiedzi.

Wychowałem się na zamku od małego dziecka. Jeszcze za nieboszczyka księcia byłem chłopcem kredensowym, a terażniejszy książę Aleksander razem ze mną wzrastał, bo myśmy prawie równego wieku byli. Wtenczas nijakich strachów jeszcze nie było.

Strachy powstały dopiero później — dużo później... Chce pan wiedzieć? Na mój rozum to te strachy są w związku z osobą lokajczyka Franka, to jest syna książęcego. Ale nijakiej pewności nie mam.

— To książę był żonaty? — zapytał Skoliński.

— Żonaty był, ale żona zmarła bezpotomnie, a syna miał z inną. Tak przynajmniej ludzie mówili. Ale opowiem po porządku.

Lat temu ze czterdzieści przyleciał na zamek chłopak z listem do księcia. Nie chciał powiedzieć od kogo. Książę zaraz wyjechał w nocy i nie wrócił aż w dwa dni potem. W jakie dwa tygodnie książę zawołał mnie do gabinetu, a właśnie był tam ten sam chłopak, co z tym listem chodził. Książę powiada do mnie:

— Grzegorzu, ten chłopak mi się spodobał. Weźcie go do kredensu. To sierota bez ojca i matki — powiada — ja się nim zaopiekuję.

No i został na zamku. Miał wtedy ze dwanaście lat. Głupie to było. Jak go pytałem o rodziców to mówił, że ojciec był zdun, a matka niedawno umarła. Nazywał się Sikorski. Ale ludzie mówili, że to musi być syn księcia — choć tam książę ani się nim zajmował, ani co...

Kiedy podrósł, książę mu wyznaczył pensję i dał go mnie do pomocy. Ale tak mi się widzi, że już wtenczas ten Sikorski zmiarkował, że książę jakieś powody swoje ma, dla których na zamku go trzyma. A najpewniej ludzie mu powiedzieli, że jego synem jest. Zresztą było między nimi podobieństwo.

Z wiekiem coraz podobniejszy się robił. Ten sam nos. Oczy akuratnie takie same. A jak mówił, to i głos miał podobny. Zresztą niczego był chłopak.

Książę widział to podobieństwo, ale się wstydził. Jak to książę — nijako mu było, że służący tak kubek w kubek do niego podobny. Książę był skrupulat, wstydlivy, bardzo zawsze uważający, z ludźmi nie lubił się zadawać... więc ta nijako mu było, że jego grzechy tak się tym podobieństwem okazują.

A do tego jeszcze, jak Sikorski zobaczył, że on akuratnie taki sam wygląd ma, jak książę, bardzo się rozzuchwalił. Do księcia z pretensjami nie śmiał wystąpić, ale tak sobie wykombinował, że książę musi za syna go uznać.

Nieraz przychodził do mnie do kuchni i mówił, że niedługo już jego poniżenia. Książę musi go uznać!

I jednego razu poszedł do księcia, ale księżę tak go sklął od ostatnich, że aż na dole było słyhać.

W taki gniew wpadł, że nie daj Boże!

— W głowie się przewróciło! — krzyczał, ale to krzyczał na wszystkie pokoje. — Won! Wynosić się! Precz z moich oczu! Ani minuty dłużej! To wszystko bezczelne kłamstwo.

Ale Franek o przebaczenie prosił i przysięgał się, że on już nigdy a nigdy nie będzie, więc księżę pozwolił mu zostać na zamku. I jakoś mu te zamysły z głowy wywietrzały, księcia się bał, skrył w sobie to wszystko. Minęło tak ze trzy miesiące.

Aż tu, jak dziś pamiętam, przychodzi Franuś do kuchni nie ten sam. Uśmiecha się tak jakoś słodkawo, a złośliwie, zadowolony taki, a zły, że aż mnie tknęło.

Grzegorz zniżył głos i przeżegnał się nieznacznie.

— Od tej to chwili się zaczęło! — rzekł uroczyście. — Odtąd ten diabeł na stał!

Więc powiadam, że przyszedł do kuchni i mówi:

— No, teraz ja się z nim porachuję!

— Z kim to się porachujesz? — mówię, a on na to:

— Z księciem, moim ojcem.

— Uważaj, żeby cię na zbity pysk nie wygonił — mówię mu, bo mnie nerwy psuł tym gadaniem. Ale on uśmiecha się tylko i mówi:

— On mnie nie wygoni, choćby chciał.

— A dlaczego ma cię nie wygonić?

— Bo mnie kocha.

— Żeby ci tylko z tej miłości w zęby nie dał! — powiadam, a on wtedy: — Możecie, Grzegorzu, przyjść w nocy do mnie i zobaczycie na własne oczy, jak mnie kocha.

Zainteresowałem się i w nocy stanąłem se za drzwiami, jak mi kazał. Patrzę, a tu księżę nadchodzi boso, po cichutku. Przybliżył się do łóżka, na którym Franek spał, zbliża się, mówię, do łóżka ze świecą, długo się patrzy na niego, wzdycha, coś do siebie szepce i tak ciut, ciut palcami po włosach go gładzi... a lzy mu ciekną po twarzy, gładzi i ślocha — ślocha i gładzi...

Potem odszedł i znowu się przybliżył jeszcze go gładził z takim ojcowskim gorącym uczuciem... tak go kochał, tak go kochał, że nigdy a nigdy takiej miłości nie oglądałem.

A ten drań leży i udaje, że śpi, czasem pochrapuje — a kiedy mu się już znudziło, to się poruszył niby przez sen i księżę zara uciekł.

Wtenczas Franek na łóżku usiadł i w te słowa się odezwał:

— A co? Widzieliście chyba? Kocha mnie! No, to teraz ja się z nim porachuję za wszystkie czasy! Za moją poniewierkę! Po nocy, jak nikt nie widzi, to mnie kocha, a w dzień to się wstydzi! No, dobrze! Już ja ojczulkowi pokażę!

Odtąd się zaczęło! Bo Franuś — tu Grzegorz przeżegnał się — zaczął siebie psuć na złość księciu. Sam siebie psuł! Stąd się diabeł na zamku wziął — nie z czego innego.

— Jak to: sam siebie psuł? — zapytał profesor, głęboko wstrząśnięty opowieścią starego kamerdynera, który wyblakłymi oczyma zdawał się znowu oglądać dawno minione czasy.

— Zły się zrobił — odparł krótko Grzegorz — umyślnie zły się zrobił! Z tej zawziętości! Żeby to księciu pokazać, na jaki los księżę go skazał. Takiej złości w nikim nie widziałem, jak żyję. Wódkę zaczął pić. Z dziewczkami się zadawał, awantury wyprawiał, na zdrowie sobie szkodził i co tylko można najgorszego obmyślić, to on sobie obmyślał i wypełniał. Wszystko mu było za mało! Bo to niejedyn szczeniak dużo krzywdy narobi ludziom z głupoty, albo i dla zabawy, ale on to robił dla złego — żeby księżę wiedział Jaki on zły. Nie było takiej sromoty, żeby jej nie wypełnił i jeszcze się nie przechwalał przed ludźmi.

— Ot — mówił — ojciec mnie wychowania nie dał, wstydzi się mnie, więc taki jestem!

A do tego — Grzegorz obejrzał się z trwogą — zaczął się truć. Nie wiem jaką truciznę sobie wynalazł, ale z każdym miesiącem go ubywało, skóra mu żółkła, mało co jadł, w gorączce żył.

A wszystko dla tej rozkoszy, żeby słyszeć jak w nocy księżę do niego przychodzi i gorzkimi łzami płacze nad nim!

Głupi byłem, bo nie śmiałem księciu powiedzieć z jakiej to przyczyny się dzieje. Myślałem, że się usatkuje, bo przecie to niesłychana rzecz, żeby człowiek sam się gubił. Ot, fanaberie — myślałem — przyszyły to i przejdą, a księciu lepiej nie mówić.

Aż jednego dnia przy kolacji księżę mnie zagadnął delikatnie — czy ja nie wiem, co się z Frankiem dzieje, że źle wygląda? Nie chciałem już na swoje sumienie tego brać i powiedziałem wszystko, jak jest.

Że ma żal do księcia, bo księżę ojcostwo swoje ukrywa — że na złość księciu zmarnieć chce i nawet lekarstwo jakieś przyjmuje. Jezus Maria! Księżę się zaczerwienił naprzód, a potem zbladł, jak ta chusta.

Więc ja do niego, że niby nie ma co się przejmować, bo fanaberie jak przyszyły, tak przejdą — szczeniak i tyle! Nic nie odpowiedział, tylko kazał go zaraz wezwać na rozmowę.

— I — mówi — Grzegorzu, nikomu ani pary z gęby!

Grzegorz zająknął się.

— No i co zaszło podczas tej rozmowy? — zapytał Skoliński.

— Ja ta nie wiem.

— No, no, wiadoma rzecz, że Grzegorz podsłuchał. Lepiej szczerze powiedzieć.

— Podczas tej rozmowy — rzekł Grzegorz — księżę za syna go uznał, ścisnął, całował, na kolana przed nim upadł i prosił o przebaczenie.

— Będziesz moim synem — mówił — wszystkim ogłoszę, do nazwiska i majątku cię dopuszczę, wybac mi! Wykształcenie ci dam, serce ci otworzę, tylko mi przebacz!

Aż mnie dziwno było, że księżę urodzony przed lokajczykiem własnym w prochu się tarza! A on — nie i nie! Ręce w kieszenie wsadził, stoi nieruchomo i patrzy.

— Nie chcę! — mówi. — Trzeba było od razu mnie uznać! A tera, to ja nie chce.! Mnie ta miłość spóźniona niepotrzebna.

— Ja — krzyczy — nie kocham, a nienawidzę! Ja się zniszczę! Ja siebie za bije! Na złość! Na złość! Na złość! I niech diabli mnie wezmą za to, że się rodzony ojciec mnie wstydził!

Wypadł z gabinetu (bo wtedy jeszcze na zamku był gabinet, tera go już nie ma) i leci przez zamek. Więc księżę zaraz mnie zawezwał i nakazał, żebym go pilnował.

— Niech Grzegorz leci za nim i oka z niego nie spuszcza, bo gotów się zabić!

Ja lecę za nim i na ostatnią chwilę zdążyłem. Wpadam do drwalki, a on sznur na belkę zakłada. Kiedy mnie zobaczył, cofnął się i żarcikami mnie zbył.

— Nie dziś, to jutro — mówi i śmieje się, ale takim śmiechem, jakby kto łód rąbał.

Doniosłem o tym księciu. — Jezus! — tylko to słowo naprzód powiedział. A potem, że trzeba go pilnować. — Grzegorzu, tylko do was mam zaufanie! Musimy go pilnować dzień i noc, póki mu to nie przejdzie!

Co za dnie i co za noce wtenczas na zamku nastąpiły, to niech ręka Boska broni! Tylko pogoń wieczysta za tym szalonym! Wieczne pilnowanie! Wieczny strach, że jak się go z oczu spuści, żywot sobie odbierze!

Grzegorz przymknął oczy i dłuższy czas milczał.

— Dalej nie będę mówił — rzekł stanowczo. — Na co odgrzewać, co było. Było i przeszło, niech ta sobie śpi spokojnie, snem wiecznym.

Grzegorz wie o tym, że wcale nie śpi... Złe nie śpi... — ostrzegł go profesor wskazując nieznacznie w stronę starej kuchni. — Ja bym radził, niech Grzegorz mówi.

— Wielmożny panie! Lepiej nie wywoływać wilka z lasu!

— A ja radzę, niech Grzegorz mówi!

Kamerdyner uległ, ale ściszył głos, że ledwie było słycać.

— Na przemian z księciem czuwaliśmy bez przestanku. Jak księżę spał, to ja nie spałem i na odwrót. Bez przerwy jeden z nas przebywał w pobliżu Franka i pilnował, czy jemu znowuż co do głowy nie strzeli. A on się przyciszył i taki grzeczny się zrobił — ale widoczne było, że myśli tylko o tym jednym, jak się zabić, zniszczyć się ze szczętem! Tak się przyczaił kilka dni.

A potem jak się zacznie! Matko Boska! Raz za razem! Nożem chciał się przebić w kuchni! Przez okno z wieży chciał skakać! O ten mur, tam przy bramie głowę chciał sobie rozwalić! Szalony zupełnie! To myśmy z księciem tylko wypatrywali, co on robi, co mu się tam roi w jego mózgownicy szalonej.

Więc księżę kazał go zamknąć i myśmy uradzili z księciem, że go zamkniemy w starej kuchni, bo tam drzwi ciężkie, okute, a przez okno nie można wyskoczyć, bo za ciasno.

Tu Grzegorz znowu się zatrzymał i naraz zapytał szczególnym tonem profesora.

— Przepraszam wielmożnego pana, co panu tak usta latają?

— Usta? — zapytał zdumiony profesor. Podniósł rękę do ust. Zdawało mu się, że ma spierzchnięte wargi. Ale poza tym wargi — pulsowały.

Nie można było tego nazwać ruchem. A jednak dotykając wyczuwało się wyraźnie że stały się większe i jakby falujące.

Było to okropne. Profesorowi natychmiast przyszedł na myśl ręcznik w kuchni. Ten robaczkowy ruch warg był pokrewny ruchowi ręcznika. Potworność. Mieć ten ohydny ruch na ustach? Miał takie uczucie, jak gdyby stracił panowanie nad wargami, jakby usta przeistoczyły mu się w jakieś obrzydliwe zwierzę ruszające się samoistnie — na nim.

Grzegorz również obserwował zjawisko — bez słowa. Zamienili spojrzenia. Wreszcie profesor, nie chcąc wywoływać popłochu, wyjaśnił.

— To nic. To mi się czasem zdarza. To jest, widzi Grzegorz, taki nerwowy skurcz mięśni. Nic ważnego. Niech Grzegorz mówi dalej.

Pulsowanie ustawało powoli. — No tak — mruknął Grzegorz bez przekonania. — Jak mówię — ciągnął dalej — księżę kazał go zamknąć w starej kuchni.

Kazałem mu tam pójść, porządki robić, a kiedy wszedł, tośmy go uwiadomili, że tak, a tak — musi tu pozostać, dopóki go szal nie minie, a wszystkie przedmioty, którymi by mógł krzywdę sobie wyrządzić, ma oddać.

Wtedy to szaleństwo go poniosło, rzucił się na nas, bił, gryzł, wył jak pies, kopał, piana mu wystąpiła — i musiała w tym być nieczysta siła, bo taki smarkacz, osiemnaście lat liczący o mało nas nie pokonał, nas, mężczyzn przeciw sile wieku.

Żeby kto tak gryzł, tak wył — ani człowiek ani zwierzę tak nie potrafi.

Aleśmy go ogłuszyli. Wzięliśmy mu pasek od spodni, nawet buty zabraliśmy. Zamknęliśmy drzwi i straż ustanowiliśmy. Przez dzień ja, w nocy księżę.

Chciałem księdza albo i doktora sprowadzić ale księżę mówi: — Nie, nie potrzeba. Ja sam mu wyperswaduję, sam mu wytłumaczę. Jeśli on mnie nie posłucha, nikt mu nie da rady. Ja sam! Ja sam!

I odtąd nowa zgroza się zaczęła.

On się tam tłukł po tej kuchni, a księżę pod drzwiami sterczał i perswadował.

Chyba już wtenczas księciu na mózg uderzyło. Przez te drzwi, mówię wielmożnemu panu, obaj godzinami rozmawiali. Księżę błagał, płakał, a potem krzyczał, wściekał się, a on za drzwiami jeszcze go rozjątrzał i podniecał, śmiał się, krzyczał, bluźnił w zapamiętaniu. A nikt o tym oprócz mnie nie wiedział.

Już wtedy służby prawie na zamku nie było, jedna tylko gospodyni, czyli kucharka, pani Ziółkowska, ale jej powiedziałem, że Franek ciężko chory i że księżę zakazał do niego chodzić.

Aż kiedyś księżę do mnie występuje, żebym już więcej nie pilnował. On sam będzie dzień i noc pod drzwiami czuwał, posłanie sobie przygotowuje, a ja żebym tylko jedzenie mu do pokoju obok przynosił i zostawiał.

Pod żadnym pozorem, żebym się nie ważył przychodzić do niego. On sam z synem zostanie — sam synowi wyperswaduje — syna przemoże.

Co miałem robić? Teraz to wiem, że głupstwo zrobiłem, bo trzeba było kogo powiadomić, o pomoc się zwrócić — ale wtedy nikt nie mógł wiedzieć, jak się skończy. Myślałem przecież, że księżę lepszy ode mnie ma rozum. Wyglądał strasznie, nie golił się chyba z tydzień, nie mył się, w ubraniu spał, oczy mu latały jak błędne, zacinał się w mowie, ale mnie do głowy nie przychodziło, że mu się klepki pomieszały. A przecież ojciec z synem zawsze lepiej dojdzie do porozumienia, niż kto inny.

Więc tak ich zostawiłem we dwu na piętrze i księcia tylko co kilka dni widywałem przy obiedzie. Był nawet spokojniejszy, uśmiechał się... Jak się pytałem o Franka, odpowiedział, że „wszystko na najlepszej drodze”.

— Wszystko na najlepszej drodze — mówił — mój Grzegorzu. Coraz jest spokojniejszy. Już niedługo pogodzimy się. To lekkomyślny chłopiec, ale dobre ma serce. A ja ciężko zawiniłem względem niego, oj, ciężko. Ale wszystko na najlepszej drodze, tylko cicho, sza — nikomu nie mówić.

No to i dobrze. Tylko, że po pewnym czasie mnie się to wydało podejrzane. Minęło kilka tygodni, a księżę wciąż to samo — że na najlepszej drodze. Coś mnie tknęło i raz dorobiłem sobie klucz (bo księżę na klucz drzwi zamykał, żebym do tamtych sal nie zaglądał) i zajrzałem w nocy do Franka. Księżę spał wtedy.

Patrzę, a do starej kuchni drzwi uchylone, Franka nikaj nie ma — ani śladu, ani popiołu.

Lecę do księcia, budzę go. Gdzie Franek?! Co się z nim stało?! Księżę uśmiecha się i powiada:

— Wyjechał, wyjechał, mój Grzegorzu. Wysłałem go w podróż, żeby się trochę uspokoił. To mu dobrze zrobi. Niech Grzegorz się tym nie przejmuje — i cicho sza — nikomu nic, ani słowa!

Wtedy zmiarkowałem, że oszalał na umyśle. Nie mogłem się dowiedzieć co między nimi było. Ciała Frankowego nie odnalazłem, chodem przeszukał zamek od góry do dołu.

Od tej pory księżę jest taki, jak teraz. Nie chce mówić o tym, a jak go zapytać, udaje, że zapomniał — ale nie można się pytać, bo mu się zaraz robi gorzej. To panu opowiedziałem całą prawdę, jak było.

— Nikomu więcej Grzegorz tego nie opowiadał?

— Żywa dusza nie wie! Ja ta nie chcę się wtrącać! Jak ludzie na języki wezmą, to najgorzej!

Profesor z trudem trzymał na wodzy rozigraną wyobraźnię. Jakież okropności musiały się dziać między tymi dwoma — obłąkanym i opętanym — w ciągu tych dni i nocy straszliwych, spędzanych sam na sam?

Czyż można się dziwić, że takie przeżycia nie minęły bez śladu — że pozostawiły swój demoniczny osad w starej kuchni?

W jakimż związku z tą ponurą historią pozostawał tajemniczy skurcz ręcznika? Na to pytanie Grzegorz nie umiał udzielić odpowiedzi. To była już zagadka, której dziś nikt prócz księcia nie umiałby rozwikłać. Może i księżę jej nie znał.

— A kiedy Grzegorz zauważył, że tam straszy?

Kamerdyner rozłożył ręce.

— Długi czas nic nie wiedziałem. Księżę drzwi zamknął i zakazał wchodzić do tego pokoju

— że to niby Franek niedługo wróci. A mnie, żeby prawdę powiedzieć, cościś od tej starej kuchni odpychało i nie zaglądałem do niej chyba rok. Dopiero po dłuższym czasie zmiarkowałem, że książę z czymś się ukrywa. Bał się czegoś! W nocy spać nie mógł i chodził pod kuchnię, ale wejść, nigdy nie wszedł. Z dala ją obchodził, ale ciągle koło niej się kręcił. Czasem coś takiego mówił — że „coś się dzieje”, ale myślałem, że mu się majaczy. Dopiero kiedyś do mnie się odezwał:

— Grzegorz, coś wam pokażę, tylko nie mówcie nikomu. Zaprowadził mnie do kuchni, ale nie wszedł, tylko na progu stanął i pokazał mi ręcznik.

— Patrzcie, jaki tu przeciąg. Widzicie, jak ten ręcznik faluje. Faluje, co? Musi nie być pewny, czy go zmysły nie mylą i chciał żebym przytwierdził. Z początku wcale się nie poznałem na tym ręczniku i chciałem go zdjąć z kołka, a książę, jak nie krzyknie:

— Nie ruszać! Nie ruszać!

A wtenczas mnie się coś zrobiło. Zemdlilo mnie. Jakoś mi się tak zrobiło strasznie — mdło — obrzydliwie... Tfy!

Książę z krzykiem uciekł. Zatrzasnąłem drzwi i tyż zwałem! Długie lata nie zaglądałem więcej do tego miejsca.

Ale ludzie zaczęli mówić, że na zamku straszy. Skąd się zwiedzieli, to Bóg raczy wiedzieć, boja nic nikomu nie mówiłem.

Był tu taki praktykant, pan Rudziański. Kiedyś przyszedł do mnie. — Podobnie — mówi — tam u was straszy. Niech Grzegorz mnie pozwoli przenocować, zobaczę. Ja się znam na duchach, nie boję się. To było już z pięć lat po tamtym. Zobojętniałem, trochę zapomniałem, jak to człowiek w pracy o wszystkim z czasem zapomina. Pozwoliłem mu się przespać. Rano zaglądam — nie ma go nigdzie. Szukam — nie ma. Już myślałem, że go porwało, jak nieboszczyka Franka. Gdzie tam! Odnalazłem go w kącie pod schodami. Nie poznał mnie, rękami twarz zasłaniał, od rzeczy mówił. Rodzina go zabrała, a doktorzy podobnie powiedzieli, że to mu się na mózg rzuciła jedna choroba, co ją miał. Głupi! Nie żadna choroba była, a musiał coś zobaczyć takiego, że nie wytrzymał.

Także samo jeszcze w parę lat potem jeden... syn kucharza. Znaleźli go w lesie, głupiego. Zgłupiał ze szczętem, a jeszcze poprzedniego dnia był zdrow i wesół, aż miło. Nikt nie wiedział, co mu się stało takiego. Dopiero kiedy zobaczyłem, że na łóżku w starej kuchni pościel jest zmięta, tom się spostrzegł, że on musiał się tam zakraść z ciekawości i rozumem przyplącił. Także nic nikomu nie mówiłem. Co mają ludzie gadać.

A że wielmożny pan nocował bez szkody dla zdrowia, to cud jakiś! Wielmożny panie! Mam taką prośbę. Ja wszystko powiem. Ale jakbym nie wytrzymał i pytał się wielmożnego pana, co wielmożny pan tam widział, to proszę nie mówić! Choćbym się pytał! Ja ta nie chcę się wtrącać! Mnie nie do tego!

— A pan sekretarz, w jaki sposób zdobył zaufanie księcia?

Grzegorz skrzywił się.

— Ph! Książę więcej się jego boi, niż go lubi.

— A dlaczego się boi?

— Pan sekretarz jest sprytny. Przed paru laty księciu trochę na zdrowiu się polepszyło. Chciał interesy uporządkować i zgodził wtedy pana Cholawickiego, z którym już dawniej się znał. Bo to jest jakiś jego kuzyn daleki, czy jak... Niedługo trwało to polepszenie na zdrowiu, ale pan sekretarz już został na zawsze i potrafił z księciem dojść do porozumienia. Cała rzecz w tym, że książę zamku za żadne skarby nie opuści, a samotności też się boi. Sekretarz to zauważył i odtąd wszystko robi z księciem, co chce.

— No przecież Grzegorz w lepszej z księciem powinien być przyjaźni.

Mnie to on do siebie nie dopuszcza — burknął stary — bo się wstydzi. Nie lubi mnie, bo tamte czasy pamiętam. Dobrze, że mnie jeszcze w ogóle trzyma. Ja tylko patrzę, kiedy na stare lata wyrzuca i tyle!

A może księżę wtajemniczył pana Cholawickiego w tamtą historię?

— Nie... Sekretarz nic nie wie. Gdyby wiedział, to by się mnie nie rozpytywał. On tu coś wie, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele. Zauważył, że księżę coś ma na sumieniu, że po nocach chodzi i czegoś się boi, ale więcej nic nie wie. Dopiero mu teraz na moje nieszczęście w komnacie powiedziałem, że straszy. Z tego strachu zgłupiałem. Na moje nieszczęście! Tyle lat nie mówiłem, aż powiedziałem. Najgorzej to mówić! Teraz dopiero się zacznie!

Stuknął się w czoło.

— Zara! Pokażę panu fotografię Franka. Mam ją u siebie w walizce! Dał mi ją, jak raz wrócił z miasteczka, bo niedobra była i nie podobała mu się.

Po chwili przyniósł małą, żółkłą fotografię. Profesor spojrzął i drgnął ze zdziwienia.

Na fotografii była głowa chłopca może osiemnastoletniego. Twarz ładna i bynajmniej nie ponura uśmiechała się niesłychanie intensywnym uśmiechem, choć w ustach i oczach znać było zaciętość. Podobieństwo do księcia rzeczywiście było wyraźne, acz głowa na fotografii nie odznaczała się zdegenerowanym trochę, wielkopańskim wykwintem księżęcej głowy. Raczej stanowiła mieszaninę cech ludowych i pańskich. Ale co innego sprawiło, że Skoliński przyglądał się fotografii tak badawczo.

Twarz ta przypominała mu kogoś. Nie tylko księcia. Jeszcze kogoś. Wzrok historyka sztuki nawykły do ustalania wpływów i podobieństw w portretach, tu także wyczuwał jakiś wpływ... jakieś podobieństwo... pokrewieństwo...

Naraz uprzytomnił sobie: Franek przypominał trochę Leszczuka.

Nie, to było złudzenie. Po prostu tylko sama młodość czyniła ich podobnymi. Byli chyba w równym wieku. I zresztą profesor czuł, że ulega hipnozie podobieństw. Podobieństwo Maji z Leszczukiem — podobieństwo Franka z księciem — podobieństwo Franka z Leszczukiem — za dużo było tych podobieństw.

— Grzegorz — rzekł — czy wy nie wiecie czego o znaku? Co to za znak, którego księżę oczekuje? Zdaje się, że księżę czeka na jakieś posłannictwo od tego Franka — że on do niego przyśle kogoś i daruje mu winę — a ten ktoś ma się wykazać jakimś znakiem?

— O nijakim znaku nie słyszałem.

— To bardzo ważne. Gdybyśmy wiedzieli, jaki to znak, można by uleczyć księcia — rzekł w zamyśleniu Skoliński — i wyrwać go stąd.

— Raz tylko... Ale to pani Ziółkowska.

— No, no?

— Tu była taka gospodyni. Pani Ziółkowska. Raz księżę i ja zachorowaliśmy jednocześnie — były wtenczas wielkie mrozy, grypa nas napadła. Pani Ziółkowska dozorowała księcia i też mówiła o jakimś znaku... Aha. Że przyszła do księcia w nocy z lekarstwem i... nie mogę pamiętać — może rękę podniosła do góry, bo chciała kichnąć, czy coś innego takiego zrobiła — a księżę, jak to zobaczył zaczął krzyczeć: „znak, znak” i za ducha ją wzięł. Ale zara uciekła.

— Niech Grzegorz sobie przypomni! Jakbyśmy ten znak poznali, można by z księciem zrobić wszystko, jak z dzieckiem.

Kamerdyner zmrużył oczy, drapał się po głowie i pocierał czoło.

— Nijak nie mogę sobie przypomnieć.

— Niech Grzegorz jeszcze pomyśli. A ta pani Ziółkowska, gdzie teraz prze bywa?

— Wyjechała do Grodna, będzie już ze dwanaście lat. Ale gdzie się podziewa, to nie wiem.

Profesor zastanawiał się, jak ma działać.

Odnaleźć Ziółkowska? Tak, to było najważniejsze. Ten znak dawał władzę nad duszą szaleńca. Za jego pomocą można było unicestwić plany Cholawickiego — zmusić księcia do usunięcia sekretarza — wyleczyć go, rozwiązać kompleks, który paraliżował tę chorą psychikę.

Lecz na razie trzeba wykorzystać przydługą nieobecność Cholawickiego. A nuż uda się wyciągnąć jeszcze jakieś szczegóły.

Pójdę do księcia — rzekł.

Niech pan nie idzie, bo pan sekretarz lada minuta nadejdzie — ostrzegął Grzegorz, wyglądając trwożnie przez okno na bezkresne płaszczyzny, zamknięte ciemnym otokiem lasów. — Nie wiem, co mu się stało, że tak długo siedzi. A księżę pana nie zna i może zacząć krzyczeć — albo dostanie ataku.

Lecz profesor liczył, że nocne spotkanie nie zostało przez księcia zapomniane.

Co mu powiedzieć? Jak trafić do jego hermetycznej, obłąkanej jaźni?

Ostrożnie uchylił drzwi. Księżę siedział na łóżku, a w rękach trzymał małą pustą flaszeczkę. Drgnął, ale na ukłon Skolińskiego odpowiedział grzecznym skinieniem głowy.

— Czy nie przeszkadzam? — zapytał profesor, jak mógł najłagodniej. Serce mu się ścisnęło na widok biednego starca.

— Ależ proszę! — rzekł księżę. — Właśnie zabieram się do porządków. Muszę zaprowadzić jakiś ład w tych śmieciach. Bynajmniej, pan mi nie przeszkadza — jeżeli tylko pozwoli pan, że w dalszym ciągu będę się zajmował swoją pracą.

Nietrudno było zauważyć, iż wbrew tym uprzejmym pozorom, księżę drży na całym ciele. Doskonale wychowanie pozostało mu jeszcze z dawnych czasów — ale zjawienie się Skolińskiego musiało go przerazić do głębi.

— Ciężką będzie księżę miał robotę, bo tu rzeczywiście kupa brudów! — rzekł przyjaźnie profesor.

— A tak! Kupa. Kupa. A pana Cholawickiego nie ma? — rzucił ze strachem, spoglądając na profesora.

Profesor uspokoił go, że Cholawicki na chwilę zeszedł na dół, do Grzegorza. Naraz księciu upadła flaszeczka, którą trzymał w rękach.

— Podnieść?

— Nie, nie. Dziękuję.

— A gdybym księciu dopomógł w porządkach?

— O, nie, dziękuję bardzo. Właśnie obmyślam plan — zaczął naraz tłumaczyć gorączkowo — ale nie wiem od czego zacząć. Henryś, to jest, przepraszam, pan Cholawicki, nigdy mi nie chce poradzić — a ja sam nie wiem — ja nie wiem... Ale przepraszam najmocniej, że nudzę moimi...

Znów osowiał, nadął się i siedział nastroszony, jak ptak.

Skoliński zrozumiał, że starzec mówi to wszystko, byle nie dotykać tamtych spraw które się działy po nocy. Być może nawet księżę nie był pewny, czy rozmawiał z nim w nocy: rzeczywistość i urojenia musiały splatać się w głowie szaleńca w nierozdzieloną całość.

Mimo to profesor postąpił parę kroków i rzekł, jak do dziecka.

— Przecież to wcale nietrudno zacząć porządkę. Ja bym radził zacząć od tego kąta, a potem stopniowo posuwać się na prawo wzdłuż ścian.

Księżę spojrzał na niego.

— Racja! Naturalnie, że od tego kąta! Tak, tak! Ale dlaczego od tego kąta, a nie od tamtego?

— Ten kąt jest najbliżej łóżka.

Uniósł ręce gestem zdumienia.

— Słusznie — wyszeptał.

— Jeżeli księżę pozwoli, to zaraz zaczniemy.

Profesor nachylił się nad śmieciami.

— Zaraz! Zaraz! — przestraszył się książę. Bo nie wiadomo, co się może przydać. Lepiej nie ruszać! Niech pan niczego nie wyrzuca! To wcale nie jest łatwe!

— Ja bym w ogóle niczego nie wyrzucał. Moim zdaniem każda rzecz może się przydać. Nigdy nie wiadomo.

— A właśnie...

— Ale to jeszcze nie powód, żeby mieć u siebie taką kupę śmieci. W ten sposób książę nie może niczego zużytkować, bo w ogóle nie wiadomo, co tu jest. Ja bym proponował, żeby te śmiecie posegregować według pewnego systemu i ułożyć w sąsiednim pokoju. Niczego się nie wyrzuci, a jednocześnie będzie Porządek.

— A wie pan, że to jest myśl!

Książę spojrział na niego, jak na zbawcę. Skoliński pojął, że znalazł drogę do szaleńca.

Zaczął mu wyklądać metodę segregacji, ustanowił pięć kategorii przedmiotów, zaproponował sporządzenie spisu i uzupełnienie go skorowidzem, wprowadzał tyle technicznych udogodnień, iż książę poczuł się naraz uwolniony ze straszliwej kupy odpadków, która zatruwała mu życie. Zeskoczył z łóżka i obaj zabrali się do pracy.

Ale Skoliński znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Obawiał się, że lada moment zjawi się Cholawicki, a porządki zanosily się na dłuższy czas. Próbował pod różnymi pozorami odejść, ale książę za każdym razem przytrzymał go kurczowo. Widać było, iż — lękając się Skolińskiego — jeszcze bardziej lęka się samotności.

— Nie! Nie! Nie! Jeszcze to! Jeszcze ta górka!

Wtem drzwi się uchylily i na progu stanął Cholawicki.

— Co się tu dzieje?

Głos sekretarza brzmiał nieprzyjemnie i twardo. Książę poderwał się.

— A, Henryś! To nic, niech Henryś nie krzyczy. Porządki! Porządki robimy! Tylko niech Henryś się nie denerwuje. Ten pan był na tyle uprzejmy... ale nic, to tylko tak sobie!

Zaczął drzeć. Ale sekretarz nie zwracając na niego uwagi, poszedł do profesora.

— Proszę wyjść! — szepnął w pasji.

— Niech Henryś się nie gniewa! — wykrzyknął błagalnie książę. — Proszę zostać! — zwrócił się z trwogą do Skolińskiego. — Proszę nie wychodzić!

Skoliński zawahał się. Lecz Cholawicki ujął go za ramię i brutalnie wypchnął z pokoju, po czym zbliżył się do księcia.

— Książę to widzi? — powiedział cicho, ukazując szpicrutę, którą trzymał w ręku. Radzę... bez grymasów! Znudziło mi się! Dostyc mam!

— Czego... Co Henryś?! Jezus, Maria!

Rzucił się na łóżko i wtulił głowę w poduszki. Nigdy dotąd sekretarz nie groził mu biciem. Dziecinny piskliwy szloch jął wstrząsać jego ciałem.

Sekretarz rzeczywiście nie był usposobiony kompromisowo. Przed chwilą wrócił z Połyki Jadąc cały czas galopa — twarz miał pociętą gałązkami. Pomimo iż to nie miało żadnego sensu, chciał jeszcze wracać, jeszcze rozmówić się z Mają. Wpadł do zamku tylko na chwilę, aby skontrolować co się dzieje — i od razu stwierdził do jakiego stopnia fatalna okazała się jego nieobecność.

Profesor zdołał dostać się do księcia!

Zostawił płaczącego na łóżku i, trzasnąwszy drzwiami, poszedł do profesora.

— Prosiłem, aby pan ukrywał się przed księciem! Mówiłem panu, że księcia denerwują ludzie obcy!

— Mówił pan coś takiego? — rzekł apatycznie Skoliński. — A tak, przypominam sobie...

Cholawicki nie wierzył już jego apatii! Straszna komnata wydawała mu się teraz głupstwem! Jak mógł być na tyle naiwny rano!

— Niech pan słucha! Pan natychmiast opuści zamek! Obecność pańska tutaj nie dogadza mi — zrozumiano? I teraz niech pan uważa. Pan mi właściwie nie może zaszkodzić, bo ja działam legalnie. Ale chcę uniknąć szykan. Więc jeżeli pan zachowa przy sobie całą tę sprawę wynagrodzę pana — pan rozumie, że dla mnie kwestia większej nawet sumy w tych warunkach nie gra roli. A gdyby pan chciał mi przeszkadzać, to znajdę środki... radykalne... Ja nie mam czasu na to, żeby bać się z panem!

Profesor spojrział na niego i zrozumiał, że dalszy opór nie na wiele się zda.

— Wyjadę — rzekł. — Ale niech pan teraz mnie posłucha. Pan bierze pod uwagę urojone niebezpieczeństwa, a nie dostrzega pan rzeczywistości. Na pańskim miejscu rzuciłbym to wszystko i uciekł, gdzie pieprz rośnie.

— Ciekawym dlaczego?!

— Ze względu na to!

Wskazał palcem w kierunku starej kuchni.

— Co za głupstwa!

— To nie są głupstwa! Przysięgam na duszę mojej matki! Pan sobie nie zdaje sprawy Jak dalece tamto jest prawdziwe i rzeczywiste. Niech pan się strzeże. Wolałbym zamordować kogoś z dala od tego miejsca, niż popełnić tutaj — w sąsiedztwie — coś o wiele mniej złego. Tu zło ma specjalny rezonans!

Głos jego brzmiał uroczyście i ostrzegawczo. Sekretarz pomimo całej wściekłości — zawahał się.

— Co pan tam widział?

— To moja rzecz!

— Wynosić się! — krzyknął. — Żeby tu pana nie było za pięć minut! Dość mam tych bzdur! A niech pan sobie zapamięta — wóz, albo przewóz!

— A ja panu radzę, niech pan się nie posuwa do żadnej ostateczności. Pan nie wie! Niech pan pamięta, że pan nie wie, co się tu odbywa — na zamku!

Lecz w tej chwili rozległ się głos księcia.

— Za pozwoleniem!

Na progu mrocznej sali w swoim nieprawdopodobnym szlafroku wyglądał Jak zjawisko z innego świata. Sekretarz podbiegł ku niemu.

— Dlaczego księżę nie siedzi u siebie w pokoju?! — krzyknął, ale natychmiast zamilkł.

Księżę był zmieniony do niepoznania! Jednym niewielkim ruchem ręki odsunął go na bok.

— Kto się ma wynosić? Słyszałem, że ktoś ma się wynosić z zamku? Czy to o panu może była mowa?

Skoliński pomimo całego wzburzenia mimowolnie pochylił głowę — taka godność i duma pańska biła od wariata.

— Niestety, będę musiał wyjechać — rzekł wzruszony, z sercem pełnym litości dla nieszczęśliwego.

— A dlaczego?

— Bo ja tak chcę! — krzyknął Cholawicki.

Księżę zdziwił się.

— Odkądże to moi oficjaliści dysponują moim zamkiem? Obawiam się, że jeżeli pan będzie upierał się przy swoich dyspozycjach, to pan pierwszy... wyjedzie stąd.

Cholawicki zbladł, jak ściana. Nigdy jeszcze nie słyszał z ust księcia czegoś podobnego. Ta zmiana wydawała się niewiarygodna! I księżę robił wrażenie zupełnie przytomnego!

— Przepraszam — wybąkał.

— Pan jest moim gościem — mówił Holszański ciągle z tym samym dostojeństwem, zwracając się do profesora. — Ja pana zapraszam i bardzo proszę, niech pan nie zwraca uwagi na żadne nietakty ze strony moich oficjalistów. Ja je ukróczę. Pan nie może wyjechać. Pan mi jest nieodzownie potrzebny do porządków! Ten zamek jest po brzegi wypełniony śmieciami i gratami — o chociażby ta sala! Ja się uduszę w tych śmieciach! Ja utonę w śmieciach! Mnie to szkodzi na zdrowie! Pan musi mnie wyratować! Ja się mogę rozchorować! Niech pan mnie ratuje — niech pan mnie ratuje — niech pan ratuje mnie — ratuje mnie — ratuje mnie...

Ostatnie słowa wymawiał coraz szybciej, aż wreszcie przeszły w krzyk — i szalenciec osunął się na posadzkę.

— Precz! — warknął Cholawicki, gdy profesor rzucił się na pomoc. Porwał na ręce wynędzniałe ciało książęce i uniósł do sypialni.

Dopiero teraz ocenił w pełni powagę sytuacji. Mur samotności wokół księcia był przełamany! Wydarto mu kapitalny atut — już nie był tym jedynym człowiekiem, bez którego książę nie mógł się obejść! Książę chciał zatrzymać Skolińskiego! I jakim tonem przemawiał!

Co robić? Położył księcia na łóżku i pobiegł do profesora.

— Żeby pana tu nie było za pięć minut!

— Ale profesor przecząco poruszył głową. Był bardzo poważny.

— Nie wyjadę!

— Jak to?! Nie wyjedzie pan?

— Pan słyszał, że zostałem zaproszony przez księcia.

— Ale to jest wariat!

— Jeżeli jest wariat, to trzeba go ubezwłasnowolnić. Na razie jestem tutaj i nie zamierzam się ruszyć! Nie ruszę, póki książę wyraźnie tego nie zażąda.

— Pan zamierza wziąć go w opiekę!

— Być może.

Decyzja profesora była nieodwołalna.

A taka sama — co gorzej — okazała się decyzja księcia. Daremnie usiłował przełamać chorobliwy upór szaleńca. Książę, ocknąwszy się z omdlenia popadł w wielkie osłabienie — heroiczna postawa, którą przyjął wobec sekretarza, była jednak ponad jego siły — a zarazem wrócił mu lęk przed Cholawickim i z pokorą słuchał surowych, twardych jego słów. Niemniej pozostał przy swoim i Cholawicki zrozumiał, że raczej rozstanie się z nim, niż ze Skolińskim. Stało się. Profesor wkradł się na zamek i trzeba było pogodzić się z faktem.

Ta noc dla Cholawickiego nie była bynajmniej lepsza od poprzedniej, nawet — stokrotnie gorsza. Dwie fatalne klęski, które poniósł — jedna w Połyce, druga na zamku — spędzały mu sen z oczu, mimo że od czterdziestu ośmiu godzin właściwie nie zaznał wypoczynku. Maja! Cóż to było z Mają! Dlaczego pobiegła w las, dlaczego Leszczuk ją ścigał, dlaczego zamknęła się w pokoju, nie chciała z nim mówić? Co zaszło między nią i Leszczukiem? Trzeba będzie pojechać tam zaraz rano. Lecz jeśli pojedzie, znowu straci kontrolę nad Skolińskim i nad księciem. Więc może nie jechać?

A do tych męczarni dołączyła się głucha obawa przed zagadkowymi słowami profesora — „wolałbym zamordować kogoś z dala od tego miejsca, niż popełnić tutaj coś o wiele mniej złego. Tu zło ma specjalny rezonans”. I ten ręcznik — nieustanna praca tego ręcznika tam w głębi zamku, w starej kuchni — myśl, iż bez przerwy ręczników wzdyma się, kurczy, porusza... i że Skoliński wróg, lepiej od niego jest wtajemniczony, wie coś, czego on nie wie...

Dopiero nad ranem zapadł w głęboki sen. Ale o dziesiątej obudził go Grzegorz. Posłaniec z Połyki przyniósł list od pani Ochołowskiej.

Przecierając oczy, na pół przytomny ze snu rozerwał kopertę i naraz wytrzeźwiał. Tylko kilka słów, skreślonych pospiesznie ołówkiem.

„Proszę zaraz przyjechać. Maji nie ma. Jestem bardzo niespokojna”.

ROZDZIAŁ X

Maja, dojechawszy do stacji, kazała chłopakowi stajennemu poczekać parę godzin, a potem stępa wracać do Połyki. Trafiała akurat na pociąg idący do Lwowa. To było nawet lepiej, niż gdyby wprost pojechała do Warszawy.

We Lwowie zjadła śniadanie i po długim oczekiwaniu wyruszyła pośpiesznym do Warszawy.

Była pewna, że Leszczuk pojechał do Warszawy. Ukradłszy pieniądze, nie mógł wracać do Lublina, do swojego klubu. Na pewno pojechał do Warszawy Jak miał zamiar — realizować swoje plany tenisowe.

Co do niej, to gdyby ktoś zapytał, dlaczego uciekła z domu i dlaczego, jak nieprzytomna, jedzie za Leszczukiem, nie umiałaby udzielić ścisłej odpowiedzi. Wiedziała tylko, iż nie może już pozostać w Połyce.

Wszyscy już musieli domyślić się, że coś zaszło między nią, a Leszczukiem.

Maja wstydziła się — wstydziła się matki, Krysi, Żałowskiego, Cholawickiego, służby, wszystkich, wszystkich! Wstyd ją zabijał!

Nie, w Połyce nie mogła pozostać! Czasy Połyki już skończone!!

A poza tym było niemożliwe, żeby między nią a Leszczukiem tak zostało, na tym się skończyło!

Jeszcze raz go zobaczyć! Zobaczyć go innym, niż dotychczas. Jeszcze raz się przekonać, czy to możliwe, aby on był taki i aby ona była taka. Ale najważniejsze, że musiała jechać za nim. Przemoc, która ją pchała, była silniejsza od niej.

Na szczęście przedział był pusty. Rzuciła się na ławkę i zasnęła, zmorzona tyloma przeżyciami.

Wkrótce jednak ocknęła się i jak przez mgłę ujrzała na przeciwległej ławce jakiegoś pana, który obserwował ją.

Maja zamknęła oczy, usiłując zasnąć na nowo, ale po chwili zerknęła na niego spod przymkniętych powiek. Znów patrzył na nią spokojnie i surowo. To było nieznośne.

— Przepraszam — odezwał się podróżny widząc, że Maja otwiera oczy — jeżeli pani przeszkadzam, to przeniosę się do innego przedziału. Tragarz wniósł tu moje rzeczy zanim zdążyłem wybrać przedział.

Miał głos niski i bardzo przyjemny, a powierzchowność jego znamionowała dużą ogładę. W jego zachowaniu się nie było ani cienia jakichś niewłaściwych intencji. Maja od razu poczuła się damą, co jej sprawiło niewymowną rozkosz.

— Dziękuję — odpowiedziała. — Już nie będę spała.

Widać było, że nieznajomy chce coś powiedzieć, ale się wstrzymał. Zauważyła to i znów poczuła głębokie zadowolenie, a zarazem coś jak wdzięczność. Ostatnimi czasy przeszła tyle upokorzeń, że pewien komfort duchowy, jakim tchęła osoba nieznajomego towarzysza podróży, był jej niezmiernie miły. Siedziała, spoglądając na przelatujące krajobrazy.

— Pani daruje — rzekł trochę zawstydzony — ale pani się skaleczyła. Krew...

Prędko podniosła rękę do ust. Otworzyła się drobna ranka, odniesiona wczoraj w lesie — uprzytomniła sobie, że przecież siedzi przed nim posiniaczona, podrapana.

Miała usta całe we krwi. Zaczęła szukać chusteczki do nosa.

— Ach, tak, spadłam z konia.

— Pozwoli pani służyć sobie wodą kolońską. To nie jest nic poważnego, ale w podróży trzeba uważać.

Starał się nie okazywać, do jakiego stopnia zaciekała go ta młoda, piękna dziewczyna.

Któż to mógł być — ta zadziwiająca mieszanina dziecinnej jeszcze dziewczęcości, kobiecej wytworności i szczególnego zbrutalizowania, które objawiało się zarówno w ranach i sińcach, jak w całym zachowaniu?

Nie wiadomo dlaczego zrobiło mu się jej ogromnie żal i aby jej nie zawstydząć, rzekł pośpiesznie:

— Musiała pani porządnie się potłuc. Ja również kiedyś spadłem z konia na kamienie i poharatałem sobie całą twarz.

Maja zaczęła znów patrzeć przez okno. Jakże szybko uciekały drzewa! Dzień był smutny, deszczowy, a oślizgła szachownica pól przemykała monotonnie w takt jednostajnego kołysania wagonów. Cóż ją czekało w Warszawie! A co powie mama?

Wyjęła ołówek i pisała na kartkach wyrwanych z notesu:

Mamo!

Nie miej do mnie talu. Zabrałam pieniądze i nie wrócę tak prędko. Proszę mnie nie szukać. Zdecydowałam się.

Ale nie uciekłam z nikim, tylko sama i na to ci dają słowo honoru.

Chcę być samodzielna. Muszę zacząć żyć innym tyciem. Nie chcę, żeby ktokolwiek — a zwłaszcza Ty — przyglądał się mnie teraz i troszczył się o mnie. Muszę jakiś czas żyć zupełnie między obcymi.

Cholawickiemu powiedz, że z nim zrywam.

Innym opowiedz jakąś bajeczką na temat mego nagłego wyjazdu.

Moja mamo, ja wiem co dla Ciebie znaczy mój wyjazd, ale musiałam. Nie wiesz co mnie spotkało. Jak wrócę szczęśliwie, opowiem Ci i będziemy ze sobą inaczej żyły, niż dotychczas. To nie tylko moja wina.

Maja

Przeczytawszy to niezbyt jasne pismo zastanowiła się i dopisała jeszcze:

Muszę się przekonać, jaka naprawdę jestem. Muszę dowiedzieć się, jaką mam naturę.

A pod tym, niewyraźnie:

Boję się, że jestem o wiele gorsza niż myślałam. Ale w każdym razie całują Cię po tysiąc razy, i wiesz, że więcej było we mnie miłości dla Ciebie, niż myślisz. Tylko, że nie umiałam tego okazać.

Wsadziła list w kopertę.

Tak więc brała na siebie kradzież popełnioną przez Leszczuka. Ale czyż nie we dwoje ukradli? Czyż ona go nie namawiała do kradzieży?

Dojeżdżali już do Warszawy. Młodzieniec długo jeszcze spoglądał na Maję swoim spokojnym i surowym wzrokiem, gdy szła w tłumie po schodach dworca — póki nie znikła mu z oczu. Gwizdnął przez zęby. Nieznośny smutek uciskał mu serce.

*

Maja postanowiła zamieszkać na razie u swojej koleżanki Róży Włockiej. W hotelu nie mogła

się zatrzymać, gdyż miała zaledwie sto kilkadziesiąt złotych, licząc już razem ze stówką zgubioną przez Leszczuka. Spodziewała się, że Róża wynajdzie dla niej jakąś pracę, która by pozwoliła zdobyć środki utrzymania.

Z Różą żyły dość blisko na pensji, chociaż była ona o trzy lata prawie starsza. Maja od roku mniej więcej straciła z nią bezpośredni kontakt, ale pisywały do siebie — dość rzadko co prawda.

Z listów tych wiedziała, że Róża studiuje w Warszawie na uniwersytecie i zajmuje mały pokój przy ulicy Kruczej. Z początku Róża skarżyła się na samotność i nudę i chciała koniecznie wracać do rodziców, którzy w okolicach Tamowa posiadali młyn wodny i tartak, ale potem listy jej stały się bardziej ożywione.

Pisała, że przeniosła się na Czerniakowską i nawiązała bardzo przyjemne stosunki. O tych stosunkach było wiele dość tajemniczych wzmianek w jej korespondencji, opatrzonych równie mglistymi komentarzami, że „w życiu trzeba umieć sobie radzić”, że „nie warto się przejmować” etc. etc.

Maja, znając skromne zasoby materialne Róży, przekonana była, że ów pokój na Czerniakowskiej nie odznacza się ani rozmiarem, ani luksusem, toteż obawiała się, że narazi koleżankę na poważne niewygody.

Ale Róża przyjęła ją z otwartymi rękami. Pokój był wspaniały. Było to właściwie osobne mieszkanie z małym przedpokojem i łazienką w jednym z nowych domów w tej dzielnicy. Obfitość słońca i powietrza oraz ogromny balkon z rozległym widokiem.

— Pomieścimy się świetnie! — zawołała Róża. — Tylko bez ceregieli! Możesz mieszkać u mnie choćby sto lat! Ale co cię sprowadza do Warszawy?

— Uciekłam.

— Uciekłaś z domu? A to dopiero historia!

— Pokłóciłam się z matką i zerwałam z Henrykiem.

— Zwariowałaś! Dlaczego? Maja! Czy to on cię tak urządził? Przecież ty jesteś cała posiniaczona!

— Scena zazdrości.

— Aha! No, nie dziwię ci się, że z nim zerwałaś. Jesteś zajęta kim innym?

— Tak, ale to człowiek żonaty — kłamała Maja — i musi dopiero się rozwieść. To potrwa dłużej. Muszę przez ten czas utrzymywać się sama, rozumiesz? Nie mogę brać pieniędzy ani z domu, ani od niego.

— Phi! Zrobi się!

Obie panny obejrzały się dokładnie.

— Zmieniłaś się — rzekła Róża.

— Zmieniłaś się — odpowiedziała jak echo Maja.

Rzeczywiście Włocka wydała jej się zupełnie odmieniona. Maja знаła ją jako nieśmiałą, ładną, ale niezbyt efektowną pannę, a teraz stała przed nią czarująca osóbka, świetnie ubrana i woniejąca kosmetykami, swobodna i pewna siebie.

Śmiała się, oczy jej błyszczały, mówiła dużo i prędko.

Ale rzecz dziwna, była ta wesołość — dość smutna. Zdawało się, iż w każdej chwili może przełamać się w gorzki płacz.

Możliwe, iż Włocka przyjrzawszy się Maji, również doszła do jakichś wniosków, gdyż obie straciły humor i coś niedomówionego zawisło w powietrzu. Jeszcze długo i dużo ze sobą rozmawiały, ale była to rozmowa na marginesie tych spraw, które przed sobą tały. Raczej wybadywały się wzajemnie, czy i o ile mogą ze sobą być szczerze.

Następnego dnia koło południa, Maja wyszła na ulicę i długi czas błądziła ulicami prawie bezmyślnie. Sińce zbłądły w ciągu nocy i wyglądała już możliwie.

Skierowała się wreszcie w stronę klubu tenisowego. Przywitano ją owacyjnie. Pozycja w świecie sportowym młodej mistrzyni była bardzo mocna.

— Kogo widzę! — zawołał mistrz Wróbel, przybiegając do niej z kortu. — Jak Bożę kocham! Majusia nadjechała! Na mecz, co?

— Jaki mecz?

— Nie wiesz?! Szykujemy się na Holendrów. Puchar Davisa. O zakład, że wlepimy im 3:2, zobaczysz! Ale na jakim świecie ty żyjesz, że nic nie wiesz?! Dziewucho!

Musiał odejść, gdyż zaczęli wołać na niego z kortu: — Szczygieł, nie zwracaj głowy! Grajmy!

Maja przywitała się z zarządzającym, panem Brzdącem, który dozorował chłopców polewających place. Od niego dowiedziała się, iż rzeczywiście Le — szczuk zgłosił się wczoraj wieczorem do klubu i chciał mówić z gospodarzem, panem Rytwińskim. Ponieważ jednak pana Rytwińskiego nie było, kazano mu przyjść za dwa dni. Czy adresu nie zostawił? Nie, nie zostawił.

— Niech pan mu nic nie mówi, że ja się pytałam o niego — rzekła od niechcenia. — On chce się zapisać. Prosił mnie o protekcję, ale nie bardzo mogłabym go polecić! A czy jest Klonowicz?

— O, właśnie wychodzi z szatni.

Klonowicz był kandydatem na czwartą raketę w meczu z Holendrami, ale do tej chwili sprawa jego udziału nie została rozstrzygnięta.

— Niech pani sobie wyobrazi, dotąd jeszcze nic nie wiem! Między nami mówią, tu jest prawdziwe gniazdo intryg. Jeden drugiego wygryza, aż miło! Czy pani uwierzy, że powiedziano mi jakoby Dymczyk usposabiał niekorzystnie Wróbla do mego smeczka. A wiadomo, że ze zdaniem Wróbla wszyscy się liczą.

— To nic, tak się dzieje wszędzie, nie ma czym się przejmować! Za to przy bywają nowe siły.

— Nowe siły? — rzekł kwaśno Klonowicz. — Nie słyszałem. Jest Wróbel, Gawlik, ja i Lipski, a poza tym nikogo nie ma, bo Wodziński jest stanowczo przeceniony.

— W czwartek ma się zgłosić nowa siła. Nazywa się Leszczuk i ma wielkie aspiracje. Podobno pierwszorzędny talent, chociaż nie oszlifowany. Tak mi mówił Brzdąc przed chwilą. Kto wie, czy nie przyda się na Holendrów.

— Co pani mówi? To niemożliwe! Skąd?! W czwartek? O której godzinie?

— O szóstą.

Klonowicz pożegnał się z miną nader niewyraźną. Była pewna, że odpowiednio „zajmie się” Leszczukiem i zrobi wszystko, aby uniemożliwić mu dostęp do klubu. A o to jej chodziło!

Gdyby się dostał do klubu i zrobił karierę sportową, zyskałby pozory inne — byłby może jednym z tych kulturalnych, dobrze ubranych młodzieńców, z którymi się widywała. A wtedy ona może nie umiałaby się oprzeć „podobieństwu”, które pchało ją ku niemu.

— Nie, nie, lepiej — nie.

W mieszkaniu zastała młodą blondynkę, leżącą na tapczanie z nogami założonymi na stół, którą Róża przedstawiła jako pannę Izabellę Krzyską, koleżankę z uniwersytetu. Maja od razu stwierdziła, że panna Krzyska jest uderzającą pięknoscią. Miała olbrzymie niebieskie oczy i olśniewającą cerę — zęby, uszy, ręce i nogi dopełniały świetnej całości.

— Mówmy sobie po imieniu — zaproponowała z miejsca panna Krzyska — nie znoszę tych ceregieli.

Tymczasem Róża wydobyla z szafy butelkę likieru i częstowała przyjaciółki. Maję, która już poprzednio poznała dwie znajome Róży, zdziwiło, że wszystkie te przyjaciółki są takie ładne, ale nie powiedziała ani słowa.

Od pewnego czasu miała się przed Różą na baczności. Zdawało jej się, że ona i wciąż krąży

dokoła jakiegoś tematu, którego nie chce wprost poruszyć. Obcowanie ich ze sobą stawało się przez to nader ostrożne, gdyż Maja również miała swoje tajemnice.

Dawniej niczego przed sobą nie ukrywały. Obie wiedziały, że przez ten czas zmieniły się bardzo, ale żadna z nich nie była pewna, czy druga dość się zmieniła, aby móc przed nią wywnętrzyć się z całą szczerością. Nie umiały nawiązać stosunków na nowej zmienionej płaszczyźnie.

Maja widziała, że Różę krępuje nieco zbyt nonszalanckie zachowanie małej blondyneczki, która opowiadała wczorajszą eskapadę do Wilanowa w towarzystwie jakichś przemysłowców z Katowic. Zresztą panna Krzyska także rozpatrywała Maję we wszystkich szczegółach i dziwiły ją zarówno sińce, jak pewne nieoczekiwane zmiany w głosie — na przykład gdy mówiła „niecee”, albo gdy wzrok jej zdradzał coś złego i tajemnego, jej tylko wiadomego.

I tak te trzy gracje podpatrywały się wzajemnie, badając, czy można sobie zaufać — każda obciążona własnym sekretem, odrębną skazą.

— Chodź z nami dziś na dansing — zwróciła się do Maji. — Idziemy z tymi znajomymi Izy — to dyrektorzy jednej fabryki w Katowicach, przyjechali na krótko i chcą się zabawić. Zresztą idzie z nami prezesowa Halimska — dodała — to są właściwie jej znajomi.

— Kto to taki ta pani Halimska? — zapytała Maja.

— Bardzo przyjemna osoba i wielka moja przyjaciółka. Na pewno ci się spodoba. No co? Zgoda? Będzie dobrze jeżeli ją poznasz, może ci dopomóc w twoich projektach. Ona jest ustosunkowana.

O wpół do jedenastej wszystkie trzy w towarzystwie dwóch starszych bardzo wyelegantowanych panów oraz wielce majestatycznej pani Halimskiej wchodziły do modnego dansingu stolicy.

Maja spodziewała się jakichś pocziwych Ślązaków — tymczasem obaj reprezentanci ciężkiego przemysłu wyglądali doskonale w swoich smokingach, i nawet jeden z nich był Szwedem, czy też Duńczykiem i ledwie mówił po polsku. Pani Halimska okazała się z pochodzenia Rosjanką i łączyła wschodnią rozlewność z zachodnioeuropejską dystynkcją.

Pojawiło się wino i potoczyła się lekka, światowa rozmowa. Maja była nieco odurzona grą świateł i tonów, ruchem tańczących par.

Wkrótce przysiedli się jeszcze dwaj panowie. Jeden z nich był sekretarzem którejś z ambasad, a drugi — blondyn łysawy i nieco wymokły — nazywał się Szulk i jak się zdaje był bliskim znajomym Halimskiej.

Po dwunastej zjawiły się jeszcze dwie panie w towarzystwie jakiegoś hrabiego i Maja ponownie zdziwiła się widząc ich wyjątkową urodę i wykwintne, choć skromne toalety.

Przy obu stolikach, które zajmowali, nie było — prócz Halimskiej — ani jednej kobiety, która by nie odznaczała się wybitnymi wdziękami i ten zespół pięknych pań z towarzystwa wywarł na Maji wrażenie wręcz odwrotnie, niż należało — czegoś niesmacznego i podejrzanego — choć zachowanie ich było bez zarzutu.

Zewsząd biegły ku nim spojrzenia i wkrótce przysiadł się do niech jeszcze jeden pan — tęgi, czerwony jegomość, którego przyjęto z wielkimi honorami, tytułując go ministrem.

Mają zajął się sekretarz ambasady ujęty jej doskonałą francuszczyzną. Tańczyła dużo i piła sporo, aż pani Halimska nachyliła się do niej.

— Tylko nie przesadzajmy, moje dziecko.

— Niecee — powiedziała Maja, czując, iż kręci się jej w głowie.

Zjawił się jeszcze jeden cudzoziemiec, Anglik, długi, poważny i cienki. Tymczasem pani Halimska wdała się w dłuższą rozmowę z Mają na tematy ogólne — była miła i dobrotliwa. Tylko w pewnym momencie, gdy Krzyska zaczęła śmiać się zbyt głośno pod działaniem

alkoholu, prezesowa powiedziała do niej z lekkim naciskiem:

— Popraw sobie loczek, moje dziecko.

Iza natychmiast wytrzeźwiała.

I znowu taniec w tłumie, stanowiącym jedno wielkie ciało, ciężko i z trudnością, konwulsyjnie krążące. I światła, dźwięki, opary alkoholu, nerwowa, podniecona atmosfera, w której Maja traciła się — i traciła pamięć spraw, które ją tu przywiodły.

Ocknęła się. Pod filarem u wejścia do baru stał nieznajomy, którego spotkała w pociągu. Jego wzrok otrzeźwił ją w jednej chwili. Spostrzegła, że dyplomata trochę zanadto przyciska ją w tańcu i odsunęła się. Spojrzał na nią z oburzeniem i — natychmiast przerwał taniec.

— Odprowadzę panią do stolika — rzekł sucho.

Obraziła się. Cóż on sobie wyobraża?

— Niech pan sam siebie odprowadzi jak najdalej ode mnie. Mnie zależy na utrzymaniu... dystansu — odezwała się w niej dawna panna Ochołowska.

I aby uwolnić się od niego przystąpiła do nieznajomego.

— Dzień dobry panu. Znowu się spotykamy.

— Pani jest z tamtym towarzystwem — tam przy tych dwóch stolikach?

— Dlaczego pan pyta?

— Bo to towarzystwo nie podoba mi się.

— A dlaczego?

— Za dużo cudzoziemców. Za dużo dostojników. I za dużo pięknych kobiet, takich jak pani.

— Takich jak ja, to znaczy jakich?

— Nie tyle zdeprawowanych, ile deprawowanych.

— Jak pan śmie?!

Spojrzał jej w oczy.

— Niech pani się nie gubi.

— Nieee, ja się nie gubię, ja tylko tańczę.

— A wie pani, co ja robię w tej chwili?

— Stoi pan i rozmawia pan ze mną.

— O nie, nie tylko to.

— Więc cóż jeszcze?

— Ja panią szanuję — rzekł z naciskiem. — Niech pani wie o tym, że ja panią naprawdę i szczerze szanuję. Pani jest tego godna, a zresztą to jest mój obowiązek.

Maji krew napłynęła do policzków.

— Nie potrzebuję pańskiego szacunku!

— To nieprawda, bo pani bardzo potrzebuje szacunku. Zresztą to wszystko jedno. Ja panią szanuję i będę szanował zawsze, niezależnie od tego, czy pani chce, czy nie chce.

Spojrzała na niego. Czyżby on chciał ją złapać na szacunek? Nie. Cała jego postać, mocne, stanowcze oczy, kształt głowy — wzbudzały szczególne zaufanie. Był wykwintny — pod względem duchowym. Taki człowiek mógł niespodziewanie obdarzyć kogoś swoim szacunkiem i ten dar należało przyjąć, gdyż był to rzeczywiście dar poważny.

— Pan już odchodzi? — rzekła z zalem, gdy ukłonił się jej w milczeniu.

— Nie mam tu nic do roboty.

— Niech pan zaczeka — szepnęła, rozglądając się trwożnie. — Chcę z panem pomówić. Niech pan przyjdzie pojutrze do kawiarni tutaj na górze. O piątej.

— Dobrze.

Gdy wróciła do stolika, prezesowa zapytała ją:

— Pani spotkała kogoś znajomego?

— Tak — odpowiedziała.

— O, trzeba było mi go przedstawić. Niech pani się nie gniewa na mnie, moja droga, ale jestem jedyną starszą panią w naszym gronie, wy wszystkie jesteście poniekąd pod moją opieką. Nie mam nic przeciwko zabawie, ale formy muszą być zachowane. A co do tego zagranicznika — uśmiechnęła się — to doskonale go pani osadziła! Widziałam. Tych panów trzeba krótko trzymać. Od razu poznać, że pani ma za sobą rasę, tradycję i wychowanie.

Około czwartej nad ranem jeden z przemysłowców uregulował rachunek i towarzystwo opuściło lokal. Maja z rozkoszą wciągnęła w płuca ożywcze powietrze poranka. Ludzie pracy — dozorczy, robotnicy pochyleni nad szynami tramwajowymi, nieliczni przechodnie, spieszący do zajęć o tak wczesnej godzinie — nie zwracali nawet uwagi na zmięte gorsy i twarze wsiadających do samochodów. Przyzwyczajeni byli do tego widoku.

— No i co? — zapytała Róża. Przed spaniem przysiadły jeszcze na obszernym tarasie, skąd widać było Wisłę i Saską Kępę.

— Chcesz żebym ci szczerze powiedziała?

— Naturalnie!

— To wszystko wydaje mi się podejrzane.

Róża zaśmiała się.

— Masz rację! To jest podejrzane! Maja, daj mi słowo honoru, że nikomu nie rozpaplesz, a powiem ci o co tu chodzi. No co? Dajesz słowo?

— Daję?

— Trzymaj!

Rzuciła jej pomarańczę, a sama zabrała się do drugiej i z pełnymi ustami mówiła.

— Widzisz, to jest stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy, które założyła prezesowa. Ha, ha, ha! Maja, ty rzeczywiście sobie wyobrażasz Bóg wie co, a tymczasem nic w tym złego nie ma! To tylko doskonały pomysł pani Halimskiej.

W istocie, pomysł prezesowej był zarazem niewinny i doskonały. Chodziło tu po prostu, o — wyrażając się jej słowami — wymianę usług, opartą na racjonalnych i kulturalnych zasadach.

Bogaci przemysłowcy, kupcy tudzież inni globtrotterzy, przyjeżdżający do Warszawy, chętnie zabawiliby się na mieście, ale przeważnie nie mieli odpowiednich znajomości.

Co najwyżej skazani byli na fordanserki, albo inne kobiety niewyraźnych obyczajów, co przecież — tłumaczyła Róża — nie mogło być dla nich ani korzystne, ani przyjemne. O wiele przyjemniej pójść do lokalu z osobą z towarzystwa, to stwarza zupełnie inną atmosferę.

— Otóż widzisz: my im dajemy nasze towarzystwo, a oni nam dostarczają zabawy. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie pani Halimska. Prezesowa cieszy się doskonałą opinią i chroni nas od kompromitacji. Ona doprawdy jest wyjątkowo taktowna i doskonale umie zachować we wszystkim właściwą miarę. Sama widziałaś, że nic nie można jej zarzucić pod tym względem. Ma bardzo rozległe stosunki, doskonale zna się na ludziach i nie dopuści nikogo, kto nie potrafiłby się odpowiednio znaleźć.

A poza tym udało jej się skupić ekipę na prawdę bardzo przystojnych panien i młodych rozwódek z dobrych domów. Otóż ładne kobiety w większej ilości stanowią dużą siłę atrakcyjną. Masz najlepszy dowód, że nawet ten minister — co prawda były minister, ale zawsze — przysiadł się do nas. To umożliwi pani Halimskiej nawiązywanie coraz nowych znajomości w miarodajnych sferach, pośredniczenie między ludźmi, którzy siebie nawzajem potrzebują — z czego czerpie duże korzyści — oczywiście ściśle w granicach dozwolonych, gdyż to kobieta pod każdym względem bardzo przyzwoita. My jesteśmy rodzajem przynęty.

— Mówię ci — tłumaczyła Róża z przejściem — sześć czy siedem bardzo urodziwych i dobrze wychowanych dziewczyn, to siła, której nic się nie oprze. Starzy i młodzi chcą się dostać

do naszego grona. Prezesowa zorganizowała tę siłę i ma stąd duże korzyści, a za to nam pomaga i łoży na konieczne wydatki. Bo przecież często bywając w lokalach musimy być eleganckie.

— To wy bierzecie od niej pieniądze?

— No, właściwie — nie. Ale czasem. Przecież jeżeli nam daje to dlatego, że to jej się opłaca. Nie ma w tym nic złego. Usługa za usługę. Gdybym nie brała od niej, byłabym całkowicie zależna od rodziców.

— Wiesz co ci poradzę: pluń na to stowarzyszenie.

— Głupia jesteś! Przede wszystkim to nie jest żadne stowarzyszenie — my to tylko tak nazywamy dla żartów między sobą. A po wtóre nie ma w tym nic złego. A zresztą nie mam zamiaru chodzić na pół czarnej do cukierni ze studentami! A wreszcie... Maja, ty się jej bardzo spodobałaś. Ona by ci wymyśliła jakąś posadę i w ogóle dopomogła. Jeżeli zerwałaś z Połyką, to nie może być dla ciebie lepszej okazji.

Spojrzała na nią bystro i z pewnym niepokojem.

— Dobrze — zgodziła się nieoczekiwanie Maja.

Róża ukryła zdziwienie. Ta Maja jest rzeczywiście przepaścista. Przed sekundą tak się krzywiła, a teraz zgadza się. Jaki diabeł w niej siedzi? Twarz Maji była nieomal martwa, bez wyrazu, tylko usta boleśnie skrzywione — i naraz ziewnęła.

— Chodźmy spać.

Nazajutrz odwiedziły prezesową w jej małym, ale pięknie urządzonej mieszkanie na Kredytowej. Oficjalnym celem wizyty było — prosić ją o wynalezienie jakiejś posady dla Maji, która niespodziewanie znalazła się w trudnej sytuacji.

— Najchętniej moje dziecko, przyjdź tylko jutro wieczorem do Europejskiej, zapoznam cię z pewnym bardzo wpływowym finansistą, a moim dobrym znajomym. On ci wiele ułatwi. Ale naturalnie, to się rozumie samo przez się, ludzie muszą sobie nawzajem dopomagać.

Pożegnały się bardzo uprzejmie.

Wieczorem Róża przysłała z miasta w doskonałym humorze.

— Zrobiłaś konkiętę — rzekła. — Ona się tobą bardzo interesuje. Wyobraź sobie, że finansista, z którym masz się zobaczyć jutro, to Maliniak. Wiesz — ten z Ameryki, bogacz, który przyjechał do Polski inwestować kapitały i organizować produkcję samochodów. Byłam u niej przed godziną, żeby się dowiedzieć. Ona mówi, że ty jesteś najlepszą z nas wszystkich, bo masz wyjątkowy wdzięk i — jak to ona powiedziała? Że w tobie jest wszystko — i dziecko, i dama, i wamp, i panna j z dobrego gniazda, i nawet dziewczyna z ludu — co czyni cię szalenie interesującą. Wiesz, usłyszeć taki komplement od takiej znawczyni, to jednak nie byle co — zakończyła, obejmując Maję, ażeby ukryć odcień niezadowolenia, od którego nie umiała się powstrzymać. — Aha! I jeszcze jedno! Ubieraj się jak najskromniej. Twoja suknia także bardzo jej się podobała.

— Bardzo ci jestem wdzięczna — rzekła Maja. — Bez ciebie sama nie wiem, co bym zrobiła.

Ucałowały się. Ale obie wiedziały, że dawna ich szczerza zażyłość minęła bezpowrotnie.

Wkradł się między nie — interes i co więcej, nie miały już do siebie zaufania. W gruncie rzeczy Róża dziwiła się, że Maja tak łatwo zgodziła się na pomoc prezesowej, a Maja znów podejrzewała, że Róża dalej zaszła na tej śliskiej i pochyłej drodze, niż mówiła. Obie potajemnie dziwiły się sobie i nawet z lekka gardziły sobą, ale każdej z osobna dogadzało, że druga jest taka, jaka jest.

Maja wahała się, czy iść na spotkanie z Mołowiczem — tak się nazywał jej mentor z Cafe Clubu. Po co? Czy po to, żeby mu powiedzieć, iż na serio zaangażowała się w towarzystwo, które mu się tak nie podobało? — Nie, tego nawet nie mogła powiedzieć, gdyż dała Róży słowo.

A z drugiej strony nie chciała za nic wprowadzać go w błąd i udawać przed nim inną, niż była

w rzeczywistości. Jego uczciwość zniewalała ją do uczciwości.

A przy tym bała się, że on ją pokocha. Znała siłę swego wdzięku i nawet wydawało jej się, że odkąd zaczęła staczać się po równi pochyłej, siła ta jeszcze się wzmogła. Ale za skarby świata nie chciała, aby on poważnie się nią zainteresował, gdy ona nie może mu się odwzajemnić ani przyjąć go tak, jak na to zasługiwał.

W rezultacie jednak — poszła. Ach, choć godzinkę spędzić z kimś, kto nie jest podejrzany, wątpliwy .kompromitujący i skompromitowany — kto nie jest ani Leszczukiem, ani Cholawickim, ani prezesową, ani Różą, ani wreszcie nią, Mają.

— Witam panią. Myślałem, że pani już nie przyjdzie.

— Spóźniłam się trochę. Stałam z pół godziny tam, na rogu.

— A dlaczego?

— Zastanawiałam się: przyjść czy nie przyjść.

— Lepiej się stało dla pani, że pani przyszła.

— Może lepiej dla mnie, ale gorzej dla pana.

Poczuła ku niemu nagłą złość. Jego ton wydał się jej zbyt pewny siebie — jakby traktował ją z góry, z wyżyn swojej stanowczej moralności. Jakie miał prawo tak do niej przemawiać? W głębi duszy przyznawała mu to prawo i to ją jeszcze bardziej złościło.

— Dlaczego pani myśli, że to gorzej dla mnie?

— Bo nie wiem, czy ja w pańskim towarzystwie się podciągnę, a pan w moim może dużo stracić.

— A nie przypuszcza pani, że może być odwrotnie?

— Nieceee...

Roześmiała się tym lekkomyślnym, głodnym, nienasyconym śmiechem. Leszczuk brał ją znowu w posiadanie. Znów była do niego „podobna”. Czula to z bolesną rozkoszą.

Siedzieli na werandzie. Mżył deszcz, dzień był mglisty — drzewa, jakby stulone, pokapywały wodą. Na niebie wiatr rozdzierał tu i ówdzie monotonię chmur i białe strzępy ukazywały się na tle smutnych, ołowianych niebios.

Pod tym żalonym niebem głodny śmiech Maji poruszył go głęboko.

— Wie pani co sobie myślę?

— Co?

— Że pani jest opętana.

— Jak to? Przez złego ducha?

— Niekoniecznie przez złego ducha. Można być także opętanym przez złego człowieka.

— Iii... niech pan mi głowy nie zawraca!

Żachnął się. To było prawie trywialne. Tak mogła odezwać się dziewczyna z nizin społecznych — to nie licowało z Mają. Skąd u niej te gminne, prostackie naleciałości — gdzie ona się tego nauczyła? Ale zauważył, że siedzi chmurna i rozdrażniona — postanowił więc nie mówić o niej.

Umiejętnie skierował rozmowę na ogólne tory. Zaczął mówić z przejęciem o sztuce, poezji, o polityce i sprawach społecznych, o tysiącnych zadaniach, jakie dzisiejsza epoka nasuwa młodemu pokoleniu.

W głosie jego dźwięczała szczerłość i powaga, a Maja kilkakrotnie dała się porwać jego zapałowi i wtrąciła parę uwag, które świadczyły o inteligencji i wrażliwości.

Ucieszył się. Oczy mu zabłyśły, spostrzegł, że go rozumie i z tym większym zapałem mówił dalej.

Maja nie tyle reagowała na treść jego wywodów, ile na sposób mówienia. Na to przyjazne pochylenie nad stołem, na niski szlachetny dźwięk głosu, na zaufanie, z jakim się do niej odnosił,

a zwłaszcza na tę nieokreśloną przyzwoitość wewnętrzną prawdziwego dżentelmena. Oddychała. Coraz szerzej, coraz swobodniej oddychała.

Była mu wdzięczna, że dotyka tylko kwestii ogólnych i nie zmusza jej do kłamstw, których nie mogłaby wypowiedzieć.

Zaczął jej mówić o sobie. Był architektem, niedawno uzyskał dyplom i zamierzał poświęcić się urbanistyce. Z pasją opowiadał Maji o szalonym rozrastaniu się Warszawy, o tym cudownym świadectwie żywotności i prężności narodu .którego serce — Warszawa — z każdym dniem staje się potężniejsze.

Mówił o zagadnieniu domów robotniczych. O komunikacji. O tym, jak Warszawa na koniec znalazła sobie administratora, który potrafił ująć jej ślepe siły w zorganizowane łożysko — i co stąd za korzyści powstawały dla dobra powszechnego.

Pani nie słucha — rzekł nagle.

Ale skąd?! — odparła żywo. Nie chciała być dla niego nieuprzejma. Co jej się najbardziej w nim podobało, to iż — z nim — musiała się pilnować i uważać na siebie.

— Może się przejdziemy — zaproponował. — Deszcz przestał padać. Poszli w stronę mostu Poniatowskiego nad rzekę. Maja okazywała mu coraz więcej względów. Czuła się zobowiązana jego niezaprzeczalnie wysokim poziomem i tak pragnęła zachować go przy sobie. Zrozumiał to — i w oczach zabłyśły mu niedostrzegalne iskierki głębokiego zadowolenia. Naraz stała się niespokojna, niecierpliwa.

— Muszę już iść!

— Dokąd?

— Och, czy to panu nie wszystko jedno? A zresztą — mówiła powoli, opierając się o poręcz mostu — zna mnie pan tak mało... Przecież nic pan o mnie nie wie... Skąd pan może wiedzieć co ja będę robiła za chwilę?

Utkwił w niej ostre, głębokie spojrzenie. Wziął ją za rękę.

— Proszę pani, jednego jestem pewny — że nie zrobi pani nic takiego, czego by pani musiała się wstydzić.

— A z czego wyprowadza pan takie wnioski, jeśli można zapytać?

— Z pani wyglądu. Człowiek ma swój charakter wypisany na twarzy.

W tej chwili Maja ujrzała na jego twarzy — osłupienie. Nie mogła zrozumieć, co mu się stało. Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

Wskoczyła do tramwaju, który akurat ruszał i tylko z platformy wykrzyknęła:

— Pojutrze o piątej!

Pojechała do klubu. Jeszcze raz przypomniała zarządzającemu, ażeby koniecznie uzyskać adres Leszczuka. Musiała koniecznie go zobaczyć! Spotkać się z nim — skontrolować siebie — przekonać się, że nic ją z nim nie łączy, że to wszystko było złudzeniem zgoła pozbawionym podstaw! Aczkolwiek Leszczuk do klubu miał się zgłosić dopiero jutro, długo czekała na ulicy w nadziei, że a nuż nadejdzie przypadkiem i ona na pierwszy rzut oka stwierdzi, iż nie ma między nimi nic wspólnego.

Lecz Leszczuk nie nadszedł.

Wieczorem Maja udała się do kawiarni Europejskiej. Po chwili dojrzała prezesową, siedzącą z Maliniakiem tuż pod jednym z olbrzymich luster które, zda się, podłużały salę w nieskończoność. Maliniak był siwowłosy — ten szczegół zdziwił i zazenował ją — był to człowiek po sześćdziesiątce, biały, jak mleko, smukły i prosty, jak trzcina.

Prezesowa powitała ją, jakby się znały od wieków.

— Majeczka — zawołała z rosyjskim akcentem — pozwól .przedstawię ci, pan Maliniak. Co cię tu sprowadza, dziecino?

Umówiły się, że spotkanie ich będzie miało przypadkowy charakter.

Maliniak wstał z trudnością i podał jej rękę bez słowa. Służba kręciła się dokoła milionera ze specjalną unizonością.

Nie zwracając zupełnie uwagi na Maję zamówił dwa jaja na miękko i rzodkiewki, przy czym długo upewniał się, czy jaja są aby zupełnie świeże. Zaczął jeść i czynił to z całą bezwzględnością, nie odpowiadając prawie prezesowej, która z wielką maestrią usiłowała zachować pozory towarzyskiej rozmowy. Gdy zjadł — po dobrych dziesięciu minutach — odwrócił się od pań równie nagle jak bezceremonialnie.

— No już pójdę — rzekł i odetchnął głęboko. Brakowało mu powietrza.

— Jak to?! — zawołała strapiona pani Halimska, której przerwał dłuższe opowiadanie. — Pan już chce nas opuścić?

— Pójdę. Tam siedzi moja siostrzenica.

Wskazał palcem. Przy stoliku, pod przeciwległą ścianą siedziała elegancka dama i bacznie przyglądała się Maji. Maliniak wstał. Nie patrząc podał rękę paniom i wsparty na ramieniu pikolaka przeszedł przez salę.

Nie zapłacił rachunku za prezesową. Maja nie zdążyła nic zamówić. *Maitre d' hotel* podszedł do nich i rzekł prezesowej z pełną szacunku poufałością — na pociechę:

— Pan Maliniak zawsze płaci tylko za siebie. A służba grosza napiwku nie widziała. Jemu się zdaje, że wszyscy mają tyle pieniędzy, co on.

Prezesowa z trudnością ukrywała irytację i rozczarowanie. Na ulicy zwróciła się chłodno do Maji.

— Ano — nie udało się. Nie wzbudziłaś w nim większego zainteresowania, moje dziecko.

Maję zaświerzbiała ręka. Jak śmie ta hochsztaplerka traktować ją w ten sposób? Przypomniał jej się twardy i czysty wzrok Mołowicza. A więc powiem jej parę słów do słuchu i odejdę. Dostyc tych brudów!

Gdy naraz zbladła i twarz jej skurczyła się, jakby to ona otrzymała policzek.

W dumie, wychodzącym z pobliskiego kina, mignęły się jej plecy, kark... zdawało się jej, że poznaje... Ten sam ruch, śmiech... Maja rzuciła się naprzód. Nie! To jakiś robociarz szedł z ordynarną dziewczyną, która wyjadała mu landrynki z kieszeni od marynarki.

Z bliska nie był wcale podobny do Leszczuka. Ale Maja drżała, jak osika. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jak gwałtownie pobiegła — jak rzuciła się nieprzytomna za tym ruchem i śmiechem, które jej przypomniały...

— Niechże pani tak nie leci, ja nie mam pani nóg! — prezesowa była obrażona. — I pani nie słucha mnie. Moje dziecko, jeżeli mamy żyć w zgodzie, to radzę bardziej uważać na to, co się pani mówi.

— Przepraszam — rzekła pokornie Maja.

ROZDZIAŁ XI

Leszczuk uciekł z Połyki ledwie żywy. Pieniądze, które ukradł, paliły go, jak ogień. A jeszcze bardziej dopiekała mu myśl o wiewiórce — nie mógł zapomnieć konających ślepków zwierzątka i bolesnego przedśmiertnego skurczu. Ilekroć przypominał sobie o tym, pięści zaciskały mu się jakby gotowe znowu masakrować Maję.

Ona doprowadziła go do tego! Przez nią to wszystko! Ona chciała go zgubić! Była podła i zła — zepsuta, że aż trudno wypowiedzieć! Nie mógł tego zrozumieć, ale na wspomnienie starcia w lesie robiło mu się zimno, jakby to była jakaś sprawa diabelska. Że też on mógł tak pobić! A potem zabrał te pieniądze...

Ale jak wtedy, gdy wchodził w nocy do jej pokoju, był zupełnie pewny, że nie przeszkodzi mu, ani nie zdradzi się żadnym krzykiem, tak też i teraz był pewny, że panna Ochołowska zrobi wszystko, ażeby nie dopuścić do wyjaśnienia tej kradzieży.

A gdyby nawet złapano go i oddano pod śledztwo, to potrafi ją skompromitować. Nie, ani pani Ochołowska, ani Cholawicki, ani Maja nie będą go ścigali — zbyt dobrze wiedzą, że panna nie ma czystego sumienia.

A te pieniądze były mu koniecznie potrzebne! Bez nich — nie mógłby pojechać do Warszawy.

Dla Leszczuka tenis był teraz kwestią życia i śmierci. To jedno broniło go przed zatrutym czarem Maji. To jedno sprawiało, że nie chciał się zmarnować i zgubić, że zdołał uciec od niej.

Z ogromną treścią udał się do klubu na umówioną rozmowę. Tam miały się rozstrzygnąć ostatecznie jego losy.

Przyszedł co najmniej o godzinę za wcześnie i usiadłszy na trybunie głównego kortu przyglądał się grającym. Była to amatorska partia bez żadnego poziomu. Wkrótce jednak gracze ci ustąpili, a na kort weszły asy.

Leszczuk bez trudności rozpoznał Wróbla i Gawlika, których fotografie oglądał w pismach. Z napięciem śledził ich grę. Każde uderzenie było dla niego okazją do błyskawicznego rachunku sumienia — czy ja tak potrafię, czy to możliwe dla mnie?

Ta gra była o wiele mocniejsza od gry Maji — każdy z nich mógłby ją ograć. A jednak ich piłki nie były absolutnie nie do wzięcia i popełniali wiele błędów, nawet dla niego oczywistych. W każdym razie zyskał pewność, że jego mecz z jednym z tych mistrzów nie byłby skandalem — skończyłoby się 6:3, albo 6:4, kalkulował.

— Pan Brzdąc prosi.

Chłopiec od piłek poprowadził go do bufetu, gdzie pan Brzdąc przedstawił go gospodarzowi, kapitanowi Ratfińskiemu. Leszczuk nieśmiało wyjąkał prośbę, że przybył z prowincji i pragnie pokazać swoją grę, wiedząc, iż klub poszukuje świeżych sił.

Obstąpili ich gracze ze szklankami lemoniady w rękach i z ręcznikami, przewieszonymi przez ramię. Propozycja Leszczuka wzbudziła ogólne zainteresowanie, ale potraktowana została niezbyt serio.

— Niech pan złoży normalne podanie o przyjęcie do klubu, opatrzone podpisami dwóch członków — rzekł Ratfiński — a zostanie ono rozpatrzone we właściwym czasie i zawiadomimy pana.

— Nie mam pieniędzy, a żadnych członków nie znam. Chciałbym być przyjęty od zaraz.

A dlaczego to akurat dla pana mamy robić wyjątek?

— Ja dobrze gram.

— Co pan powie? — rzekł z ironią Klonowicz.

— Mógłbym się nawet przydać na mecz z Holendrami.

Odpowiedział mu wesoły śmiech obecnych.

— Patrzcie go!

— Gdzie się uchował ten fenomen!

— Wróbel! Masz wreszcie partnera na mecz z Holandią.

— Tsss... panowie — uciszył ich kapitan, sam nieco rozbawiony. — A czy brał pan udział kiedy w jakich zawodach?

— Nigdy.

— A grał pan z którymś z renomowanych graczy?

Leszczuk nie chciał wspominać o Maji. Odpowiedział tylko z uporem:

— Nie. Ale gram dobrze.

Wreszcie kapitan się zniecierpliwiał:

— Proszę pana — rzekł — niech pan się zastanowi! Skąd pan może wiedzieć, że pan gra dobrze, jeśli nigdy w życiu nie zmierzył się pan z przyzwoitym graczem?

— Niech panowie mnie wypróbują! — upierał się Leszczuk.

W tej chwili Klonowicz trącił go z uśmiechem na wąskich wargach.

— No, może się spróbujemy? — rzekł. — Zrobimy to dla pana. Tylko pod jednym warunkiem. Zagramy trzy gemy na próbę i jeżeli wszystkie trzy pan przegra, to nie będzie pan więcej się napierał. Widzi pan, to nie jest żadna szykana, ale zależy nam na rym, aby jak najprędzej ściągnąć pana z obłoków i wrócić zwykłej rzeczywistości. Czy zgoda, panie kapitanie?

— Zgoda! — odparł kapitan, który obawiał się, że Leszczuk będzie nieustannie nachodził go w klubie.

Leszczuk rozejrzał się strapiiony.

— Dobrze, ale nie jestem ubrany i nie wziąłem rakiety.

— To głupstwo. Dostanie pan w szatni pantofle, a raketę może pan wziąć moją, zapasową.

— Może ja przyjdę jutro.

— Nie, zaraz!

Zmontował w szatni, jako tako, prowizoryczny strój, ale był mocno niezadowolony. Pantofle były trochę za duże, rakietę Klonowicza za ciężka. Najgorzej jednak, że miał na sobie zwykłą koszulę z rękawami i spodnie od garnituru. Tak był przyzwyczajony chodzić w lekkim tenisowym ubraniu, że ta koszula i niedzielny garnitur, który włożył na Warszawkę, przeszkadzały mu nawet na ulicy. A zarazem wiedział, iż głupio będzie wyglądał w tym na korcie.

A na trybunach pozostało jeszcze sporo osób, które zatrzymały się, zwabione nieoczekiwanym widowiskiem.

— Gramy! — zawołał Klonowicz. — Kto serwuje?

— Zaraz, wpiersz kilka piłek — wykrzyknął Wróbel. — Tak to nie idzie! Klon grał dziś od rana, a ten wcale! Niech się rozegra!

Leszczukowi serce waliło z całej siły. Przetarł oczy, gdyż niedobrze widział — zbyt gorączkowo patrzył, tracił poczucie odległości i proporcji. Klonowicz podał nonszalancko parę piłek. Były tak niedbałe i słabo uderzone, że ani jedna nie nadawała się do prawidłowego odbicia.

Mimo to odesłał je, jak mógł najmocniej. Zależało mu na tym, aby od razu wejść we właściwą długość piłki. Ale Klonowicz nie przyjął żadnej z odbitych piłek, tylko nie ruszając się z miejsca, posłał mu kilka nowych, równie niezręcznych, jak poprzednie.

— To nie jest żaden trening — mruknął Wróbel przez zęby. — Ten Klon to jednak świnia pierwszej wody.

Mistrz Polski miał niegdyś bardzo trudne początki. Wiedział jak trudno jest — zaczynać. Podejrzał, że Klonowicz z góry zlekceważył sobie partnera i ku uciesze widowni zechce go wykończyć radykalnie za pomocą sztuczek i sposobików rutynowanego gracza.

Rozpoczęli mecz. Pierwszego gema serwował Klonowicz.

Leszczuk stanął za linią, oczekując mocnego, gwałtownego serwisu. Klonowicz zrobił pełny, klasyczny ruch, amerykańskim stylem, Leszczuk poderwał się i...

Piłka Klonowicza upadła tuż za siatką, odskoczyła w bok w nieprawdopodobnym kierunku i zaczęła tarzać się na ziemi, jak zwariowana.

Leszczuk zatrzymał się w pół kortu, zdezorientowany, a publiczność wybuchnęła śmiechem. Stary gracz w ostatnim momencie „podciął” piłkę, sobie tylko wiadomym systemem, przekręciwszy raketę w dłoni. Wskutek tego gwałtowny na pozór i prawidłowy zamach dał w efekcie słabiutką piłkę, o minimalnym koźle.

Następną piłkę zaserwował niespodziewanie z dołu. Skoczyła ona wprost na Leszczuka i uderzyła go w twarz, co znowu wywołało salwy śmiechu.

— Tak się nie gra! — rzekł głośno Wróbel.

— Nie, to nie! — powiedział Klonowicz.

I zaserwował kolejno dwie błyskawiczne i mocne piłki po liniach. Serwis ten nie był w zasadzie bardzo trudny do przyjęcia, ale Leszczuk, zdenerwowany do nieprzytomności, jednej piłki w ogóle nie złapał, a drugą uderzył ramą rakiety.

Pierwszy gem był „suchy”. Rozległy się oklaski. Śmiał się nawet chłopiec, który Leszczukowi podawał piłki.

Serwis był najłatwszym punktem Leszczuka. Pierwsze piłki wychodziły mu rzadko, a drugie — były zbyt łatwe. Tym razem wiedział z góry, że pierwsza piłka mu nie wyjdzie, gdyż wyjść nie może.

Do tego stopnia się stracił, że zapomniał przez chwilę swojego ruchu, samego mechanizmu uderzenia. Cztery piłki wpakował w siatkę. Piąta poszła na *out*. Szóstą — łagodną i miękką — Klonowicz „skrócił” tak, iż nie miał po co biegać.

Siódma dopiero dała okazję do paru uderzeń — ale wytrącony z mechanizmu, zdemoralizowany, roztrzęsiony Leszczuk nie umiał się zdobyć na nic więcej ponad przeciętność i Klonowicz z łatwością go wykończył.

— Cholera — myślał gorączkowo chłopak.

I sam nie wiedział, jak zaserwował następną piłkę. Wiedział tylko, iż skurczył się i podskoczył — uderzył ją w powietrzu ruchem innym, niż normalny. W rezultacie wyniknął z tego serwis piorunujący. Klonowicz nawet się nie ruszył. Prawie nie zdołał wzrokiem uchwycić piłki, która spadła, jak grom z jasnego nieba.

— Takie uderzenie było czymś zupełnie wyjątkowym — tylko paru graczy na świecie mogłoby z nim rywalizować.

— Przypadek! — orzekły trybuny.

Jeden tylko Wróbel ocenił przepyszną harmonię, naturalność i pełnię ruchu Leszczuka w tym momencie. Mruknął przez zęby:

— No, no. Fajnie!

Ale ten właśnie sukces ostatecznie zgubił debiutanta. Usiłował ponowić to uderzenie. Wypadło karykaturalnie. Drugi gem był Klonowicza. Trzeci i czwarty wyglądały tak, jakby Leszczuk zupełnie nie umiał grać — piłki rozlatywały się na wszystkie strony, aż wreszcie znudzeni widzowie zaczęli się rozchodzić i nawet Wróbel rzekł z cicha:

— No tak.

Sam Klonowicz był przekonany, że Leszczuk nie ma pojęcia o grze. Co zaś do kapitana, to ów

podszedłszy do chłopca, oświadczył po prostu i zwięźle:

— Szkoda gadać!

Leszczuk machinalnie poszedł do szatni, ubrał się, oddał pantofle i rakiety, wyszedł z klubu... nie myśląc o niczym. Szedł powoli w stronę Chełmskiej, gdzie odnajmował mały pokoik od jakiejś drobnourzędniczej rodziny.

Na Puławskiej wstąpił na kieliszek do trzeciorzędnego „wyszynku wódek i alkoholów” M. Łopatki.

Napił się kieliszek wódki. To mu dobrze zrobiło. Jeszcze raz. Potem angiela jasnego, kanapka śledziowa i jeszcze ze dwa kieliszki czystej. Doskonale. Wszystko to wypił na stojąco w ciągu paru minut. Byle się oszołomić — zapomnieć.

— Co się należy?

— Trzy wódeczki większe, angiela, kanapka — razem złoty dwadzieścia pięć.

— Jak to trzy wódki, kiedy wypilem cztery, dobrze wiem!

Pan Łopatko podniósł brwi do góry.

— Zapewniam, że trzy, przecie wiem, co nalewałem!

— A ja wiem, że cztery!

Łopatko obraził się.

— Wariata pan szanowny ze mnie struga?

Leszczuk posłyszał, że stojący obok niego wysoki jegomość zaśmiewa się po cichu do siebie — chichocze serdecznie, a zarazem umiarkowanie. Chłopak spojrział.

Był to osobnik, woniejący perfumami, wypomadowany, w spodniach sztuczkowych, jasnej marynarce i z urzekającym wąsikiem na górnej wardze, a z profilem orlim.

— A panu co się stało?

— Hi, hi, hi! Hi, hi, hi! Przecież to mnie pan wypileś jedną czystą spod ręki. Moje czyste pan się napił.

— Ale! No to płacę za cztery!

— O, przepraszam stokrotnie! Moja była, to ja opłacam! Za wódkie forsy nie przyjmuje! Co pan myśli, że z kim pan masz do czynienia! Poczęstowałeś się pan moją czystą, to siedź pan cicho i dobra, a przyzwoitego człowieka pan nie obrażaj.

— To teraz ja dwie wódki stawiam!

— A, to rzecz inna! *A propos!* Pozwoli pan się przedstawić. Ewaryst Pitulski z własnych funduszków.

Pan Pitulski kordialnie uścisnął rękę Leszczuka i zaprosił go jeszcze na jedną wódkę, tytułem rewanżu, po czym obaj zasiedli przy stoliku i kazali podać dwie bomby.

Wkrótce zapanowała między nimi wielka przyjaźń. Pan Pitulski podśpiewywał pod nosem, a Leszczuk uśmiechał się mętnie.

— Chodźmy się przejść — zaproponował Pitulski. — Teraz najprzyjemniejsza pora. Tony liliowe, panie, i seledynowe zapadającego wieczoru, sikorek jak lodu i w ogóle pieśń wielkowiejska. Chodź pan! Boja z usposobienia jestem poeta! Byłem fryzjerem damskim, ale to, panie, nędzny fach! Są lepsze! A pan w czym się zatrudniasz, nie chcąc być niedyskretnym?

— Bezrobotny — odparł krótko. I od razu przypomniało mu się wszystko.

— A to z czego pan żyjesz?

— Jak popadnie. A pan?

Pitulski mrugnął porozumiewawczo.

— Nie bądź pan zbyt nachalny, panie tego! Żyje się i koniec! O, ale co widzę. Ławka, a na ławce niewiasta. Kuchareczka, jak sądzę, albo pokojóweczka. W sam raz dla nas! Zobaczysz pan, jak ją przygadam!

I pan Pitulski, usiadłszy na ławce, puścił w ruch wszystkie swoje umiejętności i z taką energią, iż po upływie kwadransa tłusta kucharka, oczarowana i podbita jego romantycznym nosem, umówiła się z nim do kina na niedzielę, oraz zwierzyła mu liczne szczegóły, dotyczące swoich warunków życiowych. Gdzie mieszkają jej państwo, ile mają pokoi, z czego się utrzymują — oto wiadomości, które wy dobył z niej Pitulski, ubolewając nad dołą sług w ogólności, a nad jej dołą w szczególności.

Kucharka oddaliła się wreszcie, zamieniając z nim spojrzenia i zapraszając, aby kiedy odwiedził ją w kuchni — najlepiej między szóstą a ósmą, bo wtedy państwo na mieście i ma się trochę spokoju.

— Moja jest! — rzekł dumnie były fryzjer damski, gdy zniknęła mu z oczu. Ale co widzę! Sklep, a przed sklepem niewiasta. Kuchareczka, albo pokojóweczka. Zobaczysz pan, jak ją przygadamy!

Po paru godzinach, zapełnionych takimi romantycznymi incydentami, przeplatany gęsto alkoholem, Leszczuk i Pitulski mówili sobie „ty” i zawarli dozgonną przyjaźń! Leszczukowi było zupełnie wszystko jedno. Nie chciał wracać do domu. Wolał Pitulskiego od rozmyślań. Co pewien czas Maja stawała mu przed oczami jak żywa i słyszał jej głos — jak wtedy na schodach w Połyce, kiedy mówiła mu ze złością i bezlitośnie: — Każdy trener wyobraża sobie Bóg wie co o swojej grze.

Otrząsnął się.

— Po co ci te znajomości? — rzekł do Pitulskiego, który zęgnął się właśnie z dziesiątą, czy też jedenastą ofiarą swojego orlego nosa.

— Frajer! — zawołał Pitulski, zataczając się mocno! Frajer!

— Bo co?

— Maniś, jesteśmy przyjacieli! To moja ręka! Każda taka jedna kobietka znaczy dla mnie — złotówka. Jedenaście kucharek znaczy się jedenaście złotych! Jak chcesz, to i ty możesz zarobić — owszem, czemu nie?! Dla przyjaciela wszystko! Nie każdy ma się rozumieć ma moje uzdolnienie, to jest, iż żadna a żadna mi się nie oprze. Na mój nos lecą, bo mam nos wydany, czyli orli, romansowy.

I pan Pitulski wytłumaczył Leszczukowi w krótkich słowach istotę swoich romantycznych poczynań. Dowiadywał się od kucharek, sklepówek, służących, modystek i innych pracujących kobiet rozmaitych ciekawych szczegółów — za co pewien „pan”, którego nazwiska nie chciał Leszczukowi zdradzić, płacił mu po złotówce od sztuki.

Pitulski przysięgał się, iż nie wie po co owemu panu potrzebne są te wiadomości i jaki z nich czyni użytek — jemu wystarczył godziwy zarobek za pracę i talent, oraz wrodzone zalety powierzchowności, a zwłaszcza nosa, który doskonale nadawał się do spacerów przy księżycu. Nie! On, Pitulski, nie wchodził w żadne podejrzone interesy!

— Ale co widzę! — zawołał, bełkocąc z lekka. — Ławka, a na ławce niewiasta! Pokojóweczka, albo kuchareczka! Hm... co widzę? Obok niewiasty na ławce jej damska torebka. Przygadaj ją, a ja siądę z drugiej strony i zajrzę do tej torebki.

Było już po jedenastej. Znajdowali się w Alejach Ujazdowskich niedaleko Belwederu. O tej godzinie Aleje były jeszcze dosyć rojne — zapóźnione pary gęsto obsiadły ławki.

Leszczuk wytrzeźwiał nagle i zrozumiał, co mu proponuje Pitulski.

Ale w tej samej chwili fala wspomnień uderzyła mu do głowy. Maja stanęła mu przed oczyma, jak żywa.

Nie namyślał się długo. Podszedł i przysiadł się do nieznajomej, która okazała się młodą blondynką w skromnym, granatowym żakiecie.

Pitulski oddalił się w głąb alei.

— Pani tak samotnie — zaczął Leszczuk i urwał.

Dziewczyna płakała. Po jej policzku ściekała wolno łza.

— Przepraszam — rzekł — ja odejdę.

— Niech pan nie odchodzi. To nic. To zaraz przejdzie — szepnęła, jakby usprawiedliwiając się.

— Woli pani, żebym siedział?

— Wolę, bo przy kimś przestanę płakać — a sama nie mogę przestać. Zniosła się krótkim szlochem. Był zdziwiony jej prostodusznością.

— Czy ona taka naiwna, czy naciąga? — pomyślał.

— A dlaczego pani płacze? — zapytał, przysuwając się bliżej.

— Pokłóciłam się.

— Z kim?

— Z narzeczonym.

— Bardzo się pani pokłóciła?

— Na... na zawsze.

— A pani pracuje gdzie?

— Ja pracuję jako kelnerka w cukierni. A on jest monter.

— O co się pani z nim pokłóciła?

— On... z inną zaczął chodzić... A mnie rzucił. Teraz jestem sama, jak ten palec! Znowuż nikogo nie mam!

Tymczasem w dali ukazał się pan Pitulski i nadciągnął powoli, z wdziękiem kołysząc postacią. Zbliżywszy się do ławki wytarł nos, jakby przygotowując go do działania i usiadł w pewnej odległości po drugiej stronie zapłakanej kelnerki.

— A pani ze mną rozmawia — rzekł Leszczuk — skąd pani może wiedzieć, kto ja jestem?

Był mocno pijany.

Jednocześnie pan Pitulski zaczął manewrować delikatnie ramieniem i przegiął się nieco. Leszczuk oprzytomniał.

— Odstaw się pan! — krzyknął.

Dziewczyna drgnęła i złapała torebkę. Pitulski zbaraniał i prędko odsuwając się, wyjąkał:

— Coś pan z byka spadł?

— Wynoś się pan stąd!

— A, przepraszam!

Pan Pitulski wstał, obrażony.

— Widzę, że przyzwoity człowiek winien bardziej przestrzegać z kim ma przyjemność. Widzisz go! Arogant i szczeniak!

Ostatnie słowa dochodziły już z pewnej odległości, gdyż Pitulski wsiąkał pospiesznie w spacerujący tłum, nie przestając zresztą wdzięcznie kołysać postacią.

— Widzi pani, byłby pani zabrał torebkę.

— Ale pan mnie obronił!

— No tak! — odparł niepewnie.

Był zmieszany. Nie mógł zrozumieć, co w nim się tak nagle „przekreśliło”. Gotów był bronić tej kelnerki przed całym światem, nawet przed samym sobą.

Odprowadził ją do domu. Mieszkała na Podchorążych. Nazywała się Julia Nowak, niedawno przyjechała ze wsi spod Płocka, gdzie rodzice mieli kawałek gruntu.

Z zupełnym zaufaniem opowiadała Leszczukowi, jak bardzo była nieszczęśliwa w pierwszych miesiącach pobytu. Nikogo nie знаła, nie miała do kogo ust otworzyć i po skończonej pracy tylko tęskniła i płakała.

— Bardzo wtenczas zmarniałam — mówiła — aż ciotka napisała do mamy, żeby mnie z powrotem wzięła.

Ale wtedy akurat poznała tego montera i jakoś jej przeszło, a nawet zakochał się w niej i ona w nim i zaręczyli się. Cóż kiedy on przedtem kochał się w jednej, która go rzuciła i z innym zaczęła chodzić.

— Ale jak tamten ją rzucił, ona znowuż powróciła do Władzia — więc Władzio przestał chodzić ze mną, a zaczął chodzić z tamtą. Gryzłam się, gryzłam, aż pokłóciłam się i zerwałam na amen — zakończyła. — Takie to moje szczęście!

— A pan pracuje gdzie? — zapytała.

Stropił się i przez chwilę nie odpowiedział.

— Na razie nie mam posady — rzekł.

— To marnie. A w jakim fachu pan pracuje?

— Jako kelner.

Nie chciał jej mówić o tenisie. Wolał wymienić drugą swoją funkcję, którą pełnił w restauracji Mieczkowskiego.

— To ja panu znajdę posadę! Mam znajomą, która pracuje w jednym barze i mówiła mi, że potrzebują pomocy dla kelnerów. Ona mnie bardzo lubi. Jeżeli jeszcze jest miejsce, to pana przyjmą.

Ucieszyła się tak serdecznie, że nie chciał psuć jej radości odmową.

— Doskonale!

— A widzi pan, jak to dobrze, żeśmy się dogadali! Będzie pan miał robotę!

Umówili się na jutro po południu, gdyż Julka pracowała jednego dnia od południa do wieczora, a drugiego od rana do południa — i pożegnał się z nią przed jej bramą tak wdzięczny, jak gdyby wyrządziła mu nie wiadomo jaką przysługę.

Ale jak tylko się rozstali, zrozumiał, że nie może się z nią spotykać. Po co? Przecież ona nie była Mają! I czuł, że z nim jest coś nie w porządku — coraz bardziej — że znajomość z nim nie jest bezpieczna dla tej naiwnej dziewczyny.

Coś mu się przypomniało. Przystanął przed jakimś lusterkiem na wystawie i obejrzał sobie usta. Były normalne. Cóż — ostatecznie to zsinienie ust wtedy, w lesie, mogło być przypadkowe, może zjadł coś niezdrowego, albo po prostu wargi mu spierzchły — bodaj nawet nie były one wcale takie strasznie sine, jak to mu się wówczas zdawało. A jednak nie mógł o tym zapomnieć i do wszystkich trosk i niepokojów zewnętrznych dołączyła się jeszcze niepewność stanu fizycznego. Leszczuk dotąd jeszcze nie zdawał sobie w pełni sprawy, do jakiego stopnia był zakochany w Maji. Dlatego gwałtowność jego reakcji na wszystko, co było w związku z tą dziewczyną, przerażała go i zdumiewała. Nie rozumiał jej postępowania z nim — i w ogóle to wszystko między nimi było tak odległe od normalnego współżycia, że tracił się w tym beznadziejnie.

Podobieństwo, siność ust, dziwaczność i nieobliczalność ich stosunku, gra stłumionych instynktów i namiętności jaka powstawała między nimi — wszystko spletało się w łańcuch niezrozumiały i groźny.

W nocy miał ciężkie sny i pewnie rzucał się na łóżku, gdyż pościel była w nieładzie. A następnego dnia — jednakże — poszedł na spotkanie z Julką. Myśl, że ona zmartwi się nie zastawszy go na umówionym miejscu, przeważała. Za nic nie chciał jej martwić. Miała w sobie coś takiego, że nie można było zrobić jej przykrości.

I wreszcie miał dosyć tego wszystkiego! Tak! Zerwie z tenisem, ze wspomnieniami o Maji, odeśle pieniądze — otrzyma tę robotę w barze i to go najlepiej uleczy. Po prostu zaczynał bać się tego, co się działo z nim — i chciał to przerwać, zmienić, zacząć inne życie.

W godzinę potem Leszczuk — już przyjęty w poczet pracowników baru — szedł z Julka pod rękę przez Krakowskie Przedmieście. W nagrodę zaprowadził ją na obiad, który zjedli w ogródku jakiejś pomniejszej restauracji.

Oboje działali na siebie wyśmienicie. Był wesoły. Bawił ją jak umiał i cieszyła go jej łatwa, naturalna radość. Życie wydawało się proste i zwyczajne, on sam zaś — jakże odległy był od tego Leszczuka, który bił się w lesie...

Inny był jego śmiech. Inna mowa. Inne ruchy, a co najważniejsze — inne samopoczucie. Z Julka nie czuł się kimś gorszym, nie bał się, że go wyśmieje, rozumiał ją — a przede wszystkim był dla niej dobry i wiedział, że ona dla niego też jest i będzie dobra.

Okazywał jej coraz większe zainteresowanie. Czasem przerażało go, gdy widział, że ona przyzwyczajają się do niego i przyjmuje wszystko za dobrą monetę. Nieraz myślał o tym, aby ją ostrzec że nie powinna zadawać się z nim.

Ale nie mógł. Tak mu zależało na tym, aby nie czuła się samotna i nieszczęśliwa. Gdy widział, jak dziewczyna rozpromienia się każdym objawem życzliwości, nie umiał jej ich odmówić. Ona zaś cieszyła się, że ktoś z nią chodzi, zajmuje się nią — i że nie wrócą już ciężkie dni samotności których nade wszystko się obawiała.

ROZDZIAŁ XII

Cholawicki od czasu ucieczki Maji był rozdarty pomiędzy nią i skarby. Rzucił się, jak oszalały, od jednej z tych spraw palących do drugiej i zawsze miał wrażenie, że nie robi tego, co powinien.

Gdy siedział na zamku, pilnując księcia i Skolińskiego, zdawało mu się, że zaprzepaszcza Maję — że trzeba rzucić wszystko i szukać jej, wydrzeć Leszczukowi. Lecz gdy na parę dni wyjeżdżał — szukać, opadało go poczucie zupełnej beznadziejności tych gwałtownych, improwizowanych poszukiwań, a jednocześnie chciwość i niepokój o skarby nakazywały natychmiastowy powrót. Więc parę razy tak się zdarzało, że dojechawszy do Warszawy lub do Lwowa, wracał następnym pociągiem, ażeby stwierdzić, że na zamku przez ten czas nic nie zaszło.

Jakoż na zamku stosunki ustaliły się i znormalizowały — jeżeli można mówić o znormalizowaniu stosunków pomiędzy czterema mężczyznami, żyjącymi wiecznie na straży przed sobą i przed tym ponurym, drżącym zjawiskiem, którego nikt nie śmiał usunąć. Drżenie... tak, drżenie było chyba naczelną cechą tych dni i nocy na zamku. Każdy drżał przed każdym, a w dodatku stary, poźółkły, zakurzony ręcznik drżał na wieszaku w starej kuchni bez przerwy i bez wytchnienia.

A jednocześnie pomiędzy Cholawickim i Skolińskim toczyła się cicha, podziemna walka o duszę szaleńca i o wpływ na jego decyzje.

Po owym heroicznym i pańskim „ukróceniu” sekretarza, księżę zmienił się ogromnie. Obecność na zamku Skolińskiego, możność oparcia się na nim przeciw Cholawickiemu wpłynęły radykalnie na jego psychikę. Odzyskał dumę i władczość.

I sekretarz wiedział, że księżę nigdy nie przebaczy tego, iż śmiał zagrozić mu szpicrutą. To był fatalny błąd! To najbardziej zrewolucjonizowało psychikę księcia. Pod wpływem tej szpicruty Holszański cudownym sposobem odzyskał pańskość! Sekretarza traktował teraz grzecznie, ale — z majestatem. Wydawał rozkazy. Wyrażał życzenia — i wróciła mu świadomość tego, że on, a nie kto inny,

jest tu panem.

On też zorganizował ich współżycie na zamku. Wyznaczył Skolińskiemu obszerną komnatę, niedaleko pokoju Cholawickiego, polecił ją umeblować, wydał Grzegorzowi dyspozycje, ażeby pilnował wygod profesora i wszystko to zrobił z taką rozważą i stanowczością, że wyglądało, jak gdyby wracał do przytomności.

Ale najbardziej przeraziło Cholawickiego, gdy Grzegorz zjawił się przed nim w uroczystym, acz wypłowiałym fraku i w białych przedpotopowych rękawiczkach.

— Cóż to za maskarada?

— Obiad podany w sali kolumnowej.

— Gdzie?

— W sali kolumnowej na życzenie księcia pana.

Cholawicki poszedł za kamerdynerem do sali, zwanej „kolumnową”, gdyżjwsparta była na czterech słupach, podtrzymujących gotyckie sklepienie i ujrzał tam stół, nakryty na trzy osoby i tworzący dziwaczny kontrast z opłakanym stanem murów. Słońce wpadając ukośnie przez wąskie okna załamywało się w przepysznych kryształach i pracowicie przez Grzegorza oczyszczonych srebrach, a pięknej żardinierze nieborowskiej — były kwiaty.

— Czy to przyjęcie na pańską cześć? — zapytał ironicznie Skolińskiego, który już oczekiwał

w sali.

W tej chwili wszedł książę — o dziwo — nie w szlafroku, ale w ciemnym garniturze, zapiętym na wszystkie guziki.

— Proszę, siadajcie panowie — rzekł. — Od dziś będziemy jadali razem. Doszedłem do wniosku, że zbyt zaniechywanie się pod względem stroju i jedzenia nie jest zdrowe. Pewne minimum form musi być zachowane. Widzicie? Poczciwy Grzegorz postarał się nawet o kwiaty. Jakaż to prześliczna rzecz — kwiaty!

I potoczyła się wykwintna rozmowa nad zupą kartoflaną i przypieczonym mięsem, które Grzegorz obnosił uroczyście, chlipiąc pod wąsem ze wzruszenia. Po wetach, w postaci kilku, niezłych zresztą, jabłek, książę pożegnał biesiadników skinieniem głowy i wrócił do siebie.

Cholawicki postanowił odczekać. Z niektórych nerwowych odruchów księcia domyślał się, ile utajonego strachu i wysiłku było w tym wszystkim. Miał więc; nadzieję, że wariat załamie się prędzej, czy później, a wtedy on znowu uzyska przewagę.

Skoliński przeciwnie, z radością przyjął te oznaki lepszej kondycji duchowej i Jak mógł, starał się je podtrzymać. Ogniwiem, łączącym go z księciem, były porządki, którym poczciwy historyk oddał się z całym zapalem, mimo iż grzebanie i bez przerwy w stosie śmieci i brudów nie należało do zajęć najprzyjemniejszych. Ale to zajęcie pozwalało mu przebywać sam na sam z księciem, zyskiwać coraz; większe zaufanie.

Strzegł się wszelkich zbyt gwałtownych indagacji. Ani razu nie uczynił najmniejszej aluzji do owego spotkania w nocy, kiedy to Holszański domagał się od niego „znaku” i wziął go za istotę przybyłą z innego świata. Czekał, aż książę sam powróci do tego, a na razie starał się jedynie zjednać go czułością i delikatnością. A jednocześnie pilnie rozglądał się w śmieciach, czy nie natrafi na jakiś papier albo przedmiot, które by rzuciły światło na tragiczną historię z Frankiem.

Obserwował też reakcję księcia na rozmaite ruchy. Niby przypadkiem podnosił rękę do góry lub dotykał się gardła, albo kichał — i śledził, jak na to reaguje i książę. Ale ruchy te nie musiały przypominać znaku, gdyż żaden z nich nie wywierał efektu. Może zresztą sam książę zapomniał, jak ten znak wygląda? Wszystko było możliwe.

Ale profesor czuł, że stosunek ich nie jest bynajmniej tak jasny, jakby się wydawało na pozór. Nieraz przychwytywał księcia na spojrzeniach, świadczących iż on jego również obserwuje i bada spod oka — że w nieustannym naprężeniu oczekuje na jakieś z jego strony objawienie.

Prawdopodobnie książę nie wyrzekł się całkiem idei, że jednak Skoliński jest owym mistycznym posłańcem od Frania, który z niewiadomych przyczyn nie chce się zdradzić ze swoją misją. Tak więc ich wzrastająca zażyłość na gruncie drobnych udogodnień doczesnych i ziemskich, jak na przykład te porządki w pokoju — była jednocześnie opatrzona głęboką nieufnością, napięciem, oczekiwaniem na coś „z tamtego świata”.

Och, do jakiegoż stopnia musiał profesor natężyć wszystkie siły duchowe, aby wytrzymać! Ten zamek ze swoim pustym ogromem, z otchłanią szmerów, z niekończącymi się labiryntami, z wilgocią i melancholią, mógł osłabić nerwowo kogoś nie przyzwyczajonego i nie zaaklimatyzowanego. A do tego dodać należało codzienne obcowanie z tragicznym szaleńcem. A do tego — wieczna wojna z Cholawickim, nieustanna możliwość jakiegoś podstępów lub zamachu. A do tego — groza ręcznika, ohyda i straszność komnaty! Niebezpieczeństwa realne spletały się z szaleństwem, z obłąkaniem — i jeszcze na domiar z grozą rzeczywistości metafizycznej — a świat łączył się bezpośrednio z zaświatem w milczeniu starożytnych wnętrz.

Do starej kuchni więcej nie zaglądał. Nie chciał narażać się na doznanie wstrętu i ohydy. Profesor nieraz zapytywał siebie dlaczego nie wejdzie tam i nie wyrzuci tej okropnej szmaty. Ale bał się... Aczkolwiek nie wierzył w dosłowną diabelskość zjawiska, przypuszczał jednak, iż muszą tu wchodzić w grę jakieś nie dość znane siły przyrody, z którymi należało być ostrożnym.

Wiedział, iż na seansach spirytystycznych zerwanie łańcucha może spowodować chorobę lub śmierć medium. A zresztą ta płachta była jego sprzymierzeńcem — trzymał nią w szachu Cholawickiego i Grzegorza. A zresztą — i to było najważniejsze — odrzucało go coś od tej rzeczy...

Natomiast rozpoczął kroki celem odnalezienia Ziółkowskiej. Od niej tylko mógł się dowiedzieć o „znaku”.

Na szczęście Cholawicki nie mógł mu odciąć porozumienia ze światem zewnętrznym. Skoliński nie chciał wydalac się z zamku w obawie, aby Cholawicki nie zdobył się na coś radykalnego podczas jego nieobecności. Natomiast mógł działać listownie.

Zawiadomił o swojej bytności na zamku panią Ochołowską, nie wdając się w żadne bliższe informacje. A poza tym zwrócił się do jednego ze swoich przyjaciół w Warszawie z prośbą o odnalezienie i wybadanie Ziółkowskiej — czy nie Przypomina sobie jaki to gest jej wyprowadził z równowagi księcia Holszańskiego?

Wkrótce nadeszła odpowiedź. Gospodynię odnaleziono bez trudu. Ale nic nie pamiętała.

Było to zupełnie naturalne, po tylu latach. Korespondent profesora pisał, iż wybadywał ją szczegółowo, ale Ziółkowska cierpi na sklerozę i w ogóle nie odznacza się inteligencją. Owszem — przypomniawsza sobie, że księżę przestraszył się j zaczął krzyczeć — znak, znak! — gdy weszła do jego pokoju. Ale czy wtedy zrobiła jakiś ruch i jaki to był ruch — nie pamiętała.

— No i co teraz będzie, mój Grzegorzu? — rzekł zawiedziony Skoliński, gdy Grzegorz wieczorem wręczył mu list.

— Ano — nie da rady! Nie dowiemy się.

— Musimy się dowiedzieć! Będę musiał sam z nią pomówić.

— Jak pan wyjedzie, to sekretarz może co zmalować!

Profesor zdobył się na krok stanowczy. Jeżeli on nie może pojechać do Ziółkowskiej, niech Ziółkowska przyjedzie do niego. Poleciał przyjacielowi wyekspediować babę do Mysłoczy bez względu na koszt.

Grzegorz w najściślejszej tajemnicy przed Cholawickim umieścił ją u gajowego w odległości paru kilometrów od zamku. Powiedziało się gajowemu, że stara gospodyni przyjechała na wypoczynek za pozwoleniem księcia.

Skoliński przyszedł do niej zaraz tego samego dnia wieczorem. Zastał tłustą, pulchną kobietę, wielce gadatliwą, ale — sklerotyczkę.

— Pewnie, pewnie, pamiętam jak dziś. Grypa była, księżę pan się rozchorował i Grzegorz także, wchodzę z kawą — tak, kawę niosłam, a może tacę — tacę prędzej, niż kawę — a może kawę — a tu naraz księżę pan jak się nie ciśnie, jak nie krzyknie! Za ducha mnie wziął! Ale co ja za znak zrobiłam? Czyja ręką ruszyłam? A może głową kiwnęłam? A może zębami zgrzytnęłam? Myślę o tym i myślę i nijak nie mogę sobie przypomnieć.

Profesor obiecał jej hojną nagrodę, jeżeli sobie przypomni, ale odniosło to fatalny skutek. Gospodyni już i tak przejęta uporczywymi indagacjami, jakim podlegała od kilku dni, zaczęła się miotać, wykonywała na próbę najdziksze ruchy, natężyła pamięć i w rezultacie wszystko jej się pomieszało.

— A może ja nogę podniosłam!

— Po cóż by pani miała nogę podnosić, kiedy pani z kawą szła?

— A może za kolano się złapałam? Mogło mnie strzykać w nodze od reumatyzmu.

Pozostawił ją. Starał się niepostrzeżenie powrócić do zamku, ale Cholawicki musiał go dostrzec przez okno, gdyż przy kolacji zapytał.

— Pan wychodził?

— Byłem na małym spacerze.

Sekretarz jednak powątpiewał, aby Skoliński bez ważnego powodu wydalą się z zamku, nawet na krótko. Tak to oni nieustannie kontrolowali się i śledzili swoje poruszenia.

Doszło do tego, iż wszyscy (gdyż Grzegorz także czuwał nad rozwojem wypadków) większą część dnia spędzali na drzemce, a w nocy byli w pogotowiu. Noc była najniebezpieczniejsza. Dzień raczej nadawał się do wypoczynku.

Jedynie praca nad katalogowaniem i szacowaniem antyków utrzymywała profesora w jakiej takiej równowadze. Codziennie poświęcał temu kilka godzin.

Jakież cuda odkrywał! Od obrazów przechodził do makat, porcelan, sreber, starożytnych zbroi z szesnastego i siedemnastego stulecia i coraz odnajdywał przedziwne unikatki. Parę przepysznych zegarów z czasów Jana Kazimierza. Dwa słynne gobeliny. Zbiór bezcenny starych polskich dywanów.

A przy tym rozmaite odkrycia architektoniczne. Zwłaszcza podwórze zamkowe zachowało ślady pięknej choć surowej architektury. Gdyby można było je przywrócić do pierwotnego stanu, odrzucić wszystkie szpecące przybudówki — jakąż rezydencją stałaby się Mysłocz!

Cholawicki asystował jego badaniom z zapartym tchem. To jedno ich łączyło.

Ale Cholawicki ze swej strony nie ustawał w wysiłkach, jak mógł organizował obronę i kontrofensywę.

Cała ta historia ze starą kuchnią spadła na niego Jak piorun z jasnego nieba. Teraz, gdy przyszło walczyć o wpływ na Holszańskiego, przekonał się, jak mało wie o jego przeszłości, jak nic nie orientuje się w drogach jego chorej psychiki. Wyczuwał, że profesor choć jest od kilku dni dopiero na zamku, o wiele lepiej jest zorientowany, jest panem jakichś tajemnic, które pozwalają mu działać z określonym planem.

Jakież to były tajemnice?

Czy rzeczywiście pobyt w starej kuchni pozwolił mu wniknąć w przeszłość Holszańskiego? W sekret jego szaleństwa? Czy to jedno z drugim się łączyło?

Cholawicki krążył dokoła strasznej komnaty, jak ćma dokoła świecy, stawał na progu i sondował wzrokiem skurcz ręcznika — lecz nie mógł zdobyć się na heroizm pozostania tu na noc, aby wreszcie dowiedzieć się czegoś konkretnego.

Coś go odrzucało.

Męczył prośbami i groźbami Grzegorza. Ale kamerdyner, który od chwili przybycia profesora i ponownego zaktualizowania się strachów, żył jak w transie, żegnając się krzyżem świętym sto razy na dobę, nie chciał udzielić mu dalszych informacji.

— Ja ta nic nie wiem! Mnie ta nic nie wiadomo!

Więc sekretarz, pozbawiony wszelkich konkretnych przesłanek, wił się w bezsilnej wściekłości, czując, że traci grunt pod nogami i wkrótce już zostanie haniebnie wygryziony z łask książęcych przez szczęśliwego rywala.

Jedynie co mu pozostało, to śledzić — bez przerwy śledzić Skolińskiego i księcia. Jakoż w dzień i w nocy był na czatach.

Gdy odkrył, że profesor wydalą się z zamku, natychmiast przyszło mu na myśl, że musi to mieć swoją przyczynę. Kiedy ściemniło się, Cholawicki dyskretnie udał się śladami profesora.

Na mokrym, grząskim gruncie te ślady były dobrze widoczne. Cholawicki bez trudu posuwał się naprzód — póki nie doprowadziły go aż do gajówki.

Zbliżył się ostrożnie, nie zważając na ujadanie psów. Małe okienko było oświetlone. Sekretarz na próżno głowując się co Skoliński mógł robić w tej gajówce — zajrzał w okno i oczom jego ukazał się widok niesamowity.

Stara, pulchna kobieta, sama w pokoju, dokonywała jakichś zaklęć, czy obrzędów Wykręcała ręce. Podnosiła nogę z twarzą zamyśloną i skupioną. Łapała się za ucho.

Przerywała te czynności, ażeby po chwili znowu zacząć.

Sekretarz był już tak przepojony atmosferą duchów, że skulił się z trwogi. Jd żeli kto, to ta czarownica wywołała złego ducha. Czyż to było w związku ze straszną komnatą?

Jakiż sens mogły mieć te ruchy? Czy to były zaklęcia? Okropna ich głupota niedorzeczność tylko zwiększały ich niesamowitość.

Ze stodoły wyszedł gajowy Matyjas, zwabiony ujadaniem psów.

— Jak się macie — rzekł Cholawicki. — Słuchajcie no. Co to za kobieta ta za oknem?

— A to, proszę wielmożnego pana, dawna zamkowa gospodyni, pani Ziółkowska. Przyjechała z miasta na wypoczynek, a księżę pan kazał, żeby u mnie zamieszkała.

— Dawno przyjechała?

— Dzisiaj z rana.

— Cóż ona się tak wygina?

Gajowy parsknął śmiechem.

— A bo ja wiem! Odkąd przyjechała ciągiem ino się tak przegibuje.

— Był tu kto u niej?

— A był jeden pan z zamku. To przy nim jeszcze gorzej się wygibała.

— A kto wam mówił, że księżę kazał, aby ona u was mieszkała?

Przyszedł do mnie Grzegorz wczoraj z takim nakazem, to zara przygotowałeś dla niej pomieszkanie i kazałem dzieciakom, żeby o nią miały staranie, bo sam musiałem do lasu iść.

Cholawicki zamyślił się. Zatem Grzegorz był w porozumieniu z profesorem Obaj sprowadzili tą babę i ukryli ją w gajówce. Tylko na co im była potrzebna! Przypomniał sobie teraz, że Grzegorz wspominał mu kiedyś o Ziółkowskiej, gospodyni na zamku przed wielu laty.

— Powiedźcie jej, że przyszedł sekretarz księcia pana i zawołajcie ją tutaj. Chcę się rozmówić.

— Słucham.

Jakoż po chwili pani Ziółkowska zjawiała się przed nim w kapeluszu rękawiczkach i palcie, zarzuconym na ramiona. Była wyraźnie zaskoczona tą niespodziewaną wizytą.

— Do usług pana sekretarza. Słucham pana sekretarza. Pan sekretarz ma życzenie rozmówić się ze mną?

— Po co pani tu przyjechała?

— Ja? Ja? Przyjechałam na willegiaturę. Jestem niezdrowa, nadwątlona... Świeże powietrze...

— No, no! Niech pani komu innemu blaguje! Co to ma znaczyć wszystko?! Czego od pani chciał ten pan, co tu przychodził? Pani wie kim jestem! No więc jazda! Radzę szczerze powiedzieć, bo dam znać policji! Kto panią tu sprowadził?!

— Ja nic złego nie zrobiłam!

— Radzę pani powiedzieć prawdę, bo wezwę policję.

Przerażona kobiecina nie stawiała długiego oporu. Wyznała wszystko błagając, aby Cholawicki nie powtórzył profesorowi. Ona jest niewinna! Ona nic nie wie! Tylko profesor chce, aby ona sobie przypominała, jaki znak zrobiła przed dwudziestu paru laty, gdy wchodziła do pokoju księcia z kawą. Na co mu to potrzebne, to ona nie wie.

Jeszcze raz drobiazgowo opisała, jak wchodziła do pokoju, jak zrobiła ten ruch, którego ani rusz nie mogła sobie przypomnieć i jak księżę zaczął krzyknąć „znak, znak!” biorąc ją za istotę z innego świata.

Cholawicki zakazał jej surowo wspominać profesorowi o swojej z nią rozmowie. Choćby nawet przypominała sobie ten znak, niech udaje, że nic nie pamięta. Groźbami i obietnicami sprawił, iż Ziółkowska obiecała mu jak najściślej wypełniać jego zlecenia.

Z uczuciem ulgi powrócił na zamek. Nareszcie i on natrafił na jakąś nić w tym labiryncie. Nie omyliły go przeczucia. Profesor i Grzegorz prowadzili określoną akcję — ale co to był za znak? I do czego był im potrzebny?

Jeszcze pilniej jął śledzić księcia. Przypomniawszy sobie teraz coś, co nieraz go zastanawiało w ciągu paroletniego obcowania z księciem. Oto zauważył, że księżę podczas swoich nocnych wędrówek zniknął na pół godziny lub trzy kwadransy. Wielokrotnie zdarzało się iż Cholawicki, zaglądając do niego po nocy, nie zastawał go ani w sypialni, ani też w komnatach, po których zwykle się przechadzał — i dopiero po dłuższym czasie księżę wyłaniał się nagle nie wiedząc skąd, przy czym w nastroju jego zachodziła wtedy wyraźna zmiana.

Wracał mniej przytomny, bardziej otumaniony.

Sekretarz nie przejmował się tym dotąd, ale teraz postanowił zbadać cel tych wycieczek.

Zanim jednak to nastąpiło, zaszedł drobny incydent, który również dał wiele do myślenia sekretarzowi. Mianowicie przyszedłszy nazajutrz na obiad do sali jadalnej ujrzał na ścianach — cztery portrety rodowe, ogromnych rozmiarów. Czterech dostojnych książąt Holszańskich—Dubrowickich z oznakami piastowanych wysokich godności, wyblakłych, ale jeszcze tryskających purpurą wspaniałych szat.

Sala zmieniła wygląd, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Stała się strojna, a jednocześnie bardziej zamieszkała.

— Co to znaczy? — zapytał Grzegorza.

— Pan profesor odnalazł te stare portrety, złożone na kupę za szafami i kazał powiesić, żeby zrobić niespodziankę księciu panu.

Cholawicki przygryzł wargi. Polityka Skolińskiego była dlań jasna. Utwierdzić księcia w poczuciu dumy rodowej i władzy — wyrwać go z brudów i opuszczenia, przywrócić go światowym konwenansom, na które stary arystokrata był tak wrażliwy. W tym celu zawieszono te portrety.

Ale nie śmiał ich pozejmować. Księżę wszedłszy do jadalni zachował się kiwnie. Z początku jakby się zawstydzil i pominął portrety milczeniem. Zjedli zupę rozmawiając jak zwykle o sprawach ogólnych w tonie nieomal dworskim.

Wreszcie Holszański uśmiechnął się żałośnie i smutno.

— Kto to zawiesił? — rzekł.

— Odnalazłem te portrety podczas porządkowania sal i pozwoliłem sobie umieścić je tutaj — odparł profesor. — Jeżeli księciu się nie podobają, można w każdej chwili usunąć. Jest jeszcze wiele innych portretów. Cała galeria.

A tak — rzekł księżę, przyglądając się wizerunkom przodków z dziwnym uśmiechem na ustach. I naraz ożywił się, rumieniec wystąpił mu na policzki, oczy zabłyśły.

To jest Józefat Holszański, wojewoda kijowski, mój prapradziad w prostej linii. Ożeniony był z Ostrogską. A ten to Jerzy, kasztelan mściłowski, potem hetman polny. A ten — starosta piński. Słynny pułkownik, poplecznik Zborowskiego... Moja rodzina obok Ostrogskich i Zasławskich była najpierwsza na Rusi. Na dobrą pan wpadł myśl, profesorze. Trzeba porozwieszać portrety. Ten zamek jest zbyt wielki, aby go można było zaludnić tylko żyjącymi — potrzeba wielu pokoleń, aby go wypełnić...

Urwał.

— A ja jestem ostatni z rodu.

Znowu wąły, niepewny uśmiezek wybiegł na jego wargi.

Cholawicki domyślił się, co chciał powiedzieć. — Ja jestem ostatni z rodu... idiota. Co też odczuwają ci statyści, wodzowie i dostojnicy widząc ostatnią latorośl rodu... w tym stanie? — oto co drżało nie wypowiedziane na skrzywionych : wargach księcia.

I nagle krzyknął.

— Nie! Proszę to zabrać! Nie chcę, żeby oni się patrzyli! Proszę ich wsadzić tam, gdzie byli! Nie życzę sobie! A zresztą ja nie jestem ostatni! Przecież ja także mam syna! Ja mam syna. Mój syn jest! Gdzie jest mój syn?!

Wpił wzrok w profesora, jakby spodziewał się objawienia.

Odepchnął stół, aż zabrzęczały talerze. Wybuchnął łkaniem i wypadł z pokoju, ściskając rękami głowę.

Cholawicki mruknął ironicznie.

— Jeszcze z tydzień takiej kuracji, a biedak do reszty zwariuje.

— Nie przypuszczam — odparł chłodno profesor. — Takie wstrząsy wywołują często pożądane rezultaty. Mam nadzieję, że księżę wkrótce odzyska zmysły.

— Nie wiedziałem, że księżę miał syna — rzekł powoli Cholawicki przyglądając się profesorowi. — Nikt mi o tym nigdy nie wspomniał.

— Och, to co mówi w takich atakach jest niemiarodajne.

— W każdym razie trzeba pozdejnować portrety. Niech Grzegorz je złoży z powrotem, tam gdzie były.

Ale Grzegorz nie kwapił się z wypełnianiem rozkazu, a Skoliński rzekł:

— Lepiej niech Grzegorz zostawi je na razie. Jeszcze zobaczymy. Sekretarz wstał.

— Jest pan wprawdzie gościem księcia — rzekł, hamując się — ale to nie znaczy, aby pan miał prawo wydawać dyspozycje. Grzegorz słyszał, co księżę powiedział? Proszę natychmiast zdjąć portrety.

— Młody człowieku — rzekł profesor — rób pan sobie co chcesz! Ja nie odpowiadam za twoje czyny.

Niech pan porzuci lepiej ten górnolotny ton! Nie jestem dzieckiem i upewniam pana, że duchami nie dam się zastraszyć.

A jednak pan się boi.

— Tak pan sądzi? Profesor zniżył głos.

— A dlaczego pan nie zdejmie tego ręcznika? Jeżeli panu to jest obojętne? Jeżeli pan nie drży i wewnątrz nie wzdyga się przed nim? Cóż prostszego, jak pójść tam i wyrzucić ręcznik?

Sekretarz nie znalazł odpowiedzi.

Rzeczywiście — na to zdobyć się nie mógł. Na próżno wmawiał w siebie, że istnienie złych mocy w komnacie jest dzieciństwem, że to woda na młyn profesora, który szantażując go „duchami” uzyskuje przewagę psychiczną. Ileż razy podchodził pod drzwi starej kuchni, wpatrywał się w ową niezmordowaną płachtą i nie mógł zdobyć się na to, aby po prostu wziąć i wyrzucić za okno.

Ta niemoc rzucała fatalny cień na wszystkie jego zamysły. Utrzymywała go w ciągłym napięciu nerwowym i kazała ulegać — wbrew woli — złowróbnym ostrzeżeniom Skolińskiego.

A gdyby zostać tam na noc? Sprawdzić, co mógł zobaczyć profesor? Wiedzieć to samo, co on wie. Ale na ten radykalny postępek tym bardziej nie mógł się zdobyć.

Czyżby księżę miał syna? Czyżby stąd wywodziła się jego choroba? Czy ów „Franio”, który tak często mu się majaczył, był właśnie jego synem? — te pytania prześladowały sekretarza, który, czując iż księżę wymyka się jego wpływowi, szukał na gwałt klucza do jego duszy.

W nocy zaczął się w sąsiedniej sali i — gdy księżę rozpoczął nocną wędrówkę po zamku — szedł za nim z komnaty do komnaty, przez opustoszałe galerie i krużganki. Holszański jak zwykle snuł się wolno pod ścianami, przystając w oknach i szepcząc coś do siebie — potem wracał, kładł się na łóżku i drzemał, a po pół godzinie znowu wychodził, jakby gnany wzrastającym niepokojem.

Tak trwało do jakiejś drugiej nad ranem. Sekretarz zamierzał już udać się na spoczynek, zwątpiwszy w celowość przedsięwziętej obserwacji, gdy wtem książę podszedł pod drzwi sypialni Cholawickiego i nasłuchiwał. A potem z wolna skręcił w wąski i długi korytarz, który wiódł do pomocnego skrzydła.

Sekretarz posuwał się za nim. Po cóż książę zapuszczał się w tę część zamku? Były to małe, ciasne izdebki, najzupełniej puste — skupione bez ładu i składu na rozmaitych poziomach.

Lecz książę szedł dalej przez niskie, piwniczne komnaty starego zamku o ostrych sklepieniach — a potem jak duch przesunął się przez olbrzymie sale południowego skrzydła — Różaną, Ariańską, Rycerską.

W ten sposób obszedłszy zamek dookoła znalazł się z powrotem niedaleko swojej sypialni. Wówczas skręcił w stronę baszty, gdzie ongi była kaplica zamkowa.

Cholawicki zrozumiał na koniec, czemu książę tak nałożył drogi. Inaczej nie mógłby się tu dostać — jak tylko przechodząc tuż obok starej kuchni, która przedzielała jego pokój od baszty.

Ale Holszański nie wszedł do baszty, lecz jeszcze raz skręcił — i zniknął w ciasnym przejściu, które wiodło stąd ukośnie w dół do sal parteru. Ta część zamku, najmniej chroniona przez naturę, najsolidniej była budowana. Mury potwornej grubości piętrzyły się tworząc ciasne zakamarki, nieuzasadnione, niezrozumiałe...

Zeszedł na sam dół, aż do lochów — i tu przystanął przed jedną ze ścian. Znów jęk wydarł się z jego piersi. Starzec oparł czoło o ścianę i długo trwał w tej pozycji. Po czym osunął się na kolana, ściskając głowę rękami, w przyływie okropnego bólu.

Było tu bardzo ciemno. Cholawicki nie mógł dokładnie rozróżnić, co książę robi pod ścianą. Czynność jego wydawała się fantastyczna i bezsensowna. Jak gdyby macał rękami ścianę, czy też skrobał po niej. Sekretarzowi przypomniała się Ziółkowska. To również miało charakter jakiegoś nabożeństwa z nieprawdziwego zdarzenia.

— Franio! Franio! Franio! — głucho zawołał książę głosem nabrzmiałym męczarnią. I znowu coś tam robił przy ścianie — długo.

Naraz jął skomleć — boleśnie, cicho, jak pies. Po czym znowu.

— Franiu? Franiu?

I znowu nic. Wreszcie Holszański odszedł. Sekretarz przycupnął za węglem i ujrzał jego twarz, gdy przesunął się tuż koło niego — zalaną łzami, bolesną. Lecz co najbardziej uderzyło Cholawickiego, to to iż książę usta — miał ciemne i krwawe aż czarne.

Jak tylko zniknął mu z oczu, podbiegł do ściany i zaśwycił latarkę. Ujrzał rzeczy dziwne.

Okazało się, iż zagadkowa czynność księcia była — pisanie. Na kamiennej podłodze leżał ołówek atramentowy. Tym to ołówkiem wypisywał na ścianie jakieś sentencje.

Ale nie były to sentencje. Raczej pojedyncze litery, rozrzucone bez związku w rozmaitych miejscach, czasem tworzące jakieś figury, czasem nakreślone do góry nogami. Wyglądało to, jak szarada.

Poza tym ściana pokryta była ciemnofioletowymi znakami w kształcie serduszka. Cholawickiemu, który był światowcem, przypomniał się momentalnie pewien żartobliwy list, jaki otrzymał niedawno od jednej damy.

Osoba ta zamiast się podpisać, ucałowała papier mocno wymalowanymi ustami — powstało stąd na papierze takie samo serduszko.

Więc książę całował ścianę. Całował ją ustami pomalowanymi atramentowym ołówkiem. Coś musiało się kryć za tą ścianą. Ale kamienny mur był tak ogromny i spoisty, że żadna siła nie zdołałaby go naruszyć. Zresztą nie wykazywał żadnych śladów.

Mur ten stanowił ścianę wewnętrzną, dzielącą jedną piwnicę od drugiej. Był niezmiernie gruby. Cholawicki zajrzał do drugiej piwnicy, ale nie znalazł tam nic ważnego.

Litery na ścianie skupiły całą jego uwagę. Niewątpliwie odnalazł tajne sanktuarium szaleńca, jego ukrytą „świętynię dumania”, miejsce, które z niewiadomych przyczyn zostało wybrane przez księcia na miejsce rozpamiętywania, jęków i zwierzeń. Samotnik z nie zagojoną raną w duszy zwierzał się ścianie — w braku lepszego przyjaciela.

Widocznie nie mógł się oprzeć potrzebie wypowiedzenia swych sekretów. Lecz w strachu, aby kto nie odnalazł jego zwierzeń, rozrzucał litery i mieszał je ze sobą — dowolnie, czy też według pewnego klucza?

Na szczęście Cholawicki, nudząc się straszliwie w ciągu paru lat spędzonych na zamku, wyspecjalizował się w rozwiązywaniu szarad i rebusów. Ta wiedza przydała mu się obecnie.

Było wielce prawdopodobne, iż wyraz „Franiu” często powtarza się w owym mistycznym pamiętniku, wypisanym na ścianie. Jakoż litera „F” pojawiła się wiele razy w rozmaitych konfiguracjach.

Sekretarz odszukał następne litery tego słowa i bez trudu odkrył metodę księcia. Ale tylko kilka zdań i poszczególnych wyrazów zdołał odcyfrować. Reszta pozostała nieczytelna.

Być może książe zmienił klucz. A może pod wpływem cierpienia i wzmagającego się szału kreślił na oślepe litery, zapominając o przyjętym kluczu.

Lecz to, co odcyfrował wystarczyło, aby zdać sobie sprawę z charakteru całości — i stanowiło to materiał informacyjny pierwszorzędny.

Nie żadne pamiętniki, ani zwierzenia. Listy. Listy do tego Frania! Oto, co zawierało olbrzymie zbiorowisko liter:

„Franiu, mój synu, moje dziecko jedyne, mój synku, Ciągłe bardzo męczysz. Twój, kochający cię, , Ojciec”.

Taką prostą i nieskomplikowaną korespondencję prowadził książe na ścianie — od wielu lat. Wskazywała na to data — rok 1926. A dalej:

„Franiu, moje dziecko, mój synku. Ja ciągle czekam i błagam. Zmiłuj się, twój ojciec”.

A dalej:

Rok. 1931.

„Kiedy przestaniesz mnie męczyć?

Przestań się złościć! Zły jesteś.

Ciągle ruszasz? Widziałem. Zaglądałem tam i wiem, że ruszasz.

O, kiedy nastąpi wybawienie?”

Czy to była aluzja do ręcznika w starej kuchni?

Cholawicki pominął napisy najdawniejsze, już prawie zamazane. Przeszedł do najświeższych.

„Franiu, mój synku, moje dziecko, ukochane i jedyne.

Czy to ty go przysłałeś?

Dlaczego nie wykazał się znakiem?

Miej litość nade mną.

Jeżeli on od ciebie przychodzi, niech powie.

Uwolnij mnie.

Jestem stary,

*Zlituj się...
Niech się skończy. Uwolnij! Pozwól odejść! Przebacz!
Nie bądź zły.
Zły jesteś!”*

Cholawicki zapisywał to wszystko w notesie. Nie miał czasu rozbierać treści tych bolesnych zdań. Nie było wykluczone, że książkę jeszcze raz tu zajrzy.

Obejrzał stojące w kącie pudełko z błahymi pamiątkami. Kosmyk włosów, przewiązany wstążeczką. Medalik. Parę guzików. Trochę drobnych pieniędzy — ze dwa złote. Grzebyk.

Takie było potajemne sanktuarium księcia Holszańskiego...

ROZDZIAŁ XIII

W dwa dni po owym spotkaniu z Maliniakiem, tak fatalnie zakończonym, Maja otrzymała telefon od pani Halimskiej, aby w pilnej sprawie natychmiast do niej przyjechała.

Prezesowa ucałowała ją z rozczuleniem.

— Kochana! Niech pani wybaczy moje zdenerwowanie przedwczoraj. Ten Maliniak świętego wyprowadziłby z nerwów! Cóż to za typ szczególny! Wie pani?! Okazuje się, że się pomyliłam, że obie zupełnie fałszywie zrozumiałyśmy... Wszystko na najlepszej drodze! Niech pani czyta!

Pokazała jej bilet wizytowy Maliniaka, na którym ledwie czytelnym pismem było napisane:

„Sz. Pani. Jeżeli ta pani poszukuje zajęcia, to może być sekretarka u mnie. Zgłosić się 4–6 do hotelu, środa, do sekretarza”.

— Dziecinko — rzekła prezesowa. — Jestem szczęśliwa... Winszuję! Wygrałaś los na loterii! Będiesz sekretarką Maliniaka! To jest triumf! Triumf życiowy! To otwiera przed tobą wszelkie możliwości! A ja przypuszczałam, że on się tobą wcale nie zainteresował! Dziecko, jak mam cię przeproszać?!

Maji ten nieoczekiwany sukces również sprawił przyjemność. Jej ambicja kobieca była zaspokojona, zwłaszcza wobec Róży i jej koleżanek, które początkowe niepowodzenie przyjęły z utajoną satysfakcją.

Ale ta posada usposabiała ją nieufnie. Po cóż jemu sekretarka, jeżeli ma już sekretarza?

Jednakże pani Halimska przyjęła śmiechem jej opór.

— Zwariowałaś, dziecinko złota! Przecież to człowiek stary, sama widziałaś! Bądź pewna, że gdyby w tym był cień chociażby niewłaściwości, ja bym ci tego nie proponowała. Przecież zastępuję ci matkę!

— Niech pani da pokój mojej matce.

— Jaka śliczna jesteś z tym swoim przywiązaniem do matki! Ach, ty, ty! Ale wierz mi, że jeśli u kogo możesz być sekretarką, to właśnie u Maliniaka. Schorowany, na pół żywy starzec milioner — nic właściwszego nie można sobie wymarzyć dla młodej osoby! Wierz memu życiowemu doświadczeniu. Nikt nie może mieć nic przeciwko temu!

Dobrze, ale w takim razie niech sobie weźmie jakąś rutynowaną sekretarkę, a nie mnie.

Nie rozumiesz tego! Taki stary milioner stojący nad grobem ma również swoje upodobania. Lubi mieć koło siebie świeżość i młodość — ze względów estetycznych. Ty mu jesteś tak potrzebna, jak kwiaty. Byłoby nawet egoistyczne odmówić mu tej ostatniej może przyjemności, jaką będzie miał w życiu. To jest nawet twój obowiązek! Zastanów się, jaki on smutny, bezsilny, samotny, opuszczony. Będzie patrzył na ciebie, słuchał twojego głosu, opiekował się tobą i to mu da może ostatnią, czystą i cichą radość życia!

Sekretarz osobisty Maliniaka, pan Tocki, pół Polak, pół Amerykanin, z którym Maja zobaczyła się w hotelu Bristol, oświadczył jej przede wszystkim, że nie ma zupełnie czasu. Było to prawdą, gdyż czekało na niego co najmniej piętnaście osób i nieustannie napastował go telefon. Następnie powiedział jej, że na razie otrzymywać będzie pięćset złotych miesięcznie, żeby zjawiła się o dziesiątej w hallu, gdyż będzie towarzyszyła panu Maliniakowi przy kolacji...

Gdy Maja zapytała, jakie będą jej obowiązki, stał się naraz bardzo uprzejmy i spojrzał jej błagalnie w oczy.

— Proszę pani — zawołał z pośpiechem — pierwszym i jedynym pani obowiązkiem jest — nie zabierać mi czasu. Niech pani nigdy z niczym się do mnie nie zgłasza!

I zanim zdążyła się zorientować, wypchnął ją za drzwi, ściskając bardzo kordialnie dłoń.

Punktualnie o dziewiątej Maja w stroju wieczorowym ujrzała wychodzących z windy Maliniaka i tę panią, która wówczas czekała na niego w kawiarni, a która była podobno jego siostrzenicą.

Przedstawiła się Maji chłodno i z naciskiem wymieniła tytuł.

— Margrabina di Mildi.

— Chodź no tu — rzekł do Maji Maliniak i wsparłszy się ciężko na obu kobietach, wkroczył do restauracji. Usiadł w głębi, zamówił u sześciu nadbiegających kelnerów — dwa jaja na miękko, ale świeże, i bułeczkę. Margrabina obstalowała perliczkę

— Po co? — mruknął. — Dużo lepiej omlet z groszkiem. I niech dadzą grzanekę.

Margrabina przygryzła wargi.

— A pani czym można służyć? — zapytał kelner, widząc iż Maja została całkowicie pominięta.

— Ja? Ja może także omlet...

— Zaraz, zaraz! — ożywił się Maliniak. Dajcie mi kartę!

I obstalował dla niej wykwintną i obfitą kolację z kilku potraw.

Maja nie śmiała protestować. Musiała zjeść wszystko, co jej przyniesiono, choć apetyt pod zawistnym wzrokiem głodnej margrabiny nie dopisywał jej. Maliniak nie spuszczał oka z jej talerza.

— Jeszcze to — pokazywał palcem smaczniejsze kąski. — Dobrze? Co? A teraz kieliszek wina.

— Już nie mogę! — jęknęła nad jakąś przedziwną kombinacją ananasa i masy owocowo — czekoladowej, podlanej palącym płynem.

— Co to znaczy nie mogę? — To dobre! Niech pani zjada! Zuza, nałóż pani jeszcze kremu!

— Kiedy naprawdę dziękuję bardzo. Nie mogę.

Maja wypowiedziała to tak stanowczym, a nawet trochę pańskim tonem, że milioner wstrzymał się w swoich zapędach.

— A co, może pani tu przyszła już najedzona? — rzekł.

— Istotnie, zjadłam dosyć obfity podwieczorek.

— To niedobrze. Na przyszłość musi pani siadać do obiadu i kolacji bardzo głodna. Ja sam nie mogę jeść, bo jestem chory. Ale za to lubię patrzeć jak ktoś je.

Zamyślił się i z pół godziny jeszcze siedział w milczeniu. Nikt nie podtrzymywał rozmowy. Margrabina, przyzwyczajona widać do takich sjest nie odzywała się wcale.

Była to ognista brunetka, może trzydziestoletnia, o twarzy namiętnej i skrytej. Nie zdobyła się na żaden wysiłek, aby ułatwić dziewczynie trudną bądź co bądź sytuację.

No, dosyć — rzekł nieoczekiwanie Maliniak. — Już idę. Jutro niech pani przyjdzie o... no dajmy na to o czwartej. Tylko, żeby pani była głodna! Niech pani lepiej nie je obiadu.

— A na czym będą polegały moje funkcje? — ośmieliła się zapytać Maja.

— Funkcje? Hm... Przede wszystkim na czekaniu. Musi pani czekać, póki panią nie wezwę. No, a druga funkcja, to jedzenie. Ja i moja siostrzenica markiza lubimy jak się dobrze je. A co do innych funkcji, to jeszcze zobaczymy. No, do widzenia. Niech pani dzisiaj jeszcze sprowadzi się do hotelu.

Maja zacisnęła zęby.

— Nie sprowadzę się.

Już odchodził, wspierając się na ramieniu kelnera, ale przystanął.

— Co? A dlaczego?

— Bo nie zamierzam być głodna, ani czekać, ani w ogóle przebywać razem z panem. Rezygnuję z posady.

— No to niech pani Tocki doda dwieście złotych.

— A ja nie zostanę nawet za dwieście tysięcy, bo pan jest źle wychowany!

Maliniak otworzył usta. Tego się nie spodziewał. Jego martwa twarz rozpromieniła się głębokim zadowoleniem.

— Bravo! Doskonale! Pani mi się podoba.

Wstała.

— Proszę pana — rzekła — wydaje mi się, że dalsze dyskusje są zbyteczne.

Powiedziałam, że nie zostanę i nie zostanę.

— Pani rzuca posadę — u mnie?

Wzruszyła ramionami i spojrzała na niego w ten sposób, że Maliniak poczuł się zerem, nicością, byłym emigrantem. Spłoszył i zdawało się, że powie Maji jakąś grubą przykrość, gdy wtem spostrzegł nieklamane zadowolenie malujące się na obliczu siostrzenicy.

— Te, markiza! — huknął. — Nie ciesz się zanadto! A właśnie, że ona zostanie!

Wziął Maję za rękę.

— No, nie gniewajmy się! Widzi pani, ja jestem stary dziwak i cham... ale już niewiele mam życia przed sobą. Miesiąc, dwa... a widzę, że z panią trzeba inaczej! Niech pani wybaczy staremu. No już! Takiej, jak pani, łatwo nie znajdę.

Prosił ją tak serdecznie, że poczuła litość.

— Zgoda — powiedziała.

Zaczął gwałtownie kaszleć. Służba raczej wyniosła go, niż wyprowadziła z sali. Margrabina podała Maji na pożegnanie końce palców.

— Winszuję panience! Znalazła pani najlepszą drogę do mego wuja. Tylko tak dalej, a na swojej bezinteresowności zrobi panienka doskonały interes.

— Do mnie nie mówi się panienka, tylko pani.

— Och, mój Boże, pani jest takie młode stworzenie. Nie chciałam pani urazić. Mój wuj bardzo lubi takie młode stworzonka, które może podburzać przeciwko mnie. Bo nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę — mówiła z naciskiem — że pani została zaangażowana specjalnie po to, żeby mnie drażnić. Ale mnie nie tak łatwo rozdrażnić i to mu przejdzie w ciągu tygodnia.

Margrabina odwróciła się plecami zanim Maja zdobyła się na odpowiedź.

W ten sposób rozpoczęło się urzędowanie Maji, jako sekretarki osobistej Maliniaka. Przeniosła się do Bristolu.

Po kilku dniach opanowała swoje funkcje. Rzeczywiście najwięcej czasu pochłaniało jej czekanie. Nigdy nie było wiadomo kiedy Maliniak wezwie ją do siebie. Ponieważ nie chciała przebywać w hallu na dole, godziny upływały jej w pokoju hotelowym — na niczym. Nie mogła się niczym zająć i to ją najbardziej męczyło. Myślała o Leszczuku. Wreszcie zgłaszał się *boy*, że „pan Maliniak prosi” — i Maja szła do niego, nigdy nie mając pewności, jak zostanie przyjęta i co strzeli do głowy zdziwaczemu bogaczowi.

Przekonała się już następnego dnia, że markiza miała słuszność. Rzeczywiście zdawało się, iż Maliniak zaangażował ją, aby doprowadzić siostrzenicę do wściekłości.

Jak tylko Maja zjawiła się u niego, poddał ją skrupulatnym oględzinom i objawił, że jego zdaniem nie jest dość elegancko ubrana. On, Maliniak, lubi wykwint! Pozwoli sobie uzupełnić jej toalety, niech przynajmniej ostatnie miesiące życia upłyną mu w towarzystwie osób wykwintnie ubranych!

Dziwak pojechał z Mają do magazynów, a markizie kazał, żeby im towarzyszyła. Zaczął od głowy. Wkrótce Maja znalazła się w posiadaniu kilku prześlicznych kapelusików. Właścicielka magazynu widząc urodę Maji i znając zasoby Maliniaka wydobyła, co miała najpiękniejszego.

— Tobie też należy się kapelusz — powiedział do markizy, która asystowała przy tym w roli

osoby „dodającej gustu”. — Ja sam ci wybiorę.

I wybrał jej potworność. Ohydny, pretensjonalny i przeładowany kapelusz, w którym nieszczęsna margrabina di Mildi wyglądała jak straszdyło i który postarzał ją o dziesięć lat.

— Tego nie włożę — rzekła, blada jak trup.

— Co? Nie włożysz? To prezent ode mnie!

Biedna di Mildi, tając wściekłość, musiała ustroić się w tę ohydę. To samo powtórzyło się i w innych sklepach. Maja wyszła z nich dwakroć piękniejsza — a pani Mildi dziesięć razy brzydsza. Maliniak z wyrafinowaną złośliwością podkreślił i uwypuklił jej zbliżającą się starość.

Takich rzeczy kobieta kobiecie nigdy nie przebaczy. Maja wiedziała, że zyskała w osobie namiętnej markizy śmiertelnego wroga.

Maliniak był w stosunku do tej międzynarodowej starzejącej się lwicy rzeczywiście bez litości. Czy mścił się na niej, podejrzewając, iż wyczekuje jego śmierci i pragnie zagarnąć spadek? Czy może kochał się w niej i za to się mścił? Czy wreszcie chciał po prostu ostatnie miesiące życia wypełnić namiętnością i dlatego judził na siebie te dwie kobiety, z których jedna rozpoczynała się, a druga kończyła? Nie dość, że pod pozorem troski skazywał siostrzenicę na dietę, prawie — głodził, wydzielając jej skąpe sumy zaledwie na konieczne wydatki, ale bez ustanku wymyślał tysiączne, wyrafinowane złośliwości.

Margrabina tłumiąc furię poddawała się kaprysom wuja. Były to straszne przeżycia dla dumnej, demonicznej awanturnicy, *sleeping*'owo — salonowej, przywykłej królować. Wiedziała, że w Maji znalazł Maliniak cudowną zabawkę przeciwko niej, ale oczekiwała, że to mu przejdzie. Byle przetrwać!

Nie mogła zwłaszcza znieść tego, że Maliniak przy całej swojej ekstrawagancji odnosił się do Maji rzeczywiście z pewnym poszanowaniem. Maja sama nie umiała pojąć dlaczego milioner jest czasem wobec niej pokorny i unizony, jak chłop. Te nagłe zmiany w nim były niczym nie umotywowane. Ale kiedyś zagadka się wyjaśniła.

— Pani to musi być z ziemiaństwa — rzekł Maliniak — ze dworu, co?

— Zgadł pan.

— Rodzice zbankrutowali?

— Właśnie.

— Szkoda — rzekł. — Bogaci byli?

— Mieliliśmy ze sto włów.

— Phi! To ci fortuna!

Uśmiechnęła się, słysząc z jakim podziwem wymówił to człowiek, którego majątek szacowano na wiele milionów. Maliniak podchwycił jej uśmiech.

Pani się śmieje ze mnie... Ale to co ja mam, to nie żaden majątek. Majątek to dwór z parkiem, konie cugowe, las, pola... To zupełnie co innego. Wiem, bo sam w młodości byłem na wsi, ja jestem chłopski syn, a ojciec służył u jednych państwa — u hrabiego Osteckiego z Plewa.

— To mój krewny.

Odtąd Maliniak traktował ją z jeszcze większym szacunkiem — a zarazem jeszcze bardziej tyranizował. Maja zdawała sobie sprawę, że jej rola tutaj jest straszna i okropnie upokarzająca.

Być zabawką w rękach Maliniaka. Służyć do rozjąttrzenia markizy, pozwalać na to, aby jej piękność i młodość były wykorzystywane w ten sposób. Przyjmować prezenty. Czasem przypominał jej się Mołowicz i chciała uciekać. Ale częściej przypominał jej się Leszczuk — i wówczas godziła się na wszystko, wszystko przyjmowała bez protestu.

A markizę, choć przecież nie z jednego pieca chleb jadła, zdumiewał cynizm tej dziewczyny. Maji zaś wszystkie wolne chwile schodziły na bezcelowych spacerach po mieście — i wypatrywaniu, czy gdzie nie mignie znajoma głowa, kark, sylwetka, czy ten tam chłopak, który

właśnie skręca, nie jest przypadkiem...

Wiedziała już, że Leszczuka nie przyjęto do klubu. Ale nie знаła jego adresu. Dowiadywała się w biurze adresowym. Nic. Zresztą było do przewidzenia, że będzie się ukrywał.

A może już go nie było w Warszawie?

Stawała się coraz bardziej niespokojna. Miała ciężkie sny, podczas których widziała nie tylko jego, ale i siebie z nim.

Jedyne, co ją uspokajało i podnosiło na duchu — to były codzienne prawie spotkania z Mołowiczem.

Młody inżynier z coraz większą niecierpliwością wybierał się na to spotkanie. Maja udzielała mu o sobie tylko bardzo skąpych informacji. Wiedział, że była sekretarką Maliniaka, ale poza tym, jej życie osobiste było dla niego tajemnicą.

Nie chciał się dowiadywać — był pewny, że nadejdzie moment, kiedy sama mu o wszystkim powie.

Ale straszliwy niepokój dziewczyny nie mógł ująć jego uwadze. Zachowanie jej było bardzo dziwne. Szukała czegoś... nieustannie szukała czegoś oczami.

W kawiarni zawsze wybierała miejsce przy oknie i podczas najbardziej ożywionej rozmowy wzrok jej badał przechodniów. Idąc, często oglądała się za siebie. Ba! — była w stanie szepnąć ni stąd ni zowąd:

— Niech pan poczeka. Zaraz wrócę.

I znikwała w tłumie, ażeby po chwili wrócić.

— Już jestem — mówiła.

Mołowicz domyślał się, że jest zakochana. To napępniało go bólem. Kiedyś nie wytrzymał i wprost zapytał ją — czy szuka kogoś?

Nie odpowiedziała.

Co najbardziej go zastanawiało, to iż Maja była obojętna w stosunku do mężczyzn eleganckich i dobrze ubranych. Natomiast młodzież proletariacka ściągała momentalnie jej uwagę. I to łączyło się dziwnie z tymi gminnymi naleciałościami, które już w niej zaobserwował, z tym jej „nieee” przeciągłym, z pewnym odcieniem jej śmiechu, z niespodziewanymi, a zaskakującymi u tak wytwornej panny, wulgarnościami zachowania.

A te jej ponure zamyślenia. Okrucieństwo i złość w jej oczach.

Wreszcie postanowił zaryzykować! Nie mógł czekać dłużej — i męczyć się.

— Panno Majo, niech pani nie dusi w sobie swojej przeszłości. Niech pani mi powie. Pani jest zbyt młoda — ja pani pomogę, wyprowadzę panią z tego.

— Mnie nic nie jest!

— Nieprawda! Panią coś męczy! Jeżeli pani naprawdę ma do mnie zaufanie, niech pani powie.

— Zbladła.

— Nie, nie powiem. I zresztą to lepiej dla pana. Gdyby pan wiedział wszystko — to by pan się rozczarował do mnie.

— Pani straciła wiarę w siebie — mówił Mołowicz z właściwą sobie energią. — Panią musiało spotkać jakieś okropne upokorzenie. Pani jest na złej drodze.

Nie wiem co pani robi u tego Maliniaka, ale to wszystko jest niewyraźne. Dlaczego pani nie chce oprzeć się na mnie, przecież pani wie, że ja...

Maja spuściła oczy. Stało się. Wiedziała, że zakochał się w niej i że za chwilę jej to powie. Nie chciała przynajmniej narażać go na odmowę.

— Jestem zajęta kimś — rzekła prędko, przerywając mu w pół słowa.

Teraz on zrobił się szary.

— Aaa... — rzekł — tak przypuszczałem. Wiedziałem o tym od początku.

Szli Nowym Światem. Odprowadzał ją do Bristolu. Rojne tłumy coraz ich rozdzielały.

Wtem ujął ją mocno pod rękę.

— Chodźmy tędy — rzekł, skręcając w ulicę Traugutta — tu niepodobna rozmawiać!

— Czyż my mamy jeszcze coś do powiedzenia?

— Panno Majo — rzekł Mołowicz — niech pani mi wybaczy, ale mnie to nie wystarcza.

Niech pani się zastanowi. Jeżeli nawet pani kocha kogoś, to na pewno nie jest to miłość ani zdrowa, ani szczęśliwa. Mnie się zdaje, że pani zaplątała się w jakieś uczucie, z którego pani sama chciałaby się wydobyć — ale o własnych siłach tego pani nie zrobi. Maja! Niech pani mi pozwoli sobie pomóc. Wspólnymi siłami może zdołamy wyprowadzić panią z tego.

Wiedziała, że miał rację. Opuściła powieki. Na moment ujrzała się jego żoną.

Czyż on rzeczywiście mógłby uleczyć ją z Leszczuka?

Ale jak mu wyznać? Jak mu to wszystko opowiedzieć? To nie dawało się opowiedzieć. Wyznać, że jest podobna do Leszczuka? To było śmieszne i bezsensowne. A przy tym lękała się jego poziomu. Za nic nie chciała stać się w jego oczach śmieszna i trywialna, raczej opowiedziałaby to komuś obcemu, nie jemu. Cała ta historia mogła wywołać w nim odruch wstrętu.

— Zajdźmy do baru — rzekła. — Niech pan mi da trochę wódki.

Zmarszczył się.

— Wódki?

— Pan nie rozumie! To jest środek odurzający przy bolesnej operacji.

— Aha!

Jeszcze się wahała. Zatrzymała się, jak gdyby zamierzała uciec. On jednak ujął ją za rękę.

— Chodźmy. Ale pani wszystko mi powie!

— Wszystko!

Usiedli przy stoliku. Sala była jeszcze dosyć pusta. Mołowicz zanurzył w Maji swoje mocne i spokojne oczy.

— Niech pani powie bez wódki — rzekł.

Był przeświadczony, że już zwyciężył. Czuł to. Radość zalała mu serce. Maja była już pod jego wpływem. Jeżeli raz mu zdradzi swoją tajemnicę już nie oderwie się od niego.

Nachylił się nad kartą.

— Nie będę nic jadła — rzekła. Weźmy piwo.

— Dobrze.

Mołowicz podniósł na nią wzrok znad karty i osłupiał.

Twarz dziewczyny w ciągu tej jednej sekundy zmieniła się w sposób tajemniczy i straszny. Naprzeciw niego ciągle siedziała Maja, ale była to Maja zgoła inna, nieprawdopodobna. Była to Maja czerwona, z opuszczonymi oczami, z rozchylonymi w bolesnym grymasie ustami, z rękami opuszczonymi niezręcznie wzdłuż boków, ze wzrokiem zamglonym i mętym. I pochylała się coraz bardziej nad stolikiem, jakby miała położyć się na blacie.

— Czy pani słabo? — zawołał.

Kiwnął na kelnera.

— Proszę wody. Prędko. Zimnej wody.

— Słucham.

— Ale Maja już przyszła do siebie.

— Chodźmy stąd — szepnęła.

— Czy pani zrobiło się niedobrze?

— Muszę wrócić do domu.

— Kiedy się zobaczymy?

Mołowicz z przerażeniem zyskuje pewność, iż dziewczyna ucieka mu — ucieka — że ją traci i nic nie będzie z ich rozmowy. Dlatego kurczowo żąda ustalenia terminu.

Lecz Maja zamiast odpowiedzi uśmiecha się. Wargi jej się rozchylają — ukazują się zęby ostre i równe — uśmiech ten jest gorący, zawzięty, szczęśliwy i zły zarazem, a jednocześnie jest w nim coś porozumiewawczego. Mołowicza przeraża, iż uśmiech ten — nie jest do niego skierowany.

Nie chce się oglądać. W każdym razie wie już, że Maja — z tym uśmiechem i z tym wyrazem twarzy — jest stracona.

— Odprowadzę panią.

— Dobrze.

Wychodzą. Mołowicz idzie obok niej w milczeniu i wie, że coś się odbywa w Maji. Jakieś okropne zmiany. Nie patrzy na nią, ale domyśla się. Kiedy doszli do Bristolu ponawia pytanie.

— Czy zobaczymy się?

Ona podaje mu rękę i mówi jakoś na ukos, w bok.

— Nie warto.

I odchodzi...

ROZDZIAŁ XIV

Wiedziała, że wkrótce nastąpi dzienna zmiana kelnerów — poszła na plac, stanęła w bramie jednego z domów i czekała. Stąd mogła zobaczyć Leszczuka, gdyby wychodził.

Czekała długo. Więcej niż godzinę. Ale nie czuła zmęczenia. Tylko wzrastające zdumienie.

— Ach, więc ja tu przyleciałam Jak głupia i czekam na niego! Ach, więc z Mołowiczem już koniec! Jak to się stało?!

Dotąd nie umiała się pogodzić ze swoją nieobliczalnością w stosunku do tego chłopaka. Gdy on wchodził w jej orbitę, od razu zaczynała postępować inaczej, niż J chciała, stawiała się jak pijana — i dotąd nie mogła zrozumieć: jak to, ten Leszczuk I tak opanował ją, Maję Ochołowską?

Wpatrywała się w bar gorączkowo, ukryta za węglem bramy — a Leszczuk się nie ukazywał. Ale przed barem pojawił się ktoś' inny — młoda dziewczyna, skromnie ubrana, w granatowym żakiecie, stanęła na rogu i najwidoczniej także czekała na kogoś.

Maja z początku nie zwracała na nią uwagi, ale po pewnym czasie coś ją tknęło — czyżby to było możliwe? Tego nie wzięła pod uwagę. A gdyby tak ona czekała na Leszczuka?

Wtem Leszczuk wyszedł, zbliżył się do nieznajomej, wzięli się pod rękę i odeszli przez plac w stronę Królewskiej.

To on — śmiał?! To tak?!

Nagle straszne upokorzenie wstrząsnęło nią jak iskra elektryczna. Tego nie przewidziała. Miał inną! To nigdy nie przyszło jej na myśl. Zdawało jej się niemożliwością, aby mógł zająć się inną kobietą. Zaczęła iść za nimi w dużej odległości. Leszczuk kilka razy obejrzał się za siebie, jak gdyby lękał się, że ktoś go śledzi.

Na Nowym Świecie, gdzie więcej było ludzi, zbliżyła się do nich — i wówczas zaczęła się dla niej tortura, o jakiej dotąd nie miała pojęcia.

Leszczuk w jasnej marynarce, w kapeluszu wyglądał jak ktoś z jej sfery — tak, jak mógł wyglądać kuzyn albo ktoś z ziemiaństwa — i Maja parząc nań z tyłu domyśliła się, nie, raczej wiedziała na pewno, że także są podobni — że jeśli mówi, albo śmieje się, albo nachyla głowę, to wszystkie te ruchy są jej, Maji, są jej pokrewne, z nią związane, dla niej właściwie przeznaczone!

A jednocześnie były one zabierane przez tamtą — były przyjmowane przez tamtą, która szła z nim razem, u jego ramienia. I Maja widziała z ukosa oczy tamtej — gdy zwracała głowę — duże, roześmiane i jej łagodny profil. Panna Ochołowską zaglądała w te oczy ze zdumieniem i przerażeniem.

Czyż w ten sposób można było patrzeć na Leszczuka? Takim pogodnym, jasnym wzrokiem — tak pewnie, szczerze, przyjaźnie? Ona, Maja, nie umiała tak patrzeć na niego — jej wzrok, gdy spoczywał na nim, był zawsze skażony wstydem, niejako — zdyszany, gwałtowny, niespokojny i pełen tłumionej, niebezpiecznej namiętności, pogardliwy.

Tymczasem Leszczuk i jego towarzyszka skręcili w stronę mostu Poniatowskiego. Maja musiała oddalić się od nich, gdyż było tu puściej. Zauważyła jednak, że nie tylko ona oddaje się takim manewrom za tą parą.

Młody brunet, z wyglądu — rzemieślnik, czy coś w tym rodzaju, bez kapelusza i w ubraniu zniszczonym, jakby wracał wprost z roboty — również skręcił za nimi w aleje i również zwolnił kroku. Zdaje się, że i on zauważył Maję, gdyż parokrotnie przyjrzał się jej spod oka.

Tamci zaś skręcili na schody, wiodące z mostu na wybrzeże. Maja przyspieszyła kroku — nieznajomy również. Naraz Maja, która zaiste nie była w stanie pełnej równowagi — pośliznęła

się o jakąś pestkę i upadła. Zleciała na przestrzeni kilkunastu schodków.

Nieznajomy dopadł jej.

— Nic się pani nie stało?! Pomógł jej wstać.

— Dziękuję! Nic! Wszystko w porządku.

— Trzeba uważać na schodach.

Jakoś nie kwapił się odchodzić. Wreszcie Maja zaryzykowała.

— Zdaje się, że oboje mamy coś innego na uwadze.

Zawahał się, ale wreszcie przyznał.

— Tak i ja myślę.

— Panu chodzi o tę dziewczynę?

— A pani rozchodzi się o niego?...

Skinęła głową. Spojrzał na nią zdziwiony, ale... Może jaka tancerka? Kto ją wie? Może występuje w barze?

— To on panią zdradza z moją narzeczoną?

— To pańska narzeczona!?

— A jakże! Tylko, że ja inną się chwilowo zainteresowałem i pokłóciliśmy się. Ale nie daruję, jak Boga kocham — już drugi dzień za nimi wypatruję. Jak on od niej nie odstąpi, to będzie między nami rozprawa! Żeby ona z nim śmiała na bale chodzić!

— Na bale?

— Jakże?! Dziś idą na bal do „Syreny”. Jej ciotka mnie powiedziała. Tam jest taka zabawa na jakieś kursa i dużo kelnerów na nią idzie. Niech pani mu włosów nadrze, to mu się odechce z cudzymi narzeczonymi chodzić — a jak nie, to ja im powiem do słuchu! Ale że też on z moją Julka się zadaje, kiedy ma taką... Phi! Phi! Jaki to świat teraz, nie daj Boże! Niech pani poczeka — ja tylko skoczę zobaczyć gdzie poszli i jeszcze się rozmówimy. Zaraz wrócę!

Maja oparła się o poręcz mostu.

— Ma-ja! Ma-ja! Ma-ja!

Odwróciła się. Na jezdni stał wspaniały otwarty buick siedmioosobowy, koloru kawy ze śmietanką, wypełniony po brzegi rozbawionym towarzystwem. Róża, Iza Krzyska, prezesowa i dwu panów, których poznała w nocnych lokalach.

Jeden z nich był to Krystyn Krzewuski, drugi — właściciel samochodu pan Szulk, wymokły, długi blondyn, mówiący przez nos.

— Co ty tu robisz?

— Jedź z nami! Na godzinkę do Konstancina! Byliśmy na szosie lubelskiej. Jedziemy do Konstancina! Siadaj! Zróbcie jej miejsce!

— Kiedy się nie zmieszczę!

— Już zrobione — zawołał Krzewuski, kładąc się w przedziwny sposób między strapontenami. Obecność Maji podnosiła dlań wartość wycieczki o sto procent.

— Jadę — powiedziała Maja podchodząc do nich — ale będę prowadziła!

— Zgoda — rzekł Szulk — za miastem oddam pani kie-ro-wni-cę. Miał zwyczaj wymawiania niektórych słów ze specjalnym naciskiem.

— Czy ci nie będzie za zimno? — zaniepokoiła się prezesowa. — Ta bluzeczka trochę lekka.

— Nie! Jazda!

Wsiedli do samochodu i ruszyli. Owiał ich gwałtowny pęd powietrza. Róża uczyniła trąbkę z ręki i krzyczała Maji w ucho:

— Kto to był ten jegomość, z którym rozmawiałaś?

Za miastem Szulk ustąpił Maji miejsca przy wesołych okrzykach. Pochyliła się nad kierownicą i nacisnęła gaz.

— Tylko nie za prędko! — krzyczała prezesowa. — Ale zatkało ją. Wspaniała maszyna ruszyła z miejsca całym pędem. Zafurczało im w uszach. Drzewa i słupy jęły uciekać. Szulk nachylił się nad Mają.

— Czy pani wie, że robimy sto?

— To mało!

I po chwili strzałka pokazywała sto trzydzieści. Prezesowej pęd i strach odebrały mowę. Ale panny zaczęły krzyżeć. Jazda była szalona. Samochody, które mijali, zdawały się stać w miejscu.

— Niech pan jej odbierze! — krzyczała Róża do Szulka. — Zwariowałaś! Zabijemy się! Przestań!

Ze strachu złapała Maję z tyłu za ramiona. Ale Krzewuski odciągnął ją.

— Ręce przy sobie, bo śmierć!

W istocie byli zdani na jej łaskę i niełaskę. W tym pędzie odebranie jej kierownicy groziło katastrofą. Dopiero gdy zwolniła na ostrym zakręcie, Szulk zaczął się z nią szarpać, ale odepchnęła go, samochód zarzucił — i znowu popędzili z maksymalną szybkością. Prezesowa modliła się i płakała na sucho, bowiem wiatr zmiatał łzy. Wszyscy spoważnieli i trzymali się kurczowo samochodu, śledząc przeszkody na drodze.

Przed samym Konstancinem zwolniła do dwudziestu kilometrów na godzinę i powiedziała:

— No, przejechaliśmy się!

Szulk odetchnął głęboko i rzekł swoim nosowym głosem:

— Jeszcze nigdy nie byłem tak bliski śmierci. Jak pani mogła! Właściwie wszyscy, prócz może jednego Krzewuskiego, byli na nią oburzeni.

Prezesowa nie tała urazy — milczała ostentacyjnie. Maja odwróciła głowę i roześmiała im się w nos! Jej śmiech był tak niebezpieczny i prowokacyjny, że dopiero teraz zrozumieli, do jakiego stopnia igrała z nimi i bawiła się ich przerażeniem. Ale Krzewuski zawołał:

— Do diabła z pretensjami! Czyż nie widzicie, że ona jest wspaniała?! Rzeczywiście nigdy nie była wspanialsza. Oczy jej błyszczały, zęby świeciły się w rozchylonych ustach, szczupła twarz wychłostana wiatrem była natężona i chociaż uśmiechała się, brwi miała ściągnięte — patrzyli na nią z podziwem Jakby ją widzieli po raz pierwszy. Szulk mruknął nosowo po francusku:

— Ona jest niebezpieczniejsza od tej jazdy.

I naraz wszyscy ulegli nieokreślonemu podnieceniu, wpadli w świetny humor. Uraza ich zniknęła bez śladu. Mężczyźni zawstydzili się, że okazali strach przy niej — coś żywiołowego buchało z tej dziewczyny. Nawet zblazowany, wymoczki Szulk poczuł gwałtowną potrzebę jakiegoś małego „szaleństwa” co objawił następującą propozycją:

— A może byśmy się czegoś napili?

— Jedziemy na dansing! — zawołała Krzyska.

— Znowu na dansing? Nie warto.

— Nic innego nie pozostaje.

— Racja! Nie ma nic innego.

Nędza ich zabaw zajrzała im w oczy. Wiecznie to samo. Maja powoli nawracała samochód i tu dopiero okazało się jak słabo opanowała maszynę — dwa razy zgasł jej motor. Prezesowa zagroziła, że wysiądzie natychmiast jeżeli kierownicy nie obejmie Szulk.

— No i co będziemy robili?

— Pojedziemy na bal do „Syreny”! — rzekła Maja.

— Gdzie? Dokąd?

— Gdzie to się odbywa?

— „Syrena”! Świetna idea!

— Będziemy mieli mnóstwo znajomych!

Samochód wolno posuwał się po szosie, oni zaś krzyczeli, jak szaleni. Myśl Maji była doskonała! Właśnie tego im było potrzeba! Prezesowa co prawda zaproponowała. Jej zdaniem załatwywało to ekscentrycznością. Ale Szulk uspokoił ją.

— Nie sądzę, aby nam groziło cokolwiek ze strony „miejscowych elementów”. Potrafimy się izolować! A po–pa–trzeć na to można!

Rozjechali się do domów, gdyż panie, na wniosek Róży i Krzyskiej, miały wystąpić jak najokazalej. Wieczorem rozbawione grono jęło się wysypywać z samochodów przed „Syrenę”.

Już w szatni posłyszeli dźwięki muzyki.

I oto strojne towarzystwo dokonało wejścia na salę, gdzie pośród gwaru, przenikniętego muzyką, krążyły pary w takt walca. W sąsiedztwie przewalał się tłum, brzmiały rozmowy. Baloniki unosiły się nad kobietami.

— Oho! Masa znajomych — zawołała Krzyska, widząc wielu znanych jej z lokali pracowników restauracyjnych i kawiarnianych.

— Pewnie! — odparł Szulk. — To jest zabawa dobroczynna na rzecz jakichś kursów dla pikolaków, czy czegoś w tym rodzaju.

— Ależ to normalny bal — rzekła naiwnie Krzyska.

Wydało jej się dziwne, że kelnerzy mogą tak dobrze wyglądać. Przyzwyczała się nie zwracać na nich uwagi w restauracji, lub w kawiarni. A tu nagle ujrzała panów, których codzienny roboczy frak przeobraził się we frak balowy i odświeżony. Przyzwyczajeni do ruchu w dużej masie ludzkiej byli swobodniejsi i zręczniejsi od innych mężczyzn.

Była w tych ludziach dyscyplina codziennej pracy, która nader korzystnie odbijała od rozkapryszonych i nieraz pretensjonalnych manier panów, z którymi zazwyczaj obcowała. Bawili się wesoło i naturalnie, obyci, otrzaskani z zabawą, o którą ocierali się nieustannie w lokalach, przyzwyczajeni opanowywać się, hamować wszelkie impulsy i odruchy.

Ale Szulk cierpiał na „kompleks kelnera”. Należał do tych bywalców, którzy w szczególny sposób wyżywają się wobec kelnerów. Lubił wyzyskać w pełni uprzywilejowaną sytuację gościa, który zawsze ma rację i którego kaprysy muszą być zaspokojone. W restauracji lubił być „dobrze obsłużony”. Sprawiało mu przyjemność, gdy na skinienie jego palca zjawiał się usłużny kelner. Nie szczędził napiwków, ale lubił czuć się panem w lokalu. A poza tym lubił musztrować kelnerów, uważał to za swoją misję kulturalną i z wyżyn swojej nieomyślności odnosił się do nich bezwzględnie i surowo.

— Ja czekam!

Dlatego też widok tańczących podzielał na niego prowokująco. Przyglądał się z wysoka.

— Ale tany! — mruknął. I po trosze miał rację.

Dopiero przy bliższym wejrzeniu można było zdać sobie sprawę, jak niejednolite towarzystwo zapełniało salę. Kelnerzy i kelnerki stanowili jeno drobny procent gości. Bal był imprezą dobroczynną, przychodził nań kto chciał, byle przyzwoicie ubrany.

Fryzjerzy i sklepikarze, stenotypistki i urzędniczki, proletariat i sfera drobnomieszczańska, lud i „państwo” — wszystko to przewalało się zjednoczone, porwane, zespolone wszechwładną melodią walczyka.

„We-se-le! Wszyscy krzyczą — hura!

Wszyscy mówią: aha!

Ktoś do tańca dał znak

A panny młodej wciąż brak!”

Maja rozszerzonymi oczami chłonęła to niezwykle widowisko!

Gdy jej towarzyszki oddawały się łatwym żarcikom i wyszukiwały śmieszności, ona została uderzona tą zabawą z całej siły! Patrzyła na nią, jakby urzeczona — jakby to, co się działo dotykało jej osobistych losów.

Dumna, wyniosła panna patrzyła na nie dość umiejętny płaś, na dysharmonię strojów, na wszystkie te braki i niedociągnięcia, które raziły ją boleśnie. Nie było to dla niej zabawne. Było — tragiczne. Zdawało jej się, że wszyscy tańczą do niej i dla niej — że ta zabawa wyśmiewają i wyszydza. — Maja! Maja! — zdawała się wołać na nią zabawa. — Chodź do nas! Tańcz z nami! Ty jesteś nasza! Nasza!

Oto ujrzała znajomego. Ten narzeczony Julki stał pod ścianą, w tłumie i rozglądał się — a Maje znowu przeszło ostrze zazdrości.

Lecz Szulk, znudzony własnym znudzeniem, zaproponował, aby usiedli w sąsiedniej sali. Szeleszcząc sukniami pobiegły za nim. Zajęli stolik w kącie nie opodal bufetu i kazali podać wina.

Spoglądano na nich. Widziano, iż to są osoby które przyszły tu... ot, aby się popatrzeć, a może wydziwiać i krytykować. Wymknęło się ku nim kilka niechętnych spojrzeń, lecz na ogół nikt nie zwracał na nich specjalnej uwagi. Bawiono się, jakby ich nie było.

— To gruby nietakt, żeśmy tu przyszli — rzekł nagle Krzewuski. — Czuję się głupio!

— A dlaczego?! — rzekł Szulk, rozpierając się na krzesle. — Cóż to? Oni się bawią, to i nam wolno się bawić!

— Zdaje się, że to raczej oni mogą się bawić... naszym kosztem! — odparł Krzewuski.

Drażniły go pozy Szulka, jego przesadna dystynkcja. Ale reszta towarzystwa mimo woli „zgrzywała się” również. Panie zbyt dobrze czuły swoją odrębność. Każdy ich ruch, każde słowo, każda mina krzyczały w niebogłosy — my jesteśmy inne, inne! Nawet ich dyskrecja była niedyskretna.

— Chodźmy tańczyć! — zawołała Róża z nadmierną swobodą.

— Dobrze, ale nie z wami — wykrzyknęła Krzyska pod adresem panów. — Ja chcę zatańczyć z Andraszkiem. Widziałam go! Jest tutaj!

Andraszek było to przewisko popularnego w Warszawie dorożkarza, który nad ranem woził złotą młodzież z lokalu do lokalu.

— Uwważaj, żebyś się w nim nie za-ko-cha-ła! — zażartował Szulk.

— Och, to może się tylko wam zdarzyć! Dla nas, kobiet, mężczyźni z niższego środowiska nie wchodzi w ogóle w rachubę. Nie istnieją! Nie umiałabym pokochać chłopca, albo robotnika.

— Dlaczego? — zapytał Krzewuski.

— Dziwne pytanie! Nie dlatego wcale, abym nim pogardzała. Ale cóż ja mogę mieć wspólnego z tym człowiekiem. Jakież może być między nami zbliżenie duchowe?

— Ale w takim razie dlaczego mężczyźni z naszej sfery mogą czasem żenić się i żyć szczęśliwie długie lata chociażby ze swoimi służącymi?

Iza zachnęła się.

— To jest zupełnie co innego! Mężczyzna jest silniejszy! Może podciągnąć kobietę do swego poziomu. Ja, gdybym wyszła za mąż za robotnika, musiałabym się zdeklasować.

— A mnie się zdaje, że to wszystko opiera się na grubym nieporozumieniu. Lecz Szulk, którego ta dyskusja irytowała, rzekł przez nos, zakładając nogę na nogę i ukazując nieposzlakowane skarpetki.

— A daj pan spokój! Krzewuski jednak nie ustępował:

— Nie zalecam wam bynajmniej abyście wychodziły za mąż za prostaków — mówił gorąco. — Jestem o sto mil od tych sentymentów! Nie o to chodzi. Ale wy nie jesteście zupełnie żyte i

otraskane z prostymi ludźmi. Jeszcze mężczyźni różnych środowisk socjalnych stykają się ze sobą w wojsku, albo w pracy i nabierają do siebie zaufania. Kobiety z inteligencji jeżeli nie pracują zarobkowo żyją raczej w izolacji. Stąd się biorą wasze nieuzasadnione fobie! Dla was nędzny cherlak byle w smokingu i skończony łotr z manikiurem jest godniejszy uwagi od wartościowego, zdrowego robociarza. Naród wciąż jeszcze jest podzielony na klasy i kasty, które nie umieją ze sobą obcować!

Ale ta przemowa, wypowiedziana z młodzieńczym zapałem, została przyjęta obojętnie. Nikt nie zamierzał dysputować.

— Gdzie jest Maja? — zapytała prezesowa, jak zawsze pilnie strzegąca trzódki.

— Poszła popatrzeć na tańce.

Maja rzeczywiście stała na progu sali i patrzyła.

Pod wpływem tańca i alkoholu ciżba zaczynała się bawić. Wielki wiew zabawy szedł przez salę. Potężna dynamika radości i szału, dynamika ludzi, którzy nieczęsto mogą dorwać się do zabawy, przenikała i porywała tłum. Dla niejednej szwaczki była to noc wymarzona.

Ujrzała Leszczuka, który tańczył z Julka — w granatowym garniturze, w miękkiej koszuli niebieskiej. Tańczył spokojnie i sztywno, z pełnym poszanowaniem dla tego obrządku balowego, trzymając tancerkę z dala od siebie. Ona zaś wydawała się skromna i skrępowana, ale radosna.

Na ich widok Maja skryła się za plecami widzów. Ach, wystarczało go ujrzeć, aby wszystko od razu stało się gwałtowne i namiętne, straszne i nieobliczalne, szalone i złe! Być w jego ramionach jak tamta! I jak tamta łagodnie, niewinnie skłonić głowę na jego ramię!

O, tęskniła do tego! I znowu wąż zazdrości gryzł jej serce. Niczego nie było na sali, tylko zazdrość. Jej naruszone prawo. Jej prawo, które się zemści...

Taniec się skończył. Zdyszani kawalerowie odprowadzali rozczarowane tanecznice i zapalono papierosy.

Do Maji zbliżył się monter Władzio.

— Tam są! — szepnął.

I Maja jak przez mgłę spostrzegła, że chłopak odzywa się do niej kornie i z pewnym lękiem — jakby do wyższej instancji, bóstwa, które zdecyduje o jego losach.

Leszczuk z Julka stali pod przeciwległą ścianą i rozmawiali. Oddzielał ich od niej nieustanny korowód dam i kawalerów. Lecz między głowami tłumu widziała ich głowy zwrócone ku sobie z uśmiechem — i to jej wystarczało.

Zaczęła iść ku nim, ale nie wprost przez salę tylko okólną drogą przemykając się wzdłuż ścian, aby dotrzeć do nich niepostrzeżenie. Ale tłum rozstępował się przed nią. Odwracano głowy. Biegły zdumione spojrzenia. Padały wykrzykniki. — To ci! No, no! Te, popatrz!

Maja z wściekłością stwierdziła, iż tłum ją zdradza i utrudnia jej dojście do Leszczuka. O tym tylko myślała.

Oni zaś nie mogli się napatrzeć! Ta prześliczna i namiętna dziewczyna, idąca w balowej sukni, z zaciśniętymi ustami, w półuśmiechu — była piękniejsza i bardziej urzekająca od wszystkiego, co dotychczas widzieli, nawet w kinie. Nigdy świat piękna nie objawił im się z tak przemożną siłą.

Mężczyźni wytrzeszczali oczy. A kobiety gasły przy niej, jak świece — najładniejsze nawet. I w bolesnym poczuciu swojej niedostateczności spoglądały na nią z zazdrością — dlaczego tu przyszła, dlaczego swoimi pysznymi rękami uwydatnia ich ręce, swoimi oczami — ich oczy? Po co jej było przychodzić na ich zabawę?

A ona zazdrościła tym prostym dziewczynom, że są takie, jakie są — i że każda z nich może podejść do Leszczuka, nie kryjąc się, jawnie, jak do swego. Och, ile by dała za to, żeby być taką jak inne!

Zbliżyła się do niego. Stała tuż za nim i pomimo gwaru słyszała jego głos. Od jak dawna nie

była przy nim tak blisko?

*„Nikt tak jak on nie umie
Zadręczać, zwodzić, smucić.
Nikt tak jak on nie umie
Zniknąć ci nagle w tłumie
I po tygodniu wrócić”.*

W tej chwili ozwały się mocne, ciężkie, rytmiczne akordy — i skrzypce rozśpiewały się melodią tanga:

Muzyka zapanowała nad salą.

Leszczuk skłonił się przed Julką i już mieli się objąć, gdy uczuł, że ktoś lekko dotyka jego ramienia. Obejrzał się.

Ona!...

Ona zaś stała przy nich nieruchomo i w milczeniu. Nic nie powiedziała. Ale Julka od pierwszej sekundy poznała, że Leszczuk jest dla niej stracony. To było oczywiste. Przeciwno temu nic nie można było zdziałać. Był jej odebrany!

Z przerażeniem objęła wzrokiem ich oboje.

Cóż to była za panna i dlaczego, ach, dlaczego oni byli od razu razem. We dwoje! Dlaczego znalazła się nagle poza nawiasem, wykluczona? Dlaczego oni w jednej chwili stali się parą Jak gdyby Leszczuk nie z nią przyszedł na bal, ale z tamtą?

— Julka! — zawołał, wyciągając do niej ręce.

Ale Julka już prędko odchodziła od nich, znikając w tłumie, z głową pochyloną — prędko. Dogonił ją monter Władzio.

— Julka! — zawołał.

Wybuchnęła płaczem, on zaś wziął ją pod ramię i wyprowadził w głąb, do najdalszych, pustych pokojów.

Maja i Leszczuk zostali sami.

Nie mówili nic. Tylko stali obok siebie. I znowu nienawiść była między nimi.

Tango szalało. Skrzypce wzbijały się na wyżyny, aby zapaść się w bolesnym, zdławionym jęku. Głuche uderzenia perkusji znaczyły rytm.

Maja rozchyliła wargi uśmiechem jak gdyby nic się nie stało.

— Zatańczmy — rzekła.

Chciał jej odmówić, ale nie wypadało.

— Możemy — powiedział i nagle objęli się Jakby to było od wieków ustalone. Zanurzyli się w krąg tańczących.

Tańczył z nią sztywno i ostrożnie — zupełnie jak przedtem z Julką. Prowadził ją z dala od siebie i taniec jego był nieporadny — raczej obrządek niż taniec. Maja wyczuwała jego ruchy. Były to ruchy — uczciwe. Były to ruchy porządnego człowieka z gminu, pełnego szacunku dla tańca, naiwne, ale szczere.

Lecz ona poczuła się naraz wyniesiona na same szczyty muzyki i stracona w, jej najciemniejsze przepaści. Świetna tanecznica, przycisnęła się i utaiła w sobie! Powoli, nieznacznie Jęła go wciągać w zakłęta krainę tańca, tam, gdzie ruch przemienia się w melodię, melodia w ruch. To już nie on ją prowadził. Ona jego prowadziła.

I podstępnie, z wolna wprowadzała go w śpiew skrzypiec, w grzmot bębna, w nagłe, niespodziewane głosy fletów i w to wszystko, co się tam działo w tej muzyce.

*„Nikt tak jak on nie umie
Śmiać się, widząc lzy.
Nikt tak jak on nie mnie
Być zły”*

— śpiewali grajkowie.

A Maja ze zmarszczonymi brwiami, poważna, śledziła, jak on się budzi do tańca — i z niemym szczęściem odnajdywała w nim subtelność, wrażliwość, poezję, zespolenie się z dźwiękiem urodzonego tancerza. Skąd on to wszystko wiedział? Jakim cudem to rozumiał! Jeszcze to niech zrozumie! Jeszcze to przejście tonacji! I podszeptowała mu całą swoją istotą znaki tajemne śpiewu, który ich brał w posiadanie.

A muzykanci zauważyli tę parę i może uderzyło ich „podobieństwo” tych dwojga, a może sam taniec... dość, że orkiestra naraz jęła grać zupełnie inaczej, niż dotychczas, stała się wymowna. Uderzyła w tańczących natężoną falą, wiodła ich, stowarzyszała się z nimi. Inaczej brzmiały flety. Inny był dźwięk saksofonu, a skrzypce i wiolonczela, jak pijane własną pięknnością prześcigały się w rozkoszy.

*„Lecz gdy zatańczy ze mną
To wargi moje bledną
W oczach się robi ciemno
I czują tylko jedno...”*

Sala kołysała się i płynęła. Czyż to oni zarazili inne pary, czy ich zapamiętanie udzieliło się wszystkim? Było coś takiego, co przyspieszało bicie serca, oszałamiało i zmuszało do absolutnego zaprzepaszczenia się w tańcu.

Już nie ona jego prowadziła. To on ją wiodł wedle nakazów muzyki, ona zaś tylko podsuwała, podszeptowała... Tańczyła sala. Wiodły się pary ładne i śmieszne, młode i stare — nawet pan Pitulski0 który tu był także, uniósłszy romantycznego nosa, blady i zapamiętały, z danserki wydobywał cuda, wyginając ją fantastycznie na wsze strony.

Atoli prezesowa Halimska, zaniepokojona dłuższą nieobecnością Maji, ukazała się we drzwiach z Różą, Krzewuskim i Szulkiem,

— Gdzież ona może być? — mówiła.

I właśnie w tej chwili ujrzała Maję z Leszczukiem. Jednocześnie wszyscy zdali sobie sprawę, że coś dziwnego dzieje się na sali. Muzyka? Taniec? Skupione, wzruszone twarze patrzących? Nie wiadomo skąd się brało to wrażenie.

— Z kim ona tańczy? — rzekła prezesowa.

A Róża szepnęła, jakby do siebie, zdławionym głosem.

— Jak żyję nic podobnego nie widziałam!

Szulk skrzywił się.

— Ten facet o—krop—nie tańczy!

— Ach, nie o to chodzi!

— Więc o co?

— Niech pan zamilknie wreszcie, nic pan nie rozumie! — rzekła cicho, wpatrzona w tańczącą parę.

Instynktownie odgadywała szalone szczęście Maji.

Lecz Szulk rozumiał lepiej, niż ktokolwiek inny. Aczkolwiek nie był uczuciowo zaangażowany w Maji, zazdrość go dławiała. Nerwowym ruchem drapał się końcem lakierka w

kostkę, nogi.

— Ona się kompromituje! — powiedziała wreszcie prezesowa, choć absolutnie nie byłaby w stanie wyjaśnić, co było kompromitującego w tym tańcu. — Zróbcie coś! Trzeba ją wywołać!

Tango załamało się i zakończyło, gdy domawiała te słowa. Pary rozsypały się, ozwał się gwar, wszyscy rozchodzili się na prawo i lewo, a w tym nieporządku Maja zginęła im z oczu.

Oni zaś stali jeszcze na tym miejscu, gdzie zaskoczył ich koniec muzyki. Naraz oboje poczuli absolutną bezradność. Czar się urwał.

— Chodźmy — powiedziała głucho.

Zaczęli torować sobie drogę między ludźmi. I on i ona czub' na sobie natrętne spojrzenia i dziwny wstyd ich ogarniał.

Pan Pitulski przemknął koło nich ze swym romansowym nosem, wiodąc za sobą nie mniej, niż sześć rozbawionych dam, którym fundował wódkę i kanapki — i romansowy swój nos skierował w ich stronę.

— Fiu! Fiu! — zawołał arogancko.

— Fiu! Fiu! — powtórzyły damy.

Natychmiast po ukończeniu tańca zbudziła się w dumie niechęć przeciwko tej parze. Ci, którzy ulegali jej przemożnemu czarowi, teraz stali się złośliwi i kpiący. Padły jakieś grube dowcipy, a ktoś nawet podstawił Leszczukowi nogę. Drażniło ich cudze szczęście i prowokowała uroda Maji.

Lecz Maja i Leszczuk poruszali się w tłumie z tą jedyną myślą, aby zejść im z oczu i uciec przed nimi. Przyspieszyli kroku.

Ktoś gwizdnął tuż koło nich.

— Jeżeli pani się wstydy iść ze mną, to ja mogę odejść — rzekł Leszczuk.

— Dlaczego miałabym się wstydzić?

— Ja nie jestem dla pani.

Przystanąła i oparta o ścianę zatopiła w nim głębokie poważne spojrzenie. Objęła nim całą jego postać — surowo, badawczo.

— A mnie się zdaje — rzekła — że my właśnie jesteśmy dla siebie.

Stropił się i nic nie odpowiedział.

— Co to za Julka była z panem? Niech pan pójdzie do niej, bo czeka! — rzuciła szyderczo.

Ale on odparł z uporem:

— Nie odejdę.

I dodał z odcieniem fatalizmu w głosie:

— Pani mi się często śniła, a zawsze tak samo.

— Jak?

— W takiej białej izbie. A na kołku w kącie coś, nie wiem dobrze co. Ruszające się.

Wzdrygnął się. Jej zaś natychmiast przypomniał się sen, który ją trapił tak często.

Oboje poczuli niepokój i nie wypytywali się więcej.

— Cóż z tenisem?

Zaczerwienił się.

— Nic.

— Nie przyjęli pana do klubu?

— Nie. A skąd pani wie?

— To ja się o to postarałam.

— Jak to?

— Byłam tam i rozmówiłam się z Klonowiczem.

— Aha...

I naraz złapał ją za rękę i zgniótł tak mocno, że omal nie krzyknęła. Nachylił się nad nią zupełnie jak wtedy, w lesie połockim. Twarz mu pociemniała, a zęby, te zęby, które być może najbardziej były „podobne”, równe i ostre zęby błysnęły mu w wykrzywionych wargach.

— Dlaczego pani to wszystko robi ze mną? Co pani zależy na tym, że bym ja się zgubił w życiu? Pani mnie chce wszystko popsuć. Pani się mnie uczepiła.

Odepchnęła go.

— Niech no pan sobie za dużo nie pozwala! — wykrzyknęła.

Lecz on nie zważał na to.

— Dlaczego pani zawzięła się na mnie!

W głosie jego była szczerść. Patrzyła na niego — wyglądał uczciwie. Przypomniała sobie taniec, tę wiedzę o nim, którą zdobyła w tańcu. Musiał być subtelny, wrażliwy, inteligentny.

A jednak...

Podniosła głowę. Stali u szczytu schodów, wiodących do wyjścia. Przed chwilą było tu dość pusto. A teraz kilkadziesiąt osób spacerowało tuż przed nimi tam i z powrotem — damy z balonikami, panowie we frakach i w marynarkach, w miękkich i sztywnych kołnierzykach. Wszystko to przechadzało się i — podglądało.

Naraz ktoś uklonił się przed nią nisko.

Był to Szulk, a za nim stały Róża i Krzyska, trzymając się pod rękę, z filuternymi minami.

Daruje pani, że przeszkadzam — wyrzekł uroczyście Szulk, kłaniając się Leszczukowi — ale prezesowa prosi panią.

— Zaraz idę.

— Pozwoli pan się przedstawić: Szulk.

Jednocześnie zbliżyły się obie panny.

— Co to za flirty na boku! Stęskniłyśmy się za tobą! — wołały ze śmiechem.

Szulk natychmiast przedstawił im Leszczuka.

— Bardzo nam przyjemnie!

— Już idę — rzekła nerwowo Maja.

Ale oni otoczyli Leszczuka.

— Prosimy pana również.

— Chodźmy wszyscy!

— Prosimy do naszego stolika!

Orkiestra rozpoczęła fokstrota. Powódź skocznych lekkich i urywanych dźwięków uderzyła w tłum, który znowu jął łączyć się w pary.

Maja zawahała się. Nie chciała, żeby Leszczuk szedł z nimi. Ale nie było rady — poprowadzili ich do prezesowej. Tu Szulk swoim nosowym uroczystym głosem ponownie jął przedstawiać Leszczuka każdemu z osobna.

— Pan Leszczuk!

Maja zaczerwieniła się. Leszczuk kłaniał się niezgrabnie i ścisnął podane dłonie, a prezesowa wycodziła:

— Jakże mi miło! Proszę, niech pan siada!

Przysłuchali mu się z zaledwie maskowaną ciekawością. Był to pomysł Szulka — żeby przyprowadzić ich tutaj i „zobaczyć co to takiego jest”. Wszyscy byli szalenie zaintrygowani.

Kto to był? Skąd ta zwariowana Maja wydobyla tego chłopaka? Co to miało znaczyć? Co jest między nimi! Bo, że coś musi być, to na pewno!

Zwłaszcza Szulk był w głębi duszy obrażony i wściekły, że Maja zdradziła ich towarzystwo. Postanowił ukarać ją i ośmieszyć, umyślnie dążył do podkreślenia wszystkich drastycznych momentów sytuacji. Oni wszyscy ledwie panowali nad sobą!

Szulc zwracał się do Leszczuka z nadmierną grzecznością. Nalał mu wina, ale chłopcu zadrżała ręka, płyn rozlał się, częściowo na suknię Róży.

— Przepraszam.

— Państwo dawno się znają? — zapytał Szulc Maji, nadrabiając przy tym uprzejmością tonu niewłaściwość tego pytania.

Maja podniosła brwi.

— Och, Marian jest dużo dawniejszym moim znajomym... od pana!

Szulc zakrztusił się winem. Jakim tonem to było powiedziane! W ten sposób on nie zwracał się do kelnerów! Co ona sobie myśli, ta smarkata?! I to oni są ze sobą po imieniu!

Ale w oczach Maji pojawiły się niebezpieczne ogniki. Wiedziała już, że będą chcieli go ośmieszyć. Ta banda! Ten zespół wielkomiejskiej hołoty!

— Ja pana już miałem przyjemność gdzieś o-gł-a-dać — rzekł Szulc. Czy pan również ma to wrażenie?

— Może w barze Europejskim — powiedziała Maja — on tam jest pomocnikiem kelnera.

Był to nowy cios dla Szulca! Kelner! Nawet nie kelner, a pikolak! Sięgnął do papierošnicy i zapalił papierosa, ażeby ukryć wzrastające zdenerwowanie. Przyjaciółkom Maji oczy wychodziły z głowy. No, no, ta Maja! Prezesowa popijała w milczeniu kawę. Młody Krzewuski kręcił się na krześle, zażenowany.

Szulc podsunął Leszczukowi salaterkę z sałatką pomarańczową.

— Może tych cias-te-czek!

— Dziękuję.

— A czym można sza-now-nemu panu słu-żyć? Może jakie dan-ko?

— Kiedy naprawdę dziękuję.

Obsługiwał go ostentacyjnie. Nałożył mu sałatki i podsunął talerz, parodiując zawodowego kelnera.

Mogło to od biedy uchodzić za chęć ośmielenia intruza, który musiał się czuć obco i egzotycznie w ich towarzystwie. A Leszczuk rzeczywiście czuł się fatalnie, gdyż wiedział, że oni go obserwują i oceniają, że spodziewają się po nim okazji do śmiechu. Ażeby nie być niegrzecznym przyjął sałatkę, ale — nie wiadomo skąd mu się to wzięło — zaczął jeść głośno, gminnie.

Połapał się zaraz. Co to go napadło, przecież w Połyce nigdy tak nie jadł! Czy dlatego, że w Połyce nikt nie oczekiwał po nim takiego jedzenia? Niemniej Szulc powiedział złośliwie:

— Widzę, że panu smakuje!

Leszczuk poczuł się niezgrabny i nieszczęśliwy. Zaczął się pocić! On, który na korcie nie pocił się w największe upały. Kropelki potu pokazały mu się na czole.

Męczył się.

A Maja męczyła się również. Ten pot, to chlupanie, te niezgrabne ruchy! Znowu przekonywała się, jak bardzo był z innego świata! Raził ją. I znowu wydał jej się dziki! Nieokrzesany! Nieobliczalny! Oczy zebranych przelatowały z niej na niego i z niego na nią — ciekawie, natrętnie.

W głębi tańczono.

Szulc dalej błaznował. Proponował Leszczukowi coraz to inne potrawy, a wreszcie zawołał kelnera.

— Kartę!

I w tej samej chwili wyzwoliła się w nim złość.

— Jak pan stoi! — huknął. Proszę stać przyzwoicie! Cofam dys-po-zy-cję! Nie jestem przy-zwy-cza-jo-ny! Proszę jeszcze raz po-dejść i stanąć właściwie!

Ale dobrze już, dobrze — uspokajała go prezesowa. Lecz on już zupełnie stracił równowagę. Kelner, człowiek już starszy i zmęczony próbował się sumitować, ale nie dał mu przyjść do słowa.

— Ja nie zamierzam dyskutować! Proszę jeszcze raz podejść i przyjąć moje zlecenie w formie przy-zwo-i-tej! Zrozumiano?

Wszystkim zrobiło się nieprzyjemnie. To już było za grube chociażby ze względu na Maję. Ale w nim wyładowywała się wściekłość, tłumiona od dłuższego czasu. Jeżeli nie można zbesztać Leszczuka, to przynajmniej tego kelnera w jego obecności!

— Niech pan przestanie się rzucać — rzekła naraz z naciskiem Maja!

— Ja się nie rzucam — odparł zimno — tylko żądam przyzwoitej obsługi!

— To niech pan jej żąda w sposób przyzwoity — panie Szulk!

Zaniemówił! Jej ton! I to „panie Szulk”! Ależ ona się zapomina!

— Zechce pani łaskawie przyjąć do wiadomości, że nie jestem już dzieckiem i uwag nie przyjmuję od nikogo!

— A dlaczego? Jeżeli pan innym robi uwagi, to powinien pan również przyjmować je!

Nie można było wymiarkować, czy mówi poważnie, czy kpiąco. W każdym razie nutka lekceważenia była niewątpliwa i bolesna!

— Ja nie jestem zakochany w kelnerach! — odparł zjadliwie. Panna Ochołowska spojrzała na niego, jak na rzecz.

— Zgadł pan! Rzeczywiście — i nawet zaręczyłam się z jednym z nich — właśnie dzisiaj! — rzekła od niechcienia.

Wrażenie było piorunujące. Halimska pisnęła z cicha. Róża i Krzyska otworzyły usta, niepewne czy Maja to na serio... Ale gdy milczenie przedłużało się wszyscy zrozumieli, że tym razem nie żartuje. Wreszcie Szulk, przyglądając się z wysoka Leszczukowi, rzekł.

— A to... wiesz gustu.

Leszczuk z oczyma spuszczoneymi nie ruszał się... Nie mógł skupić myśli, A Maja położyła rękę na jego rękach i powiedziała spokojnie, z głębokim westchnieniem radości.

— To jest mój narzeczony.

W tej chwili wpadł na salę korowód tańczących i przeciągał bez końca między stolikami, aby wreszcie zniknąć w następnych drzwiach. Damy i kawalerowie mknęli w rytmicznych przegibach, z balonikami, z rękami wzniesionymi, ściągając w przelocie obrusy, wywołując radosne zamieszanie.

Musieli się usunąć przed tym swawolnym najściem. Wstali.

— Dosyc — rzekł Szulk. — Ja płacę!

Sięgnął do kieszeni, podczas gdy kelner podawał rachunek. Ale ręka jego powróciła z niczym, a na twarzy odbiło się zdziwienie.

— Nie mam pugilaresu — oświadczył. — A miałem jeszcze przed pięcioma minutami.

Panowie pośpieszyli z pomocą, wydając swoje pugilaresy. Zaczęli się rozglądać na wszystkie strony, jakby pugilares Szulka zawisł gdzieś w powietrzu.

— A może wypadł panu z kieszeni — odezwała się prezesowa.

— Miałem go tutaj, w tylnej kieszeni spodni — demonstrował Szulk, uchylając poły fraku.

— A może pan zapomniał w szatni, przecież nikt panu nie mógł go wyjąć tu taj.

— Nie, miałem go na pewno! — powiedział i zwrócił się do Leszczuka, który siedział koło niego. — Może pan wstanie — rzekł — zobaczymy czy się nie zawieruszył z tej strony.

Leszczuk poruszył się, ale nie wstał. Zapanowało milczenie. Wszystkich uderzyło to, że tylko on jeden siedzi, podczas gdy reszta towarzystwa już dawno powstała z miejsc.

Maja zbladła. Spozrzegła róg pugilaresu za Leszczukiem, pomiędzy jego plecami a oparciem

krzesła. Gdy chłopak poruszył się, pugilares opadł głębiej. Uczuł to i znieruchomiał.

— Noo?... — rzekł Szulk powoli.

Ale w tej samej chwili Maja nachyliła się i z całej siły uderzyła go w twarz. Binokle spadły mu z nosa. Powstał zamęt. Panie rzuciły się między nich, prezesowa krzyknęła przeraźliwie.

— Oszalała!

A Maja przez ten czas złapała pugilares i wsunęła go do swej torebki. Jednocześnie szarpnęła Leszczuka. Wstał. I kiedy tak stali przy sobie, wszyscy znowu po raz nie wiedząc który doznali wrażenia, że to jest para — że oni są ze sobą identyczni.

— Ha! — rzekł Szulk. — Pani mi uniemożliwiła wezwanie policji!

Wszyscy prędko ruszyli do szatni. Maja i Leszczuk zostali.

— Fiu! Fiu! — zawołał pan Pitulski, przechodząc obok nich, z wyżyn swojego romansowego nosa.

— Chodźmy — powiedziała Maja.

ROZDZIAŁ XV

Skandal z panną Ochołowską rozszedł się szeroko w „towarzyskich sferach” stolicy. Na prawo i lewo rozpowiadał o tym Szulka, a przyjaciółki Maji zwierzały tę historię w najgłębszej tajemnicy. Nareszcie poznano sekret pięknej Maji, która w ciągu swego niedługiego pobytu w Warszawie zdążyła już zainteresować wszystkich swoim niepokojącym sposobem bycia. Zakochana w pikolaku! Zaręczona z pikolakiem, który *nota bene* poszlakowany jest o „zwęddenie” pugilaresu Szulkowi!

Tłumy pędziły do baru Europejskiego, ale Leszczuka już tam nie było. Nazajutrz po balu wymówiono mu miejsce, wskutek zapewne interwencji Szulka.

A Maja znalazła — się naraz zupełnie odosobniona. Całe stadko prezesowej odsunęło się od niej gładko i natychmiast. Nawet Róża rozluźniła z nią stosunki. Już nie zapraszano jej na dansingi i zabawy. Pozostał jej tylko Maliniak i do szału przez niego doprowadzona markiza.

Zresztą nie gniewała się o to. Nie potrzebowała ludzi. Żyła jak w transie. — Nie! Nie ukradł! — wmawiała sobie. — Nie ukradł! Nie! To niemożliwe! Jak to?! Akurat wtedy, kiedy ona na koniec przyznała się do niego! Ale oczywistość przeczyła temu. Któż mógł ukraść, jeśli nie on? Lecz jeszcze jedna wizja Leszczuka prześladowała Maję — zamknąwszy oczy widziała jego szczerą, przyjazną twarz — zdawało się to niemożliwe! A jednak w Połyce dopuścił się kradzieży!

A kiedy przypominała sobie, jak ordynarnie, po prostacku jadł tę sałatkę — i pocił się — orientowała się, że to jest typ obcy, z innego środowiska, o którym ona nic nie może wiedzieć na pewno i dla którego dostępne jest każde chamstwo!

Lecz jeszcze jedna wizja Leszczuka prześladowała Maję — z sinymi ustami, z twarzą przez te usta ohydnie odmienioną. I wtedy zdawało się jej, że to musi być człowiek chory, zdegenerowany — czemu znowu przeczyło jego niewątpliwe fizyczne zdrowie, widoczne na pierwszy rzut oka. Gubiła się w tych sprzecznościach.

Kiedy zaraz po opuszczeniu balu napadła na niego, żeby się raz przyznał — przysięgał się, że nie ukradł! Nie mogła nic z niego wydobyć, jak tylko to, iż wie, kto mu podsunął ten pugilares. Ale mówił to dziwnie. Maja czuła, iż odnosi się do niej z niedowierzaniem.

I czyż można było się dziwić? Przecież ona od pierwszej chwili swojej z nim znajomości zachowywała się — co najmniej ekscentrycznie.

I prawdę mówiąc, ona sama odnosiła się do siebie z coraz większym niedowierzaniem. Skandal na balu — policzek wymierzony Szulkowi — schowanie pugilaresu — cały ten splot czynów brutalnych, trywialnych, nawet nieuczciwych mógł wytrącić z równowagi osobę stokroć lepiej osadzoną w sobie, niż Maja. A jednocześnie wszystkie te czyny były jakieś naiwne, poniżające, a zarazem dziecinne, nieomal — głupie.

I Maja znowu nic nie wiedziała! Czy ona jest dziecinna i naiwna? Czy zepsuta i cyniczna? Czy trywialna i pospolita? Jaka jest i do czego jest zdolna? Wszystko było — niejasne i mętne, przypadkowe.

W ciemnym hallu w Bristolu ktoś ujął ją delikatnie za ramię. Obejrzała się. Matka.

Pani Ochołowska postarzała się o dziesięć lat. Koło jej ust i pod oczami pojawiły się sine bruzdy — takie było pierwsze wrażenie Maji.

— Mama mnie odnalazła?

Nie zdziwiła się nadmiernie. Było oczywiste, iż dłuższy jej pobyt w Warszawie nie da się ukryć. Od dawna już przygotowywała się do tej rozprawy.

Ciotka Wiktorowa napisała do mnie, że cię widziała na mieście. Informowałam się także w klubie. Z początku myślałam, że pojechałaś do Lwowa — mówiła prędko pani Ochołowska, idąc z Mają korytarzem do jej pokoju.

— Podobno jesteś sekretarką Maliniaka?

— Tak.

— Maja, czy to prawda, że...

— Co?

Pani Ochołowska ciężko i sztywno usiadła na krześle. — Moje dziecko, powiedz mi. Czyś ty się zaręczyła z nim? Czy on tu jest z tobą? Czy to prawda, co ludzie mówią?

— Mama zanadto się przejmuję.

— Zanadto? Więc ty uważasz, że wszystko w porządku?

Maja zaśmiała się.

— No, nic w tym nie ma nadzwyczajnego!

Stała przed matką i zaczęła mówić, swobodnie i spokojnie, jakby rzeczywiście nie było nic nadzwyczajnego. Przewyciężyła wzruszenie, nie chciała za nic, aby matka przyjęła udział w jej męczarniach. Nie, matkę należało trzymać z dala!

I Maja swoim nieco dziecinnym tonem wyjaśniała, że właściwie jest bardzo zadowolona ze swojej ucieczki z domu i z pobytu w Warszawie. Tak, właściwie doskonale się stało! Wprawdzie przysporzyła trochę niepokoju matce, ale od czasu do czasu takie radykalne cięcia są konieczne i wychodzą na zdrowie. Przyjęła posadę u Maliniaka i zarabia na utrzymanie. To bardzo zdrowo. Poza tym poznała wielu ludzi, otarła się o świat...

— Wie mama, zdaje mi się, że ogromnie zyskałam — mówiła naiwnie. — Pogłębiłam się. Zaczynam poważniej ujmować życie. A co do Leszczuka to rzeczywiście widuję się z nim i nawet zrobiłam awanturę o niego na balu, ponieważ zarzucono mu rzeczy, których nie popełnił. Opiekuję się nim trochę i chciałabym ułatwić mu jego zamierzenia tenisowe, ale mama nie wyobraża sobie, jakie są intrygi i zawiści w tym świecie sportowym. O tych zaręczynach to głupstwo! Bajki i plotki. Ale to mi nie może zaszkodzić, bo przecież z Cholawickim zerwałam już na amen.

Pani Ochołowska nie wierzyła własnym uszom. Nie mogła przypuścić, ażeby Maja do tego stopnia umiała się maskować. Jechała tutaj z bólem w sercu, z trwogą — a tymczasem zastała ją zadowoloną i zrównoważoną. Słuchając ją miało się wrażenie, iż wszystko jest proste, samo przez się zrozumiałe, naturalne.

Nie umiała zrozumieć Maji.

— Możliwe, iż niedługo wrócę do Połyki — mówiła dalej Maja najnaturalniej w świecie. Tylko — zarumieniła się — jedna rzecz... Z tymi pieniędzmi... Wie mama, przepraszam bardzo. Rozumiem świetnie, co to znaczy taka suma w mamy położeniu. Odkładam sobie z pensji i oddam, niech mama będzie pewna!

— Dziecko drogie, ale czyż ty nie rozumiesz, że się kompromitujesz?! Że ludzie o tobie mówią?!

A Maja ze ściśniętym gardłem śledząc ślady przeżytych cierpień na jej twarzy, powtarzała sobie:

— Muszę ją uspokoić! Muszę ją uspokoić!

I tak pogodnie przedstawiła jej całą swoją egzystencję na gruncie warszawskim, że pani Ochołowska zaczęła wstydzic się łez, które niepotrzebnie wylewała. Zresztą знаła o tyle Maję, aby wiedzieć, że wszelka presja nie odniosłaby żadnego skutku. Obietnica, że już wkrótce wróci do Połyki ostatecznie ją uspokoiła. Na odchodnym rzekła:

— Jest tu jeszcze ktoś, kto chce z tobą pomówić. I po chwili w pokoju Maji zjawił się

Cholawicki.

Pani Ochołowska usunęła się dyskretnie — z dwojgą złego wołała już Cholawickiego, niż Leszczuka. Oni zaś podali sobie ręce i stanęli naprzeciwko siebie:

— Zmieniłaś się — rzekł Cholawicki.

— Zmieniłeś się — jak echo odpowiedziała Maja.

W istocie zaraz po wyjściu matki opadła z niej maska. Cholawicki zdumiał się, ujrawszy jej piękność, ale nie była to już owa nobliwa, pańska uroda dawnej panny Ochołowskiej. Było w niej coś dwuznacznego, niepewnego i poniżonego...

Ale Maja nie mniej zdziwiła się jego wyglądem. Cholawicki przypominał widmo. Wychudł, zżółkł, oczy mu latały, ręce drżały, zdawał się być ciężko chory nerwowo. Czuć było, iż trzyma się jeno nieustannym wysiłkiem woli, a na czole pojawiły się dwie pionowe zmarszczki, których dawniej nie było. A nawet kilka siwych włosów na skroni...

Zrobiło jej się przykro. Nic nie czuła do tego człowieka, ale on cierpiał przez nią.

— Nie widzieliśmy się trzy tygodnie — rzekł.

I naraz uprzytomniła sobie, jak niedawno była jeszcze w Połyce i ile od tego czasu się zmieniło.

Przypatrywał się jej bacznie i rzekł:

— Nie ma co gadać! Nie wrócisz do mnie. Skończone.

— Skąd wiesz?

— Widzę. Nie warto mówić.

Odetchnęła.

— Masz rację.

Usiłował się pohamować, ale nie wytrzymał.

— Trzy tygodnie żyłem tą myślą, żeby ciebie odnaleźć i pomówić. Ale nie warto! Uśmiechnął się zjadliwie. — Życzę szczęścia na łonie natury z tym pasterzem!

Czy jesteś pewny, że z nim?

— No, przecie widać! Nie wierzyłem temu, co mi opowiedziano — dziś, przed godziną. Ale teraz wierzę! Ty już nie jesteś podobna! Jesteś identyczna! Ty się nim zaraziła! Stałaś się gminna i pospolita, jak on. Winszuję — już nic was nie dzieli!

— Mam do ciebie prośbę. Nie dziel się tymi obserwacjami z moją matką. Ona nic nie powinna wiedzieć.

Po dłuższym milczeniu powiedział, rozglądając się nerwowo.

— Za godzinę wracam do Mysłoczy. Wpadłem tu na krótko. Muszę jechać. Tu wszystko przepadło. Ale ja także mam do ciebie prośbę. Jesteś wtajemniczona w moje sprawy — mam nadzieję, że nikomu nie powiesz i zachowasz w dyskrecji moje plany.

— Możesz być spokojny. A jak tam interesy?

— Nieźle.

Znów się rozejrzał i zdawało się Maji, że coś go zaniepokoiło.

— Jak załatwiłeś ze Skolińskim?

Jakże daleko odbiegła od tych spraw! Mówiła o nich, jak o czymś przedpotopowym.

— Skoliński? Skoliński jest jeszcze na zamku. Robi katalog. Doszedłem z nim do porozumienia.

Podniósł się z krzesła, postąpił parę kroków w róg pokoju gdzie była umywalnia i wrócił na miejsce.

— Chcesz wody? — zapytała zdziwiona.

— Nie.

— A cóż z księciem?

— Jako tako. Jeszcze się trzyma.

Znów podniósł się i zbliżył do umywalki. Na blaszanym drążku zawieszony był szalik Maji. Cholawicki przyjrzał mu się badawczo.

— Cóż on się tak rusza? — mruknął. Przecież okno zamknięte.

— Co się rusza?

— Nie widzisz? Drży cały od góry do dołu.

Dopiero gdy podeszła blisko zdołała uchwycić niedostrzegalny prawie ruch.

— Cóż w tym dziwnego? Oberluft otwarty, a tu w ścianie idzie rura z gorącą z wodą. To zaraz wytwarza prąd powietrza. Nie rozumiem o co ci chodzi.

Rzucił się do okna i zamknął oberluft. Szalik przestał drżeć, a Cholawicki przesunął ręką po czole i szepnął:

— Oszaleję!

— Co ci się stało?

— Nic, nic.

Lecz ona przypomniała sobie naraz swój sen, tę ruszającą się płachtę, która ją tak przeraziła i o której także śnił Leszczuk.

— Śniła mi się kiedyś taka płachta ruszająca się — na jakimś wieszaku — rzekła machinalnie.

Słowa jej miały efekt nieoczekiwany. Cholawicki uczynił się blady.

— Jak to? Jaka płachta? Opisz mi dokładnie.

Maja pokrótce opowiedziała mu sen. Podziemie, czy też pokój, wąskie okno, białe ściany, żelazny wieszak, a na nim wzdymająca się płachta czy też ścierka, a może zwierzę jakieś. Nie mogła dobrze rozróżnić. Coś tak wstrętne i złego, że trudno o tym mówić. Kilka razy jej się to śniło i zawsze budziła się, wyczerpana i złana potem.

— Czy w tym pokoju nie było pieca? Pieca kuchennego?

— Nie. A może był. Nie pamiętam dokładnie. Ale czy tobie także się to śni? Co to znaczy?

Jednakże nie mogła niczego od niego się dowiedzieć. Odpowiadał jej półsłówkami i zaraz począł się żegnać. Maji zdawało się że zwariował. Złapał ją za rękę.

— Mam do ciebie prośbę. Jakbyś jeszcze miała sen w związku z tą płachtą, nie zapomnij do mnie napisać. Bardzo proszę. Zależy mi! No, do widzenia.

I znowu opadła ją natrętna myśl. Co znaczą te sny?

Maja na szczęście nie miała czasu zastanawiać się nad tym za wiele. Maliniak wezwał ją i oświadczył, że za dwa dni przenoszą się do Konstancina. Znudziło mu się mieszkać w hotelu, wzdychał do słońca i zieleni. I zdawało mu się, że na świeżym powietrzu jeszcze lepiej wykończy nieszczęsną „lwicę”, dla której zakupił już niesłychane, sielskie toalety.

Nienawiść markizy do Maji osiągnęła chorobliwe napięcie. Daremnie hamowała się wiedząc, że to woda na młyn wujaszka, że Maliniakowi właśnie o to chodzi. Ona, europejska awanturница w wielkim stylu, demoniczna, kruczowłosa, blada wampirzyca z karminowymi ustami nie mogła znieść tego, iż musi ulegać tej prowincjonalnej kozie, smarkatej, tej gąsce, która wkradła się w łaski Maliniaka.

Ją również doszły dziwne historie na temat Maji i nie omieszkała donieść o nich Maliniakowi. Ta panienska ze dworu była w istocie osobką zamieszaną w podejrzone sprawy! Ostentacyjnie chowała przed Mają te resztki osobistej fortuny .których jej jeszcze nie odebrał Maliniak. Traktowała Maję nieomal jak osobę z półświatka. A Maja już sama nie wiedziała, kim właściwie jest i jak należy ją traktować.

A w te nie kończące się wątpliwości wdarł się telefon od prezesowej Halimskiej.

— Jak się pani miewa, dziecko drogie! Jestem tak oburzona na Szulka! Moje dziecko, czy pani nie mogłaby zobaczyć się ze mną dziś wieczorem, miałabym do pani jeden drobiazg.

Dla Maji ta propozycja, zarówno jak miodowy głos prezesowej, były niespodzianką. Prezesowa nie dała znaku życia od balu. Umówiły się w jakiejś pomniejszej cukierce — widocznie jednak Halimska wolała nie pokazywać się publicznie.

Ale, gdy Maja nadeszła, przyjęła ją bardzo wylewnie, chociaż — trochę inaczej niż zwykle.

— No, no! Nie przypuszczałam, że pani taka rezolutna! Z takim charakterkiem dasz sobie radę w życiu, moja droga! Nie posądzałam pani o tyle sprytu! Przecież gdyby pani go nie uderzyła i nie nadała przez to sprawie zupełnie innego charalca — .? teru, zawezwałby policję i z tym chłopakiem byłoby niedobrze. *A propos*, czy ty rzeczywiście chcesz wyjść za niego, moja kochana?

— Dlaczego pani pyta?

— No, chyba mam prawo. Opiekuję się tobą już od dłuższego czasu. Mnie zawdzięczasz Maliniaka, a w przyszłości, sądzę, także mogę ci być pomocna, bo chyba z rodziną już tego... nie wrócisz do niej, co? W twoim położeniu beze mnie nie dałabyś sobie rady.

I prezesowa dłuższy czas wykazywała Maji, iż tylko ona może uratować jej sytuację towarzyską i finansową. Po czym przystąpiła do rzeczy.

— Moje złotko, ja cię umieściłam u Maliniaka, a ty za to musisz mi załatwić jeden drobiazg.

— O co chodzi?

— Głupstwo. Chodzi także o pugilares, ale nie Szulka, tylko Maliniaka.

— Jak to?

— Otóż zależałoby mi na tym, abyś stamtąd wyjęła jeden papier. Pewien projekt w związku z rozbudową tych jego nowych zakładów przemysłowych. Ten szkic przyniesiesz mi na parę godzin, a polem wsadzisz z powrotem do pugilaresu. Żywa dusza nie będzie wiedziała.

— No — pomyślała Maja — jeszcze tydzień temu nie ośmieliłaby się zrobić mi takiej propozycji. No tak, ale przecież ona mnie uważa za jego narzeczoną i wie, że jestem podobna...

A przy tym gdyby odmówiła, Halimska mogłaby się zemścić — co w jej położeniu równało się katastrofie. Maja postanowiła odwlec decyzję.

— A jeśli Maliniak się spostrzeże?

— Jakim sposobem? On na noc kładzie ten pugilares pod poduszkę, a sen ma twardy. Będziemy miały całą noc przed sobą.

— Namyślę się.

— Zgoda. Ja chętnie poczekam. Wiem, że nie będziesz niewdzięczna...

Odcień groźby pojawił się w miodowym głosie prezesowej. Maja przyglądała się jej. Aha, to ona jest taka! I to ja jestem taka! I Leszczuk...

Nie! Nie! To niemożliwe! Ani Leszczuk, ani ona... Jeszcze raz zobaczyć się z nim! Jeszcze raz się przekonać!

Widywali się teraz często, spędzali razem długie godziny. Ale rozmowa im nie wyszła. A przede wszystkim wstydziła się poruszyć sprawy najważniejszej. Ani słowem nie napomknęli o tych nieoczekiwanych „zaręczynach” swoich na balu. Nic — na temat wspólnej przyszłości, lub chociażby doraźnego jakiegoś rozwiązania. Mieli przecież tyle do omówienia — a tracili czas na błahe uwagi w rodzaju:

— O tej porze największy dok na ulicach.

Nie byli ze sobą ani na pan, ani na ty — i to również utrudniało im porozumienie.

Maja postanowiła wtajemniczyć go w propozycję prezesowej.

Miała szaloną nadzieję, że Leszczuk przyjmie to negatywnie lub choćby niechętnie. Najmniejszy taki odruch z jego strony podsyciłby jej wolę oporu. Gdyby wiedziała, że jemu zależy na tym, aby ona nie wdawała się w takie imprezy... A jeśli nie, jeśli mu jest wszystko jedno, to i jej jest wszystko jedno i niech się dzieje, co chce!

Powtórzyła mu rozmowę z prezesową. Czy on by jej nie mógł dopomóc? We dwoje można by to załatwić dużo łatwiej.

Nie okazał najmniejszego zdziwienia. Od razu przystąpił do omawiania szczegółów sprawy. Jedyne zastrzeżenie, które zgłosił, było natury czysto praktycznej:

— Czy aby nas nie złapią?

Jeżeli Maja żywiła jeszcze jakie złudzenia, to rozplynęły się one bezpowrotnie.

Nie wiedziała, że w tej samej chwili rozplywają się i ostatnie złudzenia Leszczuka. Gdyż Leszczuk był prawie przekonany, że to ona zabrała pugilares Szulkowi! Co prawda podejrzewał nieco pana Pitulskiego, ale obecne wystąpienie Maji rozwiało ostatnie jego wątpliwości. Tak — musiała być albo narwana, może — kleptomanka, albo też sprytniejsza od niego, bez żadnych skrupułów. I zresztą inaczej być nie mogło, gdyż normalna panna z jej sfery nie zadawałaby się z takim, jak on.

Ale nie miał siły opierać się jej. Znadto była mu bliska. Znadto czuł w sobie to samo, co ona, pragnienie używania życia. I nawet jej inicjatywa ułatwiła mu wypowiedzenie czegoś, co już od dawna nosił na sercu.

— Ja bym chciał jeszcze raz spróbować z tym klubem.

— Jak to?

— Ja bym pobił Wróbla do zera!

Wzruszyła ramionami, zmęczona i znudzona tym wszystkim. Wróbel był jedną z najlepszych rakiet europejskich, nazwisko jego od kilku lat stale widniało na liście Myersa — o tym, aby Leszczuk miał go pokonać, nie mogło być mowy.

— Wymyśliłem nowe uderzenie. Mogę pobić każdego, jak będę chciał.

— Co za bzdury!

— Zajdźmy na jaki plac, to pokażę.

Wkrótce nawinęła się im tablica z napisem „place tenisowe”. Weszli. Maja była obojętna, apatyczna. Wynajęli pantofle i rakiety, przy czym Leszczuk długo oglądał struny rakiet, zanim wybrał jedną, mocno już zdezelowaną, o pięknej ramie.

I oto stali naprzeciwko siebie na korcie Jak w Połyce. Ale nie mieli ochoty grać. Nie byli odpowiednio ubrani, a zresztą... Tenis już im nie wystarczał i nie było między nimi tej swobody — tylko sztywność, trudność, skrępowanie.

— Proszę zaserwować — rzekł.

Maja zaserwowała, on zaś odbił — piłka dość ostra tuż za siatką załamała się, jakby zniecka podcięta niewidzialną ręką i prawie pionowo spadła na ziemię. Żaden gracz nie mógłby dopaść jej na czas, po prostu nie warto było biegać.

To samo powtórzyło się z następnymi piłkami. Zmieniła system serwisu. Podawała mu potem mocne *druffy* na ostatnią linię. Wszystkie piłki odbite przez nią kończyły się tuż za siatką, jak ucięte. W tych warunkach właściwie nie było wcale gry. A jednocześnie z punktu widzenia formalnego nie można było nic zarzucić. Zdawało się, iż Leszczuk sztukę skracania piłek opanował w stopniu dotychczas nieznanym i nieosiągalnym.

— Jak to się robi? — zapytała zdumiona, podchodząc do siatki.

Uśmiechnął się.

— To jest taki wynalazek. Trzeba raketę wziąć tak — wyjaśniał — i tak pociągnąć nią przy uderzeniu. Piłka nabiera wtedy specjalnego obrotu i musi spaść tuż za siatką. To nie jest żadna sztuka, zwykle „podcięcie” piłki, tyle tylko, że raketę trzyma się inaczej i przez to ruch piłki jest inny.

— Ale że też nikt na to nie wpadł! — zawołała.

W istocie było to niezrozumiałe! Zdawałoby się, iż nie ma już uderzeń i chwytów, które by nie

były wypraktykowane przez miliony graczy na tysiącach kortów świata!

— To uderzenie niejednemu musiało się zdarzyć przypadkowo, jak mu się rakietą zwinęła w rękę. Ale cała rzecz w tym, że jak się pierwszy raz tak uderzy człowiekowi się zdaje, że to głupie i że nic z tego nie może wyjść. Kiks i tyle! Na pozór to takie głupie trzymanie rakiet, że aż odrzuca. Dopiero jak się poćwiczy trochę, to się widzi, że w tym jest coś! A druga rzecz, to że do tego potrzebna jest specjalna rakietą — stara, z miękkim naciąganiem, a w szczególności te dwie struny z boku muszą być wolniejsze. Dobrą rakietą nie można tak zagrać.

Chciała go zapytać, jak wpadł na to, ale w formie bezosobowej to pytanie było trudne do postawienia. Domyślił się jednak o co chodzi.

— Ja to wynalazłem jeszcze dawniej w Lublinie — rzekł — ale dopiero teraz doprowadziłem do doskonałości. Teraz najlepszy gracz świata nie mógłby wziąć ode mnie seta!

— To w ogóle uniemożliwia tenis! Trzeba by wprowadzić jakieś nowe reguły. To odbicie nie dopuszcza do gry!

— Mógłbym pobić wszystkich! — powtórzył zawzięcie Leszczuk.

I nachylił się ku niej:

— Można by nie mówić nikomu, że ja wymyśliłem taki sposób — tłumaczył nie patrząc na nią. Gram niezłe, a jeśli ktoś nie wie, o co chodzi, to pomyśli, że w tym nie ma żadnego nabierania, tylko że ja dobrze skracam piłki i tyle! Nie potrzebuję stale tego robić, tylko od czasu do czasu. W każdym secie mogę nadrobić tak parę gemów, a nikt się nie pozna. Gdyby teraz urządzili ze mną próbę w klubie, to wszystkich bym orznął! Tylko trzeba by ich namówić żeby ze mną zagrali! Ja bym ich rozniósł!

Mają spojrzeć na niego z boku. Aha, więc on jest taki! W głosie jego była poufalskość, jakby wiedział, że ona go zrozumie i liczył na jej poparcie. Uśmiechnął się niepewnie i półgłosem zapytał:

— Ho co? Przecie jak bym wygrał... to i nam byłoby łatwiej. Miałbym przynajmniej jakieś stanowisko.

— Aha — to on podchodził do tego tak... matrymonialnie? — Chciała się odsunąć z odrazą, ale — przecież to był jej uśmiech, jej sposób mówienia, ona zupełnie tak samo mogłaby to powiedzieć. I zresztą czyż ona była lepsza? Ot, głupi ordynarny chłopak i zdeklasowana panna.

— Zobaczmy — mówiła niepewnie i jakby mimo woli. — Wkrótce będzie mecz pokazowy w Skolimowie. Można by coś wykombinować. Namyślę się. Jeżeli raz publicznie udałoby się pobić Wróbla, to już potem musieliby urządzić oficjalną rozgrywkę. Czy mu zabłyśły. — Pewnie!

I od razu poczuli się bliscy sobie, w doskonałym porozumieniu. O, czemuż tylko w złym się łączyli?! Dlaczego wystarczało, aby zaczęli spiskować, a już oboje doskonale czuli się ze sobą i przyskały wszelkie trudności obcowania.

Pożegnała się z nim prędko. Powróciła do domu i położyła się, ale przed spaniem jeszcze wyskoczyła z łóżka i wszystko, cokolwiek mogło przypominać wiszącą płachtę, a więc ręczniki, szalik, bluzki na wieszakach — wszystko to pochowała, albo poukładała na krześle, tak, aby nie wisiały. Mimo to jednak sen znowu ją nawiedził. I znowu we śnie na tle białej ściany z wąskim oknem — płachta, czy też zwierzę — coś ruszającego się, jakaś rzecz straszna w tak okropnym zdławionym ruchu, iż oboje — Leszczuk i ona — sparaliżowani grozą byli wydani jej na pastwę i tylko czekali, kiedy ta rzecz się przybliży. A potem ujrzała jeszcze coś. Ujrzała, jak ta płachta pcha się Leszczukowi w usta, a on się dusi. Krzyknęła...

ROZDZIAŁ XVI

Mecz pokazowy w Skolimowie, który odbył się dwa dni po przeniesieniu się Maliniaka, Maji i markizy do Konstancina, zgromadził tłumy publiczności. Nie była to wprawdzie specjalna atrakcja sportowa, ale dzień świąteczny i wspaniała pogoda ściągnęła wiele osób z Warszawy, nie licząc tubylców i gości miejscowych.

Trybuny obsadzone były do ostatniego miejsca. Takie mecze, traktowane raczej jako żart i rozrywka, pozbawione balastu odpowiedzialności, dostarczają często graczom i publiczności więcej satysfakcji, niż ciężkie walki reprezentacyjne.

Częstokroć też na takich drugorzędnych imprezach, gdzie ryzyko nie jest lekkomyślnością, padają najlepsze piłki.

A do tego przyjemny chłód pod drzewami, zieleń, plamy słoneczne, orkiestra Przygrywająca w oddali. Wszyscy byli w świetnych humorach i popijali lemoniadę, roznoszoną przez zamorusanych chłopaków.

Rzecz jasna, okrasą meczu był Wróbel, mistrz Polski, który naprzód rozegrał *single'a* z Lipskim, zadając mu kompletną porażkę, ku uciechu swoich wielbicieli. Po przerwie miał nastąpić *mixte*. Wróbel z Antonówną miał grać przeciwko Maji z Klonowiczem.

Antonówna, o wiele słabsza od Maji, wyrównywała nieco szansę, ale i tak nikt nie wątpił, że Wróbel będący u szczytu formy, rozniesie przeciwników. Co prawda Klonowicz dzięki swoim sztuczkom i doświadczeniu był w grze podwójnej o wiele lepszy niż w *single'u*.

— No, dosyć tego dobrego i jazda! — poganiał Ratfiński graczy, podczas gdy publiczność klaskała i gwizdała zarówno z niecierpliwości, jak i dla uciechy.

— Jestem dziś fatalnie niedysponowany — zastrzegł się na wszelki wypadek! Klonowicz. — Całe rano bolała mnie głowa. :

— Właśnie zauważyłam, że jesteś blady jak trup! — rzekła współczująco Antonówna, co wywołało śmiechy, gdyż Klonowicz był opalony w kolorze kawowym.

Wszyscy znali jego histeryczne kaprysy przed każdym publicznym występem. Natomiast Wróbel rzeczywiście miał tremę, chociaż mecz ten był dla niego zabawką i chociaż przed kwadransem wykazał się doskonałą formą. Nerwowo podrzucał raketę i rozglądał się niecierpliwie.

— Chodźmy! — rzekł.

Powitano ich oklaskami. Pierwsze piłki minęły bez większych sensacyj — głowy patrzących zwracały się w prawo i w lewo — wtem Maja pośliznęła się i upadła. Klonowicz podbiegł do niej, ale zerwała się bez jego pomocy. Jednakże kiedy zrobiła parę kroków, okazało się, że kuleje.

— Oho, nie będę mogła grać — rzekła.

— Co się stało?

— Boli mnie noga w kostce. Nie ma mowy!

Zapanowała konsternacja.

— No i co teraz będzie? Nie ma zapasowej kobiety! — zawołał Ratfiński. — Mecz diabli wzięli! Czy przynajmniej nie zrobiła sobie pani czego?

— Nie, to głupstwo. Naciągnęłam ścięgno.

— Klonowicz będzie musiał zagrać z Wróblem *single'a*.

— Co? Ja? Wykluczone! Nie jestem usposobiony!

— Nie można przerywać meczu. Publiczność zapłaciła! I Ratfiński wyszedłszy na fotel

sędziowski ogłosił:

— Proszę państwa! Panna Ochołowska nadwerżyła nogę i nie będzie mogła grać. Wobec tego nastąpi *singel* Wróbel — Klonowicz.

Ale decyzja ta została przyjęta gwizdaniem i protestami. Klonowicz był za słaby na Wróbla. Poza tym był nielubiany. Burzliwe elementy zaczęły wrzeszczeć:

— Nie chcemy! Precz z Klonowiczem!

— Co za gawiedź bez wychowania! — syknął Klonowicz.

Maja kulejąc podeszła do niego.

— Weźcie na moje miejsce Leszczuka — rzekła — on gra nie gorzej ode mnie. Siedzi o tam, na trybunie.

— Jakiego Leszczuka?!

— No tego, z którym grałeś na próbę trzy gemy.

— Ach, ten! — wmieszał się Ratfiński. — Ale przecież on nie ma pojęcia!

— Grałam z nim wiele razy! Gra lepiej ode mnie! Możecie śmiało zaryzykować! On wtedy był zupełnie zdemoralizowany przez Klona! Ręczę za niego — mówiła Maja gorączkowo, a Klonowicz przerażony perspektywą *single*’a z Wróblem okazał się nad wyraz pojednawczy. Zresztą Leszczuk po owych trzech suchych gemach nie wydawał mu się groźny.

— To nawet byłaby idea. Ostatecznie w *double*’u. A przy tym ja go wtedy rzeczywiście trochę wytrąciłem z uderzenia. W razie gdyby się okazał zupełnie do niczego, niech Wróbel gra na mnie i jakoś wybrniemy. Tylko czy on się zgodzi?

Poszli do niego z Mają i wykiwali go z trybun. Ale wtedy i „Klonowi” i Ratfińskiemu stało się jasne, czemu Maja skrzyła nogę. Dość było spojrzeć. Obaj słyszeli coś niecoś o dziwnych przygodach panny Ochołowskiej, a teraz nie mieli żadnych wątpliwości. Jeżeli była zamieszana w jakiś romans, to tylko z nim!

— No tak! — rzekł z niesmakiem Ratfiński. Ale już nie mogli się cofać. Publiczność się niecierpliwiła.

— Proszę państwa! — ogłosił kapitan. — Zamiast panny Ochołowskiej zagra pan Leszczuk.

— Kto?!

— Nie chcemy!

— Zaczynać!

— Precz! Precz! Prę-dzej, prę-dzej, prę-dzej, prę-dzej — i wszystkie trybuny zaczęły skandować upajając się własnym wrzaskiem w letni, upalny dzień.

Przy tym akompaniamentem gracze weszli na plac. Leszczuk z Klonowiczem przeciwko Wróblowi i Antonównie. Klonowicz półgłosem udzielał Leszczukowi nauk.

— Tylko niech pan mi nie przeszkadza! Niech pan się stara grać jak najmniej!

Potężny serwis Wróbla przerwał te instrukcje! Gra się zaczęła. Klonowicz nie odbił. Leszczuk z kolei również.

— Trzydzieści zero — ogłosił sędzia.

Klonowicz znowu nie odbił.

— Czterdzieści zero.

— Nie ma gry! — orzekły trybuny.

Ale czwarta piłka wypadła dziwacznie. Serwis Wróbla, który nie lubił się „patyczkować” w żadnej, nawet najsłabszej partii, był bardzo trudny i mocny. Mimo to ów przygodny amator nie tylko złapał piłkę, ale zdołał ją skrócić tak bardzo, iż była nie do wzięcia.

— Czterdzieści piętnaście.

Z kolei poszczęściło się Klonowiczowi. Odbił na Antonównę. Piłka nie była zbyt mocna. Antonówna zagrała na Leszczuka ponieważ uważała go za słabszego. — Na nią! — szepnął

Klonowicz. — Omijać Wróbla! Ale Leszczuk z całej siły odesłał piłkę Wróblowi i rzucił się do siatki. Uderzenie było wspaniałe, piłka poszła, jak strzał. Wróbel cudem ją odbił. Klonowicz nie miał żadnych trudności z odbiciem tej piłki, ale nie zdołał jej wykończyć.

I naraz ku zdumieniu widzów nastąpił pojedynek przy siatce między Wróblem, i Leszczukiem. Kilka volleyów, błyskawicznie szybkich, lob Wróbla, smecz Leszczuka i koniec.

Grzmot oklasków rozległ się naokoło.

Ale zanim ucichły oklaski, Wróbel już serwował do Leszczuka. I znowu nagły, pewny skrót piłki. Co się działo?

Po chwili pierwszy gem zakończył się zwycięstwem pary Klonowicz — Leszczuk.

— Niech pan nie przeszkadza! — gorączkował się Klonowicz, któremu jeszcze zdawało się, że to on wygrał gema.

Ale patrzący nie mieli już wątpliwości. Zarówno wynik, jak i, co więcej, wspaniały ruch Leszczuka, nieokreślona, a wyczuwalna rasa jego uderzeń, zdawała się wskazywać, że jest to w istocie gracz pełnej krwi. Naraz zwykła niedzielna rozrywka stała się sensacją. Wiele osób sądziło jednak, że jest to chwilowa szczęśliwa passa, jaka może zdarzyć się każdemu.

Lecz w drugim gemie, ci którzy znali Wróbla — a znali go prawie wszyscy — zdumieni byli zmianą jaka w nim zaszła. Mistrz Polski spowaźniał, stał się zacięty i chmurny. Skupił się i z napiętą uwagą przystąpił do akcji. Wyglądał tak samo, jak podczas najtrudniejszych rozgrywek międzynarodowych. Zaczął grać wyłącznie na Leszczuka.

A Leszczuk tylko w jego stronę odsyłał piłki. Klonowicz i Antonówna zostali zupełnie wyeliminowani. Niezrównane *drajfy*, silne, gwałtowne szły nad siatką na ukos kortu. Zdawało się iż obaj widzą tylko siebie na placu. W pewnej chwili Klonowicz chciał podbiec i skończyć piłkę, ale Wróbel krzyknął:

— Na bok!

Znów zerwała się burza oklasków. Wszyscy zrozumieli, że tu nie może być mowy o dalszej grze podwójnej. Obaj ci gracze nazbyt byli sobie ciekawi, zanadto chcieli się zmierzyć ze sobą. Właściwie już grali *single* 'a.

Wiele osób powstało z miejsc. Rozległy się wrzaski.

— *Singel! Singel! Singel!*

Ratfiński ogłosił, że „na żądanie publiczności” gra podwójna uległa zawieszeniu, natomiast odbędzie się gra Wróbel — Leszczuk. Oświadczenie to zostało przyjęte nowymi wybuchami wrzasków, a gdy po ustąpieniu Klonowicza i Antonówny pozostali na placu obaj zawodnicy, naraz zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Po czym nagle buchnęły oklaski na cześć Wróbla. Wróbel okręcił raketę w dłoni i spojrzał dziwnie na publiczność — uśmiechnął się dosyć smutno.

Jego wzruszenie nie mogło ujść niczyjej uwadze. To dziwne zachowanie się Wróbla jeszcze bardziej zemocjonowało patrzących — dopiero teraz wszystkim przyszło na myśl, że faworytowi może grozić klęska.

Myśl ta wydawała się nieprawdopodobna, a jednak szczególna powaga Wróbla nadawała meczowi jakąś dramatyczną cechę. I znowu stało się cicho. Lecz on stanął w pozycji i zawołał na sędziego:

— Zaczynamy!

I od razu pierwsze piłki wykazały, że mistrz Polski nie ma najmniejszych szans.

Po pięciu minutach nikt nie miał cienia wątpliwości!

Jeżeli Wróbel był niewątpliwie jedną z najlepszych rakiet europejskich, to po drugiej stronie kortu pojawił się talent żywiołowy, niesłychany, wobec którego cała technika i wszystkie uzdolnienia przeciwnika wydawały się jeno zwykłym wyrobnictwem.

Talent co prawda młodzięczy i niewyroblony, nadrabiający furią spokój i równowagę. Niemniej jednak żadne błędy taktyczne nie mogły wyrównać tej naturalnej przewagi.

Już nikt nie klaskał. Publiczność asystowała klęsce swego ulubieńca.

Wróbel wydawał się bezsilny i było w tym coś tragicznego. Najlepsze uderzenia Leszczuka przyjmowano w głębokim milczeniu, które dyktował szacunek dla dramatu Wróbla.

On zaś wydobywał z siebie wszystko co mógł. Wiedział, że walczy o swoją publiczność, która lada moment odwróci się od niego — nie dążył już do wygranej, ale do tego, by klęska nie była zbyt straszna.

Lecz wszystkie jego najlepsze uderzenia okazywały się bezskuteczne, jak gdyby odebrano im żądło.

Ilekróć uzyskiwał przewagę w gemie, tamten poczynął skracać piłki. I te krótkie piłki, z nieprawdopodobną techniką uderzone, nieomylnie, były nie do odbicia!

Nie było na nie rady!

Aż bezsilność jego stawała się śmieszna.

Ale nikt się nie śmiał. Set kończył się w śmiertelnej ciszy. Dopiero gdy sędzia ogłosił wynik, sześć — zero, ryk i brawa wstrząsnęły powietrzem. Publiczność szalała.

Wróbel słuchał, wsparty na rakiemie. Niegdyś i jego tak oklaskiwano.

W drugim secie już co chwila oklaski przerywały tę grę. Tłum zyskał nowego faworyta! I to jakiego! Leszczuk stał się ich zdumieniem, nadzieją, chwałą, zachwytem, marzeniem! Tylko jego widzieli! Zachwycała ich klęska Wróbla.

On zaś bronił się jak mógł, do ostatka. Przegrał z honorem w trzech setach sześć — zero, sześć — zero, sześć — zero i po skończonym meczu podszedł do Leszczuka z wyciągniętą ręką.

Ale tłum porwał mu go sprzed nosa i uniósł do góry.

Wróbel zszedł z placu i oddalił się, przez nikogo nie zatrzymywany.

Tymczasem Leszczuka obstąpili gracze.

— Do licha, do licha! — powtarzał Ratfiński. — Diabli, panowie, diabli! Niech mnie kaczki!

— Puchar Davisa nasz!

— I to on przegrał z Klonowiczem!

— Największy dzień polskiego sportu!

— Pani nas oszukała — rzekł Ratfiński do Maji, która zapomniała na śmierć o swojej nodze — ale niech tam! Dobrze nam tak!

Leszczuk wyrwał się z tłumu i zbliżył się do niej.

— Chodźmy! — rzekł bez cienia radości.

W godzinę potem szedł z nią cienistą aleją konstancińską.

Dochodzili do willi, wynajętej przez Maliniaka. Był to spory piętrowy budynek, drewniany, bardzo przyjemny, trochę, przypominający dworek z ogródkiem.

— Tu się pożegnamy — rzekła, przystając w pewnej odległości od willi. Przez cały czas nie rozmawiali z sobą prawie wcale...

— Jak zrobimy? — zapytał wskazując na willę.

— Mamy jeszcze czas — powiedziała nerwowo. Była tak wyczerpana tym okropnym, oszukańczym meczem — ale on odparł:

— Nie warto odkładać. Wole od razu wszystko razem załatwić.

— Tu jest jego okno — powiedziała. — Mój pokój jest obok, ale cała rzecz w tym, że nie ma innego wyjścia, jak tylko przez pokój Maliniaka. Mogłabym sama wyciągnąć pugilares i wręczyć, komu należy, ale musiałabym wtedy albo spędzić resztę nocy na dworze, albo też wrócić do siebie przez ten pokój — a wtedy mógłby się obudzić.

— No to jak?

— W nocy zajrzę do niego i zobaczę, czy twardo śpi. Jeżeli tak, to na moment zapalę zapałkę w moim oknie. Wtenczas można będzie wejść przez okno do pokoju i zabrać pugilares — jest pod poduszką — i wręczyć go osobie, która oczekiwać będzie w samochodzie przed wejściem do parku. Wszystko razem nie powinno trwać dwóch godzin. Z powrotem pugilares zostanie mi oddany przez moje okno. Jeżeli coś się pokręciło, na przykład gdyby się obudził i spostrzegł, że pugilaresu nie ma, wówczas zapalę lampę u siebie, a rolety spuszczę do połowy okna.

— Zgoda! Załatwimy to dzisiaj.

— Dzisiaj?

— Dzisiaj! Od razu. Ale muszę znać rozkład pokoju.

Dał jej ołówek. Narysowała pośpiesznie na karteczce plan i wręczyła mu.

Jeszcze w ostatniej chwili, kiedy się żegnali, chciała wycofać się z tego, powiedzieć, że ona nie zgadza się, że to niepotrzebne — ale zabrakło jej energii.

Leszczuk podczas tego meczu ujawnił się jej we wszystkich cechach swego charakteru. Była zrezygnowana. Czy warto narażać się na zemstę prezesowej. Jeżeli za miesiąc czy dwa, obcując z tym chłopakiem, popelni rzeczy, być może jeszcze dużo gorsze?

Leszczuk nie wrócił na noc do Warszawy, ale wynajął pokój w pobliskim pensjonacie i rzucił się na łóżko.

Był zmęczony, ale nie zasnął. O swoim triumfie nad Wróblem nie myślał wcale. Tenis przestał go interesować. Trudno. Stało się i już się nie odstanie.

A mógł go pobić uczciwie!

Teraz wiedział o tym, że miałby nad nim przewagę, nie uciekając się do nieuczciwych sposobów. Wynik byłby mniej wspaniały, ale — prawdziwy.

Trudno. Stało się...

Już odtąd zawsze będzie musiał fałszować grę — gdyż publiczność będzie zawsze wymagała druzgocących zwycięstw.

A co do Maji, także — trudno. Trudno. Widać to jest im przeznaczone, widać — z nim — mogły łączyć pannę Ochołowską tylko takie więzy.

Więc dobrze. Od Maji nie odszedłby już za nic. Niech będzie, co ma być, odkąd zaczął oszukiwać w tenisie, tym bardziej stało mu się wszystko jedno. Byłe prędzej...

Miał tremę, choć wobec Maji wstydział się ją okazać.

Niebo było chmurne, aleja przed willą Maliniaka — prawie czarna. Rosły tutaj gęsto drzewa.

Przystanął między drzewami i wyczekiwał sygnału Maji.

Przez uchyloną furtkę nietrudno było dostać się pod okno Maliniaka, tym bardziej, iż tutaj także rosły drzewa i cień zalegał wszędzie.

Leszczuk oczekiwał sygnału Maji — tej zapalanej zapałki w oknie. I zaczął coraz bardziej się niepokoić.

Gdyby chodziło tylko o tę kradzież — bałby się, ale nie tak bardzo, a przynajmniej w inny sposób.

Ale tutaj oprócz konkretnego niebezpieczeństwa, dochodziło jakieś inne, z którego nie umiał dobrze zdać sobie sprawy. Nie — ona nie była normalna. To nie było naturalne, że panna z jej sfery robiła takie rzeczy — zadawała się z nim — i uciekła z domu...

Przypomniał sobie, jak od początku ich znajomość stała się jakaś nienaturalna.

A te sny wspólne...

A te usta...

A podobieństwo...

Stokrotnie mniej lękałby się tego czynu, gdyby on nie musiał być dokonany z Mają. A może ona zwariowała? Jest chora?

Na koniec w oknie Maji błysnęło słabe światełko zapalonej zapalki — i natychmiast zgasło. Znak, że Maliniak śpi.

Odczekał jeszcze z dziesięć minut, rozejrzał się, czy nikt nie nadchodzi i cicho wszedł przez rozchyloną furtkę. Mogła być godzina pierwsza.

Wsunął głowę przez okno pokoju Maliniaka i nasłuchiwał. Panowała cisza grobowa...

Nie namyślając się dłużej wszedł przez okno. Znieruchomiał gotów w każdej chwili uciekać w razie gdyby coś się poruszyło.

Ale nic się nie ruszało. Uderzyło go, iż nie słychać wcale oddechu Maliniaka. Coś nie tak, jak być powinno. Czyżby nie spał?

Leszczuk postąpił krok naprzód i znowu zatrzymał się. Ta cisza?

Ale był już za blisko, aby się cofnąć. Stał o dwa kroki od łóżka i z biedą mógł rozróżnić jego głowę. Otóż ta głowa wyglądała, jak przyklejona do ściany.

I nie spał. Spoglądał na Leszczuka szeroko otwartymi, ba wysadzonymi z orbit oczami. Tak się zdawało przynajmniej. Ale co było przerażające, to iż głowa ta nie ruszała się wcale, nie drgnęła nawet.

Leszczuk cofnął się gwałtownie i zawadził o lampę, która spadła z hukiem. Głowa Maliniaka nie poruszyła się — tylko ciągle, wytrzeszczony, wybałuszony spoglądał i... usta miał sine, aż czarne.

Leszczuk rzucił się na Maliniaka, szarpnął go za ramiona. Głowa osunęła się na bok...

Maliniak konał....,

W zupełnym milczeniu, bez oddechu, z wytrzeszczonymi oczami. Tylko palce kurczyły się i rozkurczały...

Na szyi miał zaciśnięty stryczek z mocnego sznurka. Koniec tego sznurka zwisał z łóżka.

Ktoś zadusił Maliniaka tym stryczkiem akurat w momencie, gdy on wchodził do pokoju. Ale kto? Przecież w pokoju nie było nikogo. Na pewno! Czyżby ktoś — ukrywał się pod łóżkiem?

Zajrzał. Nic. Nic. Nikogo w pokoju... Kto ciągnął za sznurek?! Kto udusił?!

Włosy stanęły mu dęba. Rzucił się do okna, przesadził parapet i uciekł na oślep aleją.

To Maja udusiła Maliniaka!

Nikt inny, tylko ona! Przecież nikt nie mógł dostać się do jego pokoju, tylko ona. Przez okno nikt tu nie mógł wejść, gdyż on by widział.

Tylko Maja! Maja zakradła się, założyła stryczek, ciągnęła — a słysząc iż on, wchodzi, cofnęła się. Wszystko inne było złudzeniem! To był fakt w całej swojej nagości.

Po co? W jakim celu? Dlaczego akurat w tej chwili? Któż to mógł wiedzieć?; Może próbowała sama wyciągnąć pugilares, a kiedy Maliniak zbudził się — udusiła.

Leszczuk nie próbował wnikać w przyczynę i przebieg morderstwa. Dla niego było wstrząsające, że to ona zrobiła.

Była szalona? Obląkana? Czy też potworna, do gruntu zepsuta?

I to do niej czuł taką skłonność nieodpartą! Ona mu się tak podobała! Do niej był podobny! Z tą szaloną, ohydną dziewczyną łączyła go jakaś wspólność?!

Leszczuk nie rozumiał tego, ale czuł tak głęboko swój związek z nią, że wszystko cokolwiek ona zrobiła było — jakby to on zrobił — należało do niego — było jego...

Więc pomimo, iż myśli przelatywały mu po głowie, jak spłoszone ptactwo, od razu zadał sobie pytanie — czyja mógłbym zrobić coś podobnego? Czy mógłbym tak zadusić Maliniaka?

Od tego pytania wszystko zależało.

Gdyż jeżeli on mógłby to zrobić to znaczyło, że i ona mogła... A jeśli mogła, to zrobiła.

Wszystko przemawiało za tym, że ona... a jedyne co przemawiało przeciw, to iż podobnie szalony, potworny czyn był niemożliwością dla niej — jakżeż, ona mogłaby założyć śpiącemu

stryczek, ciągnąć... nie, chyba rzeczywiście działała w obłądnie.

I Leszczuk zatrzymał się nagle w biegu.

Stojąc nieruchomo zastanawiał się czy on by mógł iść siebie. Wczuwał się w siebie. Czy to w ogóle było możliwe? Tak wejść, .ożyć, ciągnąć — okrutnie, dziko...

Zastanawiał się...

Naraz, jak przyłapany niespodziewaną myślą, wyjął prędko z kieszeni lusterko.

Usta miał sine — prawie czarne!

I jednocześnie poznał w sobie jakieś rozluźnienie — jak gdyby wymykał się samemu sobie.

Zaczął biec. Ale to nie pomogło — czuł, że się sobie wymyka, że jakoś traci się, nie może się ująć. Coś go opanowało. Chciał krzyknąć ale już nie krzyknął. Z zaciśniętymi ustami, niemy pędził na oślep przez pola i wiedział tylko, że niesie ze sobą te sine, złe, okropne usta!

ROZDZIAŁ XVII

Maja w napięciu zbliżyła się do drzwi, ażeby skontrolować sen Maliniaka i zapaloną zapalką dać znak Leszczukowi.

Ale w tej samej chwili usłyszała, jak okno zaskrzypiało w jego pokoju, a zaraz potem doszło ją skrzypnięcie podłogi.

Czyżby Leszczuk już wszedł — zanim ona zapaliła zapalkę? Nie chciał dłużej czekać — a może sam, zajrzawszy przez okno, przekonał się, że Maliniak śpi. W każdym razie nie było to dobre. Nasłuchiwała.

Nagle usłyszała łoskot spadającej lampy, który rozległ się po całym domu, a zaraz potem — odgłos jakichś gwałtownych poruszeń.

Rzuciła się do okna i jeszcze dojrzała Leszczuka, uciekającego w popłochu przez furtkę. Po czym wszystko ucichło.

W pokoju Maliniaka panowała cisza.

Maja z pięć minut stała przy drzwiach, zanim zdecydowała się je otworzyć.

I znowu cisza. Bezruch zaiste śmiertelny.

Co się stało?

Maliniak leżał na łóżku, uduszony stryczkiem. Usta miał półotwarte, zsiniałe i czarne. Leszczuk... Zrobiło jej się słabo i usiadła przy łóżku. Myśli jej latały. Co robić?! Leszczuk!

Ukryć?! Przecież nic się nie ukryje!

Ktoś schodził po schodach i delikatnie zastukał do drzwi. Maja nie otwierała. Znowu. Wreszcie zaczęto się dobijać, szarpać klamkę.

Otworzyła.

— Co pani tu robi? — zapytała.

W drzwiach ukazała się markiza di Mildi z zapaloną świecą.

A zbliżywszy się do łóżka krzyknęła i w pięć minut potem cały dom był na nogach. Lokaj, kucharka, stróż nocny. Zapalono światła, puszczone w ruch telefon, zrobił się rejwach.

Maja, osłupiała, chciała wyjść z willi, odetchnąć, ale markiza złapała ją za rękę.

— Proszę nie wychodzić póki nie zjawi się policja.

— Ja będę tutaj, przed domem.

— O, nie! Proszę pozostać z nami.

Maja pobladła.

— Dlaczego?

— Ja nic nie wiem! Zastałam panią przy wuju. Kategorycznie żądam, aby para nie odchodziła nigdzie, póki nie przybędą władze. Proszę niczego nie ruszać! — zwróciła się do służby.

Przed dom zajechał samochód i wkroczył komisarz w asyście kilku policjantów. Usunął wszystkich do sąsiedniego pokoju i zabezpieczywszy ślady, rozpoczął wstępną indagację.

— Kto z państwa odkrył morderstwo? — zapytał.

— Ja — powiedziała Maja.

— Nie pani, a ja — przerwała jej margrabina. — Ja, ja, ja!

„Lwica” wysunęła się naprzód, blada w czerwone plamy, rozczochrana, w potwornym perskim szlafroku, ofiarowanym jej przez nieboszczyka. Na domiar wszystkich ostatnio wycierpianych nieszczęść dostała jęczmienia i lewe oko spuchło jej niemiłosiernie.

— Ja zaalarmowałam dom! Pragnę złożyć zeznania!

— Proszę, niech pani mówi — rzekł komisarz, widząc iż nie pozbędzie się tak łatwo

histeryczki.

— Panie komisarzu! — zaczęła pani di Mildi. — Jest to najbardziej zagadkowa zbrodnia, o jakiej kiedykolwiek czytałam!

Komisarz nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Widzę, iż pani naczytała się o zbrodniach niemało — rzekł.

— Nie, nie, nie to chciałam powiedzieć! Jestem taka rozrzuśiona! Panie komisarzu, to jest zagadka! W nocy bolała mnie głowa, nie mogłam spać, ze szłam na dół, ażeby wziąć proszek od mego wuja. Drzwi do jego pokoju były zamknięte na klucz. Zastukałam — nikt nie odpowiedział. Zaczęłam się dobijać a wtedy otworzyła mi ta pani i od razu zobaczyłam, że wuj nie żyje. Jeszcze był ciepły.

— Więc drzwi były zamknięte od wewnątrz?

— Tak.

— A okno? Czy okno było otwarte?

— Zamknięte.

Maja chciała wtrącić, że przecież okno było otwarte, ale zbrakło jej siły.

— Więc tylko z sąsiedniego pokoju był dostęp do pokoju pana Maliniaka?

— Tak.

— A kto zajmował ten pokój?

— Panna Ocho...

Markiza otworzyła usta, wytrzeszczyła oczy, rozłożyła ręce.

— To niemożliwe! — krzyknęła. Może się mylę! Może ktoś przez okno... Proszę, sprawdzić czy są jakie ślady pod oknem. Wpatrywała się w Maję z przerażeniem.

Czy pani potwierdza, że drzwi wiodące do przedpokoju były zamknięte od wewnątrz? — zapytał komisarz Maję.

— Były zamknięte Ale ja...

— Niech pani mówi spokojnie.

— Ja byłam u siebie. Kiedy weszłam do pokoju pana Maliniaka, już zastałam go nieżywego.

— A po co pani wchodziła?

— Bo zdawało mi się, że ktoś tam wszedł przez okno.

— Więc okno było otwarte?

— Otwarte.

— Kłamie — wtrąciła szydlerczo markiza — kłamie! Okno było zamknięte. Ale sprawdźcie ślady pod oknem. Gdyby ktoś wchodził przez okno, musiałyby pozostać ślady, bo grunt jest miękki. Przeszukajcie cały ogródek!

Rzuciła się na ciało Maliniaka.

— Zabiła cię! Zabiła! — krzyczała. — O, Boże! Boże! Boże! Od dawna, od dawna wiedziałam, że na tym się skończy!

— Na razie poczekamy do przybycia sędziego śledczego — rzekł komisarz spoglądając na zegarek.

Margrabina osunęła się na kanapę

— Słabo mi — szepnęła.

Lecz policjant, pełniący straż pod oknem, zawołał:

— Tu są wyraźne ślady! Ktoś tędy uciekał!

Komisarz wyszedł na dwór, a po chwili wrócił. Twarz jego zdradzała zdziwienie.

— Są ślady kroków od furki do okna i z powrotem. Nie może być dwóch zdań! Zupełnie świeże.

Markiza momentalnie powróciła do przytomności.

— Jak to? Są ślady? — zapytała.

— Wyraźne. Od furtki do okna.

— Niemożliwe! Okno było zamknięte! To nonsens!

Wybiegła przed dom, zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać. Ale nawet widok wyraźnych odcisków stóp nie przekonał ją.

— Niemożliwe! — krzyczała histerycznie. — Wykluczone! Kiedy mówię wam, że okno było zamknięte! Wuj zawsze zamykał okno na noc. To jakiś zbieg okoliczności! Może wczoraj ktoś tu chodził! Proszę sprawdzić!

Nadjechał sędzia śledczy i ponownie przeprowadził badanie.

— Nie ulega kwestii. Ktoś wszedł przez okno — zdecydował — o, na podłodze także są ślady stóp.

Od tej chwili margrabina zamilkła. Śmierć Maliniaka była dla niej straszliwą katastrofą, wiedziała bowiem, że zmarły nic jej nie zostawił. A do tego Maja, która, zdawało się, już była pogrążona bez nadziei ratunku, znowu wypływała!

Popadła w rodzaj osłupienia i tylko uśmiechała się drwiąco od czasu do czasu, ze swoim spuchniętym okiem i w swoim wzorzystym, żółto — zielonym szlafroku.

Tymczasem sędzia przypatrywał się bacznie poduszce, na której spoczywała głowa Maliniaka i rzekł po cichu:

— Popatrz pan! To dziwne! Widzi pan, jak głowa jest wciśnięta między poduszkę a ścianę? Wygląda jakby morderca ukryty był pod łóżkiem i stamtąd ciągnął stryczek.

— Nonsens! — odparł komisarz i zaraz dodał. — W ogóle to morderstwo jest dziwne. Czy słyszał kto o czymś takim — żeby stryczkiem dusić? A może to samobójstwo?

— Nie! Jego wyraźnie uduszono.

— Spod łóżka?

Usta trupa stawały się coraz bardziej czarne. Obaj odwrócili się od tego widoku. Komisarz zajrzał pod łóżko i wydobyl stamtąd chusteczkę do nosa, która spadła z łóżka na podłogę.

— A może ta chusteczka udusiła? — rzekł z ironią. — Ona tylko była pod łóżkiem!

Maje zwolniono po szczegółowym przesłuchaniu. Ale kiedy opuściła willę, nogi się pod nią ugiwały. Była wyczerpana do nieprzytomności.

Leszczuk? Co się stało z Leszczukiem? Jak on to mógł zrobić? — oto jedna jedyna myśl, która kołatała jej w mózgu.

Po co? Dlaczego? Jak? Ach, więc to potwór! A ona, która mu pomogła? Umożliwiła? Oni razem, razem...

Zobaczyć się z nim! To było niemożliwe! A jednak zrobił! Zrobił!

Lecz nie zastała Leszczuka w pensjonacie. Powiedziano jej, iż nie wrócił na noc.

Pojechała do Warszawy. Nie odnalazła go. Dwa dni szukała bezskutecznie i nawet dowiadywała się dyskretnie w klubie.

W sferach sportowych panowała konsternacja. Organizowano wielki oficjalny mecz z Leszczukiem, a tymczasem nowo odkryty mistrz zniknął, nie pozostawiając adresu.

Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy, aby zniknięcie znakomitego tenisisty mogło mieć związek z zabójstwem w Konstancinie. Któż by podejrzewał młodzieńca stojącego na progu świetnej kariery o coś podobnego?

— Co się z nim stało?

Dla Maji odszukanie Leszczuka, zrozumienie, jak on to mógł zrobić, skonfrontowanie się z nim — było kwestią życia i śmierci. Zdawała się bliska obłądu. Ach, ujrzyć go, zrozumieć i przynajmniej dowiedzieć się...

Jechała dziewiątką w stanie zupełnej prostracji, gdy nagle pan siedzący naprzeciwko odezwał

się do niej.

— Najmocniej przepraszam, ale czy pani zdaje sobie sprawę, co pani robi?

Zdziwiona, podniosła głowę i ujrzała poważnego szpakowatego pana już po pięćdziesiątce, o niezwykle rozumnej twarzy.

— Co ja robię?

— Jeżeli tak dalej pójdzie, to pani podrze sobie cały rękaw.

Maja spostrzegła, że rękaw był w strzępach. Mechanicznie darła go ze zdenerwowania. Starszy pan uśmiechnął się i uchylił kapelusza.

— Nazwisko moje Hińcz — powiedział.

Drgnęła. Tak nazywał się słynny w Warszawie jasnowidz, który nieraz wprawiał w zdumienie niezwykle swymi właściwościami. Odczytywał listy w zapieczętowanych kopertach. Odnajdywał zgubionych ludzi i przedmioty.

Niejednokrotnie zdarzało mu się przepowiadać trafnie przyszłe wydarzenia, chociaż co prawda wiele z tych przepowiedni „nie wychodziło”. Jednakże nie było w tym nic z szarlatanerii i Hińcz rzeczywiście odznaczał się jakimś tajemniczym zmysłem, niedostępnym dla reszty śmiertelników.

A poza tym był człowiekiem ogromnej wiedzy, uczonym, którego prace z zakresu telepatii zyskały wielki rozgłos za granicą.

— Tak, ja właśnie jestem tym Hińczem, o którym pani myśli — odpowiedział żartobliwie na pytające spojrzenie Maji. Ona zaś natychmiast pomyślała, że mógłby jej pomóc w odszukaniu Leszczuka. Nie wiedziała tylko, jak zacząć.

— Śmiało — rzekł Hińcz, ciągle uśmiechając się dobrodusznie.

— Widzę, że pan naprawdę zgaduje myśli.

— Och, nie, tylko długie doświadczenie pozwala mi wyczuć, kto potrzebuje mojej pomocy. Jeżeli mam być szczery, to wyznam, że zacząłem rozmowę ponieważ zdawało mi się, że pani jest w potrzebie.

— Nie myli się pan — szepnęła. — Szukam kogoś.

— Ja tu wysiadam — rzekł. — Jeżeli pani pragnie, to moglibyśmy pogadać o tej sprawie. Mam właśnie pół godziny wolnego czasu. Zobaczę, co się da zrobić.

Przyjęła z wdzięcznością propozycję. Wysiedli i zaszli do małej kawiarenki na Nowym Świecie.

Ale gdy miała zacząć mówić, ugryzła się w język. W jej sytuacji zwierzać się temu jasnowidzowi nie było bezpieczne. Z drugiej strony — tylko on mógł coś pomóc!

Zdecydowała się.

— Szukam kogoś — powtórzyła niepewnie.

— Kogo?

— Wszystko jedno.

— Dobrze — rzekł. — Niech pani nie mówi. Mnie wystarczy jakiś przedmiot, należący do tej osoby, przedmiot, z którym ona była w bliskiej styczności. Czy pani ma coś takiego?

Maja przypomniała sobie, że ma w torebce ołówek Leszczuka. Dać, czy nie dać? Jeżeli da, to on gotów jeszcze przejrzeć wszystkie ich tajemnice!

Ale Hińcz, który stał się naraz poważny i jakiś nerwowy, ujął ją za rękę.

— Ze mną może pani mówić szczerze — rzekł — i radzę, niech pani mówi.

— Dlaczego?

— Bo ja mogę się pani przydać. Ja honorariów żadnych nie biorę, a jeśli się panią zainteresowałem, to z innych względów. Pani jest pierwszorzędnym obiektem dla mnie. Zauważyłem to już w tramwaju.

Pasja badacza wyrzała mu z oczu.

Podala mu ołówek, który Leszczuk pożyczyl jej przed paroma dniami, gdy rysowała plan willi. Obejrzał go dokładnie.

— Tu są ślady zębów — rzekł.

— A tak, jego posiadacz gryzł go często. Ma taki zwyczaj.

— Tym lepiej.

Zamknął ołówek w dłoni i opuścił powieki. Nagle ręka zaczęła mu drżeć i zaczął oddychać ciężko.

— Chodźmy stąd — rzekł gwałtownie. — Tu nie mogę się skupić. Niech pani pójdzie do mnie! Chodźmy zaraz!

Zawołał taksówkę.

— Czy pan coś... odczuł?

— To jest najdziwniejszy ołówek, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia! — odparł półgłosem Hińcz, przyglądając się jej uważnie.

Maji zrobiło się nieprzyjemnie. Już od dłuższego czasu tyle rzeczy dziwnych i strasznych działo się dokoła niej. A może ten Hińcz jest szarlatanem, albo, wiedząc, iż jest zamieszana w sprawę Maliniaka, pragnie w ten sposób dowiedzieć się czego.

On zaś usiadłszy na fotelu za biurkiem i trzymając ołówek w dłoni, mówił:

— Widzę go. Młody chłopak, lat może dwadzieścia, ciemny blondyn, kapelusz jasny. Idzie...

— Gdzie?

— Zaraz. Proszę nie przerywać: idzie szosą, nie widzę kierunku. Aha, słup kilometrowy. 157. Jest na sto pięćdziesiątym siódmym kilometrze. Jest zmęczony, ale...

— Co?

Hińcz skupił się.

— Nie, nie! Nie idzie, tylko pisze... Coś pisze tym ołówkiem na ścianie. Ściana biała, gruba. Zaraz, idzie szosą! Cóż to znaczy? Jemu zagraża niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo?

— Ten człowiek jest w niebezpieczeństwie... wielkim. Trzeba go natychmiast ratować! On chce zrobić coś... I w ogóle on jest albo szalony, albo... Coś jest dokoła niego, czy też w nim. Ach! Znowu coś pisze na ścianie. Nie rozumiem tego. Już nic nie widzę.

Hińcz wypuścił z rąk ołówek i spojrzał na Maję.

— Musimy go ratować — szepnęła. — Nie rozumiem tego wszystkiego. Jednocześnie widzę dwóch ludzi — tego, który idzie i tego, który pisze — to mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Ale oni obaj są w straszliwym niebezpieczeństwie.

— Dlaczego?

— Widzi pani, tego dobrze nie wiem. Ale nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się mieć do czynienia z rzeczą tak złą, jak ten ołówek. To jest najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek wzięłem do ręki. A on należał do tego człowieka. I zresztą kiedy widziałem go na szosie idącego, wyczuwałem to — że w nim zaczyna się rodzić furia. Może to obłąd? A co najdziwniejsze, to że z wyglądu wydaje się zupełnie normalny.

Czy pan wierzy, że są rzeczy złe i dobre? — spytała, spoglądając na ołówek. Wszystko mieszało się jej w głowie.

Dużo jest jeszcze na tym świecie tajemnic zupełnie niepojętych dla umysłu ludzkiego — odparł. — Widzi pani, ja z moimi właściwościami, czy też uzdolnieniami, ciągle ocieram się o takie zagadki. Ale im więcej jest tajemnic, tym bardziej jedno staje się oczywiste i jasne, a mianowicie — najprostsze nakazy sumienia, prawo moralne. Wielu rzeczy nie wiemy, ale co jest dobre, a co złe — to wiemy od razu i na pewno. Może panią zdziwi, co powiem, ale jestem

człowiekiem głęboko wierzącym.

Zmienił ton.

— Tego chłopaka nie można tak zostawić! Z nim stanie się coś niedobrego.

— Musimy zaraz go odnaleźć. Ale jak?

— Sto pięćdziesiąty siódmy kilometr? — zapytała Maja.

— Tak. Widziałem wyraźnie słup.

Dokąd mógł iść Leszczuk? Dlaczego szedł piechotą, zamiast jechać koleją? Co to była za szosa?

A może Hińcz mylił się, bredził?

Maja przypomniała sobie, że droga z Połyki łączy się z szosą lubelską na sto sześćdziesiątym drugim kilometrze tej szosy.

— Niech pan mi opisz, jaki to mniej więcej był krajobraz?

Zgadzało się. Okolica płaska, lesista, poprzerzynana wodami.

— Domyślam się, co to może być. Znam te strony.

Wyjaśniła mu pokrótce sytuację geograficzną. Zajrzał do rozkładu jazdy. — Za dwie godziny odchodzi pociąg. Nie mamy czasu do stracenia. Niech pani spakuje najpotrzebniejsze rzeczy. Spotkamy się na dworcu.

— Pan jedzie ze mną?

— Naturalnie.

W pociągu Maja opowiedziała Hińczowi całą historię swej znajomości z Leszczukiem z najdrobniejszymi szczegółami.

Była zupełnie szczerą. Nie zataiła nawet, że to on zabił Maliniaka. Była już zbyt zmoczona, ażeby cokolwiek ukrywać.

A zresztą Hińcz wzbudzał w niej zupełne zaufanie. Opowiedziała mu o snach i o tych ustach okropnych, sinych i o tym, jak fatalnie na siebie oddziaływali.

— Jeżeli on zabił, to i ja mogłabym zabić — mówiła gorączkowo — my mamy identyczne natury! Ja to wiem! Jeżeli on jest taki, to i ja jestem taka... i ja jestem taka!

Hińcz skupił się. Jego mądre badawcze spojrzenie zdawało się przenikać Maję do głębi.

— Jest to jedna z najdziwniejszych historii jakie słyszałem — szepnęła. Ale niech pani nie traci nadziei. Ta historia byłaby zresztą niezmiernie prosta i psychologicznie zrozumiała. Jeżeli on rzeczywiście jest tak podobny do pani, to jasne się staje, dlaczego tak niedobrze na siebie wpływacie. Pani jest niezmiernie żywotna, intensywna, agresywna. Otóż jeżeli taka natura znajdzie sobie naturę krewną, wówczas ta żywiołowa i burzliwa energia doznaje pomnożenia, on pobudza panią, pani — jego i tak już piętrzy się bez końca. Ta energia jest sama w sobie bezcennym skarbem. Ale jeżeli nie zostaje skierowana ku dobremu, wówczas przemienia się w niszczący żywioł.

— A w danym wypadku musiało to nastąpić — ciągnął dalej — gdyż od pierwszej chwili straciliście do siebie zaufanie i szacunek. Tak, to wszystko byłoby jasne, gdyby...

— Gdyby co?

— Gdyby nie przyplątały się tutaj jakieś czynniki... inne. Te usta. Sny. Ołówek. To wszystko są już zjawiska innego rzędu. Powiedzieć pani szczerze? Mam wrażenie, że on jest opętany.

— Czy pan wierzy w to?

— Wierzę, że człowiek może stworzyć w sobie warunki, w których zło ma niego ułatwiony dostęp. Taki człowiek przyciąga do siebie zło, jak magnes. A świecie jest mnóstwo ludzi i mnóstwo miejsc przepojonych złem. Niech pani uważa na siebie, a przede wszystkim niech pani nie traci nadziei.

Zdawało się jej, że śni. To wszystko nie mogło być prawdą. Zalatywało średniowieczem,

czarownicami. A jednak mówił to człowiek ultranowoczesny.

Więc Leszczuk był opętany? Zabił w szale?

To ją napępniało nadzieją. Ale i zgrozą.

Myśl, że Leszczuk błąka się gdzieś po drogach w tym stanie, nieświadomy ni czego i niezdolny do obrony, była straszna.

— Niech pan go ratuje — szepnęła.

Dojeżdżali już do stacji. Zmrok ogarniał miasteczko — był wieczór, godzi siódma.

Maja z łatwością uzyskała potrzebne informacje. Ktoś bardzo podobny do Leszczuka przyjechał rannym pociągiem i poszedł drogą do Połyki.

Przecucia Hińcza i domysły Maji okazały się trafne.

Wzięli dorożkę i pojechali, jak tylko można było najprędzej.

Zamek ukazał się im w oddali między drzewami, osnuty u podnóża mgłą.

Ale Hińcz kazał stanąć dorożkarzowi.

— Robimy głupstwo! Przecież widziałem go na szosie. Jedźmy tam — to jest punkt wyjścia dla naszych poszukiwań.

Pojechali więc na szosę, na ten sto pięćdziesiąty siódmy kilometr. Hińcz rozejrzał się.

— Tak, to samo widziałem. On szedł w tamtą stronę.

Dłuższy czas jechali w milczeniu. Wtem Hińcz znowu kazał stanąć dorożkarzowi i wysiadłszy, zbliżył się do małego owocowego drzewka, zasadzonego tuż przy szosie. Przyglądał mu się badawczo.

Na pierwszy rzut oka nie różniło się ono niczym od innych drzewek. Ale przy bliższym obejrzeniu widać było, iż jest poharatane nożem. Gdzieś kora była naddarta. Niektóre gałązki były popodrzynane, trzymały się tylko na włosku.

Hińcz rozpatrywał te rany z wielką uwagą.

— Jedźmy! — zawołała niecierpliwie Maja. — To zwykłe wyczyny wiejskich łobuzów!

— Czyż pani nie widzi, że to drzewko pokaleczone jest w sposób szczególny? Łobuz podcinałby gałęzie, gdyby mu coś na tym zależało. A te gałązki są przecięte tylko do połowy. Tego nie dokonała łobuzeria, tylko złość. To jest zrobione z wyrafinowaną złością.

— Pan myśli, że Leszczuk...

— Bardzo możliwe.

Mają przeszedł dreszczyk. Po cóż on się znęcał nad tym drzewkiem? Czy oszalał? Ona sama bliska była szaleństwa.

— Jedźmy, jedźmy!

Wkrótce napotkali kilku robotników, wracających z roboty przy szosie.

— Tak jest! Widzieli takiego młodego pana, będzie już ze trzy godziny, jak szedł w stronę Koprzywia...

Tak nazywało się miasteczko.

— Wynika z tego, iż on błąkał się po okolicy. Prawdopodobnie wrócił na wieczór do Koprzywia. Możliwe, że zastaniemy go w zajeździe. Zawrócili, ale jeden z robotników zatrzymał ich.

— Ten pan to chyba szalony — rzekł.

— Dlaczego?

— Podeszedł do mnie i pytał, która godzina. Powiedziałem mu sprawiedliwie, a on mnie na nogę nastąpił, mało mi palców nie połamał.

— Może przypadkiem? — zapytał Hińcz.

— Gdzie ta?! Jeszcze żeby podeszwą nastąpił, to nie mówię. Ale on obcasem mi wjechał na palce. Umyślnie nogę wykręcił i obcasem mnie przygniótł.

— Zwariował! — szepnęła Maja.

— Gorzej — rzekł jasnowidz — czy pani nie widzi, że to wszystko jest nadmiernie złe. Wolałbym, żeby pobił tego człowieka, niż żeby mu przydeptywał nogę — obcasem. Ten obcas stanowi właśnie o tym, że postępek jego wykracza poza granice normalne.

— Po cóż go szukamy! — wykrzyknęła. — I tak trzeba będzie oddać go w ręce policji!

— Spokojnie, spokojnie. A może to nie on zamordował Maliniaka? A zresztą niepoczytalność jego jest wyraźna.

Tak ją pocieszał, ale Maja trwała w krańcowej rozpaczce.

Pomimo wszystko nie mogła uwierzyć Hińczowi, że Leszczuk był opętany. To brzmiało zbyt fantastycznie.

Przekonana była, że oszalał. A jeśli nie oszalał — był mordercą. Powrócili go Koprzywia około północy i skierowali się wprost do miejscowego „Hotelu Polskiego”, który był jedynym możliwym zajazdem w całym miasteczku.

Hotel był małym piętrowym, drewnianym domkiem o kilku pokojach gościnnych. Na parterze mieściła się restauracja. Zawiadywał nią zażywny pan Kotlak, który uklonił się nisko, ujrawszy pannę Ochołowską.

— Owszem, owszem. Niedawno przybył taki pan, wynajął pokój i teraz śpi pewnie, bo zgasił światło.

Maja i Hińcz odbyli krótką naradę. Trudno było przewidzieć, jak Leszczuk zachowa się na ich widok. Mogło nastąpić wszystko.

Hińcz uznał, że rozsądniej będzie poczekać do rana, niż budzić go po nocy — wynajął więc pokoje dla siebie i dla Maji oraz zadysponował kolację.

Jedli mięso, gdy niespodziewanie wszedł Leszczuk i usiadł przy stoliku pod oknem.

Na szczęście wesół kompania, złożona z kilku podchmielonych gospodarzy, zaślaniała ich przed nim.

Maja z zapartym tchem patrzyła na jego wynędzniałą twarz.

Czy był szalony? Zachowywał się normalnie. Zamówił befszytk głosem cichym i nieśmiałym, wydawał się zawstydzony i bezbrzeżnie smutny — aż łzy napływały jej do oczu.

Serce jej ścisnęło się, chciała podejść — lecz Hińcz rozkazującym gestem wstrzymał ją.

Pragnął jeszcze obserwować. Usłyszeli, że Leszczuk wypytuje o drogę do Połyki.

— Chciałem tam pójść dzisiaj, ale zabłądziłem w lesie i wyszedłem na szosę — mówił.

— Więc to jest ten chłopak? — szepnął Hińcz, nie spuszczać z niego oczu.

— Pan szanowny do pani Ochołowskiej? — wypytywał ciekawy restaurator.

— Nieee, mam inny interes.

— Do lasu? Drzewo oglądać?

— Nieee, mam inny interes.

Zaczął jeść, ale po chwili odsunął talerz. Wzrok jego przykuł pewien przedmiot, leżący na oknie koło niego.

Był to lep na muchy. Na papierze pokrytym klejem dziesiątki much walczyły ze śmiercią, wydobywając ostatkiem sił jedną łapkę, aby pozostałe tym głębiej zanurzyć — papier pełen był okropnych wysiłków małych, konających z wyczerpania istot

— Niech pan to zabierze stąd — rzekł pośpiesznie Leszczuk.

— Lep? Gdzie mam zabrać? — zapytał zdziwiony pan Kotlak.

— Wszystko jedno! Żeby to nie było przy mnie! Prędezej!

Restaurator spojrział na niego zdziwiony, ale lep zabrał i przeniósł na sąsiednie okno.

Wówczas stała się rzecz dziwna. Leszczuk wstał — po czym skierował się nagle do lepu z muchami i zaczął palcem dobijać muchy jedną za drugą, jedną za drugą.

Chłopi podnieśli się z ławy i przypatrywali się temu zdziwieni, a gospodarz zapytał:

— Pan szanowny muchy zabija?

— Niech się nie męczą — wyrzekł jakimś zdławionym, nieswoim głosem Leszczuk.

A mówiąc to, zabijał je coraz prędzej, coraz prędzej... i miało to dziwny charakter, iż wreszcie jeden z chłopów odezwał się:

— A dosyć już tego dobrego!

W tej samej chwili Leszczuk rzucił się na niego. Piana mu wystąpiła na usta...

Porwał go obiema rękami za głowę i przerzucił sobie przez plecy z niesłychaną siłą. Zaczął miotać się z przerażonym chłopem po całej salce.

Tamci rzucili się na ratunek.

Maja i Hińcz zostali odepchnięci w kąt. Powstało kłębowisko na podłodze, a bufet runął z trzaskiem i brzękiem tłuczonego szkła.

I naraz z tej kopy ludzkiej wydarł się przerażony, straszliwy ryk:

— Jezus Maria! Jezus Maria!

Leszczuk całym ciałem uderzył w okno, wyłamał je i znalazł się na dworze. Ale zanim uciekł zatrzymał się jeszcze na moment. Obejrzał się i — zabił jeszcze jedną muchę na lepie. Zniknął. Chłopi wysypali się za nim hurmem.

— Trzymaj! Łapaj!

Miasteczko obudziło się. Otwierały się okna i drzwi, a w nich stawali wystraszeni ludzie. Pościg przelatywał uliczkami, jak złowieszcze widmo.

Hińcz nie mógł dotrzymać kroku Maji, ale wydzierając się naprzód dziewczynę schwycił za rękę i nie puszczał. Oboje biegli z tyłu.

— Zabiją go! — szeptała Maja, jak w gorączce.

Z dala dobiegł ich nowy ryk. Chłopstwo otoczyło chałupę na krańcu miasteczka. Ludzie uzbrojeni w pałki, kosy i widły, przez płot wdarli się do wnętrza zabudowań.

— Tu się schował! — wołali. — Na strychu jest!

— Za ucho mnie złapał! — wył właściciel chałupy.

— Muchy na lepie zabijał! Bić go! Bić go!

— Dom podpalić!

Gdyby Leszczuk pobił ich dwakroć więcej, nie byłiby tak rozjuszeni. Co ich doprowadzało do szału to właśnie te drobne, a dzikie fakty, jak złapanie za ucho, albo zabicie muchy. To dopiero było łajdactwo! Bić go!

Maja podeszła do nich.

— Ludzie, czyście powariowali? Przecie on uciekł przez stodołę na tamtą stronę.

— Którędy?!

Wielu poznało pannę Ochołowską z Połyki. Niektórzy zdjęli czapki, ale zaraz odezwały się głosy:

— Nie uciekł! Tu jest! Tędy wpadł i po drabinie wylazł na strych.

— A ja wam mówię, że uciekł tamtą stroną!

Hińcz nieznacznie skierował się na podwórze i korzystając z zamieszania i prowadził konia ze stajni, przywiązał mu do ogona duży wiecheć słomy i podpalił. Koń stanął dęba i pogalopował na pola.

— Ucieka! — krzyknęli słysząc tętent — konia złapał!

Wszyscy rzucili się na tyły domu.

Tymczasem Leszczuk rozerwał pokrycie dachu i błyskawicznie zsunął się na ziemię.

Przez moment Maja dojrzała go, jak stał półprzytomny, dziki i drżący, zatracony. Chciała zawołać. Lecz on w paru susach dobiegł do studni, położonej po drugiej stronie ulicy w pobliżu

zabudowań. Była to głęboka i wąska, okrągła stu z olbrzymim żurawiem.

Leszczuk bez namysłu wskoczył obiema nogami do wiadra i spuścił się i z nim do studni.

Chłopi wracali, wrzeszcząc:

— Czekałta! Nie uciek! Konia podpalil! Pilnowac go! Tu jest! Na strychu siedzi!

Znowu otoczyli dom. Maja i Hińcz z trwogą oczekiwali, kiedy chłopi spostrzegą, że żuraw jest zanurzony, chociaż przed chwilą wiadro wysoko bujało w powietrzu.

Kilku z nich oparło się o ocembrowanie studni i wystarczyło im spojrzeć w dół, aby odkryć Leszczuka. Jeżeli nie pogrzyżył się wraz z wiadrem na dno. Może wiadro opadając nabrało wody — a w takim razie los Leszczuka był już przypieczętowany.

Chłopi pomimo wszystko bali się wejść na strych. Jeden drugiego popychał.

— Te! — krzyknął pan Kotlak do chłopaka. — Przynieś dubeltówkę! Jest za szafą! Duchem!

Maja popędziła co sił w stronę hotelu, wpadła do opustoszałej restauracji, wydobyła zza szafy dubeltówkę. Była nabita. Nie namyślając się wystrzeliła z obu luf w powietrze.

Rzuciła dubeltówkę na ziemię i uciekła.

Chłopi nadbiegli, zaalarmowani odgłosem strzałów.

Hińcz dopadł Maji.

— Czy to pani strzelała?

— Ja. Ja. Ale biegnijmy do studni.

Już z daleka spostrzegła, że żuraw jest w normalnej pozycji. Leszczuk zdołał umknąć. Ale co teraz będzie? Gdzie go szukać? Co jeszcze za okropności gotów wyrządzić? Na próżno się rozglądali. Wszelki ślad przepadł.

— On zwariował! — mówiła Maja, złamana. — To furiat! Śmierć byłaby dla niego najlepsza!

I ta straszna myśl, że zwariował przez nią, że to ona go do tego doprowadziła...

Ale Hińcz był innego zdania.

— Nie! — upierał się — to jest coś innego! W jego czynach jest jakiś nadmiar zła! Furiat pobiłby ludzi, ale nie zabijałby much! Nie zabiłby zwłaszcza tej ostatniej muchy. Na to, aby wydobywszy się z takiej bójkii, jeszcze zatrzymać się i rozgnieść muchę, trzeba czegoś więcej, niż szaleństwa. I jak to dziwnie się zaczęło. Przecież on z początku rozgniał te muchy z litości, bo nie mógł znieść ich cierpień, a dopiero w trakcie zabijania nawiedził go szal. Zabicie ostatniej muchy było już czynem diabelskim. Ale ten chłopak nie wygląda na to! Błagam panią, niech pani nie dopuszcza zwątpienia! Niech pani ufa! Uratujemy go!

Po parogodzinnych bezowocnych poszukiwaniach powrócili do hotelu. Około siódmej rano zastukał do niej pan Kotlak — że jeden gospodarz chce się rozmówić z panną Ochołowską w pilnej sprawie. Maja, która nie zmrużyła oka przez całą noc, natychmiast wyszła do niego. Pokłonił się jej czterdziestoletni może mężczyzna, czerstwy, suchy, mocny.

— Mam coś na osobności — rzekł.

— O co chodzi? — spytała, gdy wyszli przed dom.

— Chciałem powiedzieć, że ten pan co się wczoraj z ludźmi pobił jest u mnie.

— U was? To znaczy — gdzie? — zapytała, ukrywając wzruszenie.

— W mojej chałupie. Ja mam kawałek gruntu stąd o pięć kilometrów, pod lasem, w Zaniwczu. Ten pan śpi tera, a kazałem mojej, żeby pilnowała.

— Kto was do mnie skierował? Chłop uśmiechnął się domyślnie.

— Niedaleczki mam do Połyki, to kiedyś widziałem jaśnie panienkę z tym panem i wiem, że jest ze dworu.

— Odwdzięczę się wam.

Natychmiast zawołała Hińcza i pojechali razem z chłopem. Jasnowidz wmusił w nią przed wyjazdem szklankę ciepłego mleka.

Wspaniały poranek złościł rżyska. Ogromna cisza panowała na polach. Hińcz wypytywał chłopa o szczegóły.

— Niech ręka Boska broni! Żeby nie ja, już by było po nim! — rzekł chłop.

— Jak to?

— Rankiem pojechałem do lasu polyckiego po chrust. Idę linią, aż tu coś czerni się w zagajniku, tam między Zaniwczem a Dębinkami.

Maja drżała.

— Myślę sobie — dzik nie dzik. Aż tu przybliżam się i widzę, że ten pasek od spodni zdejmą i na gałąź zakłada. Od razu zmiarkowałem co się święci, ale jakem kaszlnął, to zaraz przestał i tylko tak sobie poczekał ze dwie minut. On czeka i ja czekam — ja czekam i on czeka — aż tu widzę, podchodzi i napiera się do mnie.

Jednakże chłop, chociaż wydawał się dosyć oświecony, a rysy miał inteligentne, nie umiał znaleźć ściślejszego określenia.

— Ano napierał się — powiedział. — Jeszcze potem szedł za mną aż do domu i cały czas się napierał. Aż go moja kobieta musiała odganiać ode mnie. Do nikogo się tak nie napierał, tylko do mnie. O, tam jest moja chałupa — dodał, ukazując małe gospodarstwo zupełnie odosobnione pod lasem.

Pomożecie nam — rzekł Hińcz. — W razie gdyby nie chciał iść z nami, trzeba będzie go związać i odwieźć do Połyki. Ale zaraz. Czekajcie no. Najpierw my tu cichaczem podejdziemy pod płot, a wy go wyprowadzicie na podwórze — chciałbym zobaczyć, jak on się „napiera”.

— Na co to? — gorączkowała się Maja. — Znowu nam ucieknie.

Ale Hińcz nie podzielał jej obaw. Ze słów chłopa wywnioskował, że Leszczuk jest już zupełnie wyczerpany. Natomiast wydawało mu się niezmiernie ważne poznać dokładnie charakter jego szaleństwa.

— Jest to bardzo ciekawe, że chłop nie umiał określić tego „napierania się”. Tu znów prawdopodobnie mamy do czynienia z czymś, odbiegającym od normy, Niech pani pamięta, że trudności dopiero się rozpoczęły. Póki nie będziemy mieli klucza do jego choroby, nie potrafimy jej opanować.

Jakoż zachowanie się Leszczuka w pełni potwierdziło jego oczekiwania.

Chłop wyprowadził go przed dom jak było umówione i kilkakrotnie przeszedł z nim przez całe podwórze. Leszczuk mógł wzbudzić litość w najbardziej zatwardziałym sercu.

Słaniał się na nogach, był zbity i bezsilny — a jednocześnie ta sama smutna łagodność Jakaś beznadziejność człowieka zgubionego przejawiała się w całej jego postaci, w każdym jego poruszeniu.

I rzeczywiście, jak mówił chłop, „napierał się” w sposób nie ulegający wątpliwości.

Wyglądało to tak, jakby chciał coś powiedzieć temu chłopu, a nie mógł — jakby chciał wejść z nim w jakiś kontakt. Przysuwał się do niego blisko, blisko garnął się do niego, szedł za nim, jakby tajemniczy magnes przyciągał go ze szczególną siłą.

Miało to charakter niezbyt przytomny, ale przejawiało się tylko w stosunku do chłopa. Na jego żonę, która niechętnie przyglądała się tym manewrom, nie zwracał żadnej uwagi.

Chłop był rozśmieszony — coraz zerkał na płot, za którym stał Hińcz z Mają i robił ucieszne miny.

— Nie ma potrzeby go wiązać — mówił powróciwszy do nich — coś sobie we mnie uwiidział i pójdzie za mną, jak ten pies.

Stało na tym, że Maja pojedzie pierwsza do Połyki i przygotuje wszystko na przyjęcie Leszczuka. Przede wszystkim chodziło o ukrycie tej sprawy przed gośćmi pensjonatowymi.

Hińcz obawiał się zresztą, aby widok dziewczyny nie wywołał w Leszczuku zbytniego

wstrząsu. Miał nadzieję, że przy pomocy chłopca uda mu się odstawić go do Połyki bez większych trudności.

Maja pojechała przeto oklep na koniu, drogą na przełaj przez las. I wkrótce potem zajechała przed boczne wejście do dworu połyckiego furmanka, z której wyniesiono Leszczuka i przetransportowano do jednego z pokojów na górze.

Nie mógł już chodzić. Upadał ze zmęczenia. Nie wiedział prawie, co się z nim dzieje. Nie poznał nawet Połyki. Nastąpiła reakcja i chłopak znalazłszy się w łóżku, momentalnie stracił przytomność.

ROZDZIAŁ XVIII

Przybycie Maji do Połyki wywołało wielkie poruszenie wśród gości pensjonatowych. Zwłaszcza panna Wyciskówna i doktorowa były podminowane tą wiadomością.

— Czy pani wie, kto przyjechał dziś rano? Ochołowska!

— Jak to? Wczoraj wyjechała, a dziś już przyjechała?

Pani Ochołowska dowiedziawszy się z prasy o zabójstwie Maliniaka natychmiast wyruszyła do Warszawy.

— Ależ nie stara! Maja! Widziałam ją na własne oczy przez okno! Gazety rozpisywały się szeroko o tajemniczej śmierci Maliniaka, a nazwisko Maji powtarzało się nie raz w tych sprawozdaniach. Doktorowa była przejęta.

— A czy wie pani, że nie tylko ona przyjechała? Przywieziono kogoś! Wnoszono na górę! Słyszałam przez drzwi.

— Marysia mi mówiła, że wczoraj w Koprzywinie była jakaś bójka.

Ale podniecenie obu pań doszło do szczytu, gdy służąca Marysia zwierzyła im w głębokiej tajemnicy, iż to Leszczuk został przywieziony i umieszczony w pokoju na górze.

Odtąd bez przerwy trwały na czatach w pokoju stołowym, lub na werandzie.

Ale nic się nie działo. Maja nie ukazywała się. Dom zalegała błoga, popołudniowa cisza.

Tymczasem w pokoju na piętrze story były zapuszczone. Leszczuk spał.

Pod wieczór zjawił się lekarz. Hińcz odbył z nim długą i wyczerpującą rozmowę.

— W organizmie nic nie ma. Rany są powierzchowne. Objawy, o których pan mówi, mogą mieć podkład nerwowy. Byłoby wskazane wezwać psychiatrę.

Ale Hińcz by ł innego zdania. Podejrzewał że ta choroba nie była nerwowa, lecz duchowa.

Poprosił doktora o środek usypiający dla Maji i sam także zażył jakąś kojącą miksturę. Należało przede wszystkim odzyskać siły. Tak więc cisza zaległa w Połyce — aż do następnego popołudnia. O tej porze Leszczuk odzyskał przytomność.

— Gdzie jestem? — szepnął, przecierając oczy.

— Niech pan się nie rusza — rzekł Hińcz, który ciągle nie dopuszczał do niego Maji. — Zachorował pan.

— Ale gdzie jestem?

— W Połyce.

Nagle przypomniał sobie wszystko, gdyż usiadł gwałtownie na łóżku.

— Co to ja wyprawiałem? Kto pan jest? Aha, chłopci chcieli mnie pobić? A ja?... Aha.

Znów osłabł i przymknął oczy. Po chwili jednak odezwał się:

— Czy pan jest doktor?

— Nie.

— Niech pan mi powie prawdę. Czy ja zwariowałem?

— Skądże? — odparł Hińcz. — Zachowywał się pan wczoraj trochę, niespokojnie, ale musiał pan być podniecony.

Dołożył wszelkich starań, aby go uspokoić.

Ale chłopak, jak tylko przypomniał sobie dzieje zeszłej nocy popadł w ponurą apatię. Przymknął oczy i milczał.

Hińcz powoli wytłumaczył mu, jak go odnaleźli. Zataił przed nim tylko to, że jest jasnowidzem. Powiedział, że odwoził Maję do Połyki i przypadkowo zaszedłszy do hotelu zastali go w restauracji.

— To ona tu jest? — zapytał Leszczuk.

— Czy pan chciałby się z nią widzieć?

— Nie — odparł ze strachem.

I dodał:

— Wyjadę stąd.

Hińcz wyjął ołówek z kieszeni.

— Niech pan mi powie — rzekł — skąd pan ma ten ołówek?

Nie odpowiedział. Dopiero gdy Hińcz kilka razy powtórzył pytanie, odparł z niechęcią:

— Ten? To wcale nie mój ołówek.

— Jak to nie pański? Niech pan się przyjrzy. O, to są ślady pańskich zębów.

— Ten ołówek? Aha, prawda. Znalazłem go.

— Gdzie pan go znalazł?

— Na zamku. Byłem tam kiedyś i... podniosłem go z podłogi w takiej białej iz...

Nie dokończył. Przypomniała mu się biała izba ze snów.

— To widać ta sama izba, co mi się śniła — mruknął niechętnie i przewrócił się na drugi bok.

— Będę spał.

— Jeszcze chwileczkę. Czy ten ołówek był już pogryziony jak pan go znalazł?”

— Tak.

— A pan go także gryzł?

— Nie wiem. Tak. Mam taki zwyczaj.

Zamilkł i leżał rozwartymi oczyma wpatrując się w sufit. Hińcz poznał, że niczego więcej się nie dowie.

Ale Maję jego relacja bardzo poruszyła. Więc ten ołówek był z zamku? Leszczuk zapewne znalazł go wtedy w nocy, gdy zgubił scyzoryk! Odtąd musiał go nosić w kieszeni.

Ach — i wkrótce potem zsiniały mu usta — wtedy na przechadzce w lesie. I do tego znalazł go w białej izbie — jej także od razu przyszła na myśl ta biała izba ze snu. Już nieraz podejrzewała, że taka izba mogłaby znajdować się na zamku mysłockim.

Czyżby więc naprawdę w tym wszystkim było coś niesamowitego?

Opowiedziała Hińczowi o zamku i o tym strasznym wrażeniu jakie zawsze odnosiła w zetknięciu z jego tajemną, odrębnym życiem żyjącą pustką.

Tak, ta izba ze snów musiała być izbą zamkową. Te odkrycia sprawiły na niej ogromne wrażenie.

Maji nasunął się na myśl Skoliński. Za żadną cenę nie chciała wprowadzać w te sprawy Cholawickiego — wiedziała, iż nienawidzi Leszczuka. Ale Skoliński, jeżeli jeszcze jest na zamku, może potrafiłby udzielić informacji.

Hińcz zgodził się z nią całkowicie. Według niego ten tajemniczy, tak odpychający ołówek mógł się okazać kluczem zagadki. Przede wszystkim należało wyjaśnić tę sprawę.

— Wie pani co? Oboje złożymy wizytę profesorowi. Jestem ciekawy tego zamku. Leszczuka zostawimy pod opieką Marysi. To energiczna dziewczyna, a on jest jeszcze za słaby, aby jej się oprzeć.

Poszli groblą pośród moczarów. Przeszli przez korytarz podziemny i Maja wiodła jasnowidza przez ciemne i puste komnaty.

Miała nadzieję, iż uda się jej dotrzeć do profesora nie zawadzając o Cholawickiego, przed którym chciała jak najdłużej ukryć swoje przybycie do Połyki. Na pierwszym pięttrze zatrzymała się. — Tu niech pan poczeka.

Ale z głębi amfilady doszły ich głosy i ujrzeli światło, padające przez uchylone drzwi. Chciała się cofnąć, lecz Hińcz przytrzymał ją.

— Podejźmy bliżej — rzekł. — Choćby nas kto zobaczył, nic wielkiego, a jestem ciekawy, co się dzieje.

Mają również zaciekawiły te odgłosy, tak sprzeczne z ciszą, do której była tutaj przyzwyczajona. Podeszli bliżej i ujrzeni scenę jedyną w swoim rodzaju.

Za stołem księżę, Cholawicki i profesor, obsługiwani przez Grzegorza, prowadzili towarzyską rozmowę, jak gdyby nic nigdy ich nie rozdzielało — i przerculali się grzecznymi frazesami w obdrapanej, zniszczonej sali. Na pozór nie było w tym nic szczególnego — przeciwnie nawet, konwencjonalna poprawność rozmowy wydawała się wprost nadmierna i przesadzona.

A jednak wyczerpane, umęczone oblicza rozmawiających, czyniły z ich gładkich zdań, ich układnych manier jakąś niesamowitą i niebezpieczną igraszkę. Wydawało się, że z najwyższym wysiłkiem zagadują sprawy stokroć poważniejsze.

Co zaś najbardziej zdumiewało, to iż — przy całej poprawności konwersacji gesty ich były jakieś... nieskoordynowane, fantastyczne. Skoliński i Cholawicki co pewien czas robili dziwne ruchy — na przykład jeden z nich zaginał palec w dół, drugi sięgał po półmisek ruchem zbyt szerokim, nazbyt zaokrąglonym a nawet Grzegorz nalewał wodę do kielichów w specjalny sposób.

— Co to wszystko znaczy? — szepnął Hińcz.

Mają ukazała się na moment Skolińskiemu, przykładając palec do ust. Zrozumiał i wkrótce zjawił się przy nich.

— Niech pan pójdzie z nami do Połyki, profesorze — szeptała Maja. Musimy z panem pomówić. Nie chcę, żeby Henryk o tym wiedział.

— Dobrze. Ja też pragnę z panią pomówić.

Na drodze do Połyki zapytał Hińcza, usłyszawszy jego nazwisko:

— Czy to pan jest tym sławnym jasnowidzem? Kto pana skierował tutaj?

— Zaraz, zaraz, panie profesorze! Niech mi pan powie przede wszystkim, czy na zamku dzieje się coś anormalnego?

— Skąd pan wie?

— Mam powód do takiego przypuszczenia.

— Nareszcie, panie święty, będę mógł z kimś to obgadać! — zawołał uszczęśliwiony profesor. W samą porę państwo przybywacie. Już dłużej nie byłbym w stanie wytrzymać!

I opowiedział im wszystko, co przeżył dotąd w tym okropnym miejscu. Kuchnia. Ręcznik. Księżę. Cholawicki. Ziółkowska. Znak. Wszystko to przewijało się przed Hińczem i Mają, jak opowieść z tysiąca i jednej nocy.

— A więc nie omyliłem się — szeptał Hińcz, do głębi poruszony. Tu działają jakieś obce elementy.

— Jakież?

— Profesorze — rzekł Hińcz — niech pan uważa na siebie. Widzieliśmy was przy kolacji. Dlaczego wasze ruchy są takie — dziwaczne?

Uczony zawstydział się.

— Ja ciągle próbuję odkryć ten znak. Staram się wyzyskać każdą sposobność, aby wybadać księcia pod tym względem. Przyzwyczałem się do tego, że każdy ruch „wykańczam” trochę inaczej, niż normalnie.

— To bardzo niebezpieczne.

Profesor nie łudził się. — wiedział, że i on stopniowo ulega jakiemuś rozprężeniu w tych strasznych warunkach. Według niego sytuacja przedstawiała się nad wyraz groźnie.

Doszli już do dworu i Maja przeprowadziła ich bocznym wejściem na górę do swego pokoju.

— Miałem nadzieję, że odkryję znak i zdołam wybawić księcia ze stanu, który go zabija

moralnie i fizycznie. Niestety jak dotąd nie posunąłem się ani na jotę w mych poszukiwaniach. Jestem przeraźliwie znużony tym wszystkim, ledwie się trzymam... Moja odporność zmniejsza się z każdym dniem. Obawiam się, że z Cholawickim jest jeszcze gorzej. Ten człowiek zdradza objawy wyraźnego obłąkania.

— Czyżby aż źle tak z nim było?

— Bo ja wiem! Ja już nic nie wiem! A może to nie nasza odporność się zmniejsza, tylko zwiększa się ciśnienie tych tajemnych sił... Nie można się dziwić, że człowiek przestaje wreszcie rozumieć, traci pewność swych władz umysłowych. To są zjawiska przekraczające mój rozum. Niezmiernie się cieszę, że pan przy — bywa z pomocą. Pan zna te sferę zjawisk lepiej ode mnie. Czy to wszystko można wytłumaczyć w sposób naturalny?

Hińcz z kolei opowiedział Skolińskiemu historie Leszczuka.

— To by znaczyło, że ta siła zaraża — że ona rzuca się na ludzi — szepnął profesor.

— Mogę się mylić — rzekł Hińcz — ale moim zdaniem sens moralny i duchowy tych zadziwiających objawów nie ulega wątpliwości. Sądzę, że najmniej zagadkowym faktem jest ów ruch rącznika. Każdy kto brał udział w seansach spirytystycznych wie o tym, iż jakieś niezbadane siły unoszą do góry przedmioty, ciskają sprzęty, a nawet uderzają zebranych. Zjawiska te niekoniecznie muszą mieć charakter nadprzyrodzony. Zapewne działają tu nie zbadane jeszcze siły naszej psychofizycznej konstytucji.

Wyobraźmy sobie, że ten nieszczęsny Franio w przystępie fenomenalnego natężenia swych sił żywotnych musiał udzielić temu rącznikowi części swojej energii. Czy pan nie zauważył, że ten ruch jest pokrewny ruchowi medium?

Tak więc ta część zagadnienia dałaby się Jeśli nie — wytłumaczyć, to przynajmniej odnieść do przykładów już znanych, do eksperymentów dokonywanych na seansach.

— Sądzę — mówił dalej — że jesteśmy tu w obliczu wypadku niesłychanego przez swoje natężenie. Franio musiał dojść do jakiegoś maksimum napięcia, o jakim normalny człowiek nie ma wyobrażenia, i rozpętał siły, które teraz działają — w zasięgu trudnym do ustalenia. Część tego fluidu musiała przeniknąć ołówek i przenieść się na Leszczuka. Jest tu jeden szczegół niezmiernie ciekawy — mianowicie, iż wszystkie te objawy pozostają w jakimś związku z ustami. Leszczukowi zsiniały parokrotnie usta. Wiemy, iż miał zwyczaj gryźć ołówek. Ale jak się okazało ołówek już przedtem był pogryziony. Nie dałbym trzech groszy, czy nie pogryzł go Franio — na tym ołówku ślady zębów Leszczuka mieszają się ze śladami zębów Frania.

— Usta — rzekł profesor. — Ja także doznałem kilkakrotnie jakichś przypadłości z ustami. Zauważyłem parę razy, że usta pulsują mi, czy też falują — ale potem mi to przeszło.

— Widocznie ta siła atakuje najłatwiej usta — rzekł zamyślony Hińcz.

— A przecież na tych świstkach pozostawionych przez Rudziańskiego również była mowa o ustach.

— Pan jednak twierdzi, że to nie wyczerpuje zagadnienia — zwróciła się Maja do Hińca.

— O to chodzi, że nie. Ta siła która nas osacza nie jest bynajmniej neutralna pod względem duchowym. Ma ona wyraźnie znak ujemny. Jest to siła zła. Powtarzam to, co już pani powiedziałam — odczuwam ją jako wybitnie złą i polegam na tym odczuciu. Bardzo być może, iż przerzuca się ona mechanicznie za pośrednictwem „zarażonych” przedmiotów — ale mam przeświadczenie, iż daje się za szczepić tylko człowiekowi, który duchowo jest jej podatny. Dlaczego profesorowi, choć przebywał tak długo w pobliżu komnaty, nie wyrządziła dotąd większej szkody? Ponieważ profesor opierał się jej duchem. A dlaczego Leszczuk się „zaraził”? Ponieważ splot fatalnych okoliczności kazał mu zwątpić w siebie i osłabił go.

— Tak — z rozpaczą powiedziała Maja.

— Niech pani się nie poddaje! Będziemy walczyli.

— Cóż więc pozostaje do zrobienia?

Hińcz skupił się.

— Bardzo wiele. Musimy dążyć do wyjaśnienia tych spraw. Przede wszystkim trzeba bodzie wybadać Leszczuka — jestem za tym, aby nie ukrywać przed nią jego stanu. Gdy uświadomimy mu jego położenie, odzyska może zdolność oporu. Trzeba dowiedzieć się od niego co zaszło z Maliniakiem? Wyperswadować mu myśl o samobójstwie. I w ogóle niech nam opowie coś o swoich stanach psychicznych!

— To nie będzie łatwe — rzekł profesor.

— Zobaczymy. Ale to nie wszystko — mówił Hińcz, marszcząc czoło. — Zastanawia mnie ten chłop. Dlaczego Leszczuk do niego specjalnie się garnął? A dalej — dlaczego ja wtenczas trzymając ołówek, widziałem dwie osoby? Leszczuka, który szedł szosą i jakiegoś drugiego, który pisał na ścianie. Czyżby to był ten Franio?

Profesor wyjął z kieszeni starą, pożółkłą fotografię.

— Czy nie był on przypadkiem podobny do tej fotografii?

— Czy to jest Franio?

— Tak.

Przyglądali się z ciekawością.

— Tak, to on jest tym, który pisał na ścianie — rzekł Hińcz. To on.

— Czy panu się nie zdaje, że on jest podobny do Leszczuka? — zapytał profesor.

— Co pan mówi? — rzekł zdumiony. — Rzeczywiście! Ale nie! To nie jest żadne podobieństwo. Niech pan spojrzysz — przecież rysy ma inne. Zachodzi tu mniej więcej to samo zjawisko, co z panią — wskazał na Maję. — Oni nie są do siebie podobni, ale robią takie wrażenie, ponieważ łączy ich pokrewieństwo natur. Podobieństwo jest tylko w wyrazie oczu, w rysunku ust, w charakterze. Was troje łączy ta sama namiętność, żywotność, ta sama pasja życia — niech pan spojrzysz, profesorze.

Hińcz zasłonił kawałkiem papieru oczy Frania. Momentalnie znikło podobieństwo.

Lecz Maja zdrząła, uprzytomniwszy sobie, że on wyraził się „was troje” — jak gdyby stanowili jedną rodzinę.

Tymczasem Hińcz trwał z pionową zmarszczką na czole, zamyślony.

— Proszę państwa! — rzekł. — Nie ma się co łudzić. Sytuacja w jakiej znaleźliśmy się jest niezwykle trudna i będzie wymagała całego naszego wysiłku. Trzeba wziąć się mocno w garść. Żadnej mistyki, żadnych fatalizmów. A tymczasem — chodźmy na kolację.

— Na kolację? — zdziwiła się Maja.

— No pewnie. Przecież trzeba jeść! A po wtóre nie możemy przecież ukrywać się dłużej przed pensjonatem. Niech mi pani wierzy, że im naturalniej będziemy się zachowywali, tym lepiej.

Weszli do jadalni. Doktorowa, Wyciskówna oraz radca Szymczyk, jako osoby wtajemniczone w burzliwą przeszłość i jeszcze burzliwszą „kryminalną” terażniejszość Maji, chłonęli ślady wyczerpania na jej twarzy, podczas gdy świeżo przybyła para młodych małżonków z dzieckiem w błogiej nieświadomości oddawała się nadal bez zastrzeżeń jedzeniu.

Maja starała się wymawiać nazwisko Hińcza jak najniewyraźniej i od razu oświadczyła jak najnaturalniej:

— Przyjechał z nami pan Leszczuk, ale chłopci go pobili w Koprzywiu i będzie musiał jakiś czas się kurować.

— Aaa — rzekła panna Wyciskówna.

Maja patrzyła ze wzruszeniem na tę starą, dobrze znaną salę jadalną, oświetloną dwoma lampami naftowymi. Zdawało się jej, że od wieków tutaj nie była.

— A profesor kochany na zamku siedzi i ani zjrzy do nas! — zaśpiewała serdecznie tłusta doktorowa.

— A tak, zaprzyjaźniłem się z księciem — rzekł Skoliński — i studiuje tamtejsze archiwum.

Lecz Wyciskównie wszystkie te wyjaśnienia nie wystarczały. Ze Maja wyglądała fatalnie, to było zrozumiałe. Ale profesor? I ten nowy jegomość przypominał jej kogoś — czyżby to...

— To chyba Hińcz — szepnęła jej doktorowa. — Wie pani, ten wróż! Widziałam jego fotki w tygodnikach!

Hińcz! Pannie Wyciskównie wydało się, że ujrzała króla angielskiego! Mimo to odrzekła kwaśno.

— Być może, iż to ten wróżbita. Ja się nie interesuję.

Zapanowało milczenie przy stole, jedno z tych kłopotliwych milczeń, które w miarę trwania stają się niepokojące. Być może obecność takiej osobliwości jak Hińcz „medialnej” i „spirytystycznej” wpłynęła na to, że obie panie poczuły się nieswojo. I — zaczęły mówić o duchach. Daremnie Hińcz usiłował je powstrzymać. Doktorowa opowiedziała jakąś okropną historię, a Wyciskówna nie pozostała jej dłużna. Nie było sposobu zamknąć im ust! Delektowały się tym po prostu!

Po kolacji Hińcz poszedł do ogrodu i spacerując po krętych ścieżkach starego parku usiłował widzieć jak najjaśniej te sprawy ciemne i zawikłane.

Nigdy dotąd nie miał poczucia takiej bezsilności. I cóż z tego, że natura obdarzyła go władzą częściowego i jakże przypadkowego „jasnowidzenia”, jeżeli to jasnowidztwo niczego nie wyjaśniało, przeciwnie — wtrącało człowieka w stan jeszcze większej niepewności, każąc mu obcować z tajemniczymi i niezbadanymi potęgami.

Hińcz nieustannie ocierał się o ten świat metafizyczny, którego natury nie umiał przeniknąć.

Coraz bardziej przeto skłaniał się do wiary. Coraz wyraźniej ukazywała mu się pośród okropnych niejasności świata ta prosta i pewna prawda, że jedyną ostoją człowieka, jedyną jego bronią i prawem są wartości charakteru, a jedynym drogowskazem — moralność. Miał pewność, że jeśli Maja i Leszczuk uzyskają w sobie to dobre samopoczucie moralne — wyjdą zwycięsko z wszelkich trudności.

Dlatego cieszył się, że w profesorze znalazł sprzymierzeńca, obdarzonego wartościami duszy. Natomiast głupota i płytkość obu damulek pensjonatowych — urzędniczki i doktorowej — napępiały go najgorszymi przeczuciami. No, te, gdyby dowiedziały się o wszystkim, dopiero zaczęłyby siać popłoch i panikę. Strach odebrałyby im resztki godności i rozumu.

Hińcz wziął do raki ponury ołówek i przyjrzał się w świetle księżycy śladom zębów. Któż jeszcze go gryzł? Czyje zęby — i w jakim szale? Natężył się, skupił i wyprostowany, z wyciągniętą ręką, usiłował dojrzeć coś — uchylić jeszcze raz rąbka zasłony.

Na próżno! Czy może zasięg tych sił, tutaj, w pobliżu zamku był już zbyt wielki? Czy też brakło mu bezinteresownego spokoju i równowagi ducha — daremnie się wysilał, nie zdołał nic zobaczyć. Mimo, iż przygniatające wrażenie zła — czegoś złego w tym ołówku — znowu przeniknęło go całego.

Powoli wracał do domu. Lecz w stołowym pokoju zastał doktorową, urzędniczkę, oraz to młode małżeństwo niedawno przybyłe — skupione przy małym stoliku w rogu. Hińcz był teraz tak wyczulony na wszelkie anomalie, iż momentalnie uderzyło go, że osoby te siedzą za blisko stolika, zbyt ciasno.

Na jego widok urzędniczka wydała pisk małego dziecka, przyłapanego na gorącym uczynku, a reszta towarzystwa również wydawała się jednocześnie zażenowana i rozgorączkowana.

Cóż ci znowu wyrabiali? Chciał przejść obok nich, ale na stoliku spostrzegł duży arkusz papieru z wypisanymi na nim literami a na papierze — talerzyk obrócony dnem do góry.

— Państwo urządzają seans? — zapytał.

Towarzystwo zachichotało.

— Mamy zamiar! — pisnął młody małżonek.

— Ta pani jest podobno medium — zawołała młoda małżonka, wskazując na pannę Wyciskównę.

— My wszyscy niezmiernie interesujemy się sprawami medialnymi i spirytystycznymi — mówiła rozlewnie doktorowa, spoglądając na Hińcza urzekająco.

— Czy pan nie zechciałby wziąć udziału w seansie?

Aha. To była zasadzka. Ci państwo odkryli jego incognito — w ten niezdamny sposób zamierzali wciągnąć go do niepoważnej zabawy, obiecując sobie pierwszorzędne emocje. Hińcz zaprzagnął wychłostać to głupkowate stadko, nieświadome tego, że igra z ogniem.

A jednocześnie przyszło mu do głowy, że można by urządzić seans — ale z Leszczukiem.

Tak! To była idea! Tą drogą, niezbyt jasną można by zyskać nowe światło. Ten eksperyment mógł się udać. Tylko — czy nie było w tym zbyt wielkiego ryzyka?

Hińcz zamyślił się tak bardzo, iż przestał słyszeć rozkapryszony głos przygodnych spirytystów i spirytystek. Wtem rozległ się tętent konia — i wszedł wysoki mężczyzna w stroju do konnej jazdy.

Cholawicki!

— Podobno przyjechała panna Maja — rzekł, przywitawszy się niemiłym, pozbawionym wyrazu głosem, nie patrząc na nikogo.

— Owszem — przyjechała — pośpieszyły z informacjami panusie, zachwycone nową sensacją.

— Czy jest na górze?

— Właśnie, na górze jest!

— Przyjechał także pan Leszczuk — dodała Wyciskówna, jakby nigdy nic. Cholawicki skierował się w stronę schodów, ale Hińcz powstrzymał go.

— Ja właśnie idę na górę i zawiadomię pannę Maję, że ma gościa.

Chciał ją uprzedzić, a zarazem nie dopuścić Cholawickiego na górę. Ten jednak nie zwrócił wcale uwagi na jego słowa. Ciężko wstępował po schodach.

I wyszedłszy na korytarz ujrzał Maję, która stała pod drzwiami jednego z pokojów. Obok niej stał Skoliński. Sekretarz zatrzymał się, jak urzeczony.

Od chwili, kiedy pożegnał się z nią w Warszawie, cierpienia jego jeszcze się wzmożyły. Świadomość, że jest stracona, że Leszczuk o władnął ją całkowicie, nie dawała mu żyć. Kiedy doniesiono mu o przybyciu panny Ochołowskiej, zaraz wyruszył do Połyki, jak przypiekany rozpalonym żelazem. Nie wiedział, że z Mają przybył Leszczuk — dopiero urzędniczka powiadomiła go o tym.

Cholawicki był już na skraju ostatecznego upadku. Maja była dlań wspomnieniem tych dni, kiedy jeszcze — bądź co bądź — zaliczał się do świata normalnego. To jeszcze zwiększało jego przeraźliwą zazdrość.

— Maja — rzekł bezdźwięcznie.

Prędko odsunęła się od drzwi.

— Kogo widzę! — rzekła z wymuszonym uśmiechem, usiłując się opanować.

Ale jego zastanowiło, że ona najwidoczniej pilnuje przed nim tych drzwi.

— Kto jest w tamtym pokoju? — zapytał.

— Chodźmy na dół!

Spojrzał na nią bystro i zamiast odpowiedzi nacisnął klamkę. Zazdrość go ponosiła.

Maja usiłowała mu przeszkodzić, ale wdarł się do pokoju. Hińcz wpadł za nim, wściekły na tę

nieoczekiwaną dywersję, która w najwyższym stopniu mogła zaszkodzić choremu. Oslupiał. Łóżko Leszczuka było puste! Nie było go!

Zniknął. A otwarte okno aż nadto wyraźnie wskazywało, którędy opuścił pokój. Duży klon w pobliżu okna stanowił doskonałą drabinę.

Zapomniano o Cholawickim! Wszyscy wypadli do ogrodu narzucając w pośpiechu okrycia i rozproszyli się po lesie.

— Dokąd mógł uciec?

— Jedźmy do chłopca! — zawołał Hińcz. — Na pewno znów go tam poniosło!

Maja pośpiesznie wydała dyspozycje i wsiedli do bryczki. Sekretarz w milczeniu dosiadł konia. Nie miał pojęcia, co oznacza ucieczka Leszczuka, ani też gwałtowny pościg, któremu asystował — dla niego decydujące było wzruszenie Maji, która na widok pustego pokoju zapomniała o bożym świecie!

Galopował za nimi, ciesząc się prawie, że o nim zapomnieli — mógł w spokoju trawić swoje nieszczęście.

Dojeżdżali już do chałupy, gdy wybiegł ku nim Handrycz, roześmiany, ucieszony.

— Znowuż do mnie przyleciał! — wołał już z dala.

Jakoż Leszczuk wyszedł z zagrody i zbliżał się do nich. Wyglądał zupełnie jak pijany. Szedł chwiejnie do Handrycza, z uporem i zaślepieniem pijaka. I wtedy Maji zbrakło już sił. Rzuciła się do niego.

— Co ty robisz? Zlituj się! — wołała.

Hińcz chciał ją ukryć przed nim. Było już za późno. Leszczuk ujrzał ją.

— Znów do mnie! — krzyknął w pełnym szale, z obłąkanymi oczami i rzucił się na nią. Złapali go. Lecz on wydzierał się z furią, niepoczytalny.

— Ona zabiła! Zabiła! Zabiła! — ryczał.

Potoczyli się na ziemię. Nadbiegła Handryczowa z postronkami. A Cholawicki przyglądał się temu z wyżyn swego konia, nie biorąc w niczym udziału.

Obezwładnili go i zanieśli do chałupy. Wówczas sekretarz zsiadł z konia i powoli zbliżył się pod okno. Mógł stąd słyszeć każde słowo.

— Niech pani odejdzie! — krzyknął Hińcz. — Pani go doprowadza do szaleństwa.

Leszczuk wybuchnął płaczem. Naraz Hińcz zbliżył się do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech pan posłucha mnie! — rzekł z mocą. — Pan jest nawiedzony przez złego ducha! Czy pan mnie słyszy? Pan jest opanowany przez diabła!

Mając na uwadze niski poziom intelektualny chłopca, nie chciał się bawić w żadne naukowe omówienia. Nazwał to najprościej.

Odpowiedziało mu milczenie.

Lecz wtedy Hińcz, ciągle trzymając go za ramię, wyraźnie i ściśle opowiedział mu wszystko, czego dowiedział się od profesora i od Maji. Mówił wolno, starając się, by słowa dochodziły do jego świadomości.

Powiedział mu o strasznej komnacie i o ołówku — i o tym, co przeszli z nim w ostatnich czasach. Przedstawił mu całość sytuacji i powoli ręka jego puściła ramię, a zaczęła gładzić włosy nieszczęśliwego.

Czy słyszał? Czy rozumiał?

Hińcz nie miał najmniejszej gwarancji, a jednak mówił z pół godziny bez przerwy.

Leszczuk odwrócił ku niemu rozszerzone przerażeniem oczy.

— To pan naprawdę to mówi? To ja znaczy się jestem...

— Tak. Ale niech pan się nie poddaje. Walczymy o pana. Niech pan nam do pomoże.

— To ja dlatego za tym chłopem leciałem?

Odzyskał już przytomność.

— Ratujcie mnie... — szepnął.

— Niech pan wykorzysta tę chwilę lepszej świadomości. Teraz pan jest zupełnie przytomny

— przekonywał go Hińcz — niech pan odpowiada na moje pytania możliwie ściśle.

— Niech pan pyta.

— Co pana tak ciągnie do tego chłopca?

— Nie wiem.

— Czy pan go znał kiedy?

— Nigdy.

— Więc pan nie wie. Ale czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan robi w takich momentach szalu? Czy pan to pamięta?

— Pamiętam — szepnął. — Tylko, że nie mogę się powstrzymać. Jakbym się upił, albo co...

— A kiedy pana to po raz pierwszy napadło? Chwilę mocował się ze sobą, zanim odpowiedział.

— Wtedy... po tym zabójstwie Maliniaka.

— A dlaczego pan zabił Maliniaka?

— Kto?!

Usiadł na łóżku.

— To ona zabiła! — zawołał i twarz mu pociemniała. — Ona! Ona!

Hińcz wstrząsnął nim gwałtownie.

— Spokojnie! — krzyknął, widząc iż chłopak znowu zapada się w ciemność. — Co pan wygaduje! Niech pan się zastanowi! Do licha, niech pan się weźmie w kupę!

— Ona mu założyła stryczek na szyję i ciągnęła przez dziurę w ścianie. Widziałem przecie — wyszeptał Leszczuk i zemdlął.

Hińcz ocucił go mokrą szmatą.

— Czy pan wie, co pan powiedział przed chwilą? Niech pan mówi dalej. Niech pan nam opowie dokładnie.

— Po co? — odparł apatycznie.

— Bo to nie ona zabiła! Panu się coś przywidziało! Może już wtedy był pan szalony?

Nie! Nie był szalony! Pamięta doskonale.

— Przecież jak wszedł do pokoju, to ona właśnie go dusiła. Założyła mu stryczek na szyję, kiedy spał, przesunęła koniec sznura przez szparę w ścianie do swego pokoju i ciągnęła. Z początku nie mógł tego zrozumieć, dopiero potem domyślił się, jak to było.

Sznur musiał być przeciągnięty dołem, szparą między ścianą i podłogą. Dom był tandetnie zbudowany, nietrudno było rozluźnić deski ściany. Naprzód wkradła się do pokoju Maliniaka, założyła śpiącemu stryczek, przeciągnęła przez szparę — potem dała mu sygnał zapalką, żeby wszedł przez okno, a kiedy wszedł, zaczęła dusić Maliniaka. To wszystko sprytnie obmyśliła — żeby było na niego. Któż by ją podejrzewał o to, jeśli on wlaź przez okno.

Hińcz potarł ręką czoło.

Czyż to było możliwe? A nuż to było możliwe. Bo przecież wszystko w tych warunkach było możliwe. A jeśli Maja także dostała się w orbitę tych mocy i w przystępie szalu udusiła Maliniaka?

Ale przysiągł sobie, że w żadnym razie nie da się ponieść straszliwym ekstrawagancjom wyobraźni. Skoncentrował uwagę na faktach.

Jak to — przecież Maja mówiła mu, że nie zapalała zapalki. Skądże więc Leszczuk twierdził, że dała mu sygnał zapalką?

Jeszcze raz spytał o to Leszczuka, po czym pobiegł do Maji, która na przyzbie siedziała w męce oczekiwania.

Powtórzył jej wszystko.

— Zwariował — powiedziała. — Przede wszystkim łóżko Maliniaka stało pod ścianą przeciwną do tej, która dzieliła jego pokój od mego. A po wtóre nie zapalałam zapalniczki. Któż mógł zabić, jeśli nie on? Im dłużej myślę, nad tym wszystkim, tym bardziej dochodzę do wniosku, że tu najlepsze zastosowanie miałby — psychiatra.

Mają zaczęła ogarniać rezygnacja, ale Hińcz nie dopuszczał zwątpienia. Postanowił ufać. Jeżeli oni sobie nie ufali, on postanowił ufać im obojemu.

Jeżeli Maja twierdziła, że nie zapalała zapalniczki, a Leszczuk twierdził, że widział przez okno światło zapalanej zapalniczki, to oboje mieli rację.

Jeżeli oboje posądzali się wzajemnie o morderstwo to znaczy, że żadne z nich nie zamordowało.

Cóż więc się stało? Zły duch? Ale tego imienia także nie należało nadużywać, chyba — że nie byłoby żadnego innego wytłumaczenia.

Na wszelki wypadek poprosił Maję, ażeby narysowała mu plan willi i jeszcze raz dokładnie opisała przebieg tych dramatycznych momentów.

Niechętnie uczyniła zadość jego prośbie. Nie miała złudzeń. I t samą niechęć musiał przezwyciężyć w Leszczuku, zanim zgodził się jeszcze raz powtórzyć wszystko z planem w rękę.

I wówczas okazało się, że Leszczuk omylił się w rozkładzie pokoi! Pokój Maliniaka sąsiedował z jednej strony z pokojem Maji, z drugiej — z małą sionką, w której mieściły się schody na pierwsze piętro.

Czy pan widział światło w tym oknie, czy w tym? — zapytywał po raz nie wiedząc który Hińcz, wskazując kolejno okno pokoju Maji i okno sionki. Za każdym razem Leszczuk pokazywał sionkę.

— W tym. W jej pokoju.

— A czy łóżko Maliniaka było przy tej ścianie?

— Przy tej.

— No to pan się pomylił. To nie jest wcale pokój panny Maji.

— Mnie wszystko jedno — odparł martwo i ledwie dosłyszalnie — jeżeli we mnie coś takiego siedzi... Jeśli ja jestem...

Odwrócił się do ściany i Hińcz już nic z niego nie mógł wydobyć.

Ale Maja również nie uwierzyła mu, gdy jej tłumaczył, że według jego najświętszego przekonania Leszczuk mówi szczerze — i że nie on zabił Maliniaka.

— Któż inny mógł zabić? Albo nie pamięta, albo boi się odpowiedzialności. To są dzieciństwa z tą ścianą.

— Wracajmy — rzekł na koniec Hińcz. Najgorsze było, iż nie mógł ich skonfrontować ze sobą. Obawiał się, że ani on, ani ona nie wytrzymałyby tej konfrontacji. I znowu Maja musiała wracać osobno, gdyż bryczką należało przewieźć Leszczuka.

— Ja idę na zamek — powiedział profesor. — Państwo dacie sobie radę beze mnie, a nie mogę pozostawić tak długo mego staruszka bez opieki.

— Dobrze, ale musimy zorganizować stałą łączność między sobą. Jeżeli nic nie zajdzie, niech profesor zajrzy jutro po południu do Połyki. Aha, jeszcze jedno. Gdzie Handrycz? Trzeba będzie i jego wy badać.

Zawołał chłopca.

— Przyjdźcie jutro rano do Połyki. Muszę z wami pomówić. Ale tu wmieszała się Handryczowa.

— Mój ta nie będzie nikaj chodził — rzekła stanowczo.

— A to czemu?

— Ma inszą robotę.

— Nie spieraj się! — rzekł chłop, który przeczuwał możliwość zarobku. — O której przyjść?

— A ja powiadam, że nigdzie nie pójdziesz! — krzyknęła. — Zawracanie głowy i tyle! Chałupy masz pilnować!

Hińcz przyglądał się jej uważnie. Zastanowił go ten niespodziewany opór.

— No, no — powiedział — jak nie, to nie.

Ale obiecał sobie przyjść do nich jutro i wybać to tajemnicze małżeństwo. Wyruszyli. Byli już w lesie, gdy nagle posłyszeli tętent galopującego konia i na skrzyżowaniu linii mignęła im się ciemna sylwetka jeźdźca.

Cholawicki... Dudnienie kopyt i tępe odgłosy razów szpicrutą zapadły w ciszę lasu.

Jakaż furia była w tym galopie! Hińcz z niepokojem wpatrywał się w las, ale jeździec wraz z koniem już zniknął dawno.

Cholawicki oddał na wpół żywego konia chłopakowi i wkroczył do zamku. Gdy przed chwilą pędził galopa, teraz szedł bardzo wolno przez puste komnaty, a głowa i ręce drżały mu, jak w febrze. Podслуchał całą rozmowę Hińcza z Leszczukiem. Dowiedział się o wszystkim!

Aha, więc ta siła w starej kuchni, to jednak rzeczywiście była zła siła! Udzielała się ludziom? Dlaczego jemu dotąd się nie udzieliła? I dlaczego specjalnie upatrzyła sobie Leszczuka... Ciekawa rzecz, dlaczego?

Sekretarz był niepomiernie zdumiony. Jak to? Więc on, Skoliński, księżę, którzy stale przebywali na zamku, nie zostali zaatakowani, a właśnie Leszczuk... chociaż przebywał z dala, w Warszawie...

Otworzył ciężkie, okute drzwi i stanął na progu starej kuchni. Zapalił zapalkę. Ręcznik ruszał się niezmordowanie, chociaż niedostrzegalnie. Drżał, kurczył się i pracował — pracował bez przerwy...

Cholawicki, jak już tyle razy przedtem, przyglądał się temu w milczeniu. Ohyda! Bezbrzeżny wstręt! Trwoga i dławienie w gardle... I głupota.

Więc ta płachta prześladowała Leszczuka i Maję. Ich sobie upatrzyła. Cholawicki mimowolnie zachichotał i zadrżał od tego chichotu.

Przyznać trzeba, że jeśli nawet nie jest to nic więcej, jak tylko ślepa i mechaniczna siła przyrody, ot jakaś spirytystyczno-plazmatyczna energia, to... wiedziała w kogo wycelować — pomyślał.

Dlaczego? Czy ten niespokojny .kurczowy objaw życia był przyciągany przez te tajemnicze napięcia, które się wytwarzały między Mają a Leszczukiem?

Cholawicki wołał nie wnikać w to. Wiedział tylko, iż ręcznik (aby tak to nazwać) był z nim w przymierzu.

Przypomniał sobie, jak usiłował zamknąć tutaj na noc profesora. Skoliński wymknął się stąd tej nocy.

Ale teraz fluid tej płachty uczeplił się Leszczuka. Gdyby zapoznać się bliżej — gdyby zużytkować tę zagadkową zarazę — wziąć to do rąk — zostać na noc, zobaczyć... Jeżeli na Leszczuka podziałał tak fatalnie ołówek, to cóż dopiero to...

Pewnie, że było to ohydne. Ale czyż on sam nie był ohydny? Wyniszczony, zrozpaczony, pozbawiony Maji i skarbów — przegrał na obu frontach.

Już od dawna wiedział, że przegrał. Odkąd profesor zamieszkał na zamku — odkąd Maja uciekła z Leszczukiem. Ale dopiero teraz ukazała mu się możliwość zemsty.

I sekretarz znowu roześmiał się.

— Ja cię jeszcze lepiej rozruszam — mruknął.

Wstał i powoli zaczął zbliżać się do ręcznika. Podchodząc dziwił się, że to, na co nie mógł odważyć się przez tyle czasu, okazuje się tak niesłychanie łatwe. Już nie czuł zgrozy zjawiska — czuł tylko własną zgrozę i choć twarz wykrzywiła mu się strachem, był to strach nie przed ręcznikiem, a przed sobą...

ROZDZIAŁ XIX

Tymczasem Hińcz nie ustawał w gorączkowej aktywności. On jeden jeszcze pośród tych ludzi nadwątlonych i wytraconych z równowagi, reprezentował niez użytą energię psychiczną i wolę oporu. Wiedział Jaka ciąży na nim odpowiedzialność.

Dążyć do wyjaśnienia sytuacji! Badać wszystko, co nie jest dość zrozumiałe, iść za każdym śladem — oto była metoda, którą przyjął.

Napisał list do władz śledczych w Warszawie.

Z powodu niezwykle pilnych zajęć nie mogą niestety osobiście skomunikować się z panem sędzią — pisał — uważam jednak za swój obowiązek podzielić się pewną intuicją, która nawiedziła mnie w związku z zabójstwem Maliniaka.

Jak wiadomo, dotychczasową tezę śledztwa jest, iż morderca wszedł przez okno. Jednakowoż pozostaje nie wyjaśnione, dlaczego użył stryczka, a również układ ciała i w szczególności położenie głowy zamordowanego nasunęły władzom wiele trudności.

Otóż radziłbym bardzo usilnie Panom poddać ścisłym oględzinom ścianę, między pokojem Maliniaka i sionką. Proszę przyjąć na chwilę hipotezę (nie zrażając się jej pozorną niedorzecznością), iż morderca założył stryczek na szyję śpiącemu Maliniakowi, przeciągnął go przez szparę w ścianie, a następnie przeszedł do sionki i stamtąd ciągnął za sznur. Następnie odciął sznur tuż przy ścianie i wepchnął go z powrotem do sypialni Maliniaka.

Wiem doskonale, iż powyższe przypuszczenie, już samo przez się dość fantastyczne, czyni zupełnie niemożliwym fakt, iż drzwi pokoju Maliniaka były zamknięte na klucz od wewnątrz, wobec czego morderca nie mógł wejść i założyć stryczka. Gdyby zaś wszedł przez okno, nie mógłby dostać się do sionki. Niemniej uważałbym za bardzo wskazane iść za tą myślą, jak gdyby ona była możliwa, gdyż jestem absolutnie przekonany, że tak musiało być. Prosiłbym również o natychmiastowe powiadomienie mnie o wynikach badań, co ułatwiłoby mi dalszą pracę. Pozostają itd.

Hińcz rzucał na szalę cały swój autorytet.

Około piątej po południu przybył Skoliński.

— Nareszcie! — powiedział Hińcz. — Oczekiwałem pana! Niech pan zaopiekuje się naszym pacjentem, a ja pojedę do Handrycza. To jest nie najmniejsza z zagadek, jakie mamy do rozwikłania.

— Nie wiem, czy dobrze robię, wydalając się z zamku — mówił profesor. — Cholawicki nie przyszedł dziś na obiad. Kazał powiedzieć, że jest chory. Obawiam się, że on coś knuje.

— Już wkrótce zabierzemy się do tego pana bezpośrednio — odparł jasnowidz.

— A także do strachów w komnacie.

— Pan chce wypowiedzieć wojnę ręcznikowi?

— Oczywiście! Tam jest źródło zła i musimy się dostać doń. Jeżeli Cholawicki będzie nam przeszkadzał, unieszkodlimy go siłą. Tu nie ma co się cackać! Przedtem jednak musimy zdobyć maksimum informacji i — co najważniejsze — wzmocnić psychicznie Leszczuka i Maję. Wówczas wybierzemy się na zamek i po prostu zniszczymy ręcznik.

— To może pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki — zawołał Skoliński.

— Trudno. Zresztą zobaczymy jeszcze. Dziś wieczór dokonam pewnego eksperymentu, od którego wiele zależy.

Skoliński pozostał przy Leszczuku, który popadł znowu w otępienie i bez ruchu leżał na łóżku.

Mają nie wychodziła ze swego pokoju. Profesor krążył między nimi, ale sam był pełen złych przeczuc i z trwogą myślał o księciu oraz o nagłej chorobie Cholawickiego.

Nad wieczorem powrócił Hińcz.

— Z tym chłopem jest coś niewyraźnego — referował Skolińskiemu rezultat swojej inspekcji. — Jego baba nie dopuściła mnie do niego. Nie wiem dlaczego stała się taka oporna. Ale dowiadywałem się w sąsiedniej wsi. Otóż okazuje się, że Handrycz przybył tu z Lublina przed kilkunastu laty wraz z żoną. Ta żona jest córką tutejszego gospodarza, ale służyła w Lublinie, gdzie poznała Handrycza i wyszła za niego. Kiedy ojciec jej umarł, przyjechali aby objąć gospodarstwo. Handrycz rodziny żadnej tu nie ma i nikt nie umie nic bliższego o nim powiedzieć.

Ach, gdybyż wreszcie dało się odkryć ten znak! — jęknął historyk, zatroskany o losy księcia.

Profesorze — rzekł Hińcz — dziś wieczorem zrobimy decydującą próbę. Niech profesor zostanie na kolacji. Możliwe, iż dziś jeszcze uchyli się rąbek tajemnicy.

Żył poważne obawy co do tego eksperymentu, który mógł zakończyć się fatalnie. Zrobić seans spirytystyczny z Leszczukiem Jako medium? Uspić go i na tej wątpliwej drodze dążyć do urobienia sobie wyraźniejszego pojęcia o siłach, które nim ośwładnęły.

Była to gra w najwyższym stopniu niebezpieczna, którą chłopak mógł przypłacić zdrowiem i życiem. Nikt nie mógł przewidzieć przebiegu takiego seansu.

A jednak Hińcz zdecydował się na to, ażeby przebić mur ciemności, który ich otaczał.

A nuż eksperyment się uda! Medialny charakter zjawisk strasznej komnaty kazał wiele oczekiwać od tej metody. Tylko że — ku rozpaczy Hińcza — należało uciec się do pomocy panius pensjonatowych z braku innych osób, mogących wziąć udział w seansie.

Hińczowi skóra cierpła na myśl, iż te głupki będą brały udział w tak ryzykownym doświadczeniu.

Po kolacji zaproponował:

— No cóż? Zrobimy sobie seansik. To nam zapełni wieczór.

— Ach! — zawołały Wyciskówna i doktorowa.

A Wyciskówna dodała:

— Ja chętnie służę jako medium.

Nie, mam lepsze medium. Jeżeli proponuję seans, to dlatego, ponieważ mam wrażenie, iż Leszczuk jest świetnym medium. Poprosimy go o udział w seansie.

Wyciskówna z doktorową nie posiadały się ze szczęścia. Seans i do tego z Leszczukiem!

Przygotowano okrągły stół w narożnym, zacisznym gabinecie połyckim. Zapuszczono story, z boku umieszczono przyćmioną lampę — oto były skromne, a jakże emocjonujące przygotowania.

Hińcz wyjaśnił Leszczukowi, co zamierza z nim zrobić. Nie protestował.

Hińcz nie domyślał się nawet, do jakiego stopnia Leszczuk przeraził się usłyszawszy, iż jest w mocy jakichś tajemnicznych wpływów.

Ta wiadomość, która mogła wstrząsnąć ludźmi bardziej wyrobionymi od niego — na tym prostym chłopcu zrobiła piorunujące wrażenie.

A więc był w mocy diabła?

Leszczuk nie wdawał się w subtelności. Dla niego taka siła mogła być tylko siłą diabelską.

Nie wierzył. Nie mógł uwierzyć. Ale wszystko przemawiało za tym.

Tak czy owak było w nim coś okropnego — czuł to.

Więc obrzydzenie i strach przed sobą samym sprawiły, iż do reszty pogrążył się w odrętwieniu.

Maja nie miała brać udziału w seansie — jej obecność była niemożliwa ze względu na Leszczuka.

— Niech pani się zaopatrzy we wszelkie środki trzeźwiące i opatrunkowe, jakie są pod ręką i czeka w sąsiednim pokoju — polecił jej Hińcz.

I opatrunkowe?

Tak. Nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Wszyscy zasiedli dokoła stołu. Po prawej ręce Leszczuka siedział Hińcz, po lewej profesor, a dalej obie panie i młode małżeństwo. Przygotowano papier i talerzyk. Hińcz zabierał się bardzo ostrożnie do rzeczy. Na początek postanowił zrobić zwykły seans z talerzykiem.

— Oho, rusza się — szepnęła przerażona doktorowa, widząc iż talerzyk po jakimś kwadransie nerwowego oczekiwania drgnął i zaczął krążyć po papierze.

Gdy doktorowa przystępowała do tego z nabożnym przestraczem, panna Wyciskówna, przeciwnie, była przekonana w głębi ducha, że to wszystko „lipa”, „kant” i „nabieranie gości”, a przede wszystkim to manifestowała stosownymi minami i wydymaniem ust.

Atoli talerzyk zaczął krążyć po papierze coraz szybciej i ruchem coraz bardziej zdecydowanym.

Wtem — zatrzymał się, wskazując kreską, którą mu zrobił Hińcz na brzegu, literę J. Potem szybko, ze wzrastającym pośpiechem, nastąpiły litery a, m, a.

— Jama — przeczytała szeptem doktorowa.

— Niech pani nie podpowiada — skarcił ją jasnowidz.

A talerzyk powtarzał to słowo bez przerwy. Szalał. Latał po papierze, uciekając zebrany spod palców i powtarzał:

— Jamajamajamaja...

— Jak się nazywasz? — zapytał Hińcz.

Gwałtowny ruch talerzyka.

— Fraja

— Frajer — przekreśliła ironicznie Wyciskówna.

— Jaframa — wystukał talerzyk.

— Powtórz! — rozkazał Hińcz, który z pełną napięcia uwagą usiłował wczuć się w sens tego bełkotu.

— Frajama — odpowiedział tym razem talerzyk i zaraz potem wskazał słowo „Nie”.

— Nie chcesz mówić?

— Nie.

— Dlaczego?

— Ołów — odstukał talerzyk i stanął.

— Uparł się — szepnęła doktorowa.

— Choćby i zaczął się ruszać, nic nam nie powie — rzekł głosem trochę ochrypłym profesor — bo kreska się zamazała.

— Jak to?

Była to prawda. Kreska zaznaczona przez Hińcza ołówkiem na talerzyku zatarła się nieco.

— Ołów — powtórzył Hińcz i powstał. — Niech państwo poczekać, przyniosę ołówek.

— Ja mam ołówek — powiedziała Wyciskówna.

On jednak, jakby nie słysząc, wyszedł i po chwili przyniósł niewielki, czarny ołówek. Nakreślił nim nową linijkę na brzegu talerzyka i znowu wszyscy pochylili się nad talerzykiem.

Jednocześnie doktorowa poczęła się bać przeraźliwie.

— Odchodzę!

Niech pani nie zrywa łańcucha — krzyknął groźnie jasnowidz. I w tej samej chwili talerzyk

ruszył ponownie, jak szalony. Zaczął się ciskać i rzucać po stole, uciekał na samą krawędź, zdawało się, iż chce spaść, rozbić się. Była to furia. Wściekłość tak nieprzytomna, a zarazem oczywista, iż mieli wrażenie, że jakieś zwierzę miota się im pod palcami.

W tej chwili Skoliński powiedział:

— Śpi.

Spojrzeli na Leszczuka. Istotnie, spał z twarzą śmiertelnie bladą, z kropelkami potu na czole — spał głęboko. Usta miał zsiniałe, niemal czarne i dyszał.

— Nie przerywać łańcucha — rozkazał po cichu Hińcz.

Rozkaz ten był zbyteczny. Nikt się nie ruszał. Wszyscy, jak przykuci, oczekiwali. W pokoju nastąpiły trzaski i wyładowania. Talerzyk uniósł się do góry na wysokość pół metra i runął, rozbijając się na drobne kawałki.

— Kto ty? — zapytał jasnowidz.

To dziwne pytanie było uzasadnione. Rysy Leszczuka uległy radykalnej zmianie. Nos mu się zaostriął, twarz zrobiła się chudsza i jakaś obca, a przepajała ją aura straszliwej nienawiści. Zęby wychyliły się z czarnych warg, a jednocześnie ciało zaczęło „pulsować”. Nie dygotać, ale właśnie „pulsować” — tak się przynajmniej wydało patrzącym w półmroku.

— Chciałbyś? — rzekł Leszczuk głosem, który nie był jego. — Dobrze. Dobrze. Już ja ci przebaczę. Zobaczysz. Zaraz zobaczysz. Naprzód sobie, a potem tobie.

Wyrwał rękę i podniósł, palcem przesunął po gardle.

— Tak ci przebaczę! Tak przebaczę sobie i tobie!

Wyrwał drugą rękę i powstał chwiejąc się. Obiema rękami zaczął wykonywać szczególne ruchy. Jakby coś pchał sobie w usta. A zaraz po tym twarz jego zrobiła się fioletowa i runął na ziemię. Rzęził.

Doktorowa dostała ataku nerwowego i spadła z krzesła na podłogę. Młodzi małżonkowie po prostu uciekli. Hińcz i profesor rzucili się na ratunek.

Ale jak ratować? Przed czym? Leszczuk dusił się niewidzialną materią — zdawało się — bez możliwości ratunku.

Hińcz pracował gorączkowo nad obudzeniem Leszczuka. I wreszcie, gdy już zdawało się, iż wszystko przepadło, zabiegi Hińcza wywarły skutek — chłopak obudził się i jednocześnie przestał się dławić. Oddychał głęboko.

— Gdzie jestem? — szepnął.

Przenieśli go na górę. Cały dom był jak wyludniony. Przerażeni goście pensjonatowi schronili się do najdalszych pokoiów.

— Gdzie jest Maja? — zainteresował się nagle profesor.

Zaczęli wołać, ale nie odzywała się. Powinna była oczekiwać w małym saloniku. Nagle Hińcz zauważył ją na podłodze. Leżała tutaj bez przytomności. Docucili ją łatwo.

— Co się pani stało?

— Zemdlałam.

Nic nie wiedziała. Tyle tylko, iż siedziała tutaj, jak jej kazano. Poza tym nic nie pamiętała. Hińcz mruknął z westchnieniem ulgi, oglądając szczegółowo niewielkie obrażenia, jakie odniosła upadając.

— No, mogło się skończyć gorzej dla was obojga.

— Czy doświadczenie udało się? Czy dowiedzieliście się czego?

— Spokojnie, spokojnie. Niech pani odpocznie sobie trochę, a my zastanowimy się nad uzyskanym materiałem.

Hińcz zaszedł jeszcze do Leszczuka, który leżał na łóżku, wyczerpany. O nic nie pytał. Tylko oczy jego rozwarłe i nieruchome, przeniknięte były śmiertelną, zwierzęcą prawie, żalością i

trwogą. Kiedy Hińcz chciał go uspokoić w kilku słowach, odparł nerwowo:

— Niech pan nie mówi. Nie chcę wiedzieć. Nic nie chcę!

— Niedobrze — pomyślał jasnowidz — on już długo tego nie wytrzyma. Obaj z profesorem nie oddalając się od jego pokoju, długo omawiali seans.

— Zdaje się, kochany profesorze — mówił jasnowidz — iż asystowaliśmy przy pewnej scenie, jaka rozegrała się w starej kuchni. Co do mnie, prawie nie mam wątpliwości. W Leszczuka wcielił się Franio.

— Czy to jest możliwe? — szepnął profesor.

— Owszem, takie rzeczy zdarzają się na seansach. Nie trzeba zresztą nadawać im zaraz nadprzyrodzonego znaczenia. Nie wiemy, jak się to odbywa, gdyż nie znamy w pełni naszych właściwości psychicznych, ale na seansach właśnie objawiają się poprzez medium inne osobowości. W danym wypadku Franio.

— Tak. To było do przewidzenia.

Profesor wyciągnął fotografię. Tak — Leszczuk upodobił się do Frania.

— Według mnie, wiemy już, co stało się krytycznego dnia w starej kuchni — mówił Hińcz — a myślę, że i pan zgodzi się ze mną. Asystowaliśmy przy ostatniej rozmowie Frania z księciem, rozmowie w czasie której popełnił samobójstwo. Dokonał on tego strasznego czynu właśnie tym ręcznikiem — wpychając go sobie w usta i okręcając twarz, tak jak to widzieliśmy. Udusił się ręcznikiem w obecności nieszczęśliwego księcia. Pod tym względem ruchy Leszczuka na seansie były wyraźne i plastyczne. Dlaczego książę nie przeszkodził mu? Może sparaliżowała go zgroza? Może nie mógł z przyczyn technicznych? A to przesunięcie palcem po gardle — zastanowił się nagle — jak pan sądzi, przecież to ten znak, którego szukamy?

Ale uczony historyk wzruszył ramionami.

— Tysiąc razy próbowałem podobnego gestu z księciem i Ziółkowską bez żadnego skutku. A zresztą to nie było przebaczenie. To raczej groźba.

I profesor powtórzył gest Frania, ale naraz zatrzymał się.

— To jakoś nie tak — rzekł.

— On to inaczej zrobił — potwierdził Hińcz z kolei naśladowując ruch Frania–Leszczuka.

— Nie, nie tak.

— No, więc jak?

Obaj stanęli bezradni. Wtem Skoliński zawołał:

— On to zrobił lewą ręką!

Tak, na tym polegała różnica. Czy Franio był mańkutem? W każdym razie tego ruchu Skoliński jeszcze nie wypróbował.

— Jadę do Ziółkowskiej! — zawołał profesor. To trzeba sprawdzić.

— Ja pojedę z panem — Hińcz nie bardzo ufał wnikliwości profesora.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby pan został? — Zostawić ich tak we dwoje po tym wstrząsie?

Ale jasnowidz nie miał tych obaw.

— Pojedziemy bryczką. Za godzinę będziemy z powrotem. Jeżeli szczęśliwie przetrwali seans, na razie nic im nie grozi.

Na wszelki wypadek zostawił Maji szczegółowe instrukcje, przykazując, aby pilnowała Leszczuka, ale pod żadnym pozorem nie wchodziła do jego pokoju.

Bezpośredni nadzór powierzył Marysi. Po czym obaj wyruszyli do gajówki, gdzie przebywała na wywczasach gospodyni. Po drodze komentowali jeszcze niewyjaśnione punkty seansu.

Jama? Co to za jama, o której mówił Leszczuk? O jaką jamę chodziło? Dlaczego potem medium uzupełniło to słowo sylabą, „Fra”. Fra — a więc Franio? Czy była to jakaś jama Frania?

Hińcz i profesor gubili się w domysłach. „Jama”, „Frajama”, „jamaja” — jakież sens tkwił w

tym bełkocie?

— Ja Maja — rzekł Hińcz. Ale dlaczego „Fra”? A może... Frajama... Fra — Franio. Ja — to znaczy on. Jaszczuk. Ma — Maja. Zaraz, zaraz... Czyżby medium chciało w ten sposób podkreślić związek między tymi trzema osobami? Frajama — a więc twór złożony z ich trojga, kombinacja z Maji, Leszczuka i Frania? Można to tak wyklądać, można też inaczej. Jakże mało wiemy o świecie i o nas samych!

Ziółkowskiej nie zastali w domu. Musieli czekać dłuższy czas, zanim gospodyni w czarnym szalu i ogromnym kapeluszu powróciła z Koprzywia. Na widok profesora splunęła z obrzydzeniem.

— Co? Znowuż o te znaki? Nic nie pamiętam! — krzyczała. — Proszę mnie dać święty spokój!

— Chwileczkę! A to pani pamięta? Profesor uczynił gest.

— Nie! — krzyknęła. — Nie pamiętam! Także coś! Na moje utrapienie ja tu przyjechałam!

— Niech pani sobie dobrze przypomni. Może coś podobnego?

— Podobne, jak pięść do nosa!

Nie pozostawało im nic innego, jak wsiąść na bryczkę i odjechać. Profesor był rozczarowany, ale Hińcz mniej ufnie odniósł się do Ziółkowskiej.

— Ta baba coś kręci. Zauważył pan jak się stropiła w pierwszej chwili? A zresztą jeśli ona przynosiła księciu wtedy jedzenie na tacy, to prawdopodobnie w prawej ręce. Więc tylko lewą miała wolną i jeśli zrobiła jakiś gest — to lewą.

— Ja tu wysiądę — rzekł profesor, gdy mijali drogę wiodącą do zamku. — Najwyższy czas wracać na posterunek. Ale kto to leci? Grzegorz?

Grzegorz zbliżał się do nich w świetle księżycy i dawał im znaki ręką. Wskoczyli z bryczki.

— Czy co się stało?!

— Szukam wszędzie wielmożnego pana. W Połyce byłem.

— Co się stało? Przy tym panu może Grzegorz mówić swobodnie.

— Niedobrze jest! Niech ręka Boska broni! Przyleciałem ostrzec, bo niedobrze.

— A co?

— Pan sekretarz całą noc w starej kuchni siedział!

Wiadomość ta spiorunowała Skolińskiego i Hińcza. Cholawicki w starej kuchni?

Stary sługa w kilku urywanych zdaniach złożył sprawozdanie. — Już wczoraj zauważyłem, że z panem sekretarzem gorzej — tylko po zamku chodził i uśmiechał się, a do księcia wcale nawet nie zajrzał.

— W nocy zajrzałem do jego pokoju, to go nie było. Ale myślałem, że gdzie wyszedł, albo co... Nad ranem jeszcze raz zaszedłem do niego — łóżko nie ruszone, nie ma. A teraz niedawno coś mnie tknęło, żeby zobaczyć, jak tam w starej kuchni. Patrę! Łóżko wygniecione, jakby kto na nim leżał.

— No?!

— Poleciałem zaraz do sekretarza, to się roześmiał tylko, ale tak jakoś... Chyba oszalał ze szczętem! — Niech Grzegorz mi nie przeszkadza — mówi — bo ja mam porachunki do załatwienia. A teraz konia kazał sobie podać i wyjechał. Myślę sobie — trzeba do pana profesora do Połyki lecieć, bo niedobrze! Ale na drodze powiedział mi chłop, że panowie tędy pojechali, więc poczekałem. Musimy zaraz coś robić, bo może być nieszczęście! Księżę pan sam na zamku! Hińcz i profesor zamienili spojrzenia.

— Wracajmy.

— Czyżby on do reszty stracił zmysły?

— Wszystko jest możliwe! — rzekł Hińcz. — Najgorsze jest to, że wszystko jest możliwe!

Niech pan natychmiast wraca z Grzegorzem na zamek. Pilnujcie księcia. Ja jadę do Połyki. To niedobrze, żeśmy ich zostawili samych.

— Co pan zamierza?

— W razie gdyby Cholawicki bruździł, trzeba będzie go związać. Musimy opanować zamek i zyskać swobodny dostęp do tej komnaty. Wyrzucimy ten ręcznik, spalimy go, zniszczymy bez względu na skutki. Jeżeli inaczej nie da się zrobić! Ten stan na dłuższą metę jest nie do wytrzymania! Nie dam się dłużej szantażować tą płachtą, choćby sam diabeł w niej siedział.

Hińcz ściągnął konia batem i ruszył ostro do Połyki. Był już zdecydowany na wszystko. Kiedy przyjechał, mogła być godzina jedenasta wieczór. Uderzyło go, że psy nie były spuszczone.

— Gdzie panna Maja? — zapytał służącą.

— Panna Maja wyjechała z panem Cholawickim i kazała oddać panu ten list.

Hińcz otworzył kopertę.

— Szanowny panie — czytał — proszę mnie nie szukać. Wróć rano. Maja.

— Pan Cholawicki długo tu bawił?

Niedługo. Rozmawiał z panią w ogrodzie, a potem panią pojechała z nim linijką. Przyjechała też starsza pani z Warszawy.

Jakoż pani Ochołowska ukazała się we drzwiach zgnębiona, z podkrążonymi oczami.

— Czy pan mógłby mi wyjaśnić, co się tu dzieje? — rzekła.

Dopiero w tej chwili Hińcz spostrzegł, że w domu panował rejewach. Służba zewsząd znosiła walizki. Wyciskówna, doktorowa i Szymczyk w strojach podróżnych przemknęli się w głębi. Pani Ochołowska była zupełnie bezradna.

Przed kwadransem przyjechałam z Warszawy — mówiła — dokąd wybrałam się w związku z tą okropną historią z Maliniakiem. Nie zastałam Maji i wróciłam. Podobno pan ją przywiózł. Ale co to jest? Wszyscy chcą wyjechać i to za raz, nocnym pociągiem! A dokąd pojechała Maja? Niechże państwo — zwróciła się do urzędniczki, doktorowej i radcy, którzy właśnie podeszli — poczekają przy najmniej do jutra.

— Niemożliwe! — rzekła Wyciskówna. — Otrzymałam pilną wiadomość. Muszę jechać!

— A ja dotrzymam pani towarzystwa! — zawołała doktorowa.

— A ja zaopiekuję się paniami — rzekł radca.

Młode małżeństwo również wybierało się w drogę. Nikt nie chciał zostać na noc w Połyce.

— Panika — pomyślał Hińcz, szukając zarazem jakiegoś wytłumaczenia dla pani Ochołowskiej.

— Obawiam się, że to ja zawiniłem — rzekł wreszcie. — Niestety, moje pewne właściwości, o których na pewno pani słyszała, wystraszają ludzi. A przy tym popełniłem tę nieostrożność, że po kolacji zorganizowałem mały seansik. Zdaje się, że to wywołało ten masowy *exodus*.

— Gdzie Maja? — zapytała, jakby nie słysząc, pani Ochołowska. To samo pytanie świdrowało w głowie Hińcza.

ROZDZIAŁ XX

Jeżeli Maja dotychczas nieufnie odnosiła się do przypuszczeń Hińcza, które wydawały się jej nieprawdopodobne, a nawet niedorzeczne — to teraz, po seansie, uwierzyła.

W głębi duszy była dotąd przekonana, że Leszczuk albo po prostu oszalał, albo udawał szaleństwo ze strachu przed odpowiedzialnością.

Teraz jednak naprawdę zaczynała wierzyć, że był opętany, nawiedzony jakąś obcą mocą. Wszystko co robił, musiało być w związku z ową komnatą. Był zarażony jakimś niezbadanym fluidem.

Lecz wobec tego wszystko stawało się możliwe!

Więc on z natury swojej nie był taki, jak ona sobie wyobrażała — więc to morderstwo i tamte, poprzednie czyny, to wszystko wynikało z owej zewnętrznej siły?

A może on w ogóle nie zabił Malimaka? Może zabiła go ta właśnie siła?

Ale w takim razie on nie kłamał, posądzając ją o to morderstwo?

A jeśli on ją posądzał... to może właśnie ta myśl doprowadziła go do tego, że uciekł z Warszawy, wpadł w szal, stał się podatny wpływowi komnaty? A to by znaczyło, że on ją kocha. Jednak...

Maja chodziła po pokoju z kąta w kąt i walczyła z sobą.

Iść czy nie iść do niego?

To ją najbardziej dręczyło, że on nie znosił jej obecności, że oboje byli osobno.

Iść czy nie iść? A jeśli mu to zaszkodzi i znowu dostanie ataku?

Ale czuła, że to jest konieczne.

Była pewna, że tylko ona może go wyleczyć.

Jeżeli ją kocha...

Gdyby ją kochał — gdyby naprawdę tylko z jej przyczyny popadł w to wszystko. — Ach, to w jej rękach jest jego wybawienie, ona jest dla niego lekarstwem!

Nacisnęła kłamkę.

Leżał w łóżku i, nawet nie drgnął, gdy weszła. Oboje patrzyli na siebie bez słowa. Maji zrobiło się dziwnie.

Być w mocy cudzej! Podlegać jakimś atakom, mieć w sobie jakiegoś gościa, który w każdej chwili może opanować duszę? Za nic nie być w pełni odpowiedzialnym? Cóż to za okropność i śmieszność!

— Czy pan naprawdę myśli, że to ja zabiłam Maliniaka?

Milczał, ale wzrok jego był nadal tępy i przerażony. Jak go przekonać? Co mu powiedzieć?

Zdawało się, iż Leszczuk zupełnie przestał na nią reagować.

— Może i nie pani — powiedział wreszcie — ale mnie wszystko jedno. O, te przerażone, osłupiałe oczy!

— Jak to? — wyszeptwała.

— No pewnie. Ja już jestem stracony, zgubiony na amen.

— Ja nie jestem winna...

Uniósł się na łóżku.

— Pani nie winna? A kto winien? To pani mnie nie kusila na wszystkie sposoby? Ja już to pani nie raz wypominałem! Ja się tym złym duchem zaraziłem nie od ołówka, a od pani. W pani on siedział od początku! Jak pani kradła pugilares Szulkowi. Jak pani mnie namawiała. Przez panią ja zrobiłem świństwo z tym meczem i nic dziwnego, że Bóg mnie skarał.

Nie widziała, co odpowiedzieć. Miał rację. Jego wzrok był okropny! Gdybyż mogła mieć czyste sumienie! Ale ona, zamiast podnosić go miłością do swego poziomu, pogardziła nim, nie ufała mu — i spychała go coraz niżej.

Jakże on to naiwnie ujmował. Diabeł — mówił. Po prostu. I może to było najśluszniesze.

Ale zaskoczyło ją to, co powiedział o pugilarzesie Szulka.

— Ja okradłam Szulka?

Mają bliska była uwierzenia, że to ona. Już nic nie rozumiała. Więc i o to ją posądzał?

Ale jego obojętność była dla niej nie do zniesienia! Ta apatia! To zwierzęce przerażenie!

— Niech pan nie mówi tak! — krzyknęła! — To nieprawda! A zresztą ja pana kocham. Kocham pana! Pan także mnie kochają to wiem!

Za wszelką cenę chciała go wyrwać z tego stanu. Czyżby straciła na niego wpływ?

— Niech pani odejdzie ode mnie — rzekł powoli — nie pora na romanse. We mnie to jest — co może i w pani też siedzi. Jeżeli we mnie, to i w pani. Skąd ja mogę wiedzieć, czy to pani do mnie teraz mówi, czy.... Ja nie wiem... czy to na pewno... pani jest... Wie pani co? Jedyna rzecz — niech pani księdza sprowadzi, chcę się wypowiedzieć.

Wyszła.

I przez chwilę nie mogła zdać sobie sprawy z tego, co zaszło.

Posądzał ją, ni mniej ni więcej, tylko o to, że i w niej jest to „złe”. Zły duch. Tak on to sobie wyobrażał. Podejrzał ją. Bał się jej. A ona jego się bała. Nie mogła się oprzeć trwodze na jego widok. Bali się siebie.

Mają czuła, iż on to ujmuje zbyt naiwnie i dosłownie. A jednak tyle dziwów i anomalii powstało ostatnio wokół niej, że już niczego nie była pewna.

Bali się siebie i ten strach, czarny, przesądny, zabijał wszelką możliwość ratunku!

Chciał się wypowiedzieć.... A nuż to właśnie było najmądrzejsze i jedyne w ich położeniu? Wezwać księdza. Mają nie wierzyła samej sobie, że ta myśl mogła być realna.

Upadła na kolana w korytarzu i po raz pierwszy od wielu lat pogrzyżyła się w gorącej modlitwie.

Nie umiałyby powiedzieć do kogo i o co się modli. Wzywała rozpaczliwie czyjejś pomocy, błagała o czyjąś litość nad sobą i Leszczukiem.

Energia Maji była złamana zupełnie. Bezradna myśl uczepiła się jednego tylko pragnienia, żeby się to wszystko już raz skończyło. Wszystko jedno jak, już dosyć tej męki!

Kłęcząca w mrocznym kącie, z twarzą w dłoniach. Nie czuła że przez palce ciekną jej ciepłe łzy. Niepostrzeżenie przyszło na nią wyczerpanie i apatia tak głęboka, że prawie podobna do spokoju.

Dom zdawał się spać w ciszy. Lampa w korytarzu przygasła.

Czy to był sen, czy majak na jawie?... Ni stąd ni z owad, wydało się Maji, że ktoś ją dźwiga na nogi i prowadzi gdzieś przez mrok i ciszę.

W pustce przed nią otwierały się bezgłośnie jakieś drzwi i wnet zamykały się za nią. Poznawała to tylko po coraz głębszej ciemności. Za bliskimi ścianami wstawał coraz wyraźniejszy szum. Ni to wołanie gałęzi w wicherze, ni to rześiste fale deszczu bijące o szyby.

Wszystko to było nierzeczywiste, a jednak prawdziwe. Gdyby wyciągnęła ręce, dotknęłyby mokrych murów. Wiedziała to z jakąś niezbitą pewnością. I szła w głąb tajemniczych kruzganków bez wahania, ufając temu kto ja prowadził .kimkolwiek by był.

Gdzieś daleko załśniło światelko. Stawało się coraz większe i wyrazistsze. Poznała, że to wielobarwny witraż, jakie czasem spotyka się w korytarzach starych klasztorów. Przypadkowa mozaika kolorowych szybek, bez ładu i składu sklecona.

Coś tam miała zobaczyć przez barwne szkiełka. Ale rysunek witrażu poruszał się, linie wiły

się i gmatwały jak węże. Na próżno wyteżała wzrok.

Wtedy przekonała się, że nie śpi.

Chciała rozbić witraż, ale poczuła, że nie może dźwignąć rąk.

Trzymała je tak samo przy twarzy i oczach jak przed chwilą, gdy klękała do modlitwy. Palce jej pulsowały ciepłą krwią, lepiąc się do mokrych od łez policzków. Między palcami wyraźnie widziała światło. Tyle że wielobarwne, nie jednostajne — jak przedtem.

Na pewno nie spała! Słyszała nawet swój własny oddech, przyśpieszony, przerywany czasem spazmatycznym westchnieniem.

A przecież niezdolna była do żadnego ruchu. Niby sparaliżowana.

Ktoś kto był przy niej — nikt inny — zlitował się wreszcie, gdy tak pasowała się z niemocą. Popchnął zapewne okienko, bo kolorowe, pogmatwane szkiełka znikły.

Zajrzała przez wąski otwór w grubym murze. Wiedziała, że zobaczy tam coś złego, coś strasznego. Skupiła wszystkie siły, żeby przezwyciężyć lęk. Bo musiała, za wszelką cenę musiała wreszcie zobaczyć, co się tam kryło.

Widziała jak przez gęstą zasłonę. Dziwnie wyglądał ten obraz. Jakby patrzyła z dołu, czy z góry, niezwykajnie.

Tak, z dołu. Po białej komnatce snuły się cienie jakichś ludzi, w dziwnych skrótach. Stąpały wielkie stopy długich nóg. Korpusy wydawały się maleńkie, głowy jakby nie istniały.

Jedno z widm zbliżało się do Maji. Schyliło się ku niej. Widziała przez zasłonę zarys twarzy, niby znajomej a przecież tak zmienionej, że dreszcz ją przeszył. (Nie, przez sen nie czułaby dreszczu.)

Kto to był?... Na pewno Leszczuk. Kogóż innego spodziewała się tu zobaczyć? Oczy wysadzone z orbit, o olbrzymich, białych gąbkach, jak u topielca. Sina, obrzękła twarz, rozpuknięte, czarne jak żelazo wargi.

Koszmar.

Dwie olbrzymie dłonie sięgały ku Maji. Palce zakrzywione jak szpony kurczyły się i rozginały drapieżnie. Ale nie zdołały chwycić. Napotkały białą zasłonę. Uwikłały się w nią pazurami. Targały ją, szarpały — nie mogły zerwać.

Raptem w wysadzonych ślepiach błysnął strach obłędny. Szpony cofnęły się. Jedna dłoń, lewa, porwała za gardło, zdusiła, aż czarne wargi rozwarły się w okropnym skurczu, odsłaniając zęby. Druga ręka trzepotała w powietrzu, jak skrzydło postrzelonego ptaka.

Widmo zachwiało się. Chwilę ślaniało bezwładnie, i nagle runęło twarzą ku Maji.

Usłyszała słaby, zdławiony okrzyk. Jej własny głos. W tym głosie jednak więcej było zdziwienia niż trwogi. Bo w tej chwili poznała, że upiorne widmo to nie był Leszczuk.

Ktoś znajomy. Kto?... Na Boga, kto to był?...

Ależ to Handrycz!... Na pewno Handrycz.

Majak przepadł. A przecież twarz widma tkwiła jeszcze w pamięci Maji. Nie mogła się omylić, choć rysy tak straszliwie były zmienione.

Szczęł nagle cały ten dziwny obraz. Zasłona, biała izba, cienie ludzkie... Tylko wspomnienie twarzy Handrycza nie chciało minąć.

Skąd tu się wziął Handrycz?

Trwała ciągle w tym samym stanie półsnu, lecz świadomie nie chciała się z niego wyrwać. Dręczyła ją niezaspokojona ciekawość. Czekwała — czy na nowo nic zacznie się snuć przed nią dalszy ciąg wizji, który coś wyjaśni, coś potrafi dopowiedzieć.

Kto ją, Maję, prowadził w te korytarze? Po co ukazał jej ową komnatę, też przecież znaną skądś, jak znana była twarz Handrycza?

Lecz pod zamkniętymi powiekami nic już nie chciało się jawić. Wracała za to zupełna

świadomość miejsca i czasu. Minął bezwład ciała. Obudził się za to ból w zmęczonych kolanach i zaciśniętych mocno palcach. Myśl rozbudzona zupełnie na nowo zaczynała pracować, coraz niespokojniejsza.

Jeśli wszystko to nie było snem, co znaczyła ta wizja? Skąd przyszła do niej?... Strzępy wspomnień nie mogły się układać tak konsekwentnie. Zresztą jakie wspomnienia?... Korytarz podziemny wiodący na zamek, izba kiedyś już we śnie oglądana, twarz Handrycza? Dlaczego właśnie Handrycza, a nie Leszczuka? Dlaczego widmo dusiło się własną ręką? Tak, lewą ręką?

Ileż dałaby za to, by znalazł się przy niej ktoś, kto by jej pomógł zrozumieć to wszystko. Sama na próżno siliła się rozwiązać zagadkę.

Zmęczenie, wyczerpanie nerwowe, to mogłoby usprawiedliwiać sen i majaki senne. Ale przecież nie spała.. Czyżby to było przeczucie, ukształtowane w wizję, podsunięte rozgrzowaną imaginacją?... Co mieściło się za tym?...

— A Leszczuka tam nie było! — stwierdziła w duchu ze zdziwieniem. — Czy to dobrze, czy źle?... Czy już go nie było, czy w ogóle pozostał poza zasięgiem tych koszmarów?...

Nim zdołała wmówić w siebie spokój, wyperswadować sobie przywiązywanie wagi do przywidzeń — w głębi korytarza posłyszała ciche stąpania. Ktoś szedł ku niej.

— Pan Cholawicki przyjechał — usłyszała za sobą niepewny głos Marysi.

Zerwała się z klęczek. Czegóż on chciał? Przyjąć go czy nie przyjąć? Pomyślała jednak, iż może zaszło coś w zamku.

Przeprosił ją, że zjawia się o tak późnej godzinie, ale chciałby pomówić o ważnej sprawie.

Oczy świeciły mu się, jak w gorączce.

— Chodźmy do ogrodu — zaproponowała i oboje znaleźli się pośród wysokich drzew, zanurzonych w ciemnogrnatowej przestrzeni niebios.

— Przede wszystkim chcę ci powiedzieć — mówił bezdźwięcznie sekretarz — że nie jestem już waszym wrogiem — twoim i Leszczuka. Ustępuję. Zmieniłem się bardzo od wczoraj. Zaraz się o tym przekonasz. Ale proszę o absolutną dyskrecję. Bardzo ważna wiadomość.

— Dobrze.

— Wiesz, co to jest — stara kuchnia na zamku i co się tam dzieje?

— Wiem.

— No więc posłuchaj. Nikt dotąd nie odważył się zostać tam na noc. Ja również do niedawna nie mogłem zdobyć się na to. Ale przedwczoraj zdobyłem się...

Odetchnął głęboko.

— Wiem już, co się tam dzieje z tym ręcznikiem — rzekł. — I specjalnie przybyłem, żeby ci to powiedzieć, gdyż... tam się odbywa coś w związku... z tobą.

Zadrzała. Z nią? Czy mówił prawdę? Ale skądże by mógł wiedzieć, że ona jest zamieszana w tę sprawę? Przecież, jeżeli nawet słyszał o chorobie Leszczuka, nie znał jej podłoża.

A może Skoliński się wygadał? Nie, to było niemożliwe. Zresztą dość było spojrzeć na niego. Jeżeli już przedtem Cholawicki przypominał widmo, to teraz wyglądał, jak sama śmierć. Poczula dławienie w gardle.

— Co? — zdobyła się na pytanie. Ale on potrząsnął głową. — Nie mogę ci tego powtórzyć — szepnął. — To się nie da i... słowem, nie mogę. Nie pytaj nawet. Tylko tyle ci powiem, że to dotyczy ciebie i Leszczuka... Musisz sama iść i to zobaczyć!

— Ja sama?

— Ty, bo nikt oprócz ciebie tego nie zrozumie. Ciebie to dotyczy i jego. Słuchaj, co to znaczy?! Czy to być może, że ty... że on...

— Co?

— Nic! Nic! Idź sama. Zobaczysz. I musisz zaraz iść. Jeszcze dzisiaj. Od tego wszystko

zależy! Jego życie i więcej niż życie!

— Ale o co chodzi?

— Nie pytaj! Ale jeśli nie pójdziesz zaraz, nie uratujecie go!

Maja przerzuciła się z nieufności w grozę, we wściekłość, w bezsilność... Nie wierzyła Cholawickiemu. Wyczuwała jakiś podstęp. Skądże on znowu, jako anioł stróż jej i Leszczuka? Znała jego zazdrość. Ale jednak skąd on to wszystko mógł wiedzieć? A może umyślnie chce ją skusić do tej izby? Lecz jeśli mówił prawdę?...

Jego zagadkowe, niejasne słowa doprowadzały ją do obłędu! Wzmagały jej niepewność!

I zrozumiała, że musi pójść i zobaczyć co się tam dzieje. Póki nie będzie wiedzieć, nie odzyska ani na chwilę pewności siebie i spokoju.

I ona i Leszczuk będą niewolnikami tej tajemnicy, niewolnikami każdego, kto ich zechce tym szantażować, niewolnikami wreszcie własnej swojej rozszalał fantazji.

Będą się bali siebie. Nie będą niczego pewni.

Jeżeli i poprzednio nieufność zabijała w nich miłość, to coś dopiero teraz, kiedy już naprawdę, nie wiedzieli zupełnie, kim są.

Więc pójść zobaczyć i wiedzieć wreszcie, co to jest — tak, dopiero wtedy będzie mogła ratować siebie i jego!

Lecz jeśli Cholawicki umyślnie ją wciąga? Może ujrzy tam rzeczy .których nie wytrzyma?

A może nic tam nie ma, tylko wzgardzony narzeczony przygotowuje zemstą? Dość było spojrzeć na niego, na jego błędne oczy i twarz...

— Czy chcesz zaraz tam ze mną iść?

— Tak, zaraz. Najwyższy czas. Jutro już może być za późno. Uśmiechnęła się.

— Czy tak? No, dobrze. Jedźmy. Poszła wziąć okrycie.

A kiedy znalazła się sama w swoim pokoju jeszcze raz przeżyła chwilę okropnej trwogi.

Oparła czoło o ścianę — zdawało się jej, że zemdleje.

Ale przemogła się. Świadomość, że musi ratować Leszczuka, że się poświęca dla niego, dodała jej sił.

— Już jestem gotowa — rzekła, zstępując ze schodów, do Cholawickiego, który oczekiwał na nią ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Przez całą drogę nie odezwali się do siebie ani słowem.

I Maja z każdym uderzeniem kopyt końskich zyskiwała pewność, że on jej źle życzy i przygotowuje zemstę.

Ale dość już miała tego wszystkiego!

Nie mogła już dłużej bać się tej komnaty — być od niej zależną — nie wiedzieć nic, żyć, jak we mgle, w tumanie.

Zobaczyć! Przekonać się! Sprawdzić! Wiedzieć coś wreszcie!

A jej osobiste losy były już dla niej obojętne. Za wiele wycierpiała.

Maja zrozumiała, iż w życiu bywają momenty, kiedy człowiek musi zdobyć się na absolutną śmiałość i absolutne ryzyko, jeżeli chce uratować swoją godność i człowieczeństwo.

— Tędy — rzekł Cholawicki, wiodąc ją poprzez komnaty. Otworzył ciężkie, okute drzwi i poświecił latarką.

— Tutaj. Podniosła głowę.

Ujrzała białą izbę — tę samą, którą oglądała w snach. Na wieszaku — zżółkły, zakurzony ręcznik. Aha, to on. Tak, drżał trochę... bardzo nieznacznie...

— Dobrze — powiedziała. Dźwięk jej głosu zdziwił ją.

A Cholawicki ujął ją za ramiona.

— Zostań tutaj — rzekł. — Usiądź sobie tu na łóżku — i czekaj. No i — żegnaj.

Zniżył głos.

— Nie wytrzymasz tego — szepnął. — Nie wytrzymasz!

I twarz jego skurczyła się w przeraźliwą, złowrogą maskę.

Chciała go odepchnąć. Ale on pchnął ją z całej siły na łóżko, wypadł z komnaty, zatrzasnął ciężkie drzwi i zamknął na klucz. Nie próbowała nawet ich otwierać.

Absolutna ciemność zaległa izbę. A Cholański przez drzwi mówił do niej:

— Jeszcze tu jestem. Ale za chwilę odejdę. Pójdę sobie i zostaniesz sama. A wtedy zobaczysz — zobaczysz coś takiego, że nie wytrzymasz! Jeżeli przedtem jeszcze nie oszalejesz ze strachu. No, już odchodzę. Zostawiam cię... Kroki jego ucichły.

ROZDZIAŁ XXI

Hińcz pobiegł na górę do Leszczuka.

— Czy pan nie wie co się stało z panną Mają?

— Dlaczego?

— Był tu Cholawicki. Podobno wyjechała z nim.

Był tak zaniepokojony tym wyjazdem, że nie liczył się już zupełnie z wrażeniem Jakie to może wywołać na Leszczuku. Podejrzał Cholawickiego o najgorsze rzeczy.

— Nic nie wiem — mruknął apatycznie Leszczuk.

Zdawało się, iż nic nie jest w stanie wytrącić go z jego trwożnego oczekiwania.

Hińcz nie słuchał więcej. Zawołał Marysię.

— Czy tu jest jaka broń?

— Jest rewolwer po naszym panu nieboszczyku i dubeltówka.

— Niech Marysia mi przyniesie, tylko żeby pani nie widziała. I naboje. Konie podjechały pod ganek i goście pensjonatowi mieli już siadać, gdy naraz wskoczył do powozu jasnovidz z dubeltówką i rewolwerem i, zanim Wyciskówna z doktorową mogły się zorientować, wyrzucił ich walizki.

— Jazda! — krzyknął na furmana. — Na zamek! Dwadzieścia złotych na piwo, jeżeli będziemy tam za pół godziny!

Ruszyli. Ale w tej chwili dopadł powozu Handrycz i wskoczył na stopień.

— Ja tu czekam na pana. Mam coś powiedzieć! Już ze dwie godziny czekam!

— Siadajcie! — rzekł Hińcz. — Powieście mi w drodze. Spieszę się.

— Dokąd pan jedzie?

— Na zamek!

— A to i dobrze, bo mnie właśnie coś z tym zamkiem po głowie chodzi. Powoli wyłożył Hińczowi w jakiej sprawie przyszedł.

Odkąd ten pan zaczął się napierać do niego, ciągle mu się coś marzy i marzy... Jakby mu się coś chciało przypomnieć, a nie mogło. Zgłupiał, czy jak?

I właśnie coś wspólnego z zamkiem. Ale nic nie może sobie przypomnieć.

Powiedział żonie, to go skłęła i do roboty zapędziła, ale on postanowił pójść do Połyki i poradzić się, bo cościś w tym wszystkim jest...

— Słuchajcie no, czy wy jesteście mańkutem? — zapytał nieoczekiwanie jasnovidz.

— Jak?

— No, czy posługujecie się lepiej lewą ręką?

— A tak, u mnie lewa lepiej chodzi niż prawa.

Handrycz był nieco zdziwiony tym pytaniem. Ale Hińcz nic nie odrzekł. Dojeżdżali już do zamku. Zanim jednak powóz zajechał przed bramę zamkową, z cieniów nocy wyłoniły się dwie postacie — Skoliński i Grzegorz.

— Nie ma wątpliwości — mówił profesor — ona pojechała z nim na zamek. Chłopi ich widzieli. Ale bramę zamknął! Nie można się dostać do środka.

— Chodźmy podziemnym przejściem.

— To za daleko. A zresztą on na pewno zabezpieczył się z tamtej strony. Stanęli bezradni. Wtem z okna narożnej baszty rozległ się głos sekretarza.

— Panowie z wizytą? Śmiał się. Był uszczypliwy!

— Czy panna Maja jest na zamku?

— Jakby pan zgadł!

— Pragnę się z nią rozmówić — bezzwłocznie.

— To niemożliwe! Panna Maja bawi w tej chwili w starej kuchni! Na własne żądanie! Postanowiła zbadać co się tam dzieje i prosiła, aby jej nie przeszkadzano! Przykro mi, ale nie mogę panów wpuścić.

— Chcę się rozmówić z księciem.

— Książę śpi.

— Niech pan otworzy, bo wywalimy bramę.

— Ach, więc do tego doszło! Niestety! Panna Maja przybyła tu dobrowolnie i jak powiedziałem nie życzy sobie, aby jej przeszkadzano. A do zamku nie mogę panów wpuścić, gdyż książę zabronił.

— Chcę się rozmówić z księciem.

— Najchętniej! Książę sam się z panami rozmówi.

Jakoż po chwili w oknie ukazał się książę.

— Proszę odejść! — krzyczał staruszek, machając rękami. — Nie wpuszczam nikogo! Zabraniam! To mój zamek! Precz! Precz! Profesor wystąpił naprzód.

— Książę! — zawołał. — Przecież to ja jestem! Gość księcia! Mieszkam stale na zamku! Proszę mnie wpuścić.

Ale starzec jakby zupełnie odmieniony nie przestawał wymachiwać rękami.

— Precz! Precz! Nie pozwalam!

— Franio zakazał! — krzyknął naraz, jak w ekstazie. — Franio!! Nie wolno nikogo wpuszczać!!

Jego siwiuteńka, ptasia głowa znikła. Zdawało się, iż osunął się na podłogę. Zastąpił go Cholawicki.

— Panowie widzą, iż wola księcia jest kategoryczna — rzekł urzędowo.

— Panie — rzekł Hińcz — nie mówmy ze sobą jak dzieci. Pan równie dobrze jak ja zdaje sobie sprawę ze stanu księcia. Mamy powody przypuszczać, że pan nadużył zaufania panny Maji. Czy pan chce żebyśmy użyli siły?

— A, to tak? No, w takim razie skłonny byłbym pomówić z panem, ale prywatnie i bez świadków. Niech pan pozwoli pod bramę — rozmówimy się przez „judasza”.

Hińcz podszedł pod bramę, a w małym okienku ukazały się w pomroce usta Cholawickiego.

— Kochany panie — mówiły szyderczo te usta — jak pan widzi, prawo jest po mojej stronie, gdyż mam formalny zakaz księcia, a Maja również zjawiała się tu dobrowolnie. Biedaczka chce naocznie przekonać się, co straszy w starej kuchni, gdyż ubrdała sobie, że te strachy opętały ją i tego jej chłopaka. Zdaje się, że pan przyczynił się walnie do tego jej mniemania.

— Ale nie o to chodzi. Mnie również zależy na tym, aby ona posiedziała sobie w tej kuchni przez noc.

— Widzi pan — mówiły usta — ja już zrezygnowałem ze skarbów i z jej miłości. Ale za to mam z nią porachunki i sędzę, że te porachunki załatwi za mnie komnata.

— Tak przypuszczam, a raczej jestem pewny, gdyż spędziłem noc w starej kuchni i wiem już, co tam jest

— Profesorowi udało się uciec — ona nie ucieknie.

— Więc jak panowie chcecie? Jeżeli doprowadzicie mnie do ostateczności, to wezmę rewolwer i zabiję ją, księcia i siebie — zapewniam, że życie nie przedstawia teraz dla mnie większej wartości. Od was to zależy.

— Jeżeli chcecie bym ją zabił, forsujcie bramę. Ale szczerze mówiąc, wołał bym nie uciekać się do tak radykalnych środków. Mam nadzieję, iż komnata ze mści się za mnie, a ja nie będę

potrzebował maczać w tym rąk.

Więc jak chcecie? Trochę rozsądku panowie. Jeżeli będziecie spokojnie czekać, macie jeszcze jakąś szansę, gdyż jeśli wyjdzie żywa z komnaty, wypuszczę ją, w przeciwnym razie — los jej i księcia jest przesądzony.

— Jeżeli pan sądzi, że w ten sposób uda się panu uwolnić od odpowiedzialności, to się pan myli — rzekł Hińcz.

— Och, nikt mi nie zdoła niczego udowodnić — odparły nonszalancko usta. — Przecież napisała czarno na białym, że sama idzie. Ja jej nie porwałem. A że księżę nie pozwala was wpuszczać, to nie moja wina. Co prawda muszę się przyznać, że wreszcie poznałem znak... Księżę jest w mojej mocy. No, do widzenia.

Hińcza doleciał zjadliwy, urywany śmiech i odgłos oddalających się kroków.

Jasnowidz wrócił do profesora zrozpaczony. Zupełna bezsilność zabijała go.

Czekać? Czekać póki Maja nie przypłaci życiem lub zdrowiem swego nierozsądnego kroku.

Czekać póki Cholawicki nie wyrze swej zemsty na księciu .powolnym wszelkim jego zachciankom?

Czekać biernie, póki nie doprowadzi ich obojga nad jakieś przepaści, skąd już nie ma powrotu?

— Jak ona mogła! — szeptał w rozpacz profesor. — Jak mogła!

— Gdybyż można było dostać się tam i obezwładnić go, albo zastrzelić, zanim zdoła spełnić swoje pogroźki — mruczał Hińcz. — To okropne. Ona tam sama! Sama!

— Ja byłem w tej komnacie. Wiem co to jest. Ona tego nie wytrzyma. Zwłaszcza teraz, kiedy jest wyczerpana, osłabiona psychicznie tyloma przeżyciami. Niech ją Bóg ma w swojej opiece!

Zamek przygniatał ogromem w świetle księżycy. Olbrzymi gmach gubił się w czarnofioletowym niebie. Dwóch szaleńców — i Maja...

— Jeśli Cholawicki pokaże się w oknie, strzelać — rozkazał Hińcz, nabijając dubeltówkę.

Przymknął oczy.

Myśl, że ten szaleniec opanował Maję i księcia, że ohydna siła komnaty stała się narzędziem w rękach tego łotra, który pod wpływem obłędnej zazdrości zatracił resztki człowieczeństwa, była okropna. Co robić?!

W tej chwili ujrzał Leszczuka, który stał między drzewami, opierając się o rower. Co, i ten tutaj!

To nieoczekiwane przybycie bardzo nie dogadzało Hińczowi.

Pomimo ciemności widać było, iż chłopak jest blady, jak śmierć.

— Co pan tu robi? Niech pan wraca do Połyki! Nic tu po panu!

— Ona jest w starej kuchni? — zapytał trzęsącymi się wargami i rower upadł mu na ziemię.

— No więc co z tego? Jest! Ale pan może tylko przeszkadzać! Niech pan wraca!

Leszczuk spojrzał na niego.

— Po co ona tam poszła?

— Niech pan wraca!

— Nie. Ona tam jest. Ona tam umyślnie poszła, żeby zobaczyć. Nie można przecież jej zostawić. Z nią będzie tak samo jak ze mną, albo gorzej.

— Wydostaniemy ją — odparł Hińcz wbrew przeświadczeniu.

— Nie — odrzekł głucho — bo on się mści. To z zazdrości. Jest tylko jedna rada. Niech on mnie tam zamknie zamiast niej. On ze mną także ma porachunki. On wolałby dostać mnie, niż ją!

Wysunął się naprzód.

— Proszę pana! — zawołał.

Cisza...

— Proszę pana! — powtórzył.

— A co?! — sekretarz przezornie nie pokazywał się. — Kto to mówi?!

— Niech pan wypuści pannę Maję, a ja pójdę do tej komnaty.

— Jak to?

— Niech pan da słowo, że pan ją wypuści, a ja zostanę u pana na jej miejsce. Ja też jestem ciekawy co się tam dzieje. Zgoda? Zapanowało milczenie. Leszczuk słusznie przypuszczał, iż sekretarz nienawidzi go bardziej jeszcze niż Maję. Propozycja była ponętna.

— Nie! — ozwał się wreszcie Cholawicki. — Pan chce się tu dostać, żeby rzucić się na mnie. Nie wierzę!

— A jeśli ci panowie mnie zwiążą? Niech oni mnie zwiążą. Pan może to skontrolować — zwiążą mnie tu przed bramą w pańskich oczach. A potem odstąpią ode mnie i pan będzie mógł wciągnąć mnie do zamku i zrobić ze mną, co się panu spodoba.

— Głupcze! — szeptał Hińcz, odciągając go. — To szaleństwo! On ciebie złapie, a jej nie puści. Ty nie wytrzymasz tego!

— Wytrzymam — odparł zacinając się. — Jeżeli ona wytrzyma, to i ja wytrzymam!

Hińcz, Skoliński, Grzegorz otoczyli go. Byli przekonani, iż znowu nawiedził go atak. Ale Leszczuk zdawał sobie dobrze sprawę ze swej propozycji.

— Pewnie, że jej nie puści, ale to wszystko jedno. Jeżeli mnie wpakuje do tej komnaty, to przynajmniej ona nie będzie sama! We dwoje zawsze raźniej! Choćbym nawet nie mógł nic jej pomóc, to i tak mniej będzie się bała!

Mówił szybko, gwałtownie, chcąc ich przekonać jak najszybciej.

— Nic wiadomo co jej się może pokazać! Ja chcę być przy niej! A jeśli on mnie od razu ukatrupi — raz kozie śmierć! Nie ma nic lepszego do zrobienia! Macie co innego, to mówcie!

Hińcz musiał przyznać, że nic innego nie było. Bezsilność ich była zupełna.

— Jeżeli panowie zwiążą go solidnie tutaj przed bramą w moich oczach — ozwał się Cholawicki — i jeżeli odejdą potem na dwieście kroków... Owszem. Zgoda. Nie mam nic przeciwko temu. Jeżeli jest ciekawy, niech zobaczy.

— Zwiążcie mnie postronkami — rzekł Leszczuk, kładąc się na ziemi.

Grzegorz przyskoczył do niego.

— Coś pan! Widzieliście! Wiązać go i wydać, jak tę świnię na zarznie cię! A to przecież jakbym własną ręką zabijał! Niech kto inny wiąże, ja nie będę!

— To wykluczone! — szepnął Skoliński, odciągając Hińcza. — Nie zapominajmy, że on jest już tym zarażony! Jeżeli nawet Cholawicki umieści go razem z Mają w komnacie, to właśnie może być nieobliczalne w skutkach!

— Wiążcie mnie! — niecierpliwiał się Leszczuk. — Wiążcie mnie! Jasię nie boję! Jeżeli ona się odważyła, to i ja się odważę! Nie boję się ani jego, ani duchów! Mówię wam, że się nie boję! Ja to wytrzymam! Mówię, że wytrzymam! Choćby sam diabeł... nie boję się i nic mi nie zrobi! Nic!

Hińcz przesunął ręką po czole.

Pomysł ten wydawał się tyleż szalony, co beznadziejny. Wydawać tego chłopaka, związanego i bezbronnego na pastwę rozwścieczonego rywala?

Któż wie, co zrobi z nim Cholawicki?

Jeżeli nawet umieści go razem z Mają w komnacie — to czyż Leszczuk nie dostanie nowego ataku? I czyż sekretarz nie znał lepiej od nich tajników komnaty — czyż jego wyrachowania nie były trafniejsze?

Nie, taki pomysł mogła zrodzić tylko krańcowa rozpacz!

A jednak... zaczynał wierzyć, że Leszczuk może podtrzymać i uratować Maję.

Skąd ta zmiana w nim?

Nie był to już ten Leszczuk przerażony po chłopsku duchami i diabłami, który pełen fatalizmu czekał, kiedy znowu napadnie go obłąd. Skąd ta zmiana?

Hińcz obrzucił go wzrokiem, gdy tak leżał na ziemi, czekając aż go zwiążą.

Tak! Leszczuk przestał się bać! Było pewne, iż nie boi się i nie będzie się bał, cokolwiek by zaszło. Nie bał się! Doszedł do tej granicy, za którą człowiek gotów jest narazić się na wszystko, zdobyć się na ostateczne ryzyko, gotów jest wytrzymać nawet to, co jest nad siły.

Co go tak odmieniło?

— Panowie! — rzekł Hińcz. — Weźcie postronki od koni i wiążcie!

I poczęli go wiązać. A kiedy odstąpili na dwieście kroków, otworzyła się brama i sekretarz wciągnął go, jak pająk wciąga muchę w głąb pajęczyny. Cisza zaległa... Profesor spojrzął na zegarek.

— Druga dochodzi — rzekł.

Co się stało z Leszczukiem? Czy Cholawicki umieścił go w komnacie? Co się działo z Mają, zamkniętą, oczekującą? Co — z księciem?

Męka bezsilności! Pozostawało im tylko — czekanie. Mijały kwadransy. Kiedyż nadejdzie świt?

— To na nic! — denerwował się Skoliński — skazujemy ich na pewną zgubę! Jeżeli nawet ujdą cało z tej komnaty, to Cholawicki wykończy ich w inny sposób. Nie wypuści ich cało! To mrzonki!

Ale istniała pewna, acz minimalna szansa, że Cholawicki nie posunie się do ostateczności. Jeżeli zamknął Leszczuka w komnacie, to Maja rozwiąże go i wówczas będą mogli stawić opór.

A może sekretarz opamięta się, złęknie się odpowiedzialności — a może coś się stanie, coś nastąpi?

Natomiast, gdyby usiłowali wdrzeć się do zamku — nie było żadnej szansy. Cholawicki spełniłby swoją groźbę.

Więc w trwodze i w ciemnościach oczekiwali modląc się o zbawczy świt. Profesor, który pamiętał swoje straszne przeżycia w starej kuchni, upadł na kolana i zasłaniając twarz rękami drżał cały.

— Gdzie Handrycz? — zapytał jasnovidz.

Dopiero teraz spostrzegł, że chłop zniknął od dawna. Chciał go posłać do wsi, wezwać ludzi.

Wtem krzyk okropny rozdarł ciszę.

Zamarli. Był to krzyk Maji.

Okno starej kuchni nie było widoczne — zewnętrzny mur zamkowy zasłaniał je — ale stamtąd właśnie doszedł ten krzyk, znamionujący ostateczne przerażenie. I cisza, która nastąpiła, wydała się śmiertelna.

— Dostyc tego! — krzyknął Hińcz.

Rzucili się do bramy i zaczęli tłuc w nią.

Ustąpiła.

Hińcz, Grzegorz, profesor wpadli do zamku.

Pędzili po czarnych schodach na oślep.

Na pierwszym piętrze posłyszeli strzały rewolwerowe. To strzelał stary książę, raz za razem, krzycząc jednocześnie:

— Nie pozwalam! Nie pozwalam! Precz! Nie przeszkadzać! Franio!

Hińcz dopadł go i przewrócił na ziemię.

Pędzili dalej, do strasznej komnaty.

Atoli drzwi wiodące do sieni, która oddzielała kuchnię od reszty zamku, zatrzasnęły się przed

nimi, a były to drzwi równie ciężkie i masywne jak wszystkie drzwi zamkowe.

Hińcz zaczął walić w nie pięściami.

Posłyszeli miarowy, zimny głos Cholawickiego:

— Zaraz! Zaraz! Naprzód zrobię porządek z nimi — potem z wami — a potem z sobą.
Dobrze...

I kroki sekretarza jęły się oddalać ku starej kuchni. Nie śpieszył się nawet — pewny, że drzwi wytrzymają, póki nie załatwi się z Leszczukiem i Mają.

Hińcz zaczął strzelać w te drzwi z rewolweru, a profesor z dubeltówki. Był to akt rozpaczny. Kule rewolwerowe więzły w drzewie, a cóż dopiero zajęczy śrut profesora.

Nadbiegł ksiązę.

— Zabraniam! Zabraniam! Franio! Franio tam jest! — krzyczał. — Franio przybył! Chcecie go zabić! Precz, on zaraz wyjdzie.

Profesor i Hińcz jak na komendę przestali strzelać. Słuchali...

Słuchali — co ich dojdzie — czy strzały rewolweru Cholawickiego, czy co innego... Co się tam działo?

A milczenie jęło przedłużać się w nieskończoność.

— Mówię wam, że Franio przybył i przebaczył! Widziałem znak! — krzyczał ksiązę.

Wtem rozległy się kroki — powolne kroki sekretarza — i drzwi otworzyły się.

Rzucili się na niego. Ale on zamiast się bronić, rzekł cicho, przeciągając wyrazy.

— Niech panowie zobaczą — niech panowie zobaczą — proszę zobaczyć.

Wskazywał na starą kuchnię, niezdolny powiedzieć nic więcej. Ton jego głosu był tak dziwny, iż wszyscy zatrzymali się, jak na rozkaz. Drzwi starej kuchni były półotwarte. Hińcz, profesor, ksiązę i Grzegorz zbliżyli się do nich — i osłupieli.

Maja i Leszczuk zniknęli bez śladu.

Zamiast nich — na środku izby stał Handrycz i spoglądał mętnie naokoło, jak człowiek, który budzi się z głębokiego snu.

Ani śladu ręcznika.

— Gdzie oni są! — krzyknął Hińcz. — Co pan z nimi zrobił, morderco! Chwycił sekretarza za ramiona. Lecz ten, osłupiały, z wytrzeszczonymi oczyma, nie przestawał wskazywać na Handrycza i szeptał:

— Ja nic nie zrobiłem!

Wtem jakieś ciało osunęło się na podłogę. To ksiązę upadł na kolana przed Handryczem z wyciągniętymi rękami, z twarzą zalaną łzami.

— Franio — wyrzekł. — Franio!

— Skąd wyście się wzięli tutaj? Czy to wy? Czy to wy — Handrycz? — pytał Skoliński, zaledwie zdając sobie sprawę z niedorzeczności swych pytań.

Ale chłop nie odpowiadał, tylko — wodząc niepewnym wzrokiem po ścianach — mówił, jakby do siebie, w głębokim pomieszaniu.

— To ja... już tu byłem... byłem... kiedyś... I również zemdłał.

A zanim przebrzmiał łoskot upadającego ciała, Cholawicki z jakimś szaleńczym wrzaskiem wypadł z izby.

Hińcz, profesor i Grzegorz stali jak trzy nieme znaki zapytania.

ROZDZIAŁ XXII

... Maja nie próbowała nawet dobijać się do drzwi, zatrzaśniętych przez Cholawickiego. Nie próbowała prosić, ani wołać. Wiedziała, iż to na nic się nie zda. Usiadła na łóżku i siedziała tak bez ruchu, oczekując...

Czego?

Było tu ciemno... Nie mogła w ciemnościach dojrzeć tej rzeczy ohydnej, ruszającej się na kołku, ale wiedziała, że ona jest — i rusza się.

Z początku zdawało jej się, że to wcale nie jest tak straszne, jak mówił Skoliński i jak ona sobie wyobrażała.

Była nawet zadowolona, że raz się przekona — co to takiego jest. I była przygotowana na wszystko.

Mijały kwadranse. I w ciemnościach czuła, że ruch wzmaga się i wzrasta nieznana wściekłość, miotająca się na wieszaku.

A jednocześnie myśl jej pracowała niestrudzenie, snując coraz to inne przypuszczenia na temat tego, co miało się tu zmaterializować.

Daremnie całą siłą woli odwracała od tego uwagę, starała się myśleć o rzeczach trzeźwych i konkretnych. Na dnie kołatało pytanie — co będzie? Co się wykluje?

Czy to coś rzuci się na nią? Czy też tylko ukaże się jej — a może sam ten widok wystarczy, aby ją zdruzgotać na zawsze? A może to coś wejdzie w nią. Zarazi ją, opanuje jak Leszczuka i ona...

I jeszcze to przeświadczenie, że gdyby Cholawicki nie był absolutnie pewny, że ona tego nie wytrzyma, nie zamknąłby jej tutaj — nie przywiódłby jej tu...

Ciemno.

Usłyszała głosy przez okno — zdawało jej się, że rozróżnia głos Hińcza, ale nie była pewna... a do okna nie mogła już podejść. Za blisko kąta, w którym ruszała się płachta.

Czuła, że słabnie. Na próżno powtarzała sobie, że dobrowolnie przyszła, że przewycięży zwierzęcy lęk, że los jej i Leszczuka od tego przewyciężenia zależy.

W ciemnościach — zamiast odzyskiwać siły, słabła — i już czuła drżenie mięśni twarzy, zimno potu na czole i nadchodzącą, śmiertelną panikę. Trzymała się resztą ambicji.

Nie, nie ulegnie. Nie podda się. Nie da się temu w kacie, ruszającemu się... Ale zęby zaczęły jej dzwonić. A konwulsyjny ruch na pewno wzrastał.

— Boże! Boże!

Wtem usłyszała, że Cholawicki nadchodzi — ale krok jego był ciężki, i mówił coś. Do siebie?

Drzwi się otworzyły. Rzuciła się do nich.

Gotowa była błagać Cholawickiego, by ją puścił.

Lecz coś uderzyło ją mocno i padło na podłogę, a gdy w przerażeniu cofnęła się, sekretarz zatrzasnął drzwi.

— Masz gości! Bawcie się dobrze! — tyle tylko powiedział i znowu — kroki jego ucichły.

Nie śmiała się odezwać. Aż wreszcie usłyszała urywany Jakby zachłystujący się głos Leszczuka.

— To ja.

Najwyższym wysiłkiem woli wyszeptała zdumiona:

— Skąd?!

— Proszę mnie rozwiązać — usłyszała zamiast odpowiedzi.

Nachyliła się nad nim i gdy pracowała nad rozluźnieniem więzów, szeptem wytłumaczył jej, co się stało i dlaczego dał się związać Cholawickiemu.

Maji zdawało się, że tu nie wolno mówić — że głos ludzki narusza coś w tej komnacie — i prowokuje...

I z jednej strony obecność Leszczuka wyrwała ją z panicznego odrętwienia, by ła czymś ludzkim i kojącym w tym nieludzkim miejscu. A z drugiej, kiedy tak stała przy nim w ciemnościach, nie miała najmniejszej gwarancji, czy on nie oszaleje ze strachu, nie rzuci się, nie zrobi czegoś, nie dostanie ataku — i to jeszcze podwajało grozę.

Jeżeli ona się bała, to cóż dopiero on!

Nie widziała go. Nie mogła sprawdzić, jaki on jest w tej chwili.

Milczeli.

— Czy to tam? — zapytał naraz. — W której stronie? Tam?

Ujął ją za rękę i wskazał kierunek.

— Tak.

— Rusza się?

— Rusza.

Trwali w milczeniu. I znowu bezbrzeżny wstręt, zgroza, szął wzrastający w ciszy, ruch konwulsyjny. Maja myślała, że teraz, teraz się zacznie, kiedy on tu jest, między nimi musi, musi się zrobić coś, już nie ma rady! I obecność jego w ciemnościach zamiast ją uspokajać, jeszcze bardziej przerażała.

Czyż lada chwila nie ogarnie go szął i nie pocznie się coś okropnego? Takie widać było przeznaczenie!

Wtulona w kąt nie śmiała się ruszyć. Czekała.

I nie mogła zdobyć się na żadne pytanie, gdyż miała pewność, że dosłyszcy w jego odpowiedzi akcent przerażenia — a wówczas sama nie wytrzyma i runie w strach głową naprzód!

Była pewna, że on nie może się ruszyć, nie może mówić ze strachu.

Wtem usłyszała:

— No i co? Nic nie ma? A ja myślałem, że tu naprawdę coś się odbywa?

Schwyciła go kurczowo za rękę.

— Nie czuje pan... Że to się rusza? Rusza?

Roześmiał się.

— Nic nie czuję! To się pani zdaje! Co się ma ruszać! Jeżeli pani chce, to ja wyrzucę za okno tę ścierkę i tyle!

Czy oszalał? Czy zapomniał gdzie się znajduje? Maji jego ton wydał się — niemożliwy, nieprawdopodobny.

— Cicho!

Lecz on uczynił kilka kroków w głąb komnaty.

Maji serce przestało bić!

Teraz! Jeżeli on dotknie tego! Musi coś się stać! Niech nie dotyka!

Miała wrażenie, że coś trzaśnie — jęknie — coś nagle wystąpi na jaw...

On zaś ruszał się w tym kącie.

I gwizdał!

Poświstywał przez zęby.

— Nie mogę namacać. Aha, już mam! Na kołku wisi? Zwykły ręcznik i tyle! Zawracanie głowy. No, won!

Ujrzała jego sylwetkę na tle okna — i ruch ręki, którą wyrzucał ręcznik. A włosy jego wydały jej się dziwne.

— Już po strachu! A jeśliby ten Cholawicki do nas się przyplątał, to mu mordę zbiję. Musimy tu posiedzieć do rana, a potem...

Nie dokończył.

Błat pieca kuchennego pod ścianą uniósł się, wyrwany, i z łoskotem trzasnął o kamienną podłogę. Coś rozsadziło piec.

Krzyknęła.

A tam w piecu coś grzebało się, ruszało i dyszało — jakaś masa.

Aż wreszcie niewyraźne światło zapałki zalało izbę.

W tym świetle ujrzała wysoką, charakterystyczną postać Handrycza, który gramolił się powoli na ruinach pieca.

Chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili z głębi zamku rozległy się strzały.

— Uciekajcie tędy! — krzyknął chłop — tu jest przejście! Żywo!

I podczas gdy Maja i Leszczuk niknęli w czeluściach pieca, on stał i rozglądał się naokoło z twarzą skupioną i żalowaną.

— Ja tu już byłem — szepnął.

*

— A zatem — mówił Hińcz, wchodząc wraz z profesorem Skolińskim do starej kuchni — możemy odtworzyć sobie mniej więcej tragedię, która tu ongiś miała miejsce.

Było jasno. Za oknem świergotały ptaszki. Izba pozbawiona ręcznika wyglądała pogodnie i przyjemnie.

— Wyobraźmy sobie — ciągnął dalej jasnowiedz — dzieje tej ostatniej nocy, kiedy to Franio doszedł do kresu wściekłości.

Książę jak zawsze przyszedł pod drzwi i błagał o zmiłowanie. Franio odpowiedział szyderstwem.

— Ja ci przebaczę! — wołał, pociągając palcem po gardle, co miało znaczyć, iż zarżnie siebie i ojca.

Widzi pan tę szparę w drzwiach? Przez tę szparę książę ujrzał ruch Frania.

Po czym w przystępie furii nieszczęsny chłopak porwał ręcznik i zadusił się, wpychając go sobie w usta i okręcając na szyi. Książę zemdlał. A kiedy powrócił do przytomności, zastał już Frania bez życia.

Obaj nachylili się nad piecem.

— Tak — rzekł profesor — na dnie jest przebity otwór, rodzaj komina, który sięga aż do piwnic. Prawdopodobnie to jakaś nie dokończona przeróbka sprzed lat.

— Widzę to! — mówił Hińcz przytykając oczy. — Jak książę ocknąwszy się z omdlenia traci do reszty zmysły. Jak wpada do komnaty, nie wie, co zrobić z ciałem, chce ukryć przed sobą samym i przed innymi okropny fakt, wreszcie w pośpiechu, w obłąkaniu, wsadza ciało do pieca — i ciało zapada się aż na sam dół!

Profesor wysunął głowę z pieca.

— Aha! Teraz rozumiem, dlaczego urządził sobie tę kapliczkę w lochach. Było to miejsce, gdzie — według jego obliczeń — tkwiły ukochane zwłoki.

— Nie wiedział, iż komin ten łączy się z podziemnym przejściem, wychodzącym poza obręb zamku. Nie wiedział, że Franio nie udusił się, a tylko stracił przytomność.

Nie przyszło mu na myśl, że nikt w ten sposób nie mógłby się udusić. I wreszcie nie wiedział, że Franio, wydostawszy się z zamku, stracił zupełnie pamięć wskutek szoku nerwowego.

— Dziwi mnie, że nikt z ludzi tutejszych w Handryczu nie rozpoznał Frania — rzekł profesor.

— Pytałem o to Handrycza — odparł Hińcz. — Opowiadał mi, jak ocknął się w Lublinie po paru tygodniach, chory na tyfus. Zaopiekowali się nim ludzie. Utratę pamięci przypisywał chorobie.

Tam spotkał się ze swoją obecną żoną. Powrócili tu dopiero po latach. W każdym razie ona jedna domyślała się, że mąż ma coś wspólnego z legendą o Franiu i z zamkiem, ale tała to przed nim ze zrozumiałych powodów.

A książę? Książę, chwytając się ślepo ostatniej nadziei — jak to czynią szaleńcy — wmówił w siebie, że ten okrutny gest Frania był znakiem przebaczenia! Ciągłe oczekiwał, że Franio przebaczy mu jak zapowiedział. I

— Więc Cholawicki siedział tu całą noc i nic nie zobaczył. Skąd w takim razie dowiedział się o znaku?

— Od Ziółkowskiej. Ta baba była z nim w znowie i powiedziała mu o naszym odkryciu podczas seansu. W komnacie nic nie zobaczył, choć przesiedział całą noc. Ręcznik ruszał się coraz mocniej — a potem coraz słabiej. Nic się nie ukazało.

— Więc tu, właściwie, nic nie straszło? — dopytywał się z rozczarowaniem Skoliński.

— Nic. Tyle tylko, że ręcznik się ruszał.

Wyszli z komnaty i znaleźli się na dziedzińcu zamkowym. Słońce przypiekało.

Jaskrawe światło południa obnażyło posępne opuszczenie starego zamku. Kępy traw, sterczące ze szczelin wśród rozluźnionych głazów podmurowania spękane tynki, rude plamy zmurszałej cegły, szare zacieki, zielone liszaje porostów.

— Za kilka lat zostanie z tego kupa gruzu — bąknął niechętnie Hińcz.

— Pytanie.

— Chce pan remontować tę rudere?

Mój układ z księciem nie przewiduje na razie tej możliwości. Cóż, spadkobiercą będzie Handrycz, ja tylko kustoszem, jeśli to nie za szumne słowo. Mam się opiekować ruchomościami, przeprowadzić ekspertyzę, rzeczy wartościowe prze kazać do muzeów...

— Zostanie ruina — wtrącił Hińcz.

— Przyszłość pokaże. Oczywiście, gdyby nikt się nie zajął zamkiem, pójdzie w gruzy. Ale książę ma jeszcze czas pomyśleć o wszystkim.

— Sądzi pan?

— Widuję się z nim co dzień i uważam że najzupełniej wraca do życia. Ten starzec był podobny do swego zamku. Narastały w jego psychice warstwy jakieś jakby pajęczyn i kurzu. Walnie się do tego przyczynił ten zbir, Cholawicki. Dręczył starego, znęcał się nad nim, to podsyczał nadzieję, to drwił, to znów terroryzował go i straszyl. Umiał wykorzystać maniactwo, choć nie rozumiał powodów tego stanu. Łotr, zimny, wyrafinowany łotr.

— Ale też zaplątał się w swoim łotrostwie.

Profesor ścinał w zamyśleniu laską wielkie liście łopianów i twarde osty pieniące się pod murem.

— Tak już jest z każdym łotrostwem.

— I jakże? Wyrzecie się?

— Z czego? Z postrzału?... Zapewne. Lekarze od razu twierdzili, że to lekka rana. Doktor Darasz twierdzi, że w ten sposób strzelają się dwa typy samobójców — albo komedianci, albo tchórze. Kula w pierś?... No, cóż. Dwa żebra złamane, mięśnie potargane... Bo też i kula z takiego odwiecznego gruchota — ogromna.

— Ale wylize się.

— Książę nic o tym nie wie?

— Nic. Jeszcze nie wrócił do przytomności kiedy wywoziliśmy Cholawickiego. Grzegorz

będzie milczał, choćby przez przywiązanie do staruszka. Handrycz takie.

— Raczej Franio. A cóż Franio mówi o projektach księcia?

— Zdaje się że nic nie ma przeciw temu.

— Więc ostatecznie wygrał pan swoją partię, profesorze. Zamek zostanie przy księciu i Franio, a ruchomości pójdą na emeryturę do muzeów? Tak jak pan marzył?

— Mam nadzieję. Ale wolałbym żeby i zamek się nie zmarnował. Te stare mury mogą wytrzymać jeszcze wiele lat. Z zewnątrz ruina, ale rdzeń w murach jeszcze zdrow. Lity kamień. Trzeba by tylko stropy zmienić, podłogi, wzmocnić podmurówkę, dać nowe tynki, i wskrzesiłoby się tego trupa.

— Tak jak wskrzesiliśmy księcia.

— Ba, tu jeden wstrząs nie wystarczy. Trzeba długich starań i kosztów. Ale ja w tym, żeby pieniądze się znalazły. I opłacą się dobrze, boć w tych starych komnatach Bóg wie co można by pomieścić. Ochronę, szkołę, muzeum... Można by nawet nie wywozić tych skarbów, które się tu kryją, zostawić jak są, tylko otoczyć je opieką.

Obchodzili dokoła posępne mury wzdłuż fos, potykając się po zrujnowanym bruku dziedzińca, zapadając w zarosłe chwastami dziury.

— Istna ilustracja do bajki o śpiącej królewnie — cieszył się profesor, wskazując laską basztę wysoko wzniesioną nad trędowate ściany, nad potężne szkarpy, nad pogruchotane blanki.

— Ale już się tu budzi nowe życie. Spójrz, profesorze. Grzegorz otwiera okna, Handryczowa już zdążyła przyjechać i coś pichci w kuchni. Franio już rządzi nowymi parobkami. Zaraz się wszystko odmieni.

— Zły czar stracił swoją moc. Rolę zatrutego jabłka odegrał...

— Ręcznik — dokończył Hińcz z całą powagą. — Gdzieś on tu powinien leżeć jeżeli go kto przez ten czas nie znalazł.

— To tutaj — rzekł profesor, wiodąc Hińcza wzdłuż murów — oto okno starej kuchni.

— Gdzież on jest? A, tu mamy naszego figlarza! — Hińcz wskazał ręcznik biejący na trawie.

Leżał on tu, wyrzucony przez Leszczuka i wcale nie wydawał się groźny. Jednakże obaj panowie przypatrywali mu się nieufnie z pewnej odległości.

Profesor przełknął ślinę. Pomimo wszystko — czuł straszliwą abominację do tego kawałka materii, który, zdawało się, drży jeszcze i kurczy się, acz prawie niedostrzegalnie.

— Trzeba to spalić — rzekł ze wstrętem.

— O nie! — odparł jasnowidz. — Ten ręcznik wraz z ołówkiem — to jedyny niezbadany punkt w całej tej historii. Zabiorę go do Warszawy i zostanie poddany badaniom naukowym. Zobaczymy, co to jest! Co to za energia nim miota?

— Tylko ostrożnie! Niech pan pamięta, że z tym nie można obcować bezkarnie!

— Och! — rzekł Hińcz. — Im dłużej myślę nad tymi sprawami, tym bardziej skłonny jestem przypuszczać, że szal Leszczuka tylko w drobnej mierze zawdzięczamy, niezaprzeczalnym zresztą, fluidom ręcznika. Niewątpliwie są to zagadki. Ale właściwą przyczyną jego szału była Maja.

— Widzi pan — mówił dalej — gdy w życiu ludzkim występuje jawnie element nie zbadany i tajemniczy, skłonni jesteśmy od razu wszystko składać na karb jego działania. Jest to wielki błąd. Niewątpliwie istnieje jeszcze mnóstwo sił i zjawisk, przekraczających naszą wiedzę o świecie, ale nie należy przesądzać ich wpływu.

Człowiek sam sobie wykuwa los. Decyduje charakter, świadomość, wiara — nie ślepe i ciemne fluidy. Każde życie ludzkie, każda nasza przygoda jest trochę niejasna i tajemnicza. Obracamy się w świecie, który nie jest jeszcze całkowicie wyjaśniony. Ale tej jasności, jaka jest,

wystarczy dla człowieka dobrej woli.

Zniżył głos:

W danym wypadku nie obawiam się mechanicznych wpływów tej ścierki. Z tym zawsze sobie damy radę, chociażby usta szerniały nam na węgiel.

— *A propos* — dodał od niechcienia — nie wiem, czy pan zauważył, że ten ołówek Leszczuka był... atramentowy.

Profesor spojrział na niego.

— Mniejsza z tym — rzekł Hińcz — to by i tak nic nie wyjaśniło. Powtarzam, iż na próżno usiłowaliśmy zrozumieć wszystko. Życie nasze toczy się w pół mroku. Prawdopodobnie wiele zagadek moglibyśmy jeszcze rozwiązać w sposób naturalny, ale zawsze pozostanie pewne minimum — nierozwiązalne. Tak zawsze.

Ale w każdym razie jedno wiemy na pewno — że w starej kuchni nic się nie działo. Po prostu w nocy ręcznik ruszał się bardziej — i tyle. Ludzie wariowali tam pod wpływem strachu i wyobraźni — jak zawsze od początku świata.

— W każdym razie wolę nie dotykać tego rękami — mówił profesor, ostrożnie podejmując ręcznik patykiem.

Hińcz uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Jak na naukowca jest pan za mało sceptykiem, profesorze.

— Ba, gdybym nie był świadkiem brewerii, które poczęły się z tej szmaty... Brr! Kiedy sobie przypomnę noc spędzoną z nią sam na sam!

— Okazuje się, że i w mózgu naukowca wyobraźnia potrafi górować nad zdolnością rozumowania.

— Niezawodnie. Ale pozwól pan sobie powiedzieć, że jak na człowieka bliższego niż ja, zwykły „*homo sapiens*”, zjawiskom nadzmysłowym, zanadto jesteś sceptykiem.

— Na przykład?

— Skoro czernienie ust Leszczuka od ołówka przypisuje pan temu, że ołówek ten był atramentowy, może pan spróbuje mi wyjaśnić dlaczego ten ręcznik się ruszał? Bo to, że ruszał się, to fakt, nie żadne złudzenie, nie żadna gra wyobraźni.

— Sceptyk powiedziałby: zapewne przeciąg poruszał szmatą. I poszukałby szpary w ścianie tam gdzie ręcznik wisiał.

Profesor wybuchnął przymuszonym, nieszczerym śmiechem,

— A więc, wszystko jest jasne? Już nie ma zagadek... Wobec tego, drogi panie, skoro już zdrowy rozsądek zatriumfował nad fikcjami, może pan raczy dać jeszcze jeden dowód krytycznego sceptycyzmu i własnoręcznie włożyć to paskudztwo do walizki?...

Hińcz zagryzł wargi. Ściągnął brwi.

— Niech się pan nie gniewa — ciągnął poważnie profesor. — Ja traktuję serio moją propozycję. Rozumie pan o co mi idzie?

— Tak — mruknął Hińcz.

I schylił się powoli po ręcznik. Ale w tej chwili profesor porwał go błyskawicznie za wyciągniętą dłoń i odciągnął o krok.

— Dość! — wykrzyknął. — Już mi to wystarcza...

— Co takiego?

— Po pierwsze, że nawet pan zawahał się i ociągał, choć nie obawia się pan „mechanicznych wpływów tej ścierki”. Tak pan to powiedział? A po wtóre, że jednak zdecydował się pan. Bardzo ciekawy eksperyment dla badacza psychiki człowieka.

— A wniosek?

— Że pan sceptykiem jednak nie jest. Tak jak i ja.

— Mój profesorze — poklepał go Hińcz po ramieniu. — Czy warto być czystym sceptykiem, bez domieszki? Toć odarłoby się życie ze wszystkich złudzeń, które tyle barwy mu nadają. Zglębiać tajemnice miło, ale dla doznań poznawczych, nie dla triumfu niewiary. Jakaż negacja sprawi panu przyjemność?...

Niech żyje romantyzm — zakpił profesor. — Zostańmy przy tym. I dla tego... użyjmy patyka a nie dłoni by ulokować ręcznik w zamknięciu.

Wsadzili go do małej walizeczki i z powrotem pojechali do Połyki.

— Czy pan widział się z Mają — zapytał Skoliński, gdy wysiadali przed domem.

— Nie. Jeszcze nie zdążyłem z nią pomówić. A mam dla niej wiadomość. Otrzymałem telefon od sędziego śledczego w sprawie Maliniaka. Wie pan, kto zabił? Markiza. Odkryli szparę w ścianie, przez którą przeciągnęła stryczek. A wszystko wyjaśniło się ostatecznie, gdy wpadł do rąk sędziemu kryminalny romans „W sidłach wampira”.

Okazuje się, iż markiza skopiowała dosłownie kapitalną scenę tej książki. Morderca zakłada stryczek za łóżko w ten sposób, iż wystarczy pociągnąć, aby nasunął się na głowę śpiącego.

Ona przygotowała to oczywiście zanim Maliniak położył się do łóżka i to nam tłumaczy, dlaczego mogła go udusić, choć drzwi jego pokoju były zamknięte od wewnątrz. Co za perfidia! Gdyby Leszczuk nie stał się przypadkowym świadkiem morderstwa i gdyby Maja nie otworzyła okna, aby go wpuścić, żadna siła nie uratowałaby jej przed fałszywym posądzeniem. Tsss... Otóż i ona. Profesorze ani słówka o tym, że mamy ręcznik w walizce, nie narażamy jej odporności na nową próbę. Niech pan to prędko zabiera do domu.

Niestety! Profesor zanadto się pośpieszył i — nastąpiła katastrofa! Walizeczka zawadziła o poręcz, otworzyła się — ręcznik wypadł o dwa kroki od Maji, która właśnie podchodziła do bryczki.

Stanęła jak wryta.

— Nic! Nic! — krzyknął Hińcz, usiłując zakryć ręcznik swoją osobą. Roześmiała się.

— Niech pan się nie przejmuj — rzekła — dla mnie to już nic strasznego. I nogą kopnęła z lekka niebezpieczną szmatę.

— Nie boi się pani? — zapytał profesor ze zdumieniem.

— Wcale. Przecież Leszczuk wyrzucił to przez okno i nic mu się nie stało.

— Brawo! — zawołał ze wzruszeniem Hińcz. — Czy to znaczy, że przezwyciężyliście strach? Czyż ręcznik już nie ma na was wpływu?

— Najmniejszego. — A wiedzą panowie dlaczego? Wskazała ręką na Leszczuka, który szedł ku nim aleją.

— Dlatego — rzekła.

Wydali okrzyk zdumienia, Leszczuk był siwy!

Po nocy, gdy razem wracali z zamku, nie zauważyli tego. Lecz teraz w świetle dnia głowa jego była biała, jak mleko i wyglądał jak zaczarowany.

— Musicie dobrze zrozumieć duszę kobiety — tłumaczyła niby żartobliwie, a w gruncie rzeczy ze wzruszeniem Maja, gdy usiedli we troje na ławce przy placu tenisowym. — Sama w komnacie bałam się piekielnie, ale jeszcze bardziej zaczęłam się bać, gdy wraz ze mną znalazł się tam Leszczuk. W ciemnościach nie widziałam go. Wyobrażałam sobie, że on jeszcze bardziej boi się ode mnie i dlatego bałam się — żeby tak powiedzieć — jeszcze bardziej od niego.

Potem, kiedy pogwizdując wyrzucał ręcznik, przekonałam się naraz, że on się wcale nie boi. Ale to było jeszcze gorsze. Pomyślałam sobie, że on jest za tępy, za mało inteligentny na to, żeby się bać.

Jego zjawienie się w komnacie straciło dla mnie wszelką wartość. Kiedy przedtem myślałam, że on poświęca się dla mnie, teraz zorientowałam się, że to go nic nie kosztuje.

Widzicie, nie znalazłam go. Był on dla mnie ciemniejszy od tej komnaty. Zdawało mi się, że jest inny niż ja.

I dopiero kiedy się przekonałam dziś rano, że on pogwizdując przy wyrzucaniu tego ręcznika osiwiiał — dopiero wtedy zrozumiałam...

Maja zająknęła się i zarumieniła.

— On znalazł w sobie tę siłę, ponieważ pani zdobyła się na to, aby pójść do komnaty. On się zaraził pani odwagą i determinacją — rzekł Hińcz, nie ukrywając radości. — Ale mam dla was wiadomość. Już wiadomo, kto zabił Maliniaka.

— Nie jestem ciekawa.

— Jak to?! Nie interesuje to panią?

— Nie. Wiem na pewno, że nie on. I nie ja. Widzi pan — mówiła dalej wolno, obejmując wzrokiem stary dwór, ogród i zabudowania w głębi — my długi czas wątpiliśmy w siebie nawzajem, ale skoro raz zaczęliśmy sobie ufać, to już żadna, najdziksza nawet historia nie zarazi nas zwątpieniem. I żaden fluid nas się nie uczepli. Jesteśmy — impregnowani.

— Chwałą Bogu! — zawołał jasnowidz. — Nareszcie zrozumieliście to! Na tym świecie, pełnym niejasności i zagadek, mroków i mętów, dziwów i pomyłek, jest tylko jedna nieomylna prawda — prawda charakteru!

KONIEC

OD WYDAWCY

Powieść Witolda Gombrowicza „Opętani” ukazywała się w 1939 roku w dwóch dziennikach jednocześnie: W *Dobrym Wieczorze — Kurierze Czerwonym* w Warszawie oraz w *Expresie Porannym* Kielce — Radom. Druk powieści rozpoczęto w niedzielę, 4 czerwca 1939 roku. Ostatni (91) odcinek ukazał się w niedzielę 3 września 1939 roku w numerze 243 dziennika *Dobry Wieczór — Kurier Czerwony*. 1 sierpnia 1939 roku Witold Gombrowicz wypłynął na transatlantyku „Bolesław Chrobry” do Buenos Aires, gdzie pozostał do 1963 roku.

Podstawą druku obecnej pełnej edycji powieści jest wydanie Instytutu Literackiego w Paryżu z 1973 roku, pomieszczone w X tomie „Dzieł zebranych” Witolda Gombrowicza „Varia” (s. 211 — 472). W wydaniu paryskim brak było zakończenia powieści, które uważano wówczas za zaginione. W 1986 roku Ludwik B. Grzeniewski odnalazł trzy ostatnie odcinki powieści drukowane pierwszego, drugiego i trzeciego września 1939 roku. Opublikował je na łamach „Argumentów” w numerze 41 z 12 października 1986 roku. Publikacja ta była dla nas podstawą druku zakończenia powieści.

Po porównaniu pierwodruku czasopiśmienniczego i książkowego poprawiono parę oczywistych błędów drukarskich. Poprawiono także ortografię, przeważnie w zakresie pisowni łącznej i rozłącznej. Interpunkcję pozostawiono bez zmian.